

KATARZYNA WOLWOWICZ

JASKINIE UMARŁYCH

JAK DOJŚĆ DO PRAWDY,
JEŚLI NIKOMU NIE MOŻNA UFAĆ...
NAWET SOBIE...

SKARPA WARSZAWSKA

KATARZYNA
WOLWOWICZ

JASKINIE
UMARŁYCH



Redakcja
Barbara Filipek

Korekta
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2024
© Copyright by Katarzyna Wolwowicz, Warszawa 2024

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
978-83-83294-05-6



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Szklarska Poręba, Czerwona Jama

Jelenia Góra, apartament Carmen Rodríguez

Szklarska Poręba, Czerwona Jama

Jelenia Góra, dom Teresy Sowińskiej

Jelenia Góra, Park Norweski

Jelenia Góra, Zakład Medycyny Sądowej

Szklarska Poręba, droga do domu Sasków

Jelenia Góra, Osiedle Zielone

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji, Wydział Kryminalny

Dawniej, Mirsk, mieszkanie państwa Koczorów

Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza

Piechowice, dom Borysa Szyka

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Jelenia Góra, siedziba „Lokalnych Nowin”

Polkowice

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji, ten sam dzień

Zachęlmie, Czerwona Jaskinia

Jelenia Góra, apartament Carmen Rodríguez, noc

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji, spotkanie grupy dochodzeniowo-śledczej

Jelenia Góra, parking pod mieszkaniem Carmen Rodríguez

Prosektorium

Polkowice, dom Antoniego Pawlińskiego

Piechowice, dom Borysa Szyka

Jelenia Góra, apartament Carmen

Szklarska Poręba, podjazd przy domu nadkomisarza

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Jelenia Góra, apartament Carmen Rodríguez, noc

Dawniej, Mirsk, mieszkanie państwa Koczorów

Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza
Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji
Jelenia Góra, park Norweski
Jelenia Góra-Sobieszów, dom Kamila Sukulskiego
Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza
Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji
Jelenia Góra, apartament Carmen, noc
Piechowice, dom Borysa Szyka
Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji
Szkłarska Poręba, dom Bartka Saska
Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji
Droga do Wrocławia
Jelenia Góra, apartament Carmen Rodríguez
Dawniej, Mirsk
Wrocław
Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza
Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji
Mirsk, dawna kopalnia minerałów

Szklarska Poręba,

Czerwona Jama

Pierwsze, co poczuła po odzyskaniu przytomności, to ból. Najmocniejszy był w okolicach głowy i karku, ale niemal równomiernie rozchodził się w dół ciała. Promieniował do łędźwi i nóg, którymi starała się poruszyć, zanim jeszcze otworzyła oczy. Nie była w stanie. Nie dała rady tego zrobić również rękoma, choć w przeciwieństwie do dolnych partii ciała w palcach czuła delikatne mrowienie. Kończyny były odrętwiałe, jakby spała w złej pozycji, w wyniku czego krew nie mogła swobodnie krążyć, by dotlenić wszystkie komórki ciała. Co się dzieje? Pytała samą siebie, ale nie знаła odpowiedzi. Początkowo myślała, że nadal śpi i to jakiś absurdalny koszmar, który śni się w wyniku obejrzanego w nocy strasznego horroru i wciąż nie może się uwolnić spod jego wrażenia. Kiedy otworzyła oczy i zamrugała, zdała sobie sprawę, że to nie sen. Leżała na lodowatym, twardej podłożu. Nie potrafiła określić, co to jest, ale z pewnością nie było jednolite, raczej nierówne, chropowate i z drobnymi grudkami, które wbijały jej się w skórę. Powietrze pachniało wilgocią. Bynajmniej nie taką, jaka towarzyszyła jesieni w ogrodzie. Czuła przeszywający chłód, mrozący ciało, krew i umysł, przedzierający się do szpiku kości. Dygotała z zimna. Z trudem lekko podniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Mrok. Wszędzie panował mrok. Wpadła w panikę, chciała się podnieść i rzucić do ucieczki, biec na oślep przed siebie, byle jak najdalej stąd, jednak ciało nadal odmawiało posłuszeństwa. Mogła jedynie ruszać głową, początkowo powoli i w ograniczonym zakresie, w miarę upływu czasu coraz mocniej. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, z przerażeniem odkryła, że znajduje się prawdopodobnie w jakiejś jaskini. Nie mogła być głęboka, bo czuła powiew

orzeźwiającego wiatru napływającego od wejścia. Może nawet widziała coś, co znajdowało się na zewnątrz? Las? Powoli odzyskiwała czucie i władzę w ciele. Coraz wyraźniej słyszała też wszystkie odgłosy nocy. Padał deszcz, szumiały liście na drzewach, wiatr hulał w ich koronach i huczał złowieszczo, jakby niósł jej wiadomość... „To będzie twój grób... Dzisiaj umrzesz... Jesteś złym człowiekiem, a takim trzeba wymierzać sprawiedliwość...”. Niemal słyszała, jak szepce. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach i sprawił, że zadrżała. Tym razem nie z zimna, ale ze strachu. I wtedy zrozumiała. To nie wiatr szeptał jej wiadomość, tylko ciemna, surrealistyczna postać, która wyłoniła się z nicości.

– Dostaniesz to, na co zasłużyłaś – powiedział męski, niski głos zakapturowanej postaci.

Nie widziała jego twarzy, nie rozpoznała głosu. Próbowwała zmusić umysł oraz ciało do mobilizacji i ucieczki, a kiedy zdała sobie sprawę, że to niemożliwe, chciała krzyknąć. Wydobyć z siebie najgłośniejszy, najbardziej przerażający wrzask, jaki tylko mogła. Ale i tego ją pozbawiono. Pomimo starań dźwięk nie wydobywał się z jej ust, ponieważ były zaklejone taśmą. Dudnienie galopującego z przerażenia serca zagłuszało jej myśli. Co powinna teraz zrobić? Co zrobić, żeby uciec, wyrwać się z tego koszmaru, wrócić do domu, do bezpiecznej, suchej i ciepłej przestrzeni. Zacisnęła mocno powieki. „To sen, to tylko zły sen...” – powtarzała w myślach jak mantrę. „Zaraz się obudzę i będę się z tego śmiała. No już! Policz do pięciu, otwórz oczy i obudź się!” – wydała polecenie. „Jeden, dwa, trzy, cztery...” Nie dokończyła. Poczowała nagłe szarpnięcie, a jej ciało zaczęło odrywać się od podłoża, unosić w górę, jakby lewitowało. Ból przyszedł dopiero po chwili, kiedy minął pierwszy szok. Wisiała na linie, powieszona za ręce, które pod ciężarem ciała niemal wyrywały się z obręczy barkowych. Po twarzy zaczęły jej spływać łzy, z trudem łapała oddech. Ciemna postać obserwowała ją bacznie, napawając się jej strachem i to przeraziło ją jeszcze bardziej. Mężczyzna przyglądał się jej z pewnej odległości z uwagą, jakby była jakimś pieprzonym obrazem na wystawie dzieł sztuki. Jakby sprawdzał, czy powinna wisieć bardziej z prawej czy lewej strony. Nie mieściło jej

się to w głowie. Próbowwała wierzgać i chciała go kopnąć i nawet po części jej się to udało, ale ten złapał ją za nogi. Miał silny, brutalny uścisk. Poczowała jego dłoń w rękawiczce na swojej skórze i to ją sparaliżowało. Zdała sobie sprawę, że niczego na sobie nie miała. W ciemności błysnął jakiś przedmiot. Usłyszała dźwięk kojarzący jej się z ostrzeniem noża o kamień, ale przecież to nie mogło być to. Wierzgała, kopała i walczyła o życie, wydobywając z siebie nieludzkie, niemal zwierzęce dźwięki, na tyle, na ile pozwalała jej taśma na ustach. Po chwili wszystko ustało. Jeden szybki ruch, zakończył jej agonię. Skóra na jej łonie rozeszła się i ostatnie, co poczuła, to krople ciepłej krwi spływające jej po nogach.

Jelenia Góra, apartament Carmen Rodríguez

Mieszkanie przy ulicy Zielonej kupiła z trzech powodów. Po pierwsze było nowoczesne i eleganckie, a ona nie miała zamiaru mieszkać w miejscu o niższym standardzie. Po drugie do apartamentu przylegał ogromny czterdziestometrowy taras na ostatnim piętrze z widokiem na góry. Po trzecie, i być może najważniejsze, budynek był wyposażony w nowoczesne zabezpieczenia, w tym monitoring, systemy antywłamaniowe oraz inteligentne aplikacje, których powiadomienia pojawiają się na ekranie smartfona, informując o wszelkich anomaliach, jakie mogłyby się wydarzyć w apartamencie. To spełniało jej oczekiwania. Deweloper wykończył mieszkanie „pod klucz” na najwyższym poziomie, a sto pięćdziesiąt metrów użytkowych dawało jej wystarczającą przestrzeń do życia. Nie wyobrażała sobie mieszkać w jakiejś małej klatce, udusiłaby się tam po tygodniu. Potrzebowała przestrzeni, by móc swobodnie oddychać. Otworzyła oczy, rozejrzała się wnikliwie po sypialni, a potem przeciągnęła. Musiało być bardzo wcześnie, bo za oknem było jeszcze ciemno, ale nie mogła już spać. Poczula nadwyreżone mięśnie jako skutek przeprowadzki. Od noszenia kartonów bolały ją dłonie, ramiona i kręgosłup. Jasne, że mogła to zostawić facetom z firmy transportowej, ale pewnych rzeczy nie pozwalała ruszać nikomu. Sięgnęła ręką w przestrzeń między materacem a zagłówkiem łóżka i upewniła się, że nóż, który umieściła tam wieczorem, nadal jest na miejscu. Zabrała z szafki nocnej telefon, sprawdziła aplikację „Casa-Segura”, co po polsku znaczyło: „Bezpieczny dom”, zainstalowaną na ekranie głównym. Wszystko wydawało się być w porządku. Wstała z łóżka i poszła do okna. Jej sypialnia nie miała tak spektakularnego widoku na pa-

smo Karkonoszy, jak salon i gabinet, ale wylaniający się za parkingiem las całkowicie jej to wynagradzał. W Hiszpanii mieszkała w samym centrum Starego Miasta. Nie było więc mowy o codziennym kontemplowaniu przyrody, a ostatnie dwa lata... O nich wolała teraz nie myśleć. Odcięła ten okres swojego życia grubą, czarną linią i już nigdy nie zamierzała do niego wracać. Odchyliła zasłonę i spojrzała na strugi padającego deszczu. Właśnie rozpoczęła piąty dzień pobytu w Polsce i piąty dzień padało. Nie spodziewała się, że listopad w górach będzie tak zimny i deszczowy. Kiedy opuszczała Malagę, na niebie świeciło słońce, a temperatura sięgała dwudziestu dwóch stopni. Za to w tej podgórskiej miejscowości w Karkonoszach termometr wskazywał zaledwie siedem stopni Celsjusza i musiała włączyć w mieszkaniu ogrzewanie. Może kiedy jutro zacznie pracę, pogoda przestanie ją dobijać. Nie będzie na nią zwracała uwagi, mając inne zajęcie niż ciągle rozmyślanie o swoich problemach. Zostawienie przeszłości za sobą nigdy nie jest łatwe, ale czasem po prostu tak trzeba. Musiała przyjechać tu, do Jeleniej Góry, wrócić do korzeni, do macierzy, w której wychował się człowiek niegdyś tak bliski jej sercu. W Maladze nie dałaby rady normalnie żyć. Zbyt wiele wspomnień, za dużo miejsc, które go przypominały. Poza tym była tam spalona. Każdy pracownik komendy policji wiedział o niej wszystko i wątpiła, by ktokolwiek dał jej pracę. Tu mogła zacząć od nowa. Telefon zawibrował, sygnalizując wiadomość przychodzącą. Podeszła ostrożnie, jakby bała się, że komórka zaraz wybuchnie i poparzy jej ciało. Ujęła smartfon w dłonie i palcem przeciągnęła w dół pasek wiadomości. „Przyjedź, kiedy będziesz gotowa. Będę czekała”. Zapoznała się z tekstem, nie wchodząc na WhatsAppa. Nie chciała, by Teresa wiedziała, że przeczytała. Jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie była gotowa, by do niej podejść. Momentalnie zrobiło jej się gorąco, jakby paliła ją każda komórka ciała. Podeszła szybko do okna i otworzyła je na oścież. Wychyliła się, czując na sobie mokry, zimny deszcz. Chłodne powietrze owiało jej skórę, a wilgoć dotarła do blizny na plecach, która dogłębnie ją zabolowała. Rozmasowała wrażliwy fragment i podeszła do lustra. W miejscu, gdzie dwa lata temu została zraniona nożem, narosła brzydka tkanka. Powstał bliznowiec, którego pomimo stosowania masażu i maści nie dało się wypłaszczyć,

i który bolał ją za każdym razem, kiedy panowała duża wilgotność powietrza. A właściwie to nie on był powodem cierpienia, ale uszkodzone nerwy. Bliznowca mogłaby usunąć laserem, tylko czy naprawę tego potrzebowała? Może i ją szpecił, ale przypominał jej o tym, dlaczego się tu znalazła. Zaczęła się zastanawiać, co na siebie włożyć. O makijaż i dobre markowe ubrania lubiła się starać. Były nie tylko cudowną odmianą po ostatnich przejściach, ale przede wszystkim jej tarczą obronną, maską, pod którą nie było widać prawdziwych emocji. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Zamknęła okno, zarzuciła na siebie szlafrok i przeniosła się do kuchni. Zanim otworzyła lodówkę, by wyjąć jajka i szynkę, zlustrowała dokładnie pomieszczenie. Wszystko wyglądało tak, jak to wczoraj zapamiętała. Dokładnie tak to zostawiła. Butelka wina stała otwarta na kuchennej wyspie, kieliszek z niedopitym szkarłatnym napojem leżał przewrócony na błądź. Wino rozlało się i wsiąkło w naturalne drewno. Nie będzie już w stanie wywabić powstałej plamy. Chwyciła butelkę, by schować ją do barku i ze zdziwieniem odkryła, że jest pusta. Czy faktycznie wypięła wczoraj tak duzo? Nie pamiętała dokładnie. Wiedziała, że starała się świętować ukończenie przeprowadzki. Otworzyła najlepszy rocznik, jaki przyjechał pierwszym transportem, ale nie pamiętała, by wypięła aż tyle. Poczuela napływającą falę niepokoju. Wyrzuciła butelkę do kosza na szkło i zmieniła zdanie. Zamiast zając się robieniem śniadania, będzie musiała przejrzeć cały domowy monitoring z poprzedniego wieczoru. Dopiero wtedy zazna spokoju. Podeszła do biurka w gabinecie, na którym leżał nowy laptop w złotej obudowie, włączyła go i usłyszała dźwięk telefonu.

– *Joder* – zaklęła po hiszpańsku, w myślach strofując się, że jest w Polsce i powinna mówić w tym języku.

Jej polski numer znało niewiele osób. Teresa, nowy komendant i facet od dostaw z restauracji w pobliżu. Doskonale zdawała sobie sprawę, kto z tej trójki będzie do niej dzwonił najczęściej, ale tym razem niczego nie zamawiała.

– Tak, słucham – powiedziała opanowanym, konkretnym głosem. Dobrze wiedziała, jak powinna się zachowywać, by sprawiać wrażenie silnej

i trzymającej dystans, nawet jeżeli czuła się niepewnie. Nie mogła pozwolić sobie na to, by ktoś uznał ją za nieprofesjonalną.

– Pani Carmen Rodríguez? – zapytał mężczyzna o niskim głosie.

Oceniła, że ma jakieś pięćdziesiąt lat. W tych kilku słowach wychwyciła też, że jest „porządny”. Dokładnie tak by go opisała. Porządny i godny zaufania. Typ mężczyzny starej daty, cechujący się profesjonalizmem, cierpliwością i odpowiedzialnością. Skąd to wiedziała? Miała coś w rodzaju daru doskonałej spostrzegawczości i w przeciwieństwie do innych osób z tą zdolnością nie kupiła sobie szklanej kuli i nie zarabiała jako wróżka Carmen. Poszła na psychologię, najpierw zdobyła tytuł magistra na Uniwersytecie w Madrycie, potem doktora, a następnie ukończyła studia podyplomowe z profilowania kryminalistycznego w Madrycie. Była dobra w swoim fachu. Już na studiach doktoranckich zgłaszali się do niej policjanci z prośbą o sporządzenie profilu psychologicznego poszukiwanego sprawcy. To dlatego podjęła decyzję o podyplomówce. Tak naprawdę nie wierzyła w nadprzyrodzone moce. Po prostu zauważała szczegóły i potrafiła je przypasowywać do dobrze znanych schematów.

– Tak, to ja – przyznała oficjalnie.

– Bardzo mi miło – powiedział głos w słuchawce, a Carmen uśmiechnęła się triumfalnie, wiedząc, że dobrze go rozszyfrowała. – Mówi nadkomisarz Bogusław Leśniak. Dostałem pani numer od komendanta Piotra Pierzały. Przeprasza, że nie mógł zadzwonić osobiście, ale wystąpiły pewne... okoliczności – zająknął się i odchrząknął szybko. – Znaczący, komendant prosił mnie, żebym zadzwonił do pani.

– W jakiej sprawie? – przerwała mu. Być może zbyt szybko i obcesowo, ale taki miała styl.

– Wiemy, że zaczyna pani dopiero jutro, ale mamy zwłoki i gdyby była pani dostępna...

– Już jadę – powiedziała, nie czekając na dalsze tłumaczenia. – Proszę mi wysłać pinezkę. – Rozłączyła się.

Rozmowy telefoniczne z ludźmi, a zwłaszcza z osobami z pracy wolą ograniczyć do niezbędnego minimum. Co prawda, przez chwilę zastana-

wiała się, czy człowiek, który do niej dzwonił, jest zaznajomiony z podstawami nowoczesnych technologii, ale słysząc sygnał przychodzącej wiadomości, odetchnęła.

– *Interesante* – wyszeptała, odczytując miejsce, do którego ją ściągają i natychmiast poprawiła się na język polski. – Ciekawe...

Myślała, że zaproszą ją do kostnicy, żeby przed sekcją przyjrzała się zwłokom, ale nadkomisarz Leśniak wysłał pinezkę do innej destynacji. Oparła brodę o dłoń i myślała przez chwilę.

– Czerwona Jama w Szklarskiej Porębie – powiedziała do siebie na głos. Nowa praca zapowiadała się nadspodziewanie ciekawie. Zanim wyszła z domu, sprawdziła jeszcze wczorajszy monitoring. Nic niezwykłego nie rzuciło jej się w oczy.

Szklarska Poręba,

Czerwona Jama

Deszcz lał niemiłosiernie, kiedy o czwartej trzydzieści aspirant Łukasz Dziecioł z posterunku w Szklarskiej Porębie przerwał i tak kiepski sen Bogusława Leśniaka. Nadkomisarz miał już swoje lata i ciało coraz częściej odmawiało mu posłuszeństwa, a leki na nadciśnienie, które ostatnio przepisał mu lekarz razem z innymi tabletkami na wysoki cholesterol, niedobory żelaza i witamin z grupy B oraz przerost prostaty sprawiały, że kilka razy w ciągu nocy musiał chodzić do toalety. Był wykończony, bo po każdej takiej wędrówce przynajmniej godzinę zajmowało mu powtórne zaśnięcie. Czasem zastanawiał się, czy w ogóle powinien zasypiać, skoro i tak zaraz poczuje parcie na pęcherz. Taka zabawa głupiego męczyła go jeszcze bardziej niż nocne dyżury za młodu. Dlatego, kiedy o wpół do piątej zadzwonił telefon, nie miał ani siły, ani ochoty odbierać. Przewrócił się na drugi bok i naciągnął kołdrę na wystający, okrągły brzuch, zastanawiając się, kiedy, do cholery, ten twór tak bardzo mu urósł.

– Do ciebie – powiedziała w półśnie jego żona Barbara.

– Skąd wiesz, skoro nie odebrałaś? – polemizował.

– Moi znajomi są normalni – tłumaczyła cierpliwie. – Nie dzwonią, kiedy za oknem nie zaczęło jeszcze świtać.

Kochał ją i jej cięty język, ale najbardziej cenił w niej dobroć, wyrozumiałość i czułość, cechy które sprawiły, że wytrzymała z nim tyle lat. Pomimo wszystko. Niewielu znał policjantów w swoim wieku, którzy nie byli po rozwodzie lub nawet kilku. Jak zwykle się mawiać na komendzie: „ta praca to straszna kurwa”, rozdzielała małżeństwa szybciej i skuteczniej niż jaka-

kolwiek kochanka. Leśniak poklepał żonę po ukrytych pod kołdrą pośladkach i z jękiem podniósł się, sięgając po telefon.

– Jeszcze tylko kilka miesięcy – zapewnił żonę, mając na myśli rychłe przejście na emeryturę. – Nadkomisarz Leśniak, co jest? – rzucił do słuchawki. Doskonale wiedział, że stało się coś złego. Nikt nie dzwoni o tej porze na pogaduchy.

Po godzinie stał już na miejscu zbrodni. Czerwona Jama, była jaskinią położoną blisko drogi krajowej numer trzy, z Piechowic do Szklarskiej Poręby, w okolicy starego pola namiotowego „Baza Pod Ponurą Małą”. Za czasów młodości przyjeżdżał tu z Bašką na festiwale piosenki studenckiej. Otoczona gęsto porośniętym drzewami lasem, usytuowana w głębi stromej skarpy, na takiej wysokości, że nie było szans dostrzec jej z drogi. Do jaskini prowadziły dwie ścieżki: jedna wiodąca od górnej drogi lub druga biegnąca szlakiem leśnym ze Szklarskiej Poręby. Bogusław wiele razy chodził tu na wycieczki za dzieciaka. Czerwona Pieczara – takim mianem kiedyś ją określano. Nazwa wywodzi się od czerwonej barwy skały, w której powstała Jaskinia. Nie należała do największych w rejonie, ale nie była też mała. Z powodzeniem mogłaby pomieścić uczestników wycieczki autokarowej. Leśniak stanął dokładnie na wprost wejścia. Deszcz nadal padał, a powietrze zdawało się lepkie i chłodne. Rozejrzył się wnikliwie dookoła. O tej porze roku i w takich warunkach atmosferycznych niewielu turystów odwiedzało ten rejon. To dobrze, bo oznaczało to tyle, że zwiedzający nie zadeptali potencjalnych śladów, które mógł zostawić zabójca. A z drugiej strony to i tak niewiele da, bo najpewniej zalał je deszcz. Nadkomisarz wciągnął w nozdrza powietrze pachnące zgnilizną i butwiejącymi liśćmi. Na ziemi leżała ich cała masa. Kolorowe, choć głównie brązowe, przykrywały ściółkę całkowicie, tworząc niebezpieczne i śliskie podłoże. Leśniak wiedział, że trzeba być bardzo ostrożnym podczas zejścia do pieczary, by nie wywinąć orła i nie rozbić głowy o skały. Teren był stromy, a ścieżka do jaskini zwodnicza. No, chyba że ktoś bywał tu regularnie i znał teren na pamięć. Widok na drogę krajową numer trzy nadal zasłaniały drzewa. Nadkomisarz zastanawiał się, czy ktoś z żółtego domu, jedyne po tej stronie

rzeki Kamiennej, widział coś lub słyszał zeszłej nocy. A może warto poszukać świadków wśród klientów przydrożnego baru i motelu z naprzeciwka?

– Kto ich znalazł? – zapytał aspiranta Dziecioła.

– Para zakochanych – odkrzyknął tamten, skrywając się przed deszczem pod wejściem do jaskini. Stał tyłem do zwłok, żeby okropny obraz nie utkwiał mu w psychice. Mimo to pod gołe niebo nie miał zamiaru wychodzić. Był przemoknięty do suchej nitki i zziębnięty. – Monika Kukła i Artur Konarski – przeczytał z kartki, na której napisy zaczęły rozmywać się od padających kropel deszczu. – Wczoraj w nocy chcieli uczcić swoją pierwszą rocznicę znajomości. Wzięli śpiwory, koce i świece. Wie pan, coś do jedzenia i jakieś alko, coby miło było – pobujał się, wypowiadając te słowa, jakby tańczył w rytm muzyki. – Weszli do jaskini i bach! – klasnął w dłonie. – Niemal wpadli na tę kobietę. Dziewczyna to taka roztrzęsiona była, że karetkę wezwaliśmy z Bolkiem i zastrzyki dostała. Zresztą – machnął ręką. – Bolek policjant, a też spierdolił na komisariat niby raporty pisać. Pan nie chce zobaczyć? – przechylił głowę w kierunku ciała kobiety.

– Martwa jest? – Leśniak zadał oczywiste pytanie, wprawiając aspiranta w konsternację.

– No, raczej. Znaczy, bardziej się nie da – odpowiedział, nie rozumiejąc, o co chodzi nadkomisarzowi. Kryminalni często wydawali mu się dziwni.

– No, to nie ucieknie chyba, nie? O której to było?

– No... – Łukasz Dziecioł ściągnął policyjną czapkę z daszkiem i podrapał się po głowie. – Koło piątej może Bolo poszedł.

– Nie pytam o kolegę. O której znaleziono ciało?

– A to gdzieś koło drugiej. Bo turyści najpierw zgubili szlak, potem się pokłócili – czytał z kartki zapiski, które skrupulatnie sporządził podczas przesłuchania. – O deszcz się pokłócili, bo ta pani, Monika, miała pretensje, że wyszli, jak pada...

– Do rzeczy, aspirancie – burknął na niego i włożył ręce w kieszenie czarnego, nieprzemakalnego prochowca. Robiło mu się zimno.

– No, jak tu przyszli, to była druga, ale uciekli stąd i zadzwonili po nas z drogi. My przybyliśmy o drugiej trzydzieści w miejsce, w którym się znajdowali, potem musieliśmy wezwać karetkę, o której już wspominałem i dopiero po czwartej chłopak dał radę pokazać nam, gdzie znajduje się ciało.

– Zawiadomiliście techników, lekarza i prokuratora?

– Tak, od razu. Jeszcze przed panem. Powinni zaraz tu być.

– Znamy personalia? – Pociągnął nosem. Czuł, że nabawi się dzisiaj kataru.

– Nie wiem, kogo przyślą. – Aspirant wzruszył ramionami.

– Matko, trzymajcie mnie – wymamrotał pod nosem Leśniak. – Denatki personalia. Może zadzwonisz na komisariat i sprawdzisz, czy nikt nie zgłosił zaginięcia?

– A, dobra. – Aspirant wyciągnął telefon. – Bolek, no dawaj, masz coś? Znamy dane? Dobra, dzięki. – Rozłączył się. – Na razie cisza. – Oznajmił, starając się przekrzyczeć dźwięk coraz głośniejszych opadów deszczu, które zyskały na sile.

– Dziękuję, aspirancie. Dobra robota, jesteście już wolni. Nie chcę, żebyście mi tu się przeziębili i poszli na L4. Wasz komendant pewnie nie byłby z tego faktu zadowolony – powiedział i w tym samym momencie zobaczył schodzących ze zbocza techników oraz doktor Ewelinę Złotnicką. Lubił z nią pracować, była konkretna i profesjonalna. Na komendzie wszyscy nazywali ją „Złotkiem”. Nie wyglądała jak większość znanych mu kobiet w kłtłach. Miała irokeza na głowie, po kilka par kolczyków w uszach, nosie i języku, w dodatku zwykle wkładała ubrania, które odsłaniały pępek. W dzisiejszych okolicznościach przyrody narzuciła na siebie cienką kurtkę o kroju płaszczka i do tego kolorowe glany. Tym razem jej wybór padł na czerwone.

– Ewelinko, tutaj – pomachał do ekipy i spojrzał na zegarek. Była szósta zero zero. Trzydzieści minut temu, gdy przyjechał na miejsce, zadzwonił do nowej profilerki Carmen Rodríguez. Ona też powinna się zjawić lada moment. Spojrzał w dół zbocza, upewnić się, czy jakieś auto nie skręca z krajowej trójki, ale żadnego nie dostrzegł. Ruch był jeszcze niewielki. Nie

powinna jechać za długo, chyba że pogubiła się przy objazdach spowodowanych przeciągającym się w nieskończoność remontem drogi w Piechowicach. – No i Borys, gdzie ten cholerny Borys – powiedział pod nosem. On nie odebrał telefonu, ale Leśniak widział, że odczytał wiadomość z adresem, którą do niego wysłał.

– Cześć, co mamy? – zapytała energicznie drobna kobieta, mierząca niecałe sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Miała duże okrągłe oczy, które, o dziwo, wcale nie zdradzały oznak niewyspania.

– Ranny ptaszek z ciebie – stwierdził, upijając łyk gorącej kawy z termosu. Basia nigdy nie wypuszczała go z domu bez kawy.

– Skąd wiesz, że w ogóle spałam – doktorka mrugnęła do niego i skierowała się w stronę jaskini. – Mniemam, że znajdę tam ofiarę?

– Owszem. Czyń honory – powiedział, obserwując z daleka jak lekarka podchodzi do techników, którzy również zaczęli już działać.

– Nadkomisarz Bogusław Leśniak?

Usłyszał kobiecy głos tuż za swoimi plecami, co go zaskoczyło. Nie widział w przybyłej ekipie nikogo innego niż zwykle, a już zwłaszcza nieznaną kobietę. Obejrzał się z konsternacją za siebie. I dopiero wtedy przypomniał sobie, że przecież do niej dzwonił.

– Carmen Rodríguez Zalewska – powiedziała ubrana w czarną skórzaną kurtkę blondynka z długim warkoczem. – Ale na co dzień używam tylko nazwiska Rodríguez.

Nie wyciągnęła do niego ręki na przywitanie, więc i on nie inicjował fizycznego kontaktu.

– Bardzo mi miło. Jeżeli możemy przejść na „ty”, to jestem Bogusław. – Zmierzył ją spokojnym wzrokiem od stóp do głów. Ale nie było w tym nic lubieżnego, zwykła ludzka ciekawość. Miała typowo słowiańską urodę, która w ogóle nie pasowała do jej imienia i nazwiska oraz faktu, że w połowie była Hiszpanką. Informacje na temat jej pochodzenia uzyskał od komendanta, więc musiały być prawdziwe.

– Carmen – odpowiedziała bez uśmiechu. – Pokażesz mi miejsce zbrodni oraz ofiarę? Technicy już zabezpieczyli wejście? Nie chciałabym zatrzeć śladów.

Od razu mu się spodobała. On też nie wszedł jeszcze do jaskini z tego powodu. Wystarczy, że Bolek i Łukasz robili to kilkakrotnie, żeby nie zmoknąć. Przewrócił oczami na to wspomnienie.

– Dajmy im jeszcze chwilę – powiedział. – Palisz? – Wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro i podsunął nowej koleżance.

– Dzięki, nie palę – powiedziała, rozglądając się wnikliwie po okolicy.

– Ja w sumie też nie – przyznał. – Chyba że z nudów. Przyjechałaś motorem? – Spojrzał wymownie na jej strój. Była bez kasku, ale mogła go przecież zostawić przy maszynie.

– Tak – przyznała. – Choć w taką pogodę zajęło mi to więcej czasu. Cholernie tu macie deszczowo i ślisko – powiedziała, nie patrząc na niego. Skoncentrowała wzrok na mieniących się w oddali budynkach. – Auto dopiero kupię – wyjaśniła, czując na sobie jego wnikliwe spojrzenie. – Stromo tu, w dole rzeka, obecnie dosyć wzburzona. Zakładam, że morderca przyszedł od góry? W jaskini jest jedno ciało?

– Tak. – Pokiwał głową. – Ofiarą jest kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat.

– Nadkomisarzu, już można – usłyszeli wołanie jednego z mężczyzn ubranych w białe kombinezony.

– Panie przodem – Leśniak wyciągnął rękę, wskazując jaskinię.

Skały przy wejściu mieniły się różnymi kolorami, z których dominował błady róż. Obrosnięte były mchem i paprociami, a na ich szczycie znajdowały się dwa drzewa. Korzenie jednego z nich zakręcały w dziwny sposób do góry i Bogusław zastanawiał się, jak to możliwe, że ten buk jeszcze nie spadł. Szeroka pieczara miała głębokość około dziesięciu metrów i gdyby nie reflektory techników rozstawione we wnętrzu, pewnie nie byłoby widać jej końca ani zaułka posadowionego po prawej stronie. Wyglądał jak

wykusz o rozmiarach dwa na trzy metry. Na ziemi i półkach skalnych ujrzał rozstawione małe świece i puste już podgrzewacze.

– *¡Putá madre!*

Nadkomisarz usłyszał hiszpańskie przekleństwo padające z ust profilerki.

– Ja pierdolę – poprawiła się, nie czekając, aż zapyta co to znaczy. – W życiu czegoś takiego nie widziałam.

Co ciekawe, nie wyczuł w jej głosie strachu, a jedynie konsternację i ciekawość. Sam nie spoglądał na zwłoki tak długo, jak tylko się dało. Przez lata służby naoglądał się martwych ludzi i zdawało się, że ma już tego dosyć. Do dzisiaj żywił szczerą nadzieję, że nie dojdzie w najbliższej okolicy do żadnego zabójstwa i odbębni ostatnie miesiące do emerytury we względnym spokoju. Mylił się. Z haka wbitego w skałę zwisało ciało martwej kobiety. Była naga i blada jak ściana, a jej rozczochrane ciemne włosy sięgały ramion.

– Musiała walczyć, a przynajmniej próbować – powiedział, spoglądając na jej brudną twarz, którą kilka godzin temu obmywały strumienie łez. – Otarcia na skórze rąk. – Wskazał palcem uszkodzone tkanki.

– A jednak za paznokciami nie widać śladów walki – wtrąciła lekarka medycyny sądowej. – Zero naskórka czy krwi, chyba że, jak wjedzie mi na stół, to podczas specjalistycznych badań zobaczę więcej. Teraz jedynie można dostrzec brud. Podejrzewam, że z ziemi. – Wskazała ręką podłoże będące mieszaniną skały, ziemi i piasku. Same otarcia też mogły powstać od kontaktu ze skałą. – Cześć, Ewelina jestem. – Lekarka wyciągnęła dłoń w białej rękawiczce w kierunku nieznanym, bo Boguś zapomniał je sobie przedstawić.

– Carmen Rodríguez. – Kobieta nie uścisnęła ręki na powitanie, pokazując dłonie niezaopatrzone w rękawiczki. – Nie wyglądasz jak typowa polska lekarka.

– A ty jak Hiszpanka – odbiła piłeczkę. – Choć akcent nieco sepleniący, to może i by się zgadzało – dodała zaczepnie. Nie była złośliwa, miała specyficzne poczucie humoru.

– Touché – przyznała jej punkt w tej potyczce. – A co możesz powiedzieć o tym nacięciu? – Wskazała na rozerwane połączenie skóry na podbrzuszu, rozpoczynające się tuż nad włosami łonowymi. Fałdy skóry otoczone były masą białego tłuszczu i miało się wrażenie, że cała krew wypłynęła z krwioobiegu właśnie tą drogą, oblewając nogi denatki.

– Szybkie, ostre, może nawet profesjonalne. – Podeszła bliżej i przyjrzała się dokładnie. Zaraz, zaraz... – Rozchyliła dwie strony przeciętej skóry na tyle, na ile mogła. – Tam chyba nic nie ma – stwierdziła, wkładając palce w ciało kobiety. – Hmm... Nie powiem wam teraz, bo w mięśniach jest za dużo wapnia.

– Czego? – Carmen przysunęła się bliżej.

– Wapnia gromadzącego się, gdy po śmierci zapas enzymu ATP wyczerpie się i dochodzi do...

– Stężenia pośmiertnego – weszła jej w słowo Carmen.

– Dokładnie. Jak wezmę ją na stół, to sprawdzę, ale wygląda mi na to, że została pozbawiona narządów rodnych. I że kastracji dokonano, kiedy jeszcze żyła. – Przyjrzała się dokładnie miejscu, w którym dokonano cięcia. Zdawało jej się, że coś widzi, ale zaschnięta krew uniemożliwiała dokładną analizę. – Muszę ją umyć. Teraz i tak niczego nie można zobaczyć.

Bogusław Leśniak wykrzywił twarz, ale tym razem jej nie odwrócił. Wydawało mu się, że w przypadku tak dużego okrucieństwa jest winien tej kobiecie dokładniejsze przyjrzenie się śladom. – Plamy opadowe ledwo widoczne. – Wskazał na stopy.

– Tak – przyznała lekarka – ale to normalne, bo w ciele zostało mało krwi. Podejrzewam, że przyczyna zgonu jest raczej oczywista.

– Wykrwawienie – powiedziała Carmen.

– Owszem. Zobaczymy, co pokaże sekcja. To tyle na teraz. Zabieramy ją? Czy czekamy na Warszawiaka?

– Waldek dostał przydział? – Leśniak się zdziwił. Z jego informacji wynikało, że prokurator Waldemar Warszawiak złożył w zeszłym tygodniu w prokuraturze wypowiedzenie.

– Ano, Waldek – przytaknęła. – Też się zdziwiłam.

– Dobra, zabieraj ją, będziemy w kontakcie – zapewnił nadkomisarz. – Co o tym myślisz? – zwrócił się w stronę profilerki. Pomysł zatrudnienia specjalisty z tej dziedziny wydawał mu się ciekawy, ale trochę na wyrost. W Jeleniej Górze nieczęsto dochodzi do wielkich zbrodni, a nawet jeżeli, to zazwyczaj wiadomo, że zabił któryś z dobrze znanych policji recydywistów, albo że była to zbrodnia rodzinna, których najwięcej jest chyba w każdym województwie. Zazwyczaj zabija ktoś, kogo dobrze znamy: mąż/żona, chłopak/dziewczyna czy brat/siostra. Patologii jest wszędzie pełno. Dziś, kiedy stał wewnątrz Czerwonej Jamy i patrzył na wiszące na linie wypatroszone ciało młodej kobiety, był cholernie ciekaw jej zdania.

– Myślę, że chciał, żeby cierpiała – powiedziała powoli, zastanawiając się nad każdym wyrazem. A właściwie nad znaczeniem całości, bo morderca mógł pragnąć tego z wielu powodów. – I myślę, że to ktoś, kto nienawidzi kobiet – to zdanie wymówiła już w normalnym tempie. – Pozbawił ją atrybutów kobiecości, czegoś, co odróżnia ją od mężczyzn. Dla mnie to oczywisty przejaw nienawiści, być może pogardy. Zakleił jej usta taśmą, co może znaczyć, że chciał pozbawić ją prawa głosu.

– Albo że nie chciał, żeby krzyczała, bo wtedy ktoś mógłby ją usłyszeć – polemizował. – Znali się?

– Trudno powiedzieć. Skoro nie ma oczywistych śladów walki – zastanowiła się. – Być może nie spodziewała się z jego strony ataku, a to by wskazywało na znajomość lub działanie z zaskoczenia.

– Albo na to, że ją odurzył – rzucił pomysł nadkomisarz. – Być może odzyskała przytomność dopiero powieszona na haku. – Obrócił się, zanotował w pamięci umiejscowienie haków wspinaczkowych wbitych w skałę.

– Rohypnol? – Spojrzała na niego, wymawiając nazwę tabletki potocznie znanej jako pigułka gwałtu. – W Hiszpanii pełno tego gówna dosypują do drinków. Zwłaszcza w sezonie letnim.

– U nas nie jest lepiej, ale ostatnio stosują to też porywacze, wtedy ich ofiary wyglądają jak podchmielone i chętnie wykonują polecenia. Ludzie nie mają nawet krzty podejrzeń, że są świadkami uprowadzenia, skoro

nikt nie woła o pomoc... – Rozmawiając, wyszli z jaskini na deszcz. – Ale poczekajmy na wyniki sekcji. Mogą to być równie dobrze jakieś leki nasenne albo toksykologia wyjdzie czysta. – Wzruszył ramionami w geście, że nigdy nic nie wiadomo.

– OK, jak będziecie mieli już jakieś zdjęcia i dane, prześlijcie mi na maila. Kiedy mamy spotkanie?

– Wydaje mi się, że jutro rano będzie najlepiej. Musimy dać czas fachowcom na pracę. Proponuję godzinę dziesiątą. Znasz adres komendy?

– Znajdę – rzuciła przez ramię. – To lecę. Do jutra. – Machnęła nieznacznie ręką i zniknęła za skałami.

Nadkomisarzowi Leśniakowi nie dawała spokoju jedna myśl. Carmen Rodríguez ani razu się nie skrzywiła. Nie zwymiotowała, jak zrobiłaby to większość świeżaków na miejscu zbrodni ani nie potrzebowała wyjść, by zaczerpnąć powietrza. Wyglądało na to, że Hiszpania to bardzo niebezpieczny kraj, w którym roi się od brutalnych morderstw, albo że ta kobieta w jakiś inny niezrozumiały dla niego sposób, stała się nieczuła na ludzkie cierpienie. To sprawiało, że Carmen Rodríguez zaczęła go bardzo intrygować.

– Gdzie, do cholery, jesteś – powiedział pod nosem jeszcze raz, wybierając numer Borysa. Podkomisarz nie raczył się do tej pory pojawić. Owszem był hulaką i dużo można by mówić o jego frywolnym zachowaniu, ale jeżeli chodzi o pracę nigdy nie spóźniał się tak bardzo. Za to nieobecność prokuratora, w ogóle go nie dziwiła.

Jelenia Góra, dom Teresy Sowińskiej

Starsza kobieta podeszła do komody i spojrzała w ekran ładującego się na blacie telefonu. Nie ujrawszy żadnej przychodzącej wiadomości, westchnęła ze smutkiem. Wiedziała, że Carmen jest już w Polsce. Wczorajszego wieczoru podjechała autem pod jej blok i osobiście to sprawdziła. Światła w całym mieszkaniu paliły się, co nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że Hiszpanka była na miejscu. Nie chciała się narzucać. Mogła przecież zadzwonić domofonem i powiedzieć coś w stylu „niespodzianka!”, wołała jednak poczekać. Przyjdzie taka chwila, że Carmen sama się do niej odezwie. Musi być cierpliwa. Spojrzała w ozdobne lustro wiszące na ścianie i poprawiła ciasno upięty siwy kok. Wypadający kosmyk włosów spięła wsuwką w tym samym odcieniu.

– Cierpliwi zostaną nagrodzeni – próbowała przekonywać samą siebie. Nie był to żaden tekst z Biblii czy innej świętej księgi. Nigdy nie była nadto wierząca, a od dwóch lat nie wierzyła już wcale. Od dwóch długich lat, które ciągnęły się niczym dwadzieścia. Kursy psychologiczne, w których uczestniczyła, wyciszyły ją na tyle, że przynajmniej z zewnątrz wydawała się spokojna i pogodzona z losem. – Każdy dźwiga swój krzyż i każdy w końcu zazna ulgi.

Pomimo swoich sześćdziesięciu dziewięciu lat, wciąż była aktywna zawodowo. Elegancka, może nawet wytworna, pani notariusz. Wychowywała się i dorastała w Jeleniej Górze, miała szerokie znajomości i ustalenie adresu mieszkania kupionego przez Carmen Rodríguez nie stanowiło dla niej żadnej trudności. Zwłaszcza że pracowała w branży. Zdziwiła się za to, że nikt nie ma o niej żadnych dodatkowych wiadomości. To wydawało się

jej wręcz niespotykane, żeby do miasta sprowadzała się cudzoziemka, która otrzymała posadę w komendzie miejskiej policji i nikt nic o niej nie wiedział. Nikt nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby ją sprawdzić, a po okolicy nie krążyły nawet żadne plotki. Teresa Sowińska nie mogła na to pozwolić. I nie pozwoliła. Zadbana, by wieść o hiszpańskiej profilerce trafiła do największych regionalnych portali i gazet. Strzepnęła paproch z kołnierza zakietu i podniosła wysoko głowę. Z lustra powieszonego na ścianie, spoglądała na nią silna i dumna kobieta. Cały czas wmawiała sobie, że nią jest. Jednak kiedy wieczorami zrzucała eleganckie ubrania i wkładała szlafrok, zastanawiała się, czy nadal jest silna. Czy da radę dłużej tak funkcjonować? Najgorzej było w weekendy. Kiedy nie miała czym zająć głowy i wracały do niej bolesne wspomnienia.

– Pani Tereso, skończyłem – usłyszała głos młodego chłopaka, który pojawił się w salonie nie wiadomo kiedy.

– Dobrze, Tomaszu. Dziękuję. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Przyjdiesz za tydzień?

– Mogę przyjść, pani wie, ale... – Chłopak o czarnych jak smoła dłuższych włosach spojrział na swoje buty i się zawahał. Ewidentnie bił się z myślami. Wyglądał, jakby zastanawiał się, czy lepiej milczeć i brać pieniądze, czy powiedzieć prawdę i pozbawić się wynagrodzenia. Zwyciężyło to drugie. – Pani wie, że jest już głęboka jesień. W ogrodzie nie ma dużo pracy. Wszystkie narzędzia poukładałem w szopie, wymyłem kostkę brukową karcherem, a kosić już nie ma co. Zwłaszcza kiedy tak pada. Może wystarczy, jeśli raz na dwa tygodnie przyjdę? – zaproponował.

– Nonsens, mój drogi – odpowiedziała pospiesznie i zobaczyła, jak jego twarz się rozpromieniła. – Jest jeszcze sporo pracy. Następnym razem zaczniesz przygotowywać plac pod zimową oranżerię. Postanowiłam, że w tym roku musi powstać i trzeba to zrobić nim nadejdą pierwsze mrozy. Oj, pracy będziesz miał sporo, nawet zimą. Nie zostawiaj mnie, proszę. – Spojrzała na niego tak, jakby to on robił jej przysługę, a nie ona jemu. Dobrze wiedziała, że jest hojną pracodawczynią i chłopak sam nie jest świadomy, dlaczego tak sownie go wynagradza.

Ona wiedziała doskonale. Kiedy wyszedł i zamknął za sobą drzwi, uśmiech zgasł z jej twarzy i ustąpił miejsca grymasowi bólu. Chwyliła wiszące na ścianie zdjęcie Adama. Byli do siebie z Tomaszem ładnie podobni. Obaj z czarną czupryną i niewinnością wypisaną na twarzy. Obaj z szerokim uśmiechem na co dzień. Szczerzy, radośni, niezdolni do najmniejszego zła. Czule pogładziła palcami jego zdjęcie i przytuliła fotografię do serca. Tak bardzo za nim tęskniła. Już tyle czasu minęło, odkąd wyjechał i więcej go nie ujrzała. Wiele by dała, żeby znów móc go przytulić, pogłodzić po lśniących włosach i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, albo żeby on powiedział to jej. Zawiesiła z powrotem ramkę na ścianę i poszła do garderoby. Dziś nikt już jej nie odwiedzi, może więc ściągnąć swoją elegancką zbroję i włożyć welurowy szlafrok.

Jelenia Góra, Park Norweski

Postanowiła nie siedzieć w domu. Co prawda, mżawka i wszechobecna mgła nie zachęcały do spacerów, ale musiała przewietrzyć umysł i zadbać o ciało. Zanim wpadł jej w ręce artykuł z wczorajszej gazety regionalnej, który wyprowadził ją z równowagi, siedziała przed laptopem i wybierała saunę do apartamentu. Po kilku dniach pobytu w Polsce wiedziała, że bez porządnego codziennego seansu rozgrzewającego jej mięśnie nie dadzą rady przetrwać tutejszej zimy. Pomimo polskiego obywatelstwa i biegłego władania językiem polskim, geograficznie i klimatycznie czuła się stuprocentową Hiszpanką. I to Hiszpanką pochodzącą z południa kraju, gdzie minimalna temperatura zimą osiągała piętnaście stopni na plusie, a latem niejednokrotnie przekraczała próg czterdziestu stopni. Spojrzała jeszcze raz w kierunku leżącej na biurku gazety. Na trzeciej stronie widniało jej zdjęcie pochodzące z identyfikatora oraz informacja, że do Wydziału Kryminalnego Policji w Jeleniej Górze, dołącza nowa postać, o której niedługo dziennikarze napiszą więcej. Nie podobało jej się to zainteresowanie jej osobą. Poczwała nagły przyływ frustracji i lęku i wiedziała, że musi to rozbiegać. Ubrała się w ocieplane legginsy, bluzę i kamizelkę, a na głowę założyła cienką czapkę. Mimo że przez okno dostrzegła biegającego w krótkich spodenkach i termicznej bluzce z długim rękawkiem mężczyznę, ona wolała nie ryzykować, nie chciała się przeziębici. Już sam widok biegacza w takim stroju przyprawił ją o gęsią skórę. Może z czasem przywyknie do tutejszego klimatu, chociaż szczerze w to wątpiła. Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła dwa razy każdy z trzech zamontowanych zamków. Schowała klucz do nerki przewieszzonej na pasie i wybiegła. Aplikacja „Cor-

ramos”, co po polsku oznaczało „pobiegajmy”, wskazała trasę biegową prowadzącą przez pobliski las. W taką pogodę nie wydawało jej się to jednak dobrym pomysłem. Nie chodziło o to, że może być niebezpiecznie, ale oczyma wyobraźni widziała już to błoto klejące się do butów. Kliknęła na „dodaj kolejną propozycję” i z ulgą odkryła dwa sąsiadujące ze sobą parki, blisko jej domu. Ten sposób odkrywania miasta wydał jej się niezły. Biegając, mogła poznać każdą ulicę, każdy zakamarek nowego miejsca zamieszkania. Nawet taki, w którym nie wcisnęłaby się motorem. Zresztą, jeżdżenie w deszczu, nie należało ani do przyjemnych ani bezpiecznych. Nie mogła się doczekać nowego samochodu. Po kilku minutach, była już w parku. Szutrowe ścieżki wijące się pomiędzy szpalerami ogromnych starych drzew przywodziły jej na myśl obrazy z Hiszpanii. Tylko pogoda była zupełnie inna. Oddychała miarowo, a świeże, wilgotne powietrze wypełniało jej płuca. W myślach dziękowała Bogu, że może je czuć. Nie, nie Bogu, on nie miał z tym nic wspólnego. W każdym razie doceniała to, co było jej dane. Jeszcze kilka miesięcy temu, nie było to takie oczywiste. Wróciła myślami do oględzin dzisiejszego miejsca zbrodni. Czy za to też powinna być wdzięczna? Co rusz powracał do niej obraz wiszącej kobiety – jej blada postać, ciemne włosy, brudna i zalana zastygłymi łzami twarz, wytrzeszczone oczy, rozcięte łono, usta zaklejone taśmą. Co chciał przekazać morderca? Bo to, że miał jakąś intencję – co do tego nie miała wątpliwości. Mógł ją po prostu zabić, zepchnąć ze skały, udusić czy zastrzelić, ale on wybrał inną pracochłonną i niestandardową metodę działania. Zaangażował się, ryzykował, że ktoś przyłapie go na gorącym uczynku, decydując się na popełnienie zbrodni w miejscu turystycznym, poświęcił czas, by zatargać ją do jaskini... Czy kobieta bardzo cierpiała? Z pewnością. A więc morderca chciał sprawić jej ból. A jeżeli tak, to łączył go z ofiarą stosunek emocjonalny. Wyobrażenie o krzyczącej w męczarniach kobiecie stanęło jej przed oczami. Niemy wrzask pojawił się w jej głowie. Czy dlatego zakleił jej usta taśmą? Żeby nie krzyczała? Przy każdej prowadzonej sprawie nachodziły ją wizje mordowanych ludzi. Zawsze tak miała. Początkowo imaginacje wywoływały w niej strach i starała się je wypierać. Przenosiła uwagę na inne sprawy, próbowała rozmawiać z ludźmi, którzy akurat byli w pobliżu, tylko

po to, żeby nie przenosić się ciągle w miejsca zbrodni, nie widzieć zarzyna-nych ludzi, nie słyszeć krzyków i nie czuć przerażenia ofiar i podniecenia zabójcy. Z czasem zrozumiała, że to, co uważała za przekleństwo, tak na-prawdę jest darem. Dzięki temu mogła dokładniej przyjrzeć się sprawie, przeanalizować krok za krokiem, dojrzeć szczegóły, które mogą umknąć przy jednorazowych oględzinach ciała. Najlepiej pracowało jej się z wi-
zjami podczas biegania, chociaż nie zawsze mogła sobie na to pozwolić. Równomierne tempo, oddech rozliczany na cztery, szybsze bicie serca z jednej strony ją stabilizowały, a z drugiej sprawiały, że myślała intensywniej. Zaczęła się zastanawiać, czy Ewelina przeprowadziła już sekcję zwłok. Spojrzała na zegarek na nadgarstku. Chwilę temu wybiła piętnasta. Może powinna zadzwonić do niej i poprosić o możliwość uczestniczenia w sek-
cji? Po przebiegnięciu kilku kilometrów przez parki Norweski i Cieplicki, a także pobliskie wały, poczuła, że ma już dosyć. Wiejący wiatr przeszywał ją na wskroś pomimo ciepłego ubrania. Zanotowała w myślach, żeby na-
stępnym razem założyć szalik. Zwolniła do szybkiego marszu i żwawym krokiem podeszła do pięknego, drewnianego dworku wyłaniającego się z za-
mgły.

– „Restauracja Pawilon Norweski” – przeczytała na głos napis znajdujący się na drewnianej tablicy.

– Piękny, prawda?

Obróciła się szybko, słysząc za sobą głos nieznanego mężczyzny.

– Tak – przyznała mu rację, nie okazując strachu, który poczuła.

Rozejrzała się po okolicy. Wokół nie było żywego ducha. Pogoda skutecz-
nie odstraszyła spacerowiczów. Dopiero teraz Carmen zdała sobie sprawę, że podczas biegania mijala ją tylko jedna osoba. Park spowity był mgłą unoszącą się niemal do czubków starych, rozłożystych drzew. Wyglądała jak dym osiadający na drzewach po pożarze lasu. Gałęzie bez liści przypominały jej ilustracje ze starych bajek, których bohaterką była Baba-Jaga. Ta-
kie bajki czyta się dzieciom chyba w każdym kraju. Ciemne rozłożyste gałę-
zie przybierały kształty budzących lęk postaci. Z pobliskiego jeziora dobie-

gał trzepot skrzydeł i kwakanie. Było w tym obrazie coś magicznego i złowieszczonego zarazem.

– Obserwowałem, jak pani biega. – Mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie. Stał pod parasolem, ubrany w ciepły jesienny płaszcz. – Podziwiam. Ja nie dałbym rady. Pani tu pierwszy raz?

Zlustrowała go od stóp do głów i stwierdziła, że musi być wykształcony i dobrze sytuowany. Nie narzucał się, a jedynie zaspokajał swoją ciekawość. Może tak samo jak ona czuł się samotny w obcym mieście, a może po prostu lubił rozmawiać z nieznanymi. Mimo to poczuła się przy nim nieswojo.

– A pan? – wołała nie odpowiadając. Budził w niej dziwne, niezrozumiałe emocje. Miała wrażenie, jakby wcześniej faktycznie ją obserwował, a teraz przesywał ją wzrokiem na wskroś i znał jej wszystkie sekrety.

– Przepraszam, gdzie moje maniery. Nazywam się Marcin Rokosz. Mam godzinę przerwy między pacjentami i stwierdziłem, że czas na obiad.

– Lekarz? – zapytała, również patrząc na niego uważnie. Był bardzo wysoki i z lekką nadwagą. Nie nazwałaby go przystojnym, ale miał w sobie coś intrygującego. Może trochę przypominał jej aktora Tomasza Karolaka, którego kojarzyła z polskiego serialu, ale prezentował inny, bardziej elegancki styl bycia. Zapach jego wody kolońskiej rozchodził się po okolicy.

– A dokładniej psychiatra – wyciągnął do niej rękę z wizytówką. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się przydam – posłał jej ciepłe spojrzenie.

Psychiatra. Zaśmiała się w myślach. To dlatego odniosła wrażenie, jakby ją prześwietlał wzrokiem. Było w nim coś pociągającego, ale nie w seksualnym wymiarze. Roztaczał wokół siebie jakąś dziwną aurę spokoju i wyciszenia. Z jednej strony chciała dalej prowadzić z nim konwersację, z drugiej obawiała się tej rozmowy. Czy będzie o niej wiedział więcej, niż mu powie?

– Myśli pan, że już najwyższy czas, żebym skorzystała? – próbowała żartować, choć jej mięśnie spięły się w nieprzyjemny sposób.

– Skoro pani tak uważa, chętnie porozmawiam. Proszę zadzwonić. –
Uśmiechnął się serdecznie, ukłonił i wszedł do restauracji.

Jelenia Góra, Zakład Medycyny Sądowej

Lekarz medycyny sądowej Ewelina Złotnicka pociągnęła nosem i otarła chusteczką wilgotną od łez skórę pod oczami. Nie sądziła, że początkowo dobrze zapowiadający się dzisiejszy dzień tak bardzo się zepsuje. Pomimo wczesnego wezwania do pracy, rano prezentowała wyśmienity humor. Była szczęśliwa i zrelaksowana. Wczorajsza kłótnia z partnerką zakończyła się dobrym seksem na zgodę i rano Ewelina mogła w stu procentach poświęcić się pracy. Jednak godzinę temu, kiedy w przerwie na obiad wcinała tortillę i oglądała telewizyjny program Kobiety, które niosły śmierć, jej telefon zawibrował, sygnalizując przychodzącą wiadomość. „To jednak nie ma sensu. Nie jesteśmy sobie pisane. Odchodzę. Proszę, nie rób scen i przyjmij to z godnością. Kalina”. Pierwsze, co poczuła, to silny skurcz mięśni brzucha, narastającą złość i bunt. Chciała do niej zadzwonić, zwyzywać ją albo chociaż odpisać kilka gorzkich słów, ale pomyślała o wspomnianej przez partnerkę godności i ostatkiem sił powstrzymała się. Dobrze ją znała i wiedziała, że to prowokacja. Kalina wręcz czekała na jej reakcję. Od kilku miesięcy powtarzały ten sam schemat rozstania i powrotu do siebie. W pierwszej fazie kobiety nie widziały sensu w dalszym utrzymywaniu związku, a w drugiej okazywało się, że nie mogą żyć bez siebie, ale tym razem coś w Ewelinie pękło. Po początkowym buncie szybko przyszły rezygnacja i niemoc. Musi to przerwać, bo fundowana przez partnerkę huśtawka nastrojów do niczego dobrego ich nie zaprowadzi. Poczuli się nagle bardzo zmęczona, co najmniej jakby przebiegła maraton. Odłożyła telefon i wróciła do jedzenia tortilli, ale i na nią nie miała już ochoty. Westchnęła głęboko, marząc, by ten dzień się już skończył.

– Szefowo! – zawołał do niej technik sekcyjny Igor Rudzik. Był grubawym, nieco niezdarnym chłopakiem z rudą czupryną i piegami rozsianymi po całej twarzy.

– Co tam, Rudy? – starała się nie brzmieć dojmująco.

– Szefowa tu przyjdzie. Bo nie wiem, kogo wpuścić – krzyczał z drugiego pomieszczenia.

– Jak to nie wiesz, kogo... – nie dokończyła, widząc grupkę ludzi czekającą na nią za szybą. Zrobiło jej się lepiej, kiedy zobaczyła znajome twarze. – No, no, no. Kto by się spodziewał, że perspektywa widoku krojonych zwłok przyciągnie aż tylu gapiów.

W sali znajdowało się czworo gości. Bogusław Leśniak stał w rogu pomieszczenia i zacięcie dyskutował o czymś z Borysem Szykiem. Żywo przy tym gestykulował i Ewelina dałaby sobie rękę uciąć, że podkomisarz dostaje właśnie zjebę za poranną nieobecność na miejscu zbrodni. Na krześle w rogu sali siedział, jak zwykle elegancki, Waldemar Warszawiak. Jak na prokuratora przystało, prezentował się nienagannie w swoim drogim garniturze i rozpiętym płaszczu, którego nie raczył ściągnąć. Ewelina przypuszczała więc, że oczekuje tylko na możliwość oddalenia się i udania do atrakcyjniejszych miejsc. Jaka szkoda, że przepisy jasno określają udział prokuratora podczas sekcji zwłok, zaśmiała się w myślach. Przy dyżurce natomiast stała Carmen Rodríguez. Z uwagą obserwowała pozostałych członków zespołu. Wyglądała inaczej niż rano. Długie blond włosy upięte w wysoki koński ogon, spadały jej na plecy. Miała na sobie wygodne, czarne ubranie, niby dresowe, a jednak eleganckie, oraz kozaki pod kolano. Intrygowała ją ta kobieta. Nie dlatego, że się jej podobała, ale dlatego, że była inna, nieoczywista, może nawet nieco tajemnicza. Łączyła w sobie sprzeczności. Wydawała się miła, ale zarazem trzymała dystans, otwarta, a jednak jej postawa ciała sugerowała, że jest wyniosła i niedostępna. Coś z nią było nie tak i to coś sprawiało, że Ewelina ją polubiła. Może chodziło o to, że obie nie pasowały do świata, w którym żyły, a jednak radziły sobie całkiem nieźle?

– A cóż to za popołudniowe zbiegowisko? – zapytała donośnym głosem, splatając ręce na piersiach. Czyżby posiedzenie grupy dochodzeniowo-śledczej przeniosło się w podziemie prosektorium? – zadała pytanie, ale odpowiedziała jej głucha cisza.

Nadkomisarz Leśniak klepnął w plecy swojego młodszego kolegę, wysuwając go naprzód. Był ewidentnie zirytowany zachowaniem Borysa. Nie dość, że nie zjawił się na miejscu zbrodni, to jeszcze zasłaniał się gorączką, by wymigać się od uczestnictwa w sekcji. Już on znał te jego wymyślone choroby. Policjant wymigiwał się ostatnio od roboty, jak tylko mógł. Gdyby nie miał bystrego umysłu i nie potrafił szybko łączyć faktów, już dawno wywaliliby go do drogówki. Ale w Jeleniej nie było kim robić, a liczba spraw kryminalnych do rozwikłania z każdym rokiem rosła.

– No... to ja zgłaszam się na ochotnika – powiedział, udając zaangażowanie. – W rzeczywistości nie lubił sekcji zwłok. Według niego uczestnictwo w tym przedsięwzięciu nic nie wносиło do sprawy. Wystarczyłby mu raport, który otrzymywali po wszystkim. Z dokumentu mógł w kilka minut wyczytać przydatne informacje, bez konieczności patrzenia na rozkrajane ciało i poszczególne organy, a przede wszystkim bez wdychania smrodu, jaki zawsze unosił się w powietrzu w tym miejscu. Może gdyby Ewelina była hetero, chętniej przebywałby w tym przybytku, teraz nie widział w tym najmniejszego sensu. Wiedział natomiast, że dziś rano dał dupy i musi to jakoś wynagrodzić Leśniakowi. Od dawna był już na cenzurowanym, więc nie powinien się mu bardziej narażać.

– Prokuratorze? – doktor Złotnicka zwróciła się z pytaniem w stronę eleganckiego mężczyzny, który wstał w końcu z krzesła. Obstawiała, że jej nie zaskoczy i nie odpowie na jej zaproszenie z entuzjazmem, ale nigdy nie można być przeciw do końca pewnym zachowania innych ludzi.

– Moja droga, chyba nie ma sensu, żeby tyłu nas było przy stole. Bądź tak dobra i wyślij mi raport. Dajmy szansę podszkolić się młodym – powiedział, niemal mentorsko, spoglądając z góry na Borysa i z ciekawością na Carmen Rodríguez. Podpisał listę obecności i czekał na reakcję lekarki.

Ewelina Złotnicka tylko się uśmiechnęła. Dobrze wiedziała, że prokurator źle znosi sekcje zwłok i nie lubił brać w nich udziału. Carmen musiała mu się spodobać, skoro zachowywał się jak kierownik zakładu medycyny sądowej albo przynajmniej patomorfolog z długim stażem pracy.

– Dobra. – Ewelina machnęła ręką, zapraszając do środka dwoje z przyszłych. – Borys, ty wchodzisz za karę, a Carmen, bo zadzwoniła trzydzieści minut temu i poprosiła o możliwość udziału w sekcji. Reszta wynocha. Nie potrzebuję tu zbiegowiska. – Wpuściła ich do środka i zamknęła przeszlone drzwi. – Jak chcecie stać blisko, załóżcie fartuchy i okulary. Jeśli będziecie siedzieć w rogu sali, to nie musicie.

– Przecież trupy nie mają krążenia – odburknął Borys. Był ewidentnie obrażony, że musi tu być. – To nie durny film, na którym krew tryska z otwieranych powłok ciała, a wszyscy przybyli drą się z przerażenia.

– To może chociaż weź sobie woreczek do rzygania – zaproponowała uszczypliwie, przypominając mu jego ostatni udział w sekcji. – Cobyś nie zapaskudził mi znów podłogi.

– Mam przepraszać, że nie jestem psychopatą? – Uniósł ramiona i spojrział wyzywająco na Złotnicką. Po czym zwrócił się w stronę nowej koleżanki. – A ty, co? Odjęło ci mowę ze strachu? – Dziwiło go, że nowa profilerka nic nie mówi. Kiedy weszła do zakładu medycyny sądowej, jedynie się przedstawiła i ciągle sprawiała wrażenie, jakby nad czymś myślała. Albo jakby uważała się za lepszą od nich i dlatego nie chciała się bratać, a to wkurwiała go jeszcze bardziej. Widział, że ma drogie, markowe ubrania i nosi wysoko głowę.

– *Si, tengo mierda en mis pantalones* – zwróciła się do niego poważnie.

– Że co? – Szyk podrapał się po głowie. Nie był przygotowany na rozmówki polsko-hiszpańskie. Niby wiedział, że nowa profilerka pochodzi z Malagi, ale do tej pory i komendant, i nadkomisarz zapewniali go, że świetnie mówi po polsku, i że absolutnie nie przewidują problemów w komunikacji.

– To chyba znaczy, że sra po gaciach. – Złotnicka się zaśmiała, dając znać Rudzikowi, żeby zaczął obmywać zwłoki, które właśnie wjechały na stół.

– Kurwa, po co tu jestem? Przecież wszystko co tu ustalisz, mogę przeczytać w raporcie. Stracone trzy godziny – oburzył się Borys. Zazwyczaj kobiety nie reagowały na niego bierną agresją, jednak te tutaj ewidentnie były jakieś inne. Czekał, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Profilerka podeszła do zwłok i przyglądała się uważnie rysom twarzy. Doktor Złotnicka stała po prawej stronie ciała i nadzorowała mycie zwłok przez technika. Zdawały się pochłonięte własnymi sprawami. On jeden usiadł na krześle, patrząc wprost na brudne stopy ofiary. Ciemne od ziemi i zastygniętej krwi. Już miał zamiar zamknąć się w sobie, naburmuszyć i nie odzywać do końca procedury, kiedy jego uwagę przykuł mały szczegół. Czerwonobrazowa rana w określonym kształcie. Na oko liczyła około trzech centymetrów i usytuowana była na pięcie kobiety. Zmrużył oczy, chcąc uzyskać lepszą ostrość widzenia.

– Dobra, zrobmy deal – odezwał się ponownie, udając, że nadal nie interesuje go to, co dzieje się na stole.

– No, mów. – Ewelina Złotnicka westchnęła ciężko. – Oby mnie zainteresował, bo szczerze mówiąc, nie wiem, jak wytrwam z tobą te trzy godziny.

– OK – podniósł ręce do góry, po czym splótł je na klatce piersiowej. – To umówmy się, że jeżeli zdradzę wam coś, czego same nie zauważyłyście, będę wolny i ani słowa nie piśniecie Leśniakowi, że wyszedłem w trakcie. – Od Bogusława miał informacje na temat obrażeń ofiary, które były stwierdzone przy oględzinach na miejscu zbrodni i ani słowem Leśniak nie zająknął się o wypalanie na pięcie.

– Zaczynam się modlić o to, byś faktycznie znał taki szczegół – odbiła piłeczkę Złotnicka, a Rodríguez uśmiechnęła się pod nosem.

– Zabójca wypalił jej znamię – powiedział wprost, nie wdając się w szczegóły, bo przecież z tej odległości nie mógł ich znać.

– A niby, kurwa, gdzie?! – Lekarka się zirytowała, myśląc, że Borys sobie pogrywa. Wiedziała, że jest dobrym śledczym, ale był tak irytujący w swoim zachowaniu, że ciężko znosiła przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu i nawet nie chodziło o to, że był seksistą. Chociaż jej zdaniem

był i to wielkim. Tę cechę uznawała za jego największą wadę, chociaż oddając mu sprawiedliwość, musiała przyznać, że miał też parę zalet.

– Na stopie. – Borys wskazał ręką w kierunku ciała denatki. – A dokładniej na pięcie.

Carmen Rodríguez spojrzała na niego z zainteresowaniem, po czym poszła do stóp ofiary.

– Faktycznie – przyznała po cichu.

– Ooo! A więc seniorita jednak mówi po polskiemu? – posłał w jej stronę zaczepkę.

Nie skomentowała, olała go, jakby nic nie powiedział i przez to poczuł jeszcze większą irytację.

– No cóż, mogłabym powiedzieć, że walka była nierówna, bo nie zaczęłam jeszcze oględzin, a stóp nie widziałam, kiedy kobieta wisiała – zaczęła. – Ale tak bardzo działasz mi na nerwy, że jestem w stanie udawać przed Leśniakiem, że byłeś tu cały czas i z satysfakcją pożegnam się już teraz.

Borys wyciągnął telefon z kieszeni spodni i odczytał przychodzącą wiadomość.

– Co? Nowa dziunia już czeka? – Złotnicka nie wierzyła własnym oczom. – Nie tracisz czasu, chłopaku.

– Nie – powiedział poważniejszym tonem. – Dzieciół dostał zgłoszenie o zaginięciu kobiety odpowiadającej rysopisowi denatki. Chcąc nie chcąc, muszę was opuścić, żeby przesłuchać świadków – niespodziewanie podszedł do ciała i omiół je spojrzeniem. – Do jutra.

– Czekaj! – zawołała za nim Rodríguez. – Jak się nazywa? Ta kobieta, która zginęła...

– Aneta Sasek – odparł poważniej.

– Co z tobą? – zapytała Złotnicka. Nagła zmiana nastroju Borysa nie wydawała jej się normalna. Owszem wiele razy widziała go skupionego na sprawie, ale żeby tak szybko zmieniać nastawienie?

– Znam Bartka Saska ze Szklarskiej Poręby. To mechanik, który nieraz naprawiał mój samochód. Chodzimy też razem na krav magę. Jeżeli to jego

siostra albo żona, to czeka mnie niemiła rozmowa.

– Taki lajf – powiedziała porozumiewawczo Złotnicka, widząc, jak Borys opuszcza salę sekcijną.

Szklarska Poręba, droga do domu Sasków

Zawsze udawał cwaniaka, żeby inni nie widzieli, kiedy czymś się przejmował. Takie zachowanie miało swój początek już w podstawówce, kiedy dzieciaki wyśmiewały się z niego, bo się jękał i był najniższy w klasie. Nazywały go „upośledzonym niemowlakiem”, „karakanem” albo „debilem”. Z początku reagował na wyzwiska silnymi emocjami: płakał, moczył się w nocy i nie chciał chodzić do szkoły, ale z czasem, kiedy z rozżaleniem odkrył, że rodzice nie zatrzymają go w domu na zdalnym nauczaniu, wypracował sobie sposób na przetrwanie. Wydurniał się, wykorzystując swoje słabości i przekuwając je w atuty. Udawał, że nie ruszają go obelgi innych, a wręcz przeciwnie, że jest ich żądny. Z czasem stał się klasowym błaznem, ulubieńcem chłopaków ze szkolnego gangu, a kiedy poszedł do technikum i zaczął ćwiczyć na siłowni, stał się idolem. Udawał, że ma wywalone na wszystko i niczym się nie przejmuje. Szkoła życia, jaką dostał w podstawówce, uodporniła go na wiele. Kiedy ktoś mu podskakiwał, wdawał się w bójki i, pomimo swojego niewielkiego wzrostu, zazwyczaj wygrywał. W trzeciej klasie technikum nikomu już nie przychodziło do głowy, by go zaczepiać, nawet kolegom ze starszych roczników. Był łobuzem, ale inteligentnym, i dlatego bez większych problemów zdawał z klasy do klasy. Szybko też odkrył, że jego sława sięga nawet pobliskiego liceum Sióstr Urszulanek, którego uczennice durzyły się w nim nieustannie. To z jedną z nich stracił dziewictwo w wieku osiemnastu lat, a potem robił to, z kim chciał i kiedy chciał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że inni, przystojniejsi koledzy zachodzą w głowę, skąd u niego takie powodzenie wśród płci pięknej. A on po prostu się nie czał. Szedł po kobietę, jakby była jego i wiedział,

że to się podoba. Nie wybrzydzał, nie przebierał, nie wyszukiwał wad u nich czy u siebie, jak robiła to większość jego znajomych. Po co? Dziewczyny nazywały go pieszczotliwie ich Borysem Szycem, nie tylko z uwagi na podobieństwo nazwisk, ale niemal identyczny wygląd ze znanym aktorem. Życie mogło być piękne i proste, kiedy tylko nie kombinowało się za dużo. Poza chwilami takimi jak ta. Jadąc krętą drogą w kierunku Szklarskiej Poręby, próbował przypomnieć sobie, czy Bartek wspominał coś o żonie lub siostrze. Ich znajomość nie była zażyła, głównie rozmawiali o treningach i samochodach, ale przecież czasem każdy mimochodem powie coś o rodzinie. Nie mógł sobie jednak przypomnieć takiej sytuacji. Zastukał nerwowo palcami w kierownicę. Mówienie bliskim o śmierci kogoś, kogo kochają, nigdy nie było proste. Wiązało się z olbrzymimi emocjami, przed którymi uciekał od wczesnego dzieciństwa. Emocje to ból i rozpacz, dobrze o tym wiedział. Spojrzał w nawigację w telefonie, który umieścił na wysięgniku. Za sto metrów dotrze do celu. To by się zgadzało. Ulica Kasprowicza leżała blisko Czerwonej Jamy, gdzie znaleziono zwłoki. Zabójca miał więc ułatwione zadanie. Borys wyszedł z auta i zamknął drzwi pilotem. Otworzył skrzypiącą furtkę i wszedł na posesję. Zanim zdążył wspiąć się po trzech prowadzących do domu schodach, drzwi otworzyły się, a zza nich wyjrzał młody mężczyzna. Poznał go od razu.

– Cześć – powiedział zdenerwowany. – Cieszę się, że to ty.

– Cześć – odpowiedział Borys. Dopiero teraz dostrzegł podobieństwo w rysach twarzy kolegi i denatki, której ciało widział w prosektorium. Ta sama linia włosów, ten sam kształt brwi. To rzucało się w oczy najbardziej.

Wszedł do domu urządzonego w starym stylu, a raczej urządzonego dawno temu. Pamiętał takie wystroje z dziecięcych lat, chociaż rzadko bywał w mieszkaniach kolegów.

– To dom rodziców – wyjaśnił Bartek. – Wprowadziłem się tutaj po ich śmierci dwa lata temu. Wcześniej mieszkałem we Wrocławiu, ale dosyć już miałem wielkiego miasta i pracy u kogoś. Woląłem wrócić na stare śmieci i otworzyć swój własny warsztat.

Faktycznie, na krav madze po raz pierwszy pojawił się jakieś dwa lata temu, pomyślał Szyk.

– A Aneta? – zapytał, kiedy usiedli na wysłużonej brązowej kanapie w salonie.

– Aneta wróciła pół roku temu. Rozwiodła się i generalnie życie jej się posypało. Potrzebowała bezpiecznej przystani – powiedział, przecierając twarz dłońmi. – Wiecie już coś?

Nie chciał mówić mu od razu, że kobieta nie żyje. Wiedział, że źle to zniesie i być może nie będzie już dziś w stanie rozmawiać, a potrzebował dowiedzieć się jak najwięcej o jego... No właśnie, kim dla niego była ta dziewczyna?

– Aneta to twoja siostra, tak?

– Siostra – odpowiedział od razu. – Mieszkała w Złotoryi z mężem. Ona... – zawahał się. – Nie wiem, czy mogę opowiadać o jej problemach. Byłaby na mnie zła. Pewnie zaraz wróci, stanie tu w przejściu, spojrzy na nas i powie: „Ej, Bartek, a co tu się odpierdala?”. – Pociągnął nosem. – Tyle że ona nigdy nie znikala z domu, w dodatku zostawiając otwarte drzwi i nie pozostawała bez kontaktu, a ja słyszałem... – Zatrząsł się, a w jego oczach pojawiły się łzy. – No, ludzie gadają, że rano znaleziono ciało młodej kobiety. Jestem przerażony. Powiesz mi, czy to ona? – Spojrzał na policjanta błagalnym wzrokiem.

– Nie wiem. Musisz mi pokazać jej zdjęcie, ale poczekaj – zatrzymał go, gdy ten chciał wstać.

– Opowiedz mi najpierw o niej. Jaka była, z kim się spotykała, czy miała wrogów? Co działo się w jej życiu?

– Była? – zapytał z rozpaczą wymalowaną na twarzy.

– Znaczy jest – poprawił się Borys, klnąc w myślach. – Jaka jest Aneta?

– Ona... – Z trudem przełknął ślinę. – Ona miała problemy. Znaczy psychiczne problemy. Rok temu zmarła jej córka. Miała tylko cztery miesiące. Śmierć łóżeczkowa. – Otarł spływającą po policzku łzę. No i sam rozumiesz, jej małżeństwo nie wytrzymało tej tragedii. Tak naprawdę hajtnęli

się z Szymonem tylko dlatego, że zaszła w ciążę. I zaraz po stracie dziecka się rozwiedli. Aneta załamała się psychicznie. Miesiąc spędziła w szpitalu psychiatrycznym na obserwacji, bo chciała odebrać sobie życie, a potem przyjechała do mnie. Mówiła, że nie mogłaby żyć w miejscu, gdzie zmarło jej dziecko. Zamieszkaliśmy razem i... Znaczy to tyle.

– Rozumiem, że tu się wychowaliście, tak?

– Tak, ale Aneta wyjechała już jako piętnastolatka do Wrocławia do liceum z internatem. Ona zawsze była niezależna i odważna. Tak naprawdę to dziwiłem się, że założyła rodzinę. Aneta kochała wolność i zabawę.

– Miała jakichś znajomych? Spotykała się z kimś?

– Wychodziła z domu, ale nikogo nie zapraszała do siebie. Od śmierci córki stała się skryta i chyba wciąż odczuwała ból. Nie rozmawialiśmy dużo, ona nie potrafiła jeszcze mówić o uczuciach. Twierdziła, że nie chce, bo się rozklei, że najpierw musi nauczyć się z nimi żyć. Ale zawsze odbierała telefony, rozumiesz? Zawsze! Proszę, powiedz mi, czy to ona?

– Pokaż mi jej zdjęcie – polecił z ciężkim sercem Borys. Wiedział, że nie musi na nie patrzeć, był pewien, kim jest ofiara. Mimo to spojrzął na fotografię z czystej ciekawości. Chciał wiedzieć, jak wyglądała za życia. Dostrzegł na nim fajną, energiczną i uśmiechniętą dziewczynę. Zupełnie inną niż tę, którą widział na stole, choć ciało faktycznie należało do niej.

– O, Boże! Nie musisz nic mówić. Widzę po twojej minie, że to ona. To moja Aneta. – Bartek usiadł na kanapie i zakrył twarz dłońmi. Jego płacz wypełnił echem cały dom.

Jelenia Góra, Osiedle Zielone

Wracała do domu taksówką, ale poprosiła, by kierowca wysadził ją przy Biedronce na Krośnieńskiej. Chciała się przewietrzyć i rozprostować kości. Nogi bolały ją od stania w bezruchu. Sekcja zwłok trwała cztery godziny. Ewelina Złotnicka była bardzo dokładna, nie chciała przegapić żadnego szczegółu, ale Carmen odnosiła wrażenie, że doktorka starała się tą drobiazgowością zakryć opieszałość swojego technika. W sumie to nic złego. Świadczyło to nie tyle o braku umiejętności Igora Rudzika, ale również o sporym doświadczeniu Złotnickiej w nauczaniu i opiece nad swoim uczniem. A może po prostu podobnie jak Carmen, jej też nie spieszyło się do domu? Kiedy opuszczała prosektorium było już sporo po dwudziestej pierwszej, a wokół panowały egipskie ciemności. Wiał silny wiatr, który z dużą prędkością rozrzucał po ulicach zgrabione w stosy liście. Jutro znów będą musieli je sprzątać, ot, i cała logika. Rodríguez wracała myślami do sekcji. Kiedy wyszedł Borys, Ewelina przystąpiła do dokładnych oględzin. Poza znamieniem na stopie, nie znalazła już niczego zaskakującego. Znamię zostało wypalone za życia ofiary, tuż przed śmiercią, bo rana nie zdążyła się zagoić ani zabliznić. Według ustaleń Eweliny tę ranę prawdopodobnie zadano za pomocą metalowego rozżarzonego prętu. Carmen wzdrygnęła się na samą myśl o tym czynie. Aneta Sasek, o ile faktycznie się tak nazywała, doznała straszego okrucieństwa. Nie potrafiły rozszyfrować znaku, który został wypalony. Sfotografowały go i wysłały do analizy. Przez następne parę godzin doktor Złotnicka starała się wykluczyć inną niż oczywistą przyczynę śmierci. Otworzyła najpierw czaszkę ofiary i pozwoliła technikowi wyjąć mózg, następnie przystąpiła do cięcia klatki pier-

siowej i jamy brzusznej. Kiedy Rudzik wyjmował po kolei wszystkie narządy, ona określała ich położenie w stosunku do stałych punktów anatomicznych i płaszczyzn ciała, kształt, wielkość, masę, powierzchnię zewnętrzną, konsystencję, powierzchnię rozkroju, zabarwienie, ukrwienie, woń wyczuwalną po rozkrojeniu, pojemność, zawartość i powierzchnię wewnętrzną. Rozpoznanie anatomopatologiczne napisała na komputerze po łacinie, na końcu dodając epikryzę w języku polskim. Cztery godziny zmudnej pracy, która wniosła niewiele informacji. Na dworze znów zaczął padać deszcz i Carmen Rodríguez przyspieszyła kroku.

– Dobry wieczór – starszy mężczyzna przywitał ją na klatce schodowej, kiedy wchodziła na ostatnie piętro budynku.

Nie lubiła korzystać z windy, na samą myśl o przebywaniu w ciasnych pomieszczeniach wpadała w panikę, dostawała dreszczy na całym ciele, a serce waliło jak młotem. Starła się z tym walczyć, tłumaczyła sobie, że strach jest tylko w jej głowie, ale nie dawała rady. Zastanawiała się nawet, czy nie zapisać się na jakąś terapię. Być może odpowiedni specjalista poradziłby sobie z jej lękami i nagle przypomniała sobie o spotkaniu dziś w parku psychiatrze. Sięgnęła ręką do wewnętrznej kieszeni torebki, gdzie umieściła jego wizytówkę i przeczytała na głos: Marcin Rokosz, lekarz psychiatra.

Dokładnie w chwili, w której to powiedziała, poczuła, że coś jest nie tak. Przystanąła na chwilę i oparła się o zimną ścianę. Obraz przed oczami zaczął lekko wirować, a w głowie pojawiły się niepokojące pytania. Kim był mijany przed chwilą człowiek? Dlaczego tak dziwnie na nią patrzył, kiedy się witał? Czy jest tu bezpieczna? Poczuła suchość w ustach i trzymając się barierki, poszła czym prędzej na górę. Zatrzymała się przed wejściem do swojego mieszkania i przywarła do drzwi. W mieszkaniu panowała cisza, ale i tak bała się tam wejść. Dopiero rozchodzące się po klatce schodowej kroki, przyspieszyły jej decyzję. Wyciągnęła klucz i włożyła go do zamka. Przekręciła jeden, potem drugi, ale kiedy włożyła klucz w zamek numer trzy z przerażeniem odkryła, że nie jest zablokowany. Była pewna, że przekręcała wszystkie trzy zamki, kiedy wychodziła. Zawsze tak robiła. Miała

bzika na punkcie bezpieczeństwa. Zastanawiała się, czy wejść, czy zostać tu i jeszcze chwilę nasłuchiwać, ale kroki dobiegające z klatki schodowej były coraz głośniejsze i uznała, że nie ma wyjścia. Wbiegła do mieszkania, przekręcając dokładnie zamki i dodatkowo zasuwając zasuwę. Oparła się o drzwi, dysząc i rozglądając dookoła.

– Uspokój się – zganiała samą siebie. – To tylko twoja cholerna fantazja.

Mimo podjętej próby racjonalnego myślenia, czuła w mieszkaniu czyjąś obecność. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, miała wrażenie, że ktoś tu był, kiedy ona wyszła do pracy. A może jest nadal? W apartamencie panowała jasność. Światła automatycznie zapalały się w pomieszczeniu, w którym fotokomórka wyczuwała jakikolwiek ruch, a także we wszystkich pokojach sąsiadujących. Zainstalowała specjalny system inteligentnego domu, żeby czuć się bezpiecznie, i aby nikt jej nie zaskoczył w ciemnościach. Westchnęła głęboko i ruszyła do kuchni, uspokajając samą siebie, że przecież wszystko jest tak, jak to zostawiła. Ale zobaczywszy wyspę, stanęła jak wryta. Na blacie stał szklany wazon z kwiatami. Białe lilie, jej ulubione i znieawidzone zarazem. Nie pamiętała, żeby była dziś w kwiaciarni. Ale musiała przyznać sama przed sobą, że miewała luki w pamięci. To nie byłby pierwszy raz. Bywało już tak, że umykały jej całe godziny, a nawet dni i nie pamiętała, co w tym czasie robiła. Mimo wszystko, wołała to sprawdzić. Chwyciła kuchenny nóż i obeszła dokładnie całe mieszkanie. Kiedy upewniła się, że nikogo nie ma, postanowiła przejrzeć monitoring. Weszła do gabinetu, usiadła na krześle i kliknęła w ikonę na ekranie laptopa.

– Przerwa w dostawie prądu między siedemnastą a dwudziestą. Brak nagrań z tego okresu – przeczytała komunikat. – *¡Putá madre!* – zakląła siarczyście.

Jeżeli nie było prądu, nie było dostępu do Internetu, to monitoring też nie działał. Nie będzie w stanie sprawdzić, czy rzeczywiście nikogo tu nie było. Ale, do cholery, przy takich zabezpieczeniach, nie mogło być o tym mowy. Znowu świrowała, znowu wkręcała sobie rzeczy, których nie ma. Czuła wzmożony lęk przez zmianę otoczenia i pracy. Rozpoczęła nowe życie, a to wywołuje silne emocje. Zawsze tak reagowała i nie było w tym nic

dziwnego. Chwyciła za torebkę i już po chwili wybierała numer doktora Marcina Rokosza. Była Hiszpanką, a Hiszpanki wierzą w znaki. Nic w życiu nie dzieje się bez przyczyny, dlatego uznała, że los postawił jej tego człowieka na drodze w jakimś celu. A z losem nie wolno walczyć, jak mawiała jej babka.

Jelenia Góra,

Komenda Miejska Policji, Wydział Kryminalny

N adkomisarz Bogusław Leśniak przyszedł dzisiaj do pracy dużo wcześniej, niż powinien. W nocy nie mógł zmrużyć oka, rwa kulszowa, która złapała go po wczorajszej wycieczce w deszczu do jaskini, dawała o sobie znać, a ból przybierał na intensywności. Nie pomagały mu żadne tabletki przeciwbólowe i kiedy, po raz osiemdziesiąty piąty przewracał się z boku na bok i zobaczył, że za oknem za chwilę zacznie świtać, wstał z łóżka, ubrał się i wyszedł do roboty. Stał w policyjnej kuchni przy nowym nabytku kupionym miesiąc temu specjalnie z okazji wizytacji komendanta głównego policji. Nadinspektor Markiewicz pojechał szybciej, niż się pojawił, ale nowy ekspres do kawy na szczęście został i służył im bardzo dobrze. Upił łyk czarnej arabiki i ziewnął przeciągle. Nie mógł się już doczekać emerytury, chociaż perspektywa zostawienia służby bez odpowiedniego następcy, wydawała mu się przytłaczająca. Pracowali w parach według zasady: bardziej doświadczony i starszy stopniem policjant z młodszym. Jeżeli on odejdzie i Borysowi dokooptują kogoś młodszego, to kiepsko widział prowadzone przez nich sprawy. A może powinien odpuścić? Może, kiedy poczuje ciężar odpowiedzialności, zacznie działać inaczej.

– *Hola.*

Usłyszał kobiecy głos i obrócił się w stronę idącej ku niemu długowłosej postaci. Dopiero po kilku sekundach przypomniał sobie, że ona z nimi pracuje. Zaskoczyła go, bo nie spodziewał się jej tak wcześnie.

– Już na komendzie? – twarz nadkomisarza wyrażała zdziwienie. – Zawsze wstajesz z kurami?

– Z czym? No co ty, nie mam nawet psa. – Nie wiedziała, o co mu chodzi.
– To jakieś polskie powiedzonko, tak?

– No – zaśmiał się – oznacza tyle, że wstajesz wcześniej rano.

– Tak – odparła. – Chciałabym spać dłużej, ale przez ostatnie lata nie mogłam i organizm się przestawił – przyznała.

– A jak współpraca z Borysem? – zapytał. Wiedział, że Szyk potrafi zalać sadła za skórę, zwłaszcza kobietom. – Dał się już poznać od najgorszej strony?

– A, gdzie tam – zażartowała. – Potulny jak baranek. – Uśmiechnęła się i podstawiała kubek pod ekspres. Po dzisiejszej nocy potrzebowała mocnej dawki kofeiny.

– Jesteś pewna, że mówimy o tym samym człowieku? – Leśniak pociągnął żart. – No dobra, mam nadzieję, że się czegoś ciekawego dowiedzieliście, i że będziemy mieli, o czym rozmawiać. Spotkanie o dziesiątej. A teraz weź ze sobą kawę i pokażę ci ten cały przybytek. Tu będzie twoje biurko. – Wskazał ręką na drewniany mebel umieszczony pod ścianą w dużej sali, do której przed chwilą weszli. Stał na nim komputer i kilka przyborów biurowych. – Moje jest obok, a Borysa po drugiej stronie sali. – Pokazał dokładnie, w którym miejscu. – Rozumiesz, tak zwana ośła ławka. – Puścił do niej oko. – Generalnie wszyscy pracujemy osobno, ale razem. Spotkania odbywają się w pokojach konferencyjnych. Jeżeli prowadzimy śledztwo, to większość czasu spędzamy w terenie albo na spotkaniu. Z biurek korzystamy raczej wtedy, kiedy nic się nie dzieje, albo trzeba zająć się biurokacją. A ty, jaki masz system współpracy z policją? – zadał jej konkretne pytanie, ale chyba nie zrozumiała. – No wiesz, chodzi mi o to, czy chcesz jeździć z nami na wszystkie akcje w terenie, przesłuchania świadków i tym podobne, czy wolisz siedzieć za biurkiem i tu rozkminiać zawiłości psychiki psychopatów?

– Wiesz co – zawahała się. Do tej pory nie miała takiego wyboru. – To chyba będzie zależało od sytuacji. Bo na miejsce zbrodni, z pewnością chcę pojechać. Na niektórych sekcjach też wolałabym być i podobnie będzie

z przesłuchiwaniami świadków, ale chciałabym mieć też autonomię i możliwość pracy na własną rękę – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Tylko pamiętaj, że nie jesteś w służbie czynnej. Nie masz odznaki ani broni i nie możesz się narażać. W miarę możliwości chciałbym, żebyś mówiła mi, co planujesz robić. Nie wiem, jak się pracuje w Hiszpanii, a tak po prawdzie to w Polsce też nigdy nie współpracowałem z profilerem, więc będziemy musieli ustalić sobie własne reguły. Jelenia Góra to małe miasto u podnóża gór i wiele rzeczy w związku z tym nas omija.

– Jasne – przytaknęła. – Będę potrzebowała dostępu do danych. Możesz mi to załatwić? Jakiś login i hasło czy coś...

– Ale w jakim sensie? – zamrugął kilkakrotnie i potarł jedno oko, bo cholerna rzęsa wpadła mu pod powiekę i powodowała duże swędzenie.

– No, gdybym chciała kogoś sprawdzić, wiesz... Coś bym odkryła i potrzebowała dostępu do danych tej osoby, gdzie pracuje, co robi, czy miała problemy z prawem albo z kim pozostaje w związku.

– Przydzielę ci kogoś, kto będzie to wszystko dla ciebie sprawdzał i generował raporty. Może być? – Podziwiał jej zapał do samodzielnej pracy, ale nie wiedział, czy powinna dostać takie uprawnienia. Będzie musiał pogadać o tym z komendantem.

– Jasne, dzięki.

– Mamy też informatyka, który potrafi wygrzebać z sieci dane, oficjalnie niewidniejące w systemie policyjnym. Czasem to, co najbardziej potrzebne, ukryte jest gdzieś głębiej, ale Śruba wszystko wyciągnie. – Leśniak się zaśmiał.

– Śruba? – Rodríguez podchwyciła temat. – Aaa! Bo tak się wkręca, wwierca w informacje, tak?

– Dokładnie. A poza tym nazywa się Marcel Śrubiński, więc wszystko pasuje. Poinformuję go, że z nami pracujesz. Jak będziesz chciała wykorzystać jego umiejętności, to znajdziesz go w pokoju numer trzynaście.

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Leśniaka punktualnie o godzinie dziesiątej spotkali się we troje w pokoju konferencyjnym, przeglądając do-

kumenty. Co prawda, nadkomisarz wysłał mailowo Carmen wszystkie dane, które otrzymał poprzedniego wieczoru, ale ona wróciła zbyt późno do domu, by to przejrzeć. A potem jeszcze ta noc. Okropna i przerażająca. Cieszyła się, że będzie mogła porozmawiać dziś ze specjalistą. Doktor Rokosz znalazł dla niej termin i przyjmie ją o szesnastej.

– Dobrze, zacznijmy od danych ofiary i o tym, czego udało nam się dowiedzieć – polecił nadkomisarz Leśniak i spojrzał znacząco na Borysa.

– Ofiara nazywała się Aneta Sasek, lat dwadzieścia sześć – zaczął Szyk w całkiem normalnym, może nawet profesjonalnym, tonie, co mocno zdziwiło profilerkę.

Zniknął nagle ten zarozumiały i wszędobylski młokos, którego poznała wczoraj. Przez chwilę zastanawiała się, ile on może mieć lat. Na jego twarzy widoczne były pierwsze zmarszczki, a bruzdy czołowe były głębokie i uwidaczały się mocno podczas gdy się uśmiechał lub nad czymś zastanawiał, a to sprawiało, że z wyglądu oceniłaby go na mężczyznę w okolicach czterdziestki. Natomiast z zachowania przypominał młodego szczyła. To jednak prawda, co mówią o niektórych mężczyznach, pomyślała. Ponoć faceci rozwijają się tylko do szóstego roku życia, a potem już tylko rosną. Borys był według niej idealnym tego przykładem.

– Wychowała się w Szklarskiej Porębie, ale w wieku lat piętnastu wyjechała do szkoły z internatem – przedstawiał dane ofiary. – Studiowała administrację, ale nie uzyskała dyplomu. Pracowała w różnych miejscach, ostatnio zajmowała się sprzedażą ubrań w butik, ale było to prawie dwa lata temu. Zaszła w ciążę, wyszła za mąż, zamieszkała w Złotoryi i urodziła dziecko, które zmarło z powodu zespołu nagłej śmierci łóżeczkowej w wieku czterech miesięcy. Po tym tragicznym zdarzeniu Anecie posypało się małżeństwo, miesiąc spędziła w szpitalu psychiatrycznym w Złotoryi. Po wyjściu ze szpitala wprowadziła się do brata do rodzinnego domu w Szklarskiej Porębie. Rodzice nie żyją. Zginęli dwa lata temu w wypadku samochodowym. Była to głośna sprawa, jakiś tir zmiotł ich z trasy i wcisnął samochód w ścianę restauracji. Tyle wiemy.

– A jej życie towarzyskie? Poznała kogoś? Miała znajomych? – zapytał Leśniak.

– Brat niewiele wie. Uważa, że była skryta i nie poradziła sobie z bólem po stracie dziecka, ale prześledziłem w nocy jej media społecznościowe i powiem szczerze, że nie wiem, co sądzić. – Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Dlaczego? – zainteresowała się Rodríguez. Zanotowała w myślach, żeby też prześledzić jej profil. Przeanalizować historię postów i konwersacji. Sprawdzić mężczyzn, którzy komentowali jej zdjęcia. Ten Szyk wydał jej się dziś całkiem konkretny.

– Ja tam w ogóle nie widzę, żeby opłakiwała córkę – powiedział bez przekonania. – Nie wiem, nie jestem psychiatrą. Może to taka reakcja obronna, czy jak to się tam tłumaczy, ale ta kobieta zdawała się korzystać z życia garściami, przynajmniej wirtualnie – dodał.

– Często można spotkać takie reakcje na stratę. Może to wypierała, może chciała zakłamać rzeczywistość, żeby poczuć się lepiej... Nie wiemy. Dobrze byłoby porozmawiać z kimś z jej realnych, a nie wirtualnych znajomych – zaproponowała Carmen. – Ludzie często umieszczają w Internecie zdjęcia zakrzywiające rzeczywistość. Kreują świat, w którym chcieliby żyć, a nie ten, w którym żyją naprawdę. Zwłaszcza ci, którzy są nieszczęśliwi.

– A moim zdaniem to ona po prostu była dziwna, i tyle – skwitował Borys. – Dziecko jej umarło, a ta posty o bieliźnie i wakacjach umieszcza. No, nie dziwna jakaś?

– Może masz rację. Wycofała się. Nie każdy jest dobrym człowiekiem, ale musimy pamiętać, że w tej sytuacji to ona jest ofiarą i to podwójną, bo los ją dotkliwie doświadczył – broniła kobiety Rodríguez.

– Co z tymi znajomymi? Kogoś musiała znać. Chyba nie siedziała w domu całymi dniami? – dopytywał Leśniak.

– Dostałem numer do jej koleżanki. Maria Konieczna – przeczytał dane z notatek. – Ponoć spotkały się parę razy. Bartek, znaczy, brat ofiary kiedyś się z nią umawiał, więc miał numer zapisany w telefonie. Dzwoniłem wczoraj, ale nie mogła się spotkać. Jadę do niej do pracy dziś koło południa.

– Dobra, zrób tak i wszystkiego się dowiedz – polecił przełożony. – Ja pochodziłem wczoraj po domach znajdujących się w pobliżu jaskini, w której znaleziono zwłoki, ale jak można się domyślić, nikt niczego nie widział, była chujowa pogoda i wszyscy gapili się w telewizor.

– Może z telefonu czy laptopa ofiary dowiemy się czegoś więcej – wtrącił Szyk. – Leżały w domu. Chciałem przejrzeć na szybko historię wiadomości, ale niczego nie znalazłem. Była pusta, co też mnie zdziwiło.

– Sugerowałoby to, że morderca się z nią kontaktował i kiedy przyszedł po nią do domu, wyczyścił telefon – podsumowała Carmen i szybkimi ruchami związała opadające na stół włosy w niedbały kok. – Czyli się znali. A widziałeś na ekranie jakieś aplikacje randkowe?

– Nie sprawdzałem – przyznał Borys z zainteresowaniem. – Ale jeżeli korzystała, to technicy z pewnością coś znajdą. – Sugerujesz, że mogła się z kimś umówić?

– Nie wiem, być może... Dlaczego nie? Młoda, wolna dziewczyna, która chce zacząć od nowa, przecież ma do tego prawo. Brata pewnie nie było w domu, co? Jakiś planowany wcześniej wyjazd?

– Skąd wiesz? – przekrzywił głowę ze zdziwienia. Ta Hiszpanka całkiem nieźle główkowała.

– Standardowe zachowanie młodszej siostry, kiedy starszy brat wyjeżdża. – Zaśmiała się. – Trzeba zaprosić chłopaka i korzystać na całego. Nawet kiedy jest się już dorosłym. Poza tym zastanawia mnie fakt, dlaczego, kiedy ją znaleźliśmy, była naga? Czy tak zastał ją w domu zabójca? Czy czekała na niego w negliżu? Czy ściągnął z niej ubranie? Czy to coś znaczy w jego przesłaniu, a może tylko zabrał je jako pamiątkę? Na razie mamy wiele pytań, ale mało odpowiedzi. – Zamyśliła się.

– Przesłaniu? – Borys wzdrygnął się.

– Ewidentnie chciał coś przekazać, traktując ją w ten sposób – potwierdziła.

– Komu? Nam? – zaciekawił się Leśniak.

– Jej, jej rodzinie, nam, sobie, a może świętemu tureckiemu. Nigdy nie wiesz, co siedzi w głowie zwyrodnialca. Jeżeli jej, to pół biedy. Najgorzej jeżeli znaki, które zostawił, były skierowane do nas.

– Dlaczego? – zapytali razem, nie rozumiejąc, o co jej może chodzić.

– Bo to zazwyczaj oznacza, że będą kolejne ofiary.

– Co, kurwa?! Uważasz, że mamy tu seryjniaka? – Leśniak zaklął pod nosem. Jeszcze tylko tego brakowało mu na koniec policyjnej kariery. Seryjnego mordercy.

– Na razie mamy za mało danych – uspokoiła ich. – Ale zakładam różne scenariusze.

– Dobra, mów lepiej, co udało się wam ustalić na sekcji – polecił Leśniak. Miał przed sobą pełny kilkustronicowy raport, ale wołał, żeby Rodríguez streściła im go i powiedziała, co o tym myśli.

– Przyczyna zgonu pozostaje taka sama, zgodnie ze wstępną oceną doktor Złotnickiej – zaczęła.

– Czyli wykrwawienie. – Leśniak oparł łokcie o blat biurka i podparł rękoma twarz. Zmęczenie po nieprzespanej nocy dawało mu się we znaki.

– Owszem. Mnie najbardziej interesowały obrażenia ciała. I tu mamy dwa ważne ustalone fakty, a właściwie trzy. – Pokazała liczbę na palcach. – Po pierwsze ofiara została wykastrowana, a dokładniej mówiąc, wyszarpano jej narządy rodne. Ewelina twierdzi, że zabójca zrobił to ręcznie, dopiero na końcu odcinając trzymające się ciała części. – Zobaczyła wyraz obrzydzenia pojawiający się na twarzy Borysa. – Prawdopodobnie odciął je tym samym nożem, którego użył do przecięcia powłok brzucha. Według Złotnickiej pierwsze cięcie było szybkie i sprawne i przebiegało mniej więcej tak, jak robi się cięcia cesarskie. Ale nie załatwiło całej sprawy. Żeby dostać się do narządów rodnych, zabójca musiał przeciąć mięśnie, a to wymagało dodatkowych cięć i one nie były już takie równe.

– Co to może oznaczać? – zapytał Leśniak.

– Że albo nie jest specjalistą, w sensie – nie ma nic wspólnego z medycyną, albo ofiara ruszała się, na przykład bardzo wierzgała, co powodowało

nierówności. Sam nóż był ponoć bardzo ostry, o długości około piętnastu centymetrów i gładkiej powierzchni – odczytała z raportu.

– Z bólu próbowała się wyrwać – zdał sobie sprawę Szyk. – Stąd te nierówności. Kurwa! Ten psychol związał ją, zakneblował i rozpruł, jak zarzynane zwierzę, a potem jeszcze wyszarpał z niej narządy i wypalił znamię, jak na bydle. – Obrócił z niesmakiem głowę w stronę okna. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek mieli w Jeleniej Górze taką okrutną sprawę i doszedł do wniosku, że nie.

– Wypalił znamię? – Leśniak zdawał się nic nie wiedzieć.

– Tak – przyznała Rodríguez. – To drugie z trzech ważnych ustaleń. Borys wczoraj zauważył. Masz tu zdjęcie. – Podała mu odpowiednią fotografię. – Nie wiemy, co to jest. Myślimy, że zrobił jej to, jak jeszcze żyła i przez to, że się ruszała wyszło nierówno. Daliśmy do analizy. Chyba że tobie to coś mówi? Wyglądem przypomina literę X w kółku, ale nie wiem, co by to miało znaczyć?

Leśniak spojrział na leżące na biurku zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie. Faktycznie, znak nie był wyraźny, jednak od razu skojarzył mu się z symbolem górników.

– Nie wiem, czy dobrze obstawiam – zaczął. – Niektóre linie zlewają się ze sobą na skórze. Ale wyraźnie widać, że tu – wskazał palcem w dwa miejsca na górze – powiedzmy na godzinie dziesiątej i drugiej koło jest grubsze, jakby od góry tego iksa odchodziły w lewą i prawą stronę takie... – nie wiedział, jak to nazwać. – No, dla mnie to są po prostu skrzyżowane młoty. A dokładniej mówiąc, żelazko i pyrlik.

– Co? – Carmen nie miała pojęcia, o czym on mówi. – Jakie znowu żelazko? Znam tylko takie do prasowania. – Zrobiła minę świadczącą o tym, że w istocie niczego nie rozumiała.

– Nie – powiedział spokojnie Bogusław. – Żelazko to w górnictwie rodzaj klina. Liczy od dwunastu do trzydziestu centymetrów i z jednej strony zakończone jest do szpica, a z drugiej na płasko po to, by uderzać w nie młotkiem.

– No, no, no – elokwentnie docenił przełożonego Szyk. – A skąd ty masz taką wiedzę?

– Moja babka za górniką wyszła kiedyś.

– Za dziadziusia znaczy? – zażartował.

– Nie, dziadzius zmarł zaraz po urodzeniu się mojego ojca. A że babcia młodą i piękną kobietą była, to miała sporo adoratorów. Niestety wybrała kiepsko. Skurwiel przepijał całą wypłatę, a potem lał ich, ile sił, ale kupła wisiała w domu na ścianie w honorowym miejscu. Stąd wiem.

– Jaka znowu kupła? – Tego dnia Carmen uświadomiła sobie, że nie zna wielu polskich określeń. W jej domu rodzinnym w Maladze mówiło się głównie po polsku. To była zasługa jej matki, rodowitej Polki, która wymusiła na ojcu, żeby nauczył się jej języka. Jak twierdziła, ona i ich córka i tak musiały używać hiszpańskiego wszędzie, a więc w domu wszyscy mieli mówić po polsku.

– Kupła to właśnie symbol górników. Mój ojciec wychowywał się w Wałbrzychu. Swego czasu było tam kilka prężnie działających kopalni węgla kamiennego.

– OK. Założmy, że to faktycznie te młotki. – Borys podrapał się po głowie. – Po jaką cholere, ten psychol wypalił kupłę na stopie swojej ofiary?

– Musi to być dla niego ważne – powiedziała wprost Rodríguez. – Ale jeszcze nie wiem, w jakim sensie. Głośno myśląc, nie widzę logicznego związku pomiędzy górnikiem a nienawiścią do kobiet. A tej drugiej jestem akurat pewna, jeżeli chodzi o zabójcę. Wycinając jej żeńskie narządy płciowe, jasno to podkreślił.

– Kobiety nie pracowały nigdy w kopalniach? – Borys podrzucił myśl. – Teraz mogą? Nie mam pojęcia. Trzeba to sprawdzić. Może nasz psychol jest przeciwny równouprawnieniu i nie toleruje pod powierzchnią kobiet i daje temu wyraz?

– Sprawdź też, czy Aneta miała cokolwiek wspólnego z górnictwem – polecił. – To byłby najdziwniejszy motyw zabójstwa, jaki widziałem w życiu –

skwitował Leśniak. – Z drugiej strony, nic mnie już nie zdziwi. A co z tym trzecim istotnym ustaleniem?

– Doktor Złotnicka uważa, że dziewczyna była przed śmiercią bita po rękach – stwierdziła Carmen, szukając w raporcie odpowiedniej wzmianki.

– Co? – Leśniak wyprostował się na krześle i wziął do ręki dokumenty. – Faktycznie. Ofiara uderzana wielokrotnie, najprawdopodobniej pasem lub innym skórzanym przyrządem.

– O ile zrobił to zabójca, to myślę, że chciał ją za coś ukarać. – Carmen nie czekała na pytanie ze strony mężczyzn. – Za coś, co zrobiła, być może własnymi rękami. Nie wiem. Ale kojarzy mi się to z karą. Bił tylko po rękach, po innych częściach ciała nie.

– Myślisz, że istnieje jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że to nie on? – zainteresował się Szyk. – Powiedziałaś, o ile zrobił to zabójca.

– Nie wiem. Z psychologicznego punktu widzenia to wszystko może do siebie pasować, ale przecież nie wiemy, co robiła chwilę przed śmiercią. Musimy mieć oczy i uszy otwarte, bo na razie mało wiemy i najgorzej przyjmować coś za pewnik.

– Zostawmy to na chwilę. – Leśniak nie mógł tego pojąć. Ale nie to było najgorsze, lecz fakt, że te istotne informacje, jego zdaniem, zupełnie do siebie nie pasowały. I nie miał pojęcia, czemu według Carmen jest inaczej. Musiał to sobie poukładać. – Czy mamy wyniki toksykologii?

– Jeszcze nie. Ewelina twierdzi, że potrzebują dwóch dni.

– Myślałem, że zrobią na *cito*.

– Dwa dni to jest ponoć na *cito* – wyjaśniła Rodríguez. – A przynajmniej tak mi powiedziała.

– A co z raportem techników?

– Nie ma żadnych śladów mogących choćby w przybliżeniu opisać posturę zabójcy. Zero odcisków butów. W jaskini prawdopodobnie po sobie posprzątał. Technicy twierdzą, że nie byli w stanie zrobić ani jednego odlew, a to przecież niemożliwe, tym bardziej że to miejsce turystyczne.

– Ale w taką pogodę to wątpię, żeby ścigały tam tłumy – zaznaczył Szyk.

– Tyle że na szutrowo-żwirowym podłożu, musiałyby być jakiegokolwiek ślady, nawet dawne – polemizował nadkomisarz. – Skoro ich nie było, to skurwiel dokładnie je zatarł. O czym to świadczy? – zwrócił się do profilerki.

– Że był dobrze przygotowany – powiedziała. – Nie działał *ad hoc*, zabrał wszystko, co jest niezbędne do zacierania śladów, dobrze się przygotował, założył kombinezon ochronny i worki na buty. Przy takim rozlewie krwi mielibyśmy pełno śladów butów. Podejrzewam, że pozamiatał i zdjął kombinezon tuż przed wyjściem z jaskini. Zabił w deszczową noc, ponieważ woda zmyła wszelkie ślady poza grotą, a i ryzyko spotkania kogokolwiek było bardzo niskie. O ile faktycznie miał możliwość wyboru dnia i warunków atmosferycznych.

– A jednak dwoje romantyków wybrało się tam na schadzkę – wtrącił Borys zaznajomiwszy się z całą dokumentacją. Psychol miał szczęście, że przyszli kilka godzin po nim.

– Chyba raczej oni mieli szczęście – sprostowała go. – Myślicie, że warto by było pojechać do szpitala, w którym się leczyła? – Sama nie wiedziała, czy mogą się tam czegoś dowiedzieć, ale to miejsce, z którego przyjechała prosto do Szklarskiej. Jeżeli nie miała wielu znajomych w rodzinnym miasteczku, to może w szpitalu się z kimś zaprzyjaźniła? – Może ktoś rzuci jakieś światło na jej życie?

– No, nie wiem. – Leśniak się zamyślił. – Na razie nie widzę sensu. Szukałbym raczej tutaj. Borys pojedzie dzisiaj do jej koleżanki, a ja poczekam na dane z telefonu. Jeżeli niczego nowego się nie dowiemy, wrócimy do tematu.

– OK. To ja przyjrzę się jaskini. Czy to przypadkowe miejsce, czy może coś oznaczać. Jeżeli specjalista od pisowni i znaków potwierdzi, że kobieta miała wypaloną na pięcie kupkę, rozeznam się w pobliskich kopalniach. Wiem, że na Dolnym Śląsku są jeszcze funkcjonujące zakłady.

– W porządku – przytaknął nadkomisarz. – Carmen, jeszcze jedno, zanim się rozejdziemy. Czy mogłabyś pogadać z Pierzałą? – Wyczytał z wyrazu jej twarzy, że nie rozumie. – Z naszym komendantem inspektorem

Piotrem Pierzałą – wyjaśnił. – Wydaje mi się, że ma trudny okres w swoim życiu. Dwoje naszych funkcjonariuszy popełniło samobójstwo w odstępie tygodnia. To dlatego nie ma go na komendzie. Wczoraj był na pogrzebie Jacka Gorały, a dzisiaj wziął urlop.

– Nie bardzo wiem, jak mogłabym pomóc?

– No, jesteś psychologiem, prawda?

– Tak, ale nie klinicznym. Studiowałam psychologię społeczną. To jest zupełnie inny kierunek. Nie przyjmowałam nigdy pacjentów i nie mam takiego doświadczenia. Myślę, że jeżeli komendant jest w ciężkim stanie, to powinien wybrać się do specjalisty. Sama też korzystam z takiej pomocy – oznajmiła.

– Społeczna, kliniczna. – Szyk teatralnie parsknął. – Co to ma za znaczenie. Psycholog to psycholog. Jak ktoś będzie cię atakował na ulicy i zobaczysz przechodzącego policjanta, to chciałabyś, żeby nie zainterweniował, bo tłumaczyłby się, że jest z drogowki? – Był ewidentnie rozdrażniony jej odpowiedzią. Znów wrócił jego znajomy, buntowniczy nastrój.

– Lekarz to też lekarz – oponowała. – Ale wątpię, czy chciałbyś, żeby twoją operację serca przeprowadzał ginekolog, co?

Szyka zatkało. Rodríguez miała rację, choć trudno było mu się do tego przyznać. Następną kobietą w robocie, która lubiła postawić na swoim. Chciał jej dogadać, że wszystko mu jedno, byle skalpela nie trzymała baba, ale się opamiętał. Wiedział, że Leśniak bacznie mu się przygląda. Od pewnego czasu był u niego na cenzurowanym.

– Psychologia społeczna bada zachowanie jednostki pod wpływem zachowania innych ludzi. Pod wpływem ich świadomego lub przypadkowego oddziaływania na jednostkę. Bada psychikę człowieka działającego w społeczeństwie, ale te studia nie przygotowują do mierzenia się z indywidualnymi problemami psychicznymi człowieka. Nie uczą, jak sobie z nimi radzić.

– Jakbyś chciała, to byś pomogła. Kropka. – Borys uderzył ręką w stół i wyszedł z sali.

– Wybacz mu – podjął temat nadkomisarz. Pół roku temu jego bliski kolega, policjant z Wrocławia, powiesił się w garażu. Znalazła go żona w ciąży. To dla niego trudny temat. – Pokiwał głową z rezygnacją i pomału podniósł się z krzesła. – Borys sam się obwinia, że nie pomógł. Czasem myślę, że to wszystko jest już ponad moje siły – skwitował i też wyszedł z sali.

Dawniej,

Mirsk, mieszkanie państwa Koczorów

Kubuś nie mógł zasnąć. W pokoju czaiły się straszne potwory. Spoglądały na niego zza szafy i spod łóżka. Poruszały się, kiedy za oknem było czuć silniejszy podmuch wiatru. Pełzały po ścianie jak cienie, przesuwały się po miękkim dywanie, jedynej rzeczy w pokoju chłopca, którą kupiono ze sklepu. Reszta mebli pochodziła z darów dla ubogich albo od koleżanek mamy, których dzieci już wyrosły z dziecięcego wystroju wnętrza. Mały Kuba bardzo się bał potworów, które go nękały. Przychodziły zawsze, kiedy był niegrzeczny. Rodzicie mówili mu, że tak będzie. Przestrzegali go, że jeżeli nie posprząta zabawek albo będzie pyskował do taty, to duchy przyjdą do niego w nocy i będą go straszyły. Gdyby to zależało od niego, byłby grzeczny, naprawdę. Bardzo chciał stać się dobrym synem, którego rodzice chwaliliby i sadzali sobie na kolanach oraz patrzyli na niego z dumą. Takim, o którym mówiliby z ciepłem i miłością, o którym opowiadaliby znajomym, twierdząc, że jest najlepszym dzieckiem na świecie. Wiele by za to oddał. Ale nie wiedzieć czemu, jego buntownicza natura, zawsze kazała mu coś zdejstrować. A to zbić wazon, niby niechcący, a to zerwać firankę w oknie. A ostatnio jakiś głos z tyłu głowy namówił go do wyskrobania scyzorykiem na stole swoich inicjałów. Kuba miał siedem lat i umiał się już podpisać, więc zrobienie inicjałów było dla niego łatwym zadaniem. Kiedy skończył, przykrył stół starym, pożółkłym obrusem i poszedł do siebie. Był szczęśliwy i naładowany jakąś pozytywną energią, której nie mógł nazwać. Jak wtedy, kiedy urodziła mu się siostra. Pamiętał to doskonale, chociaż miał tylko trzy latka. Kochał ją i chciał, żeby się z nim bawiła, ale ona tylko płakała i płakała, a mama stawiała się coraz bardziej nerwowa

i nieobecna. Kuba zaczął się buntować, by zwrócić na siebie uwagę. Chciał, żeby rodzice go dostrzegli, ale oni nic tylko zajmowali się tą małą, pokraczną i pomarszczoną istotą, która nieustannie się darła. Kiedy nie dawali już rady, krzyczeli na siebie, a potem na niego. I wtedy chłopiec pierwszy raz pomyślał, że ma nadzieję, że ją też znienawidzą. Tak samo jak nienawidzili jego. I że ona też będzie obrywała kablem od telefonu za przewinięcia, i że będzie pozbawiona kolacji, jeżeli nie będzie chciała zmówić pacierza. A potem przyszedł dzień, w którym tak się stało i zabolowało go serce. Mała Matylda podrosła na tyle, by jej też rodzice mogli wymierzać sprawiedliwość, by mogli stosować na niej „metody wychowawcze”. Tak właśnie mówili. By mogli wypędzić z ich dziecięcych małych mózdków cholernego szatana. Te słowa często słyszał od matki. Usiadł na łóżku i spojrzał na śpiącą obok siostrę. Na jej policzku widoczna była fioletowa śliwa od wczorajszego uderzenia mamy. Czuł się winny, bo kiedyś sam jej tego życzył. A przecież tylko Matylda kochała go naprawdę, tylko ona przytulała się do niego, kiedy zasypiał i głaskała, kiedy płakał. Obiecał sobie, że zawsze będzie ją chronił. Za wszelką cenę. Dziś nie zaśnie, na wypadek gdyby potwory zaatakowały. Musi stać na warcie, by nic nie stało się jego siostrze.

Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza

Carmen usiadła w wygodnym welurowym fotelu o kolorze głębokiego granatu. Rozejrzała się dookoła po nowoczesnym, eleganckim wnętrzu. Pokój urządony był w dobrym guście i wysokim standardzie. Nie tak wyobrażała sobie polskie gabinety lekarskie. Na szmaragdowej ścianie w złotych ramach wisiały dyplomy ukończenia studiów i licznych kursów, mające świadczyć o odpowiednim wykształceniu i doświadczeniu psychiatri. Z zaciekawieniem odkryła, że doktor skończył szkołę psychoterapii, co w realiach polskiego systemu zdrowia stanowiło niewątpliwą osobliwość. Wiedziała, że psychoterapię kończą zazwyczaj psychologowie. Do tej pory nie poznała żadnego psychiatry, któremu chciałoby się pracować w określonym nurcie psychoterapeutycznym.

– Mam nadzieję, że jest pani wygodnie – rozpoczął lekarz, który usadowił się naprzeciwko w takim samym welurowym fotelu. Dzielił ich mały, szklany stolik o okrągłym kształcie, na którego blacie stała butelka z wodą, dwie szklanki i paczka chusteczek higienicznych.

– Bardzo ładny gabinet – pochwaliła jego gust, choć nie wiedziała przecież, czy sam projektował wnętrza.

– No więc, co panią do mnie sprowadza, pani Carmen? – Założył nogę na nogę, a na udzie położył mały laptop. – Proszę pozwolić, że będę notował. Oczywiście, wszystko co pani powie, zostanie jedynie w tym gabinecie – zapewnił.

– Wczoraj miałam koszmarną noc – powiedziała bez chwili wahania, jednocześnie szukając w jego oczach zrozumienia. Minął już jakiś czas, odkąd ostatnio była u specjalisty, a z powodu stresu związanego z przepro-

wadzką objawy zaczęły się nasilać. Dobrze wiedziała, że to ostatni moment na konsultację lekarską, zanim znowu popadnie w obłąd.

– Proszę mi o niej opowiedzieć – zachęcił.

– W nocy obudził mnie dziwny hałas. Coś jakby wystrzał z pistoletu, połączony ze skokiem do głębokiej wody. Jej plusk rozchodził się echem po apartamencie – zaczęła swoją opowieść. – Otworzyłam oczy i wpatrywałam się w ciemność, nasłuchiwałam. Wydawało mi się, że to, co słyszałam, było tylko pozostałością z koszmaru – celowo nie wspomniała o tym, że pierwsze co zrobiła po przebudzeniu, to sprawdzenie, czy nóż nadal znajdował się za materacem. Nie знаła na tyle tego mężczyzny, by powiedzieć mu o wszystkim.

– Śniło się pani coś konkretnego? – zadał pytanie, gdy ona się zamyśliła.

– Tak – powiedziała bezmyślnie, po czym szybko się poprawiła. – Nie. To znaczy, nie wiem. Nie pamiętam, ale wiem, że ten sen mnie bardzo zmęczył.

– I co było dalej? Po tym kiedy pani się obudziła? Jak się pani czuła?

– Złęczniona – przyznała. – Jakby w mojej sypialni czaiło się zło. Jakby chciało mnie porwać w swoje szpony. Serce zaczęło mi bić szybciej, w ustach poczułam suchość, a w głowie pojawiła się gonitwa myśli i zadreżczałam się pytaniem, czy ktoś tu jest? Czy chce zrobić mi krzywdę? Czy dzisiaj zginę?

– Hmm... – doktor podrapał się powoli po brodzie. Jej historia zdawała mu się interesująca. – Dlaczego akurat wystrzał i woda? – Zadał pytanie i dostrzegł w jej oczach panikę. Wiedział, że nie chce odpowiedzieć. – Czy w pani przeszłości zaszło coś traumatycznego związanego z tymi dwoma rzeczami? Pistoletem i wodą?

Carmen poczuła, że poca jej się ręce, a głowa zaczyna być coraz bardziej ciężka.

– Ja... To znaczy, przepraszam. Nie jestem jeszcze gotowa, by o tym opowiedzieć.

– Rozumiem. Wszystko w swoim czasie – odparł doktor. – Bez pośpiechu. Proszę mówić o tym, o czym pani jest w stanie. Obudziła się pani w środku nocy i co było dalej?

– Miałam wrażenie, że ktoś jest za drzwiami – powiedziała ostrożnie, niemal widząc przed oczami tę sytuację.

– Zobaczyła pani jakiś cień? Słyszała głosy?

– Nie – pokręciła przecząco głową. – Ja po prostu to czułam. Ale wiem, że to niemożliwe, bo mam fotokomórkę i światło automatycznie, by się zapaliło. Ostatnio ciągle czuję czyjąś obecność.

– Od dawna?

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie.

– Zadam je inaczej. Czy kiedy była pani nastolatką, też miewała takie odczucia?

– Nie. Absolutnie. To się zaczęło jakoś w wieku trzydziestu lat.

– OK – lekarz pokiwał głową ze zrozumieniem i zanotował coś w laptopie. – A teraz ile ma pani lat?

– Czterdzieści.

– Czy dziesięć lat temu zaszła w pani życiu jakaś istotna zmiana? Coś, co znacząco panią dotknęło? Przeżyła pani traumę?

– Nie, to był bardzo szczęśliwy czas. Poznałam wtedy mojego męża i byłam bardzo zakochana. Nie działo się nic złego, dlatego mnie też to bardzo dziwi, ale... – Zawahała się.

– Proszę powiedzieć. Nawet jeżeli w pani ocenie jest to dziwne lub nieistotne.

– Ja chyba właśnie wtedy zaczęłam tracić zmysły – powiedziała i spojrzała na doktora z przerażeniem.

– Dlaczego pani tak uważa? – Przypadek Carmen wydał mu się frapujący. Na pierwszy rzut oka była elegancką, pewną siebie kobietą. Sprawiała wrażenie osoby dobrze sytuowanej i przyzwyczajonej do luksusu. Spojrzawszy na nią, widział kobietę o idealnie ułożonych włosach, w drogich bransoletach i z zegarkiem na nadgarstku wart jakieś dziesięć tysięcy zło-

tych, w oczy rzucał się także płaszcz, w którym dziś przyszła, zapewne o nie mniejszej wartości. Wydawała się miłą, ale zasadniczą. Rokosz odbierał ją też jako zdecydowaną, konkretną, potrafiącą stawiać granice i świadomą własnej wartości osobę. Jednak w głębi duszy obawiała się czegoś, co mogło ją spotkać, przepelniały ją lęki i była niemal przekonana o własnej niepoczytalności. Zaintrygowała go bardziej niż wszyscy inni jego dotychczasowi pacjenci. Pomijał oczywiście fakt, że była atrakcyjna. Choć nieco żałował, że nie zadzwoniła w celach towarzyskich, wiedział, że nawiązując relację lekarz–pacjent, mógł się o niej dowiedzieć dużo więcej. – Pani Rodríguez? – zwrócił się ponownie do kobiety, która od dłuższej chwili milczała.

– Przepraszam, zamyśliłam się. – Poprawiła się na fotelu, który pod ostrzałem niewygodnych pytań nie był już taki komfortowy.

– Dlaczego uważa pani, że traci zmysły?

– Bo tak właśnie jest – wyznała, sprawiając wrażenie pogodzonej z sytuacją. – W nocy, kiedy wstałam z łóżka, podeszłam na palcach do drzwi i bałam się wyjść. Rozumie pan? Bałam się, że jeżeli wyjdę z sypialni, to stanie się coś złego. Dostałam gęsiej skórki, a zmysły wyostrzyły się, byłam pełna obaw, że coś pominę, że czegoś nie zobaczę lub nie dosłyszę, i kiedy już prawie udało mi się uspokoić samą siebie i przekonać, że to tylko moje chore wyobrażenia, nagle w całym domu wybrzmiała głośno muzyka – zasłoniła uszy dłońmi, kiedy o tym wspominała.

– Może pani opacznie coś ustawiła, zanim poszła spać?

– Nie. Z pewnością nie. Trochę wypiliśmy, ale pamiętam bardzo dokładnie, że nie ruszałam zestawu stereo. Poza tym ja nie słucham takiej muzyki. Preferuję raczej soul, jazz i latino, a to wycie i dudnienie przypominało raczej heavy metal, było tak głośno, że niemal rozsadzało mi czaszkę. Pobiełam szybko do salonu i wyłączyłam wieżę. Dopiero wtedy usłyszałam głośne walenie do drzwi.

Lekarz spojrział na nią z ciekawością.

– Sąsiadka – wyjaśniła od razu. – Przyszła z pretensjami, że pobudziłam jej dwoje dzieci i poinformowała, że złoży na mnie skargę do zarządu.

– Ile pani wypła przed zaśnięciem – lekarz zadał pytanie, które jak przypuszczał nie zostanie dobrze odebrane.

– Dwa, trzy kieliszki wina, nie pamiętam. Ale to na pewno nie przez alkohol – zarzekała się. – Ze mną naprawdę dzieje się coś złego – zaczęła mówić coraz szybciej. – I przyczyny nie należy upatrywać w alkoholu. Przysięgam. Mam częste zaniki pamięci, zdarza się, że wchodzę do pomieszczenia, w którym byłam chwilę wcześniej i wszystko jest inaczej poukładane. Wiem, że nie ja to przestawiłam, ale nie pamiętam, co robiłam w tym czasie, kiedy mnie nie było w danym pomieszczeniu. Zdarzało się nawet, że nie pamiętałam całych dni, nie wiedziałam, co przez ten czas robiłam. Wydawało mi się, że jest wtorek, a okazywało się, że już piątek i nie potrafiłam sobie przypomnieć, co się działo – skończyła tłumaczyć i zdała sobie sprawę, jak to może wyglądać. Pewnie lekarz pomyśli, że jest alkoholiczką, że wpada w cugi i traci świadomość. Z zewnątrz właśnie tak to wszystko wyglądało, ale ona wiedziała, że jest inaczej.

Doktor Rokosz westchnął głęboko i spojrzał na nią z troską, co tylko jeszcze bardziej ją zirytowało. Poczowała się, jak mała niezrównoważona dziewczynka, której trzeba zakomunikować coś, czego nie przyjmie do wiadomości. I która będzie się buntowała bez powodu.

– Wiem, co pan powie. Ale ja nie jestem alkoholiczką – zapewniła, zanim Rokosz zdążył otworzyć usta.

– Tego nie wiem, więc nie będę wyrokował. Na pewno nie zaszkodziłoby pani odstawienie wina i innych używek na jakiś czas, wtedy przekona się pani na własnej skórze. Może okaże się, że pani odczucia ulegną diametralnej zmianie?

– Nie piłam przez dwa lata i też miały miejsce takie sytuacje, chociaż faktycznie, dużo rzadziej – przyznała po cichu.

– Jest zbyt wcześnie na stawianie diagnozy, ale sytuacje, które pani opisała, mogą wskazywać na fugę dysocjacyjną. To przypadłość polegająca na zaburzeniach świadomości, na ucieczce umysłu od sytuacji trudnych i nieprzyjemnych przeżyć. Objawia się amnezją wsteczną. Chorzy nie mogą sobie przypomnieć, co działo się w ich życiu przez kilka godzin lub dni. Cza-

sem opuszczają wtedy swoje środowisko życia lub pracy, a czasem nie. Zazwyczaj jest to spowodowane silnym stresem, czasem przeżytą traumą i towarzyszy zaburzeniom lękowym, czy tak jest u pani? Nie wiem. Jedno spotkanie to za mało, by stwierdzić to z całą pewnością. Pani przypadek jest interesujący i chętnie podejmę się dalszej diagnostyki. A tymczasem przepiszę lekkie leki na uspokojenie. Proszę je brać codziennie przed snem, pozwolą pani wypocząć i nie wpadać w nocne ataki paniki. Proszę też odstawić alkohol, tych leków nie można łączyć z procentami. Spotkamy się dokładnie za tydzień, chyba że coś by się wydarzyło, to proszę dzwonić, dobrze? – podał jej karteczkę z kodem e-recepty.

Zabrała świstek papieru i spojrzała mimochodem na zegarek, ze zdziwieniem stwierdziła, że minęła godzina, odkąd tu przyszła. Ale nie wiedziała, co powiedzieć. Oziębły ton głosu doktora zaskoczył ją. Jakby nagle uznał, że nie jest warta jego czasu. Chciała zaprotestować, powiedzieć, że opłaci kolejną godzinę, ale powstrzymała się. Powinna najpierw przemyśleć to, czego się dowiedziała.

– Proszę się nie martwić. – Marcin Rokosz wyczuł jej nastrój bezbłędnie.
– Wiem, że dopiero co zmieniła pani miejsce zamieszkania i pracę, a sprawa, którą pani przydzielono, jest pełna okrucieństwa. To normalne, że czuje się pani zagubiona. Wszystko będzie dobrze – zapewnił.

Chciała zapytać, skąd ma takie informacje, kiedy przypomniała sobie, że była bohaterką obszernego artykułu w lokalnym dzienniku, a o wczorajszym zabójstwie pisano już właściwie wszędzie. Oczywiście było to, że jedyna profilerka w regionie musiała dostać ten przydział. Podziękowała i pożegnawszy się, wyszła z gabinetu.

Piechowice, dom Borysa Szyka

Wizyta u Marii Koniecznej nic nie wniosła do sprawy. Co prawda, dziewczyna potwierdziła, że jej koleżanka, Aneta, była w dobrej kondycji psychicznej, że poznała kogoś w Internecie i miała się z nim spotkać, ale dokładnie nie wiedziała, kiedy ani jak się ten ktoś nazywał. Określiła Anetę jako osobę postrzeloną i zawsze stawiającą na swoim. Brat ofiary zeznał coś zupełnie innego. Według niego po tragedii, którą przeżyła Aneta, jego siostra stała się spokojna, wyciszona i zamknięta w sobie. Zazwyczaj tak jest, że najbliżsi inaczej oceniają swoich krewnych. Śledczy musieli czekać na to, co w telefonie i laptopie dziewczyny odkryją technicy. Mieli nadzieję, że trafią na jakiś trop. Żeby nie mieć do siebie pretensji, Borys wybrał numer do brata ofiary i połączył się przez zestaw głośnomówiący.

– Cześć – powiedział Bartek Sasek, odbierając telefon niemal natychmiast. – Macie coś?

– Nie wiem. Potrzebuję twojej pomocy. Czy Aneta miała cokolwiek wspólnego z górnikiem lub jakąś kopalnią?

– Z kopalnią? – Zastanowił się przez chwilę. – Masz na myśli kopalnię węgla kamiennego?

– Jakąkolwiek, może to być kopalnia węgla, soli, miedzi – rzucił. – Może jej były mąż jest górnikiem?

– Nie, Szymon jest kelnerem i od pół roku siedzi w Anglii na zmywaku – wyjaśnił. – Dzwoniłem do niego dzisiaj i opowiedziałem o wszystkim. Ale poczekaj, coś mi się właśnie przypomniało, było coś związanego z kopalnią – powiedział pewnym tonem Bartek. – Aneta mówiła mi, że wysyłała CV do

kilku różnych firm. Jestem niemal pewien, że wśród nich był KGHM. Pamiętam, że odradzałem jej ten krok, bo musiałyby przenieść się do Polkowic czy Lubina. Nie chciałem tego. Nawet trochę się pokłóciliśmy. I w sumie nie jestem pewien, czy wysłała to podanie czy nie.

– A na jakie stanowisko?

– Biurowe. Chodziło o pracę w sekretariacie. Aneta nie skończyła żadnej uczelni wyższej, ale trzy lata studiowała administrację. Namawiałem ją na powrót na uczelnię. Teraz wszystko można studiować zdalnie – wyjaśnił.

– OK, dzięki. Bardzo mi pomogłeś. Jak będę już coś wiedział, to na pewno zadzwonię. Na razie mamy same poszlaki. Trzymaj się. – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Nie chciał kontynuować rozmowy i wysłuchiwać ludzi będących w żałobie. On sam dźwigał swój krzyż, który ciążył mu od kilku miesięcy.

Po drodze do domu zahaczył o sklep spożywczy. Kupił bochen chleba, pasztet, ogórki kiszzone i dwie półlitrowe butelki wódki. Chciał się porządnie zresetować, odciąć od obrazów, jakie nawiedzały go tego dnia. Potrzebował tego. Myślał, że przepracował ten temat, ale po porannej rozmowie o kolegach komendanta, którzy targnęli się na własne życie, powracały do niego obrazy z kostnicy, w której patrzył na bezwładne, blade ciało swojego najlepszego kumpla. Widok martwego kolegi z wytrzeszczonymi oczami i z zasinieniem wokół szyi, na zawsze pozostanie w jego pamięci. Minęło pół roku, a on nadal nie mógł tego pojąć. Jak to, do cholery, było możliwe, że Damian wziął sznur i najzwyczajniej w świecie powiesił się we własnym garażu? Nie mieściło mu się to w głowie. Dlaczego do niego nie zadzwonił, dlaczego nie powiedział, że ma jakieś kłopoty? I dlaczego, do kurwy nędzy, on sam tego nie zauważył? Pomimo dzielącej ich odległości rozmawiali ze sobą niemal co tydzień. Borys wiedział, że Damian chodził na sesje do psychologa, że miał problemy po ostatniej akcji z użyciem broni palnej na służbie, ale za cholerę nie spodziewałby się, że targnie się na swoje życie. Przecież miał zostać ojcem i bardzo tego pragnął.

– Pierdoleni psychologowie – zaklął i uderzył dłonią w kierownicę. – Po chuj do takiego chodzić, jak i tak człowiek kończy na stryczku. – Podświa-

domie czuł, że obwinia innych o śmierć kumpla, by nie obwiniać siebie, ale wolał głośno tego nie przyznawać. To było zbyt bolesne.

Podjechał pod dom, wysiadł z auta i z rozmachem trzasnął drzwiami.

– Borys? – jego stary ojciec wynurzył się z garażu. Był słabego zdrowia. Choroba degeneracyjna układu nerwowego sprawiała, że wyglądał na dużo starszego, niż w rzeczywistości był.

– Cześć, tato, jak się czujesz? – Podeszedł do ojca i ucałował go w czoło.

– Dobrze, synu, dobrze. Naprawiam kosiarkę, żeby była gotowa na następny sezon. – Pokazał ręką w stronę rozłożonych na ziemi części. – Wódkę kupiłeś? – zaniepokoił się. Zdawał sobie sprawę, że ostatnimi czasy jego syn pił za dużo.

– Ano, kupiłem – odburknął Szyk. – Przyłączysz się do syna?

– Jeśli to miałyby uchronić cię przed wypiciem obu flaszek w samotności, to owszem – powiedział z troską w oczach. I przetarł umazane od smaru ręce szmatką włożoną w kieszeń spodni. – Dobrze, że dziś nie pada – powiedział. – Przynajmniej człowiek na świeże powietrze wyjdzie. Chodź, usiądziemy w ogrodzie – zaproponował.

Kiedy ojciec poszedł do kuchni po szkło, telefon Borysa zawibrował.

– Co jest? – rzucił, widząc na wyświetlaczu imię i nazwisko Marka Karłowicza, kolegi z lokalnej gazety. Często współpracowali przy artykułach dotyczących zabójstw lub zaginięć, zwłaszcza kiedy policji zależało na umieszczeniu informacji w prasie. Ale Marek nie był w ciemny bity i Borys doskonale wiedział, że potrafił jak nikt inny wyciągać od nich dane dotyczące prowadzonych śledztw. Nawet te, których nie chcieli podawać do prasy. Rozmawiając z nim, musiał się pilnować, żeby nie mówić zbyt wiele.

– Hejo. Podobno pracujesz przy sprawie Jaskiniowca – powiedział bez ogródek Karłowicz tytułem wstępu.

– Jaskiniowca? – Borys zmarszczył czoło. – Kurwa, już mu nadaliście ksywę? – przeczesał palcami cienkie blond włosy, które dziwnie układały się przy pogłębiających się wciąż zakolach na głowie.

– No, słuchaj, potrzebowałbym od ciebie paru informacji.

– Stary, pojebało cię? – wybuchnął. Ewidentnie nie był w nastroju, nie miał zamiaru trzymać się konwenansów. – Nic ci nie powiem, możesz o tym zapomnieć i proszę, nie powołuj się na starą przyjaźń, bo zdaje się, że dzwonicz do mnie tylko wtedy, kiedy masz interes – wyrzucił mu.

– Czekał – zastopował go Marek. – Zanim obrzucisz mnie błotem, proponuję uczciwą wymianę. Informacja za informację.

– Phi! – parsknął Szyk i klepnął otwartą dłońią w udo. – A niby jakie ty możesz mieć dla mnie informacje? – Otworzył butelkę, widząc, że ojciec kładzie na drewnianym blacie kieliszki i zakąski.

– Słuchaj, mam takie info, że ci kapcie z twoich śmierdzących gir spadną. Ale nie będę gadać o tym przez telefon. Za ile możesz u mnie być?

– Nigdzie nie jadę, jak nie dowiem się chociaż, o kogo chodzi – powiedział stanowczo, choć był zaintrygowany. Znał Marka zbyt dobrze i doskonale wiedział, że nie rzuca słów na wiatr. Skoro miały mu spaść kapcie, to tak właśnie będzie.

– Mam info o twojej nowej koleżance z zespołu, profilerce Carmen Rodríguez – powiedział, a w słuchawce odpowiedziała mu głucha cisza. Wiedział, że Borys połknął haczyk. – Wierz mi, że nie będziesz żałował.

– Wyjeżdżam za pięć minut. Będę u ciebie za dwadzieścia i obyś mnie nie wkręcał, bo poważnie się wkurwię. Jakbyś nie wiedział, to miałem już plany na to popołudnie – rozłączył się i nalał tacie kieliszek. – Trzymaj, stary. Mnie wzywa robota. Napiję się z tobą, jak wrócę.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Nadkomisarz Leśniak nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Kiedy pojechał na obiad do domu, wydawało mu się, że nic ważnego się już tego dnia nie wydarzy, jednak nie było mu dane odpocząć. Przed powrotem na komendę zażył cztery tabletki przeciwbólowe i popił ziołową herbatą, zaserwowaną przez Basię specjalnie dla niego. Jej smak nie był zbyt dobry, powiedziałby nawet, że był paskudny, ale zdawał sobie sprawę, że poczuje się po niej lepiej. Zawsze tak było. Jego żona interesowała się ziołolecznictwem i знаła lokalnych zielarzy. Zawsze wracała od nich ze słodczkiem suszu, który dodawała do herbaty. Komendant Piotr Pierzała czekał na Leśniaka w swoim gabinecie. Miał dokładnie czterdzieści dziewięć lat, ale po trudnych doświadczeniach ostatnich dni wyglądał przynajmniej o dziesięć wiosen starszy. Leśniak z przerażeniem zauważył, że w ciągu tygodnia na głowie Piotra pojawiło się sporo nowych siwych włosów, zmarszczki na twarzy pogłębiły się, a sylwetka była zgarbiona.

– Wejdz – powiedział i machnął dłonią w geście zaproszenia. – Siadaj, Boguś.

– Co się dzieje? – Nadkomisarz przypuszczał, że rozmowa nie będzie łatwa. W pokoju był zaduch, atmosfera zdawała się gęsta i przygnębiająca, a zapach alkoholu, który unosił się w powietrzu był tak intensywny, że Leśniakowi zdawało się, że wystarczyłaby iskra, a gabinet mógłby wylecieć w powietrze.

Policjant wykonał polecenie, ale najpierw podszedł do okna i je otworzył. Zimne, rześkie powietrze pomału wypełniało pomieszczenie.

– Zimno – wyburczał znad szklanki komendant.

– Ano, zimno – przyznał Leśniak i usiadł naprzeciwko niego. – Sam będziesz pił?

Inspektor Pierzała nie odpowiedział. Wyciągnął za to z szafki pod biurkiem drugą, wykonaną z grubego grawerowanego szkła, szklanekę i nalał do niej whisky.

– Wybacz moje maniery. – Podał koledze bursztynowy trunek, podniósł swoją szklanekę i wzniósł toast. – Za tych, co zostali przy życiu, oby szybko się to nie zmieniło.

Leśniak upił łyk, patrząc, jak jego towarzysz duszkiem pochłonał całą zawartość.

– Mów – polecił mu. – Czemu mnie wezwałeś?

– Idę do psychiatryka – oznajmił bez ogródek komendant.

– Dokąd, kurwa, idziesz?

– Tam gdzie spierdalają wszyscy nasi wspaniali bracia, kiedy udają, że mają problemy – pokręcił z niesmakiem głową. – Do szpitala psychiatrycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji – wymówił nazwę całkiem sprawnie, a biorąc pod uwagę ilość spożytego alkoholu, czynność ta nie należała do najłatwiejszych.

– Może faktycznie mają kłopoty. – Wyraził swoje zdanie na ten temat Leśniak. Sam nigdy nie był w tym miejscu, ale dobrze wiedział, że słabsi psychicznie koledzy odwiedzali oddział stacjonarny lub dzienny czasem nawet kilkukrotnie.

– Chuj, a nie kłopoty! – wykrzyknął komendant. – Ci, którzy mają kłopoty, wiesz, co robią? Wiesz?! Biorą linę i się, kurwa, wieszają! – Mówił coraz szybciej, głośniejszym głosem, a z jego ust wylatywały krople śliny. – Albo w łeb sobie strzelają służbową bronią. O, tak! – wyciągnął Glocka z szuflady, odbezpieczył i przyłożył sobie do głowy. – Bum! – wykrzyknął.

– Pojebało cię? – wrzasnął Leśniak. – Oddawaj to! – Zerwał się z krzesła, wyszarpał mu broń i schował z powrotem do szuflady. – Piotr, musisz się, kurwa, ogarnąć. Ja wiem, że jest ciężko, ale musisz dawać przykład.

– Ty będziesz dawał przykład, Boguś – powiedział z rezygnacją komendant.

– Ja? Co znowu? – nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Nie będzie mnie przynajmniej przez cztery tygodnie. Może się okazać, że nawet osiem, to ponoć bardzo prawdopodobne. Będziesz mnie zastępował.

– Ja? Czemu ja? – Leśniak poderwał się z miejsca i momentalnie tego pożałował. Ból w dole pleców znów dał o sobie znać.

– Bo jesteś najbardziej doświadczony. I bo ja tak chcę. Koniec, kurwa, kropka.

Po wsadzeniu Piotra Pierzały do taksówki, która miała odwieźć go do domu, Leśniak udał się w kierunku gabinetu informatyka Marcela Śrubowskiego. Wolał się nie zastanawiać, ile obowiązków przybędzie mu, kiedy na tabliczce z nazwiskiem na biurku dopiszą informację: „pełniący obowiązki komendanta”.

– Czołem, komendancie – przywitał go facet w dresie i wysokich białych adidasach. Marcel był w okolicach czterdziestki, ale nosił się jak dwudziestoletni modny dresiarz z lat osiemdziesiątych.

– Już wiesz? – zdziwił się Bogusław.

– Przedemną nic się nie ukryje. – Wyszczерzył do niego szereg nierównych, lecz śnieżnobiałych zębów. – Dobrze, że jesteś. – Poklepał stos wydrukowanych dokumentów umieszczonych na stoliku przy laptopie.

– Coś konkretnego? – zapytał z nadzieją w głosie, ale z mniejszym entuzjazmem niż zwykle. Coraz bardziej marzył o emeryturze.

– Owszem – odparł Marcel. Rozpiął swoją kolorową ortalionową bluzę i usiadł na fotelu gamingowym. Rok temu wymusił na komendancie ten zakup, grożąc zwolnieniem lub wzięciem półrocznego zwolnienia lekarskiego na rehabilitację kręgosłupa. – Aneta Sasek prowadziła podwójne życie – oznajmił.

– Że jak? – zdziwił się Leśniak. – Przecież była po rozwodzie, mogła robić, co jej się żywnie podobało.

– Owszem, ale jeszcze rok temu była w związku – wyjaśnił. – Udało mi się odzyskać wszystkie wiadomości z telefonu do dwóch lat wstecz. Wydrukowałem treści tych, które są ważne dla sprawy. – Wręczył mu teczkę. – W skrócie wygląda to tak, że spotykała się z dwoma facetami w tym samym czasie, a zachodząc w ciążę, nie miała pewności, kto jest ojcem dziecka.

Leśniak otworzył szeroko oczy, usiadł na plastikowym krześle dla gości i słuchał dalej.

– Jednym z mężczyzn, tudzież potencjalnym ojcem dziecka numer jeden, był Szymon Rapała. Kelner ze Złotoryi. Drugim Antoni Pawliński, dyrektor działu sprzedaży KGHM-u.

– Co ty powiesz... – Leśniak się zamyślił. Czyżby dobrze odczytał znak kupli na stopie dziewczyny i czy faktycznie ten facet mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią? – Kontynuuj – polecił nadkomisarz.

– Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że Antoni Pawliński miał i nadal ma żonę. Karolina Pawlińska, lat trzydzieści osiem, czyli tyle samo co on. Mieszkają razem w domu jednorodzinnym w Polkowicach, mają dwójkę uroczych berbeci w wieku dwanaście i osiem lat.

– Czyżby, kiedy zmarło jej dziecko, postanowiła odnowić z nim kontakt? – zastanawiał się głośno Leśniak. – To by mógł być całkiem prawdopodobny motyw zabójstwa, o ile między nimi dochodziło do napięć – głośno myślał.

– I to do jakich! – Marcel zagwizdał przeciągle. Początkowo próbowała go przekonać, że to jego dziecko. Ale kiedy ją wyśmiał i odprawił z niczym, szybko znalazła oparcie w Szymonie. Przez kilka miesięcy jej kontakt z Antonim był ograniczony, pisali ze sobą sporadycznie, choć jak wynika z wiadomości kilka razy się spotkali. Ona cały czas twierdziła, że go kocha i chce z nim być, błagała, by uciekli razem. On oczywiście nie miał na to najmniejszej ochoty. Traktował ją raczej jak idiotkę do ru... znaczy do seksu. Kiedy urodziło się dziecko, Aneta pisała mu, że zrobiła testy na ojcostwo i córka z pewnością nie jest Szymona. Próbowwała wymusić na nim spotkanie, a kiedy to nie doszło do skutku, prosiła o pieniądze na utrzymanie małej. Młodym się nie przelewało, ale myślę, że eksmąż ofiary to całkiem po-

rządny koleś, który chciał jakoś sprostać zadaniu, tyle że w polskich realiach po prostu było mu ciężko. Kiedy dziecko zmarło, a małżeństwo się rozpadło, Aneta próbowała wrócić do Pawlińskiego. Ale ostatecznie ją odrzucił. Trafiła do szpitala psychiatrycznego i po zakończonym leczeniu na oddziale przeprowadziła się do Szklarskiej do brata.

– Czy od tego czasu kontaktowała się z byłym kochankiem? – dopytywał Leśniak.

– Owszem. Często wypisywała do niego, groziła, że jeżeli nie zostawi żony, to powie jej o wszystkim. Myślę, że kilka razy się spotkali. Antoni, przekonany przez Anetę, że zmarła też jego córka, wydawał się bardziej uczuciowy. Jednak pewnego dnia odkrył, że Aneta go okłamała. Faktycznie zrobiła badania genetyczne, ale te jednoznacznie potwierdziły, że ojcem dziecka był jej mąż Szymon. Bardzo się pokłócili i więcej mieli się nie spotykać.

– Ale ona nie wytrzymała? – domyślił się Leśniak.

– Owszem, pisała Antoniemu, że ma nagrania, jak zabawiają się w sypialni, i że jeżeli nie odejdzie od żony, to jej to wyśle.

– Cholera. – Nadkomisarz potarł brodę. – To mamy motyw i podejrzanego, w dodatku takiego, który pracuje w kopalni. Wszystko się zgadza.

Jelenia Góra, siedziba „Lokalnych Nowin”

Borys Szyk zaparkował swoją skodę fabię, najbliżej biurowca gazety, jak tylko się dało. Chciał mieć samochód pod ręką, gdyby okazało się, że rewelacje przekazane mu przez dziennikarza nie były warte pozostania w budynku ani sekundy dłużej. Wtedy jak najszybciej mógłby wsiąść za kierownicę i wrócić do zajebistego planu zalania się w trupa. Wychodząc z auta, poczuł wilgotne i chłodne powietrze. Jeszcze kilka dni i będzie musiał wygrzebać z pawlacza zimową kurtkę. Przechodząc przez ulicę w niedozwolonym miejscu, pokazał środkowy palec trąbiącemu na niego kierowcy. Czerwone drzwi wejściowe otworzyły się, zanim do nich podszedł.

– Przed czasem – powiedział z uznaniem wysoki brunet, spoglądając ostentacyjnie na zegarek.

– I jak zwykle w niedoczasie, więc mów od razu, co masz – rzucił Borys, wchodząc do środka.

– Co ty taki w gorącej wodzie kąpany? Nie zapytasz najpierw o zdrowie? – Marek droczył się z nim, widząc, że jego rozmówca ewidentnie nie jest w humorze.

– Jak się, kurwa, miewa szanowny pan? – Borys przekrzywił głowę i spojrział na niego z dołu. Był dużo niższy od kolegi, więc jego przygarbiona i skręcona w dziwacznej pozycji sylwetka wydawała się dziennikarzowi śmieszna.

– Dziękuję, dobrze – odparł i usiadł przy biurku. Spojrzał z rozbawieniem na kolegę i wyłożył nogi na blat. – Potrzebuję od ciebie informacji, jakie obrażenia odniosła Aneta Sasek, co zrobił jej dokładnie Jaskiniowiec –

zaczął konkretnie. – Ludzie mówią, że zjadł jej jakąś część ciała, i że to prawdziwy kanibal.

Szyk parsknął śmiechem i usiadł obok kolegi.

– Nieźle. Wyobrazasz sobie, co by się działo w mieście, gdybyś tak napisał?

– Czyli to nieprawda. Ale takie plotki nie biorą się z niczego. Ofiara musiała zostać okaleczona, w przeciwnym przypadku ludzie nie gadaliby głupot. Społeczeństwo ma prawo wiedzieć, co się stało, żeby być świadomym zagrożenia. Co jeżeli Jaskiniowiec znowu zaatakuje? – uderzył w patetyczne tony.

– Przestań pierdolić. – Borys parsknął z dezaprobatą. Mów, co wiesz o Carmen Rodríguez, to może się dogadamy.

– Ale mam twoje słowo? – upewniał się.

– Masz. O ile słowo gliny jest dla ciebie coś warte. Dla większości ludzi już niewiele znaczy.

– Słuchaj, nie wiem, jak to możliwe, że Pierzała jej nie sprawdził, ale zdaje się, że na komendzie nie powinny pracować osoby skazane, a już tym bardziej za poważne przestępstwa, no nie? – Zawiesił głos. Zauważył, że Borys słucha z zainteresowaniem.

– Masz moją uwagę, kontynuuj. – Poczuł, że we krwi zaczyna mu krążyć adrenalina. Rodríguez była skazana. Bardzo ciekawiło go, co takiego zrobiła i dlaczego, do jasnej cholery, komendant postanowił ją zatrudnić wbrew zasadom.

– Kilka dni temu dostaliśmy cynk od anonimowego informatora, że do miasta przyjeżdża jakaś Hiszpanka i że będzie pracowała dla jeleniogórskiej policji jako profilerka.

– Ty mi powiedz coś, czego nie wiem – niecierpliwił się.

– Poczekaj, bo tu wszystko jest ważne – zastopował go Marek. – Otóż, twierdzono, że to jest superspecjalistka i że wiele lat pracowała w hiszpańskiej policji, gdzie tworzyła profile psychologiczne sprawców. Postanowiliśmy napisać o niej artykuł, bo zawsze to jakaś nowina i nutka egzotyki,

a takie rzeczy nie dzieją się w Jeleniej codziennie. Ale kiedy artykuł wyszedł, odezwała się do nas inna osoba, która twierdziła, że zna Carmen Rodríguez, i że to jest w Hiszpanii owiana niechlubną sławą morderczyni.

Borys skrzywił twarz w zdziwieniu, nie wiedział, czy brać tę informację na poważnie.

– Może po prostu ktoś was zrobił w bambuko – skwitował. – Jeżeli to wszystko, co masz, to się raczej nie dogadamy. – Chciał wstać z krzesła, ale Marek zatrzymał go, pociągając za rękę.

– Siadaj – polecił. – Coś ty taki narwany? Przecież nie sprowadziłbym cię tu, gdybym tego nie sprawdził – popatrzył na niego znacząco i znów ujrzał zainteresowanie w oczach Borysa. – Tak się składa, że mam koleżankę, która wyszła za hiszpańskiego dziennikarza. Rezyduje w Madrycie, a to kawał drogi od Malagi, gdzie mieszkała Rodríguez, ale zdołali zdobyć na jej temat informacje.

– I...? Bo słowo daję, że doprowadzasz mnie już do granic wytrzymałości – Szyk czuł się coraz bardziej zirytowany.

– Ponoć to prawda. Carmen Rodríguez zabiła swojego męża. Dwa lata temu została skazana i siedziała w więzieniu za zabójstwo. Wyszła dopiero półtora miesiąca temu.

– Co? – Borys intensywnie myślał. – Jesteś pewien, że chodzi o tę samą osobę? Może tylko imię i nazwisko się zgadza. Co to u nas nie ma kilku Anek Kwiatkowskich? Skoro zabiła i udowodnili jej winę, to dlaczego dostała tylko dwa lata? Może facet ją lał albo sędzia uznał, że było to zabójstwo w samoobronie? – Do głowy przychodziły mu coraz to inne pomysły, jednak mimo wszystko dwa lata odsiadki, to stanowczo za krótko za popełnienie takiej zbrodni. Mimo to nowina przedstawiona przez Marka była naprawdę rewelacyjna, jak zwykł mawiać. Takiego zaskakującego obrotu spraw Borys się nie spodziewał.

– Słuchaj, to jeszcze nie wszystko, czego się dowiedziałem. Ponoć jej mąż był Polakiem i uwaga, tu zagadka, pochodził z... – Zawiesił głos, czekając aż Borys poskłada kawałki w jedną całość.

– Kurwa mać! Z Jeleniej Góry! Dlatego tu przyjechała? Ale po co? Czy to nie jest z lekka psychopatyczne zachowanie? – Nie wiedział, co ma o tym myśleć. – Zabójczynie wraca do miasta rodzinnego swojej ofiary... Po co? Dla poczucia satysfakcji? Czy może ma tu do wypełnienia jakiś sobie tylko znany plan? – zastanawiał się głośno. Od pierwszego spotkania czuł, że z tą kobietą było coś nie tak. Zdawała mi się taka uboga emocjonalnie. A czy nie takie są właśnie zabójczynie? – Tylko po jaką cholere komendant ją zatrudnił?

– Posłuchaj. Moi znajomi mają jeszcze powęszyć. Wygrzebią stare gazety, pojedą do więzienia, w którym siedziała, pogadają z adwokatami i strażnikami. Wykopią z podziemi wszystkie istotne info, a potem ja zrobię z tego zajebiste dobry materiał. Chcę, żebyś miał tego świadomość i żebyście nie obudzili się z ręką w nocniku.

– OK, dzięki za wiadomości. Doceniam.

– Dobra, teraz twoja kolej. – Marek spojrzał na Borysa uważnie. – No, dawaj, dawaj, muszę napisać coś dobrego, czego inni nie będą mieli. Jak twoja informacja będzie równie interesująca jak moja, to zdradzę ci jeszcze jedno.

Borys zaśmiał się w głos.

– Niezły z ciebie skurwiel – powiedział. – Rzuciłeś mi wabik, a teraz oczekujesz konkretów, bo inaczej nie powiesz czegoś, co jeszcze wiesz. Przecież zdajesz sobie sprawę, że po takim wstępie muszę dowiedzieć się więcej.

– Dokładnie. A więc czekam. – Skrzyżował ręce na piersi i zastygł w bezruchu.

– Niech ci będzie, tylko nie wiesz tego ode mnie. Jaskiniowiec wyciął Anecie Sasek narządy rodne. Co więcej, prawdopodobnie zabrał je ze sobą, bo nie znaleźliśmy ich na miejscu zbrodni. Podejrzewam, że stąd wywodzą się plotki o kanibalizmie, ale my tego nie potwierdzamy. – Wiedział, że sporo ryzykuje, zdradzając mu szczegóły śledztwa. Informacje o odniesionych obrażeniach ofiary trzymano w dużej tajemnicy, a przecież wszyscy wiedzieli, że kumpluje się z Markiem. Podejrzenie zdradzenia tajemnicy

służbowej padnie od razu na niego. Jednak to, czego dowiedział się o Carmen, było warte tej drobnej rysy na jego wizerunku.

– OK, to jest mocne – przyznał dziennikarz, kiwając głową. – Tak naprawdę to wymyśliłem tę historyjkę o kanibalu. Nikt tak nie mówił, ale w tych okolicznościach... – uśmiechnął się półgębkiem – jest to całkiem prawdopodobna hipoteza.

– Nie będę nawet tego komentował. Dawaj, co jeszcze masz i spadam.

– Carmen Rodríguez ma w Jeleniej Górze teściową – powiedział od razu. – Mogę ci zdradzić, jak się nazywa i gdzie mieszka.

Borys tylko parsknął.

– Też coś. Gdzie mieszka mogę sobie sam sprawdzić. A na nazwisko ma zapewne... – próbował sobie przypomnieć, jak brzmiało pełne nazwisko Carmen. Pamiętał, że przedstawiając mu się podała dwuczłonowe nazwisko, co oznaczało, że jedno było po mężu. – Zalewska! – Pacnął ręką w stół, szczęśliwy, że pamięć go nie zawiodła. – Carmen Rodríguez Zalewska!

– Twoja zajebista dedukcja świadczy tylko o tym, że jednak mnie potrzebujesz, więc bądźmy nadal w kontakcie. – Puścił do niego oko. Początkowo chciał go pożegnać, nie wyprowadzając Borysa z błędu, ale zlitował się nad biedakiem. W opinii Marka policjanci nie grzeszyli intelektem i czasem za cenę dobrych informacji, trzeba im było pomóc. – Zalewska to nazwisko rodowe jej matki, więc niczego byś tu nie znalazł.

– Niby skąd to wiesz? – zacietrzewił się Borys.

– W Hiszpanii jest tak, że każdy ma dwa nazwiska. Pierwszy człon pochodzi od pierwszego członu nazwiska ojca, drugie pochodzi od nazwiska matki. Nie za szybko? – zapytał, ale widząc wkurzonego Borysa, dał sobie spokój z takimi uwagami. Nie chciał go przecież do siebie zrazić. – Kiedy urodziła się Carmen, dostała nazwisko Rodríguez po ojcu, a Zalewska po matce, która zapewne była Polką. Natomiast kobieta, wychodząc za mąż, nie przyjmuje nazwiska męża – wyjaśnił.

– Poważnie? – Borys zmrużył oczy ze zdziwienia.

– Gdyby Carmen i jej mąż mieli dziecko, dajmy na to małego José, to José nazywałby się Sowiński Rodríguez. Teraz skumałeś?

– OK, czyli jej mąż to Sowiński, tak?

– Bingo. Adam Sowiński.

– Zaraz, zaraz, czy to ci sami Sowińscy, którzy są tą znaną rodziną notariuszy z ulicy Wojska Polskiego? On chyba już nie żyje, znaczy Czesław Sowiński, ale Teresa Sowińska zdaje się, że nadal pracuje i ma się dobrze...

– Bingo. To właśnie jest jej teściowa.

– Dobra. Przyznaję, że mi pomogłeś. Wiszę ci jedną informację. Wiedz, że doceniam dobre źródła. – Uścisnął mu rękę i wyszedł z biura.

Idąc w stronę zaparkowanego auta, bił się z myślami. Co powinien teraz zrobić? Powiedzieć wszystko Pierzale albo Leśniakowi? A może wstrzymać się i przeprowadzić najpierw swoje własne śledztwo? Nie lubił jej. Nie wiedział dlaczego, ale od początku za nią nie przepadał. Czy to dlatego, że podświadomie wyczuł w niej złego człowieka? Czy to intuicja podpowiadała mu, żeby trzymał się od niej z daleka? Cholera! Musiał jak najszybciej doprowadzić do jej zwolnienia. Jeżeli Marek otrzyma kolejne informacje na jej temat i napisze artykuł, ich wydział będzie spalony. Niepotrzebny im kolejny skandal i oskarżenia o postępowanie niezgodne z procedurami. Policja i tak nie cieszyła się ostatnio szacunkiem, a ta historia może im tylko zaszkodzić. Wyciągnął telefon i wykręcił do Marcela.

– Hejka, jesteś może przy kompie?

– Zawsze – odparł mu nonszalancko informatyk.

– Możesz mi sprawdzić, gdzie mieszka Carmen Rodríguez? Kupiła w Jeleniej mieszkanie, potrzebuję jej adres.

– A co, chcesz jej wysłać kwiaty? – Zaśmiał się ze swojego żartu.

– Taaa... Coś w tym rodzaju.

– Słuchaj, szybciej chyba będzie, jak wejdę do pokoju administracji i po prostu sprawdzę w aktach – zaproponował.

– Dobra, czekam – poinformował.

Dziesięć minut później zaparkował dokładnie pod jej blokiem. Biały budynek, wyraźnie różnił się od pozostałych na tym osiedlu. Na każdym piętrze rozpościerały się szerokie tarasy, a ściany i balustrady były w dużej mierze przeszklone. Pamiętał, jak deweloper ogłaszał, że zaczyna budowę najnowocześniejszego i najbardziej eleganckiego budynku w tym mieście. Proponowana cena za metr kwadratowy wynosiła dwadzieścia tysięcy złotych, co Borysowi nie mieściło się w głowie. On nigdy jeszcze nie nabywał nieruchomości, ale jego kumpel pięć lat temu kupił mieszkanie za trzy tysiąki za metr i pomimo wysokiej inflacji, która obecnie nawiedziła Polskę, cena w wysokości dwudziestu tysięcy za metr wydawała mu się astronomiczną kwotą. Skąd Rodríguez miała takie pieniądze? Skąd u niej przyzwyczajenie do luksusu, jeżeli ostatnie dwa lata spędziła w więzieniu? Nagle zaczęły nachodzić go wątpliwości. Przecież komendant musiał ją sprawdzić. Wiedział, że ostatnimi czasy Pierzała nie miał głowy do wielu spraw, ale przecież Carmen musiała dostarczyć mu jakieś dokumenty. Dział kadr zainteresowałby się pracownikiem, który nie okazał świadectw pracy i innych potrzebnych papierów. A skoro tak, skoro prawdą jest, że pracowała dla policji... Nie! Nie będzie się nad tym dłużej zastanawiał. Po prostu wejdzie tam i zażąda wyjaśnień. Ot, co! Miał szczęście, akurat ktoś opuszczał budynek, więc nadażyła się okazja, by dostać się do wnętrza. Borys przytrzymał drzwi, wszedł do środka i momentalnie znalazł się w windzie, wybrał numer mieszkania, a dźwиг ruszył w górę, zatrzymując się dopiero na ostatnim piętrze.

– Kurwa – zaklął pod nosem. – Tylko po dwa mieszkania na piętrze. A do tego siłownia i SPA na parterze. Na mieszkanie będzie przypadało po jakieś sto pięćdziesiąt metrów – szybko kalkulował, ile trzeba było zapłacić, żeby mieć takie lokum na własność.

Podszedł pod apartament Carmen i nasłuchiwał. Nie wiedział, dlaczego nie dzwoni. Powinien od razu zacząć walić pięściami i żądać wyjaśnień od Hiszpanki, ale zamiast tego przywarł do drzwi i nasłuchiwał. Zbierał myśli i zastanawiał się, od czego powinien zacząć rozmowę, czy lepiej od razu wyłożyć karty na stół. I wtedy poczuł na plecach mocnego kopniaka. Jego

głowa z impetem uderzyła o drzwi mieszkania, a przed oczami mu pociemniało. Adrenalina wystrzeliła, oddech przyspieszył, nie mógł złapać równowagi po uderzeniu i upadł na podłogę. Został zaskoczony.

– Policja! – krzyknął, bo to jedyne, co przyszło mu do głowy.

– Borys? – usłyszał znajomy głos. – *¡Madre mía!* Co ty tu, do cholery, robisz!? – Carmen przykucnęła obok, próbując pomóc mu się podnieść. – Mogłam cię zabić!

Borys parsknął śmiechem, najpierw biorąc jej słowa za dobry żart, bo niby jak jakakolwiek kobieta dałaby radę go pokonać, ale szybko zdał sobie sprawę, że miała trochę racji.

– Wiedziałaś, że to ja. I miałaś satysfakcję w kopnięciu mnie w plecy, co?! – Był wściekły. Od rana jego narastająca złość i frustracja szukały drogi ujścia.

– Co ty wygadujesz? – Spojrzała na niego pogardliwie. Nie miała zamiaru się tłumaczyć, a już na pewno nie będzie przeproszać.

– Już ja wiem, co mówię! Kim ty, do cholery, jesteś Carmen Rodríguez Zalewska, co? No kim!? – wykrzyczał jej prosto w twarz.

Otworzyła szybko drzwi i wepchnęła go do środka.

– Włącz – rozkazała ściszym głosem, rozglądając się wokół, czy nikt nie widział całego zdarzenia.

– Co jest? – Borys czuł się zdezorientowany. Chciał się na nią wydrzeć, powiedzieć, że ją zniszczy, że za chwilę wyleci z policji i będzie mogła wracać do tej swojej zapyziałej Hiszpanii, ale coś go powstrzymało. Rodríguez zachowywała się dziwnie. Była spokojna i czujna. A przy tym sprawiała wrażenie, jakby nie chciała robić zamieszania na klatce schodowej.

– Chcesz wina? – zapytała jakby nigdy nic. Jakby przed chwilą nie sparte-rowała go na korytarzu.

Zobaczył, jak idzie do kuchni, a przynajmniej tak mu się wydawało. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze wiszącym naprzeciw niego. Jak nic na czole będzie miał niezłą śliwę. Ale zachowanie kobiety interesowało go dużo bardziej, dlatego od razu poszedł za nią.

– Czerwone wytrawne. Może być? – zapytała, wyciągając z szafki dwa kieliszki.

– W sumie gustuję bardziej w wódce – wypalił.

– OK, to pijesz czy nie? – spojrzała na niego, otwierając butelkę korkociągami.

– No – potwierdził. Podała mu wypełniony do połowy kieliszek, a on wypił zawartość duszkiem.

– Myślałam, że wzniesiemy jakiś toast – stwierdziła, patrząc na niego z niesmakiem.

– OK, nalej mi jeszcze – powiedział. – Wiem już nawet, za co wypijemy. – Podniósł kieliszek. – Obyś w Jeleniej nie zabiła żadnego męża – powiedział bez ogródek.

Obserwował ją uważnie, ale nie drgnęła jej nawet powieka. Może lekki cień uśmiechu przeszedł jej po twarzy, choć nie był pewien, czy sobie tego nie uroił.

– W sumie dobry toast – powiedziała w końcu i upiła łyk. Wiedziała, że nie może przesadzać z alkoholem, jeżeli dziś chciała zażyć tabletki przepisane od doktora. W drodze powrotnej do domu pojechała do pobliskiej apteki i wykupiła receptę.

– I tylko tyle? – poczuł, jak znów spinają mu się mięśnie. Ta kobieta była nieznośna. Czuł, że ciągle ma nad nim przewagę i to mu się nie podobało.

– Nie powiesz nic więcej?

– Ale co byś chciał wiedzieć? – Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – Normalna policyjna robota pod przykrywką. Miałam zbliżyć się do Samueli Navarro de Garcia i wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji. Była osadzona w więzieniu w Maladze za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, ale dobrze wiedzieliśmy, że mogła mieć na sumieniu kilkanaście innych zbrodni. Podejrzewaliśmy, że to ona jest seryjną zabójczynią z Malagi. I mieliśmy rację. Dwa lata zajęło mi wkupowanie się w jej łaski i zbieranie danych. Akcja zwieńczona sukcesem i kilkoma nabytymi traumami.

– Seryjną zabójczynią z Malagi? – powtórzył, jakby był nieco upośledzony, zupełnie nie rozumiejąc, co ta kobieta do niego mówi.

– No, tak. Porywała siedmioletnich chłopców i zabijała ich, zrzucając z wysokich opuszczonych budynków, często były to place budowy, a potem zakopywała zwłoki w miejscach, które tylko ona знаła. O śmierci dzieci świadczyły jedynie ślady krwi na bruku i sam fakt, że nigdy nie zostały odnalezione.

– O Jezu, to straszne. – Nie był przygotowany na takie informacje. Carmen całkowicie zbiła go z tropu. – A więc byłeś w więzieniu i pracowałaś pod przykrywką. Podstawiona policjantka, która udawała zabójczynię... – układał sobie w głowie. – Ale co z twoim mężem? Adamem Sowińskim? On nie żyje, prawda?

– Tak – westchnęła i po raz pierwszy zobaczył w jej oczach smutek. – Adam utonął na moich oczach. Byłam załamana i nie chciałam dłużej żyć – powiedziała. – Ale wtedy przyszedł do mnie szef Cuerpo Nacional de Policía, to takie tajne służby i powiedział, że mnie potrzebuje. Przedstawił plan, w którym miałam odegrać rolę zabójczyni. Służby stworzyły nową historię śmierci Adama, w której to ja go zabiłam i tak znalazłam się w więzieniu, a moje zadanie polegało na rozszyfrowaniu Samueli Navarro. Nie miałam nic do stracenia, dlatego się zgodziłam. Czułam, że moje życie bez niego nie ma żadnej wartości. Potrzebowałam nowego celu w życiu, czegoś co będzie mnie motywowało, by co rano wstawać z łóżka.

Borys zaniemówił. Zachował się jak idiota, wierząc Markowi na słowo. Miał nawet w planach przeprosić Carmen, ale przecież o nic jej nie oskarżył. Przyszedł tylko po to, by wyjaśnić sytuację. W tym momencie ciszę przerwały rozbrzmiewające dźwięki z telefonu i Szyk z ulgą odebrał połączenie.

– Co tam, Boguś? – zapytał i przez parę minut z uwagą słuchał przełożonego – Co ty mówisz? O, ja pierdołę! Dobra, wyślij mi jego adres, pojedę tam z samego rana – obiecał. Rozłączył się, po czym opowiedział Carmen o treści odzyskanych przez Marcela wiadomości, które Aneta wymieniała

z kochankiem. – W związku z tym Leśniak ściąga na jutro techników do domu rodzinnego ofiary. Będą szukać śladów Antoniego Pawlińskiego.

– To może być dobry trop – ucieszyła się, że nie rozmawiają już o niej. – Zwłaszcza w kontekście tego, co zrobił z jej ciałem. – Wcale tak nie myślała, ale nie chciała już wracać do dyskusji o jej pobycie w więzieniu, wołała, żeby Borys ulotnił się jak najszybciej. – Idź się wyspać, skoro jutro musisz jechać – poleciła, odprowadzając go do drzwi. Zamknęła za nim szybciej, niż zdążył się pożegnać.

Kiedy Borys wyszedł, oparła się o ścianę i westchnęła głęboko, wypuszczając cały gromadzący się w niej lęk. Całe szczęście, że miała przygotowaną dobrą historyjkę na wszelki wypadek. Wyglądało na to, że jej uwierzył, a to było teraz najważniejsze. Wyciągnęła komórkę i napisała szybko esemesa: „Zaczynają coś podejrzewać. Nie mam dużo czasu”.

Polkowice

Pędził skodą fabią, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość i nie bacząc na konsekwencje. Pomimo krętych dróg i terenu zabudowanego Borys wciskał pedał gazu, wyprzedzając wszystko, co możliwe. Lubił szybką jazdę, a dodatkowo był wkurzony, że do Polkowic jedzie sam. Założył więc koguta na dach i dawał upust swoim emocjom, szalejąc na drodze. Kiedyś jeździli do świadków we dwóch, ale od jakiegoś czasu, a zwłaszcza od tego roku, kiedy Leśniak zaczął liczyć miesiące do emerytury, Borys zdany był na własne towarzystwo. Nadkomisarz zawsze twierdził, że ma coś do sprawdzenia na miejscu. Szyk wiedział doskonale, że to bujdy. Staremu policjantowi po prostu nie chciało się już robić i tyle. Podkomisarz żywił nadzieję, że po odejściu Leśniaka, zostanie mu przydzielony do pary ktoś niższy stopniem. Oznaczałoby to automatyczny awans i dowodzenie w drużynie. A wtedy to on będzie mógł w końcu rozdawać karty. Za Bolkowem wjechał na drogę szybkiego ruchu S3 i do gniazda USB podłączył pendrive znaleziony tego ranka w schowku, w którym trzymał dowód rejestracyjny. Z głośników rozbrzmiał dobrze znany utwór Rammsteina – jego ulubionego zespołu z dawnych lat. Muzyka dudniała w całym aucie przy wtórze sygnału policyjnego koguta na dachu. Podkręcił radio na maksymalną głośność i jeszcze bardziej docisnął pedał gazu. Na parkingu pod KGHM-em był dokładnie półtorej godziny po wyruszeniu z domu. Szyk nie zjadł śniadania tylko wypił na czczo napój energetyczny i żołądek zaczął dawać o sobie znać.

Wszedł do dużego budynku osadzonego na czymś, co przypominało kurze łapki z bajek o Babie Jadze. Z zewnątrz nie prezentował się najlepiej, ale wewnątrz przestrzeń była doskonale zagospodarowana, a wystrój no-

woczesny i elegancki. Zanim podszedł do kobiety w recepcji, skręcił w lewo, w kierunku drzwi, na których widniały oznaczenia toalet.

– Zajebicie – wymamrotał pod nosem. – Nie ma to, jak się wysrać na kiblu z miedzi.

Po zażegnaniu problemu Borys podszedł do sekretariatu.

– Dzień dobry. – Wyciągnął odznakę w kierunku młodej, szczupłej brunetki ubranej w czarny garnitur. – Podkomisarz Borys Szyk do dyrektora Antoniego Pawlińskiego – obwieścił.

– Był Pan umówiony? – zapytała z zaniepokojoną miną kobieta, nie mogąc znaleźć w kalendarzu rezerwacji tej wizyty.

– Proszę sprowadzić dyrektora do lobby – wydał polecenie. – Czekam na tej kanapie przez pięć minut, potem sam wejdę na górę.

Brunetka wyglądała na zaskoczoną, a być może kompletnie zdezorientowaną. Chwyciła za telefon, wybrała numer i zasłaniając usta, powiedziała kilka zdań, których nie mógł rozszyfrować.

– Dyrektor zaraz do pana zejdzie. Proszę spocząć. Może napije się pan herbaty? – zapytała grzecznie.

– Nie, dzięki. – Szyk usiadł na kanapie przy szklanym stoliku osadzonym w miedzianej ramie. Co prawda, bardzo był spragniony, ale stwierdził, że po spotkaniu kupi sobie wodę na stacji benzynowej. Wczoraj po powrocie do domu nie wypił dużo, może kilka kieliszków czystej. Jednak od dłuższego czasu każdorazowo po spożyciu większej ilości procentów obserwował u siebie obniżoną tolerancję organizmu na alkohol. Jakby ciało samo mówiło mu, że ma problem.

– W czym mogę panu pomóc? – Elegancko ubrany mężczyzna z doskonale przystrzyżoną brodą usiadł naprzeciwko niego, zakładając nogę na nogę.

Miał nonszalancki sposób bycia i zdecydowanie był zbyt pewny siebie jak na gust Szyka. Od razu poczuł do niego antypatię i ogarnęła go chęć pokazania mu, kto tu rządzi, jednak się powstrzymał. Jeżeli chciał dowodzić

w nowym zespole, nie może się narażać na oficjalne skargi pod swoim adresem.

– Podkomisarz Borys Szyk – przedstawił się. – Czy pan Antoni Pawliński?

– Owszem – przytaknął mężczyzna. – Pani Marzena twierdzi, że ma pan do mnie jakąś ważną sprawę i jest pan wystarczająco zdeterminowany, by wdrzeć się na górę, więc miejmy to już za sobą. Słucham. Co Pana sprawdza? – Ton jego głosu był zdecydowanie daleki od miłego.

Borysa zdziwiła ta bierna agresja. Zachowanie mężczyzny nie należało do standardowych. A może tak właśnie zachowują się ludzie bogaci, na wysokich stanowiskach? W Jeleniej Górze często takich nie spotykał, więc jego ogląd świata był raczej ograniczony.

– Pan wybaczy, ale zazwyczaj ludzie, widząc przychodzącego policjanta, boją się, że coś stało się ich najbliższym, a pan... – nie wiedział, jakie dobrać słowa.

– A ja akurat rozmawiałem ze swoją żoną przez telefon, kiedy poinformowano mnie, że na dole czeka na mnie policjant – wyjaśnił. – Dzieci są chore, więc zostały z mamą w domu, także proszę mi tu nie wyjeżdżać z psychoanalizą. Mam mało czasu, a pan nie był umówiony. Podejrzewam też, że nie chce mnie pan aresztować, bo już by pan to zrobił, więc? – Położył ręce na oparcie fotela, pokazując niewerbalnie swoją pewność siebie.

– Proszę o chwilę cierpliwości. Być może i do aresztowania dojdziemy. – Borys zacisnął usta. Ten facet działał mu na nerwy. – Co pan robił trzy dni temu pomiędzy godziną osiemnastą a dwudziestą czwartą?

– Słucham? – Mężczyzna jakby się spiał. Oparł łokcie o kolana i intensywnie przyglądał się policjantowi.

– Chyba słyszał pan pytanie? – Borys świdrował go wzrokiem.

– Prawdopodobnie byłem z żoną i dziećmi w domu. Nie pamiętam. O co chodzi?

– Radziłbym sobie jednak przypomnieć, ewentualnie zerknąć do kalendarza.

– Byłem w domu, na pewno – powiedział stanowczo, ale Borys doskonale wiedział, że kłamie. Przez lata praktyki w przesłuchiowaniu świadków nauczył się odróżniać kłamcę od osoby prawdomównej, ale nie zmieniało to faktu, że bez dowodów i tak nie mógł podjąć żadnego działania.

– Kiedy ostatnio widział się pan z Anetą Sasek? – Borys podniósł nieco głos, wiedząc, że recepcjonistka podsłuchuje, choć bardzo stara się udawać, że nie. Czuł niemałą satysfakcję, że zrobi dziś drobną rysę na nieskalaney opinii dyrektora.

Ramię Antoniego Pawlińskiego uniosło się nagle w nerwowym tiku. Opanował się natychmiast. Stał się bardziej uważny i czujny.

– Dawno. Szczerze mówiąc, nie pamiętam.

– A tak mniej więcej?

– No, będzie z rok jakoś. – Pawliński zaczął się nerwowo kręcić na fotelu. Starał się tego nie okazywać, ale było to aż nadto widoczne.

– Byliście przez ten rok w kontakcie?

– Ale dlaczego pan pyta? – Ściszył głos i przysunął się do policjanta. – Moje prywatne życie, jak sama nazwa wskazuje, jest prywatne i nikogo nie powinno interesować – wymówił przez zaciśnięte zęby, akcentując kluczowe słowo.

– Nie, no – tym razem to Borys rozłożył ręce na oparciu kanapy i delektował się przewagą – myślę, że kogoś by mogło i to nawet bardzo.

– Pan mi grozi? – mężczyzna spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Ja? A gdzieżby. Ale pan groził Anecie Sasek, prawda? Widziałem wasze wiadomości. Twierdził pan, że jeżeli się od pana nie odczepi, to pożałuje, a jak powie pana żonie o waszym romansie, może nie doczekać rana. To chyba nawet cytat, prawda?

– Ta suka podała mnie na policję? – wycedził po cichu, nie kryjąc oburzenia. – A pan wie, co ona chciała zrobić? Rozwalić moje małżeństwo! Narażić moje dzieci na traumę z powodu rozwodu rodziców, a moją żonę na długoletnią depresję. To pana zdaniem było w porządku?

– I dlatego jej pan groził?

– Przecież tak się tylko mówi. Czasem rzuca się komuś w nerwach, że się go zabije, ale przecież wiadomo, że tego się nie robi. Moja relacja z Anetą była błędem, który wiele mnie kosztował. Ma tupet, że nasyla na mnie gli-niarza po tym wszystkim! – Jego twarz przybrała odcień purpury, a ręce zaczęły się pocić.

– Aneta Sasek nie żyje – powiedział spokojnie Borys, sprawdzając reakcję rozmówcy. Zobaczył w jego oczach dezorientację. – A to stawia pana w raczej niekorzystnym położeniu.

– Co? – Mężczyzna wstał z miejsca i zaczął nerwowo chodzić po lobby. Układał sobie w myślach informacje, które usłyszał. – Pan myśli, że to ja? – powiedział, nie zważając na recepcjonistkę. Dopiero po chwili wróciła mu trzeźwość umysłu i podszedł do policjanta.

– Nieważne, co ja myślę. Ważne, do czego zaprowadzą mnie dowody, a na razie dowody jasno mówią o tym, że byliście skonfliktowani i ja tu widzę motyw. Proszę mi wierzyć, nie byłby pan pierwszym. – Machnął ręką. – Co pan myśli, że ja nie wiem, jak kochanka potrafi zatruć życie? Człowiek liczy na chwilę zapomnienia, na dobrą zabawę, a potem przyczepia się taka i nie chce odpuścić, a do tego grozi, że żonie powie. Niejeden mężczyzna na pana miejscu, by nie wytrzymał. – Ewidentnie go podpuszczał.

– Powtarzam panu, że jej nie zabiłem! – Pawliński usiadł ponownie na fotelu. – Owszem, przyczepiła się do mnie. Twierdziła, że mnie kocha, że robi dla mnie wszystko. Początkowo mi to imponowało, wie pan, młoda, ładna dziewczyna, zawsze chętna na seks, a w domu wieczne problemy i pretensje. Ale z nią coś było nie tak. – Spojrzał na Borysa poważnie. – Ona miała jakieś problemy ze sobą. Często wpadała w furię, miała miliony skrajnych pomysłów na minutę, a kiedy zaszła w ciążę, twierdziła, że to moje dziecko. Byłem pewny, że nie, bo po tym jak żona urodziła córkę zdecydowałem się na wazektomię. Aneta o tym nie wiedziała i szła w zaparte. Potem nagle oznajmiła, że jest mężatką i wysłała mi kilka wiadomości, że jest szczęśliwa. Po paru miesiącach, znowu zaczęła do mnie wydzwaniać i wypisywać. Podobno zrobiła badania genetyczne dziecka i ono nie należało do jej męża. Zarzekała się, że musi być moje. Ja wiem, że zawsze jest

jakiś mały procent szansy, że pomimo wazektomii można spłodzić dziecko, ale to jest tak mało prawdopodobne, że w ogóle w to nie wierzyłem. Chciałem wyciszyć wszystko, stwierdziłem, że ma jakiś baby blues, czy co to kobiety mają po porodzie. Napisałem, że też coś do niej czułem, ale nie możemy rozbijać rodzin, że ona ma teraz dziecko i nic między nami nie będzie. – Zrobił chwilę przerwy, by zaczerpnąć powietrza.

– A tak, faktycznie – wszedł mu w słowo Szyk. – Chodzi panu o tego esemesa, w którym twierdzi pan, że cytuję: „nie będzie wychowywał cudzego bachora”, tak?

– No, może nie ująłem tego tak subtelnie, jak powinienem, ale przesłanie było jasne. Jeżeli czytał pan nasze wiadomości, to pan wie, że ona też nie przebierała w słowach.

– Czyli rozumiem, że to nie pan ją zamordował?

– Absolutnie, to nie ja – zarzekał się, uspokajając oddech. Być może recepcjonistka usłyszała więcej, niż powinna, ale pomyślał, że z dwojga złego zawsze to lepsze, niż być aresztowanym w obecności pracowników. Miał nadzieję, że policjant mu uwierzył.

Jelenia Góra,

Komenda Miejska Policji, ten sam dzień

Carmen przysłała na spotkanie nieco wcześniej. Po porannym telefonie od Leśniaka wstrzymała się ze sporządzeniem portretu psychologicznego sprawcy. Bogusław twierdził, że mają podejrzanego i najprawdopodobniej poszukiwania zabójcy zakończą się, zanim jeszcze na dobre się rozpocząły. Spotkanie miało odbyć się o piętnastej, tak by Borys zdążył wrócić z Polkowic, a technicy powinni do tego czasu zebrać ślady z domu Anety Sasek. Rodríguez czuła, że ta sprawa nie skończy się szybko, ale nie chciała odbierać nadziei nadkomisarzowi i wykolejać go z torów życzeniowego myślenia. Wystarczy, że chwilę poczekają, a dowody same zaprowadzą ich dalej. Pomysł, że zabójcą miałby być ekskochanek, może i wydawał się racjonalny, bo zazwyczaj mordercami są osoby z najbliższego otoczenia ofiar. Jednakże zdaniem Carmen osoba, która okaleczyła Anetę Sasek, nie obawiała się o swoją reputację męża i ojca. Gdyby Antoni Pawliński zabił, zapewne zadałby ofierze szybką śmierć, tymczasem zabójca kobiety ewidentnie delectował się jej okaleczaniem. Typ, z którym mieli do czynienia, był typem sadysty. Mordercy czerpiącego satysfakcję z cierpienia swojej ofiary, napawającego się jej bólem i znajdującego wewnętrzną satysfakcję w torturach. Być może znał Anetę, a może tylko wiedział o niej wystarczająco dużo, by przykleić jej łatkę określonego typu kobiet. Wątpiła, by prawdziwego mordercę i Anetę łączył kiedyś płomienny romans. Obstawiała, że zabójca nie ma żony ani dzieci. I była przekonana, że znów zaatakuje. Przeglądała media społecznościowe Anety, przeszukiwała historie znanych psychopatycznych zabójców, którzy zadawali ofiarom podobne obrażenia. Nie zdążyła tylko przejrzeć przeprowadzonych z nimi wywiadów, a to było

właściwie kluczowe. Postanowiła zostawić to na kolejny dzień. Wchodząc na komendę, czuła się całkiem zrelaksowana i wyspana. Pierwszy raz od kąd tu przyjechała, a właściwie pierwszy raz od bardzo dawna. Tabletki od doktora działały cuda i tej nocy nie nawiedzały jej ani żadne koszmary, ani poczucie dezorientacji we własnym mieszkaniu.

– Cześć – rzuciła na powitanie do nadkomisarza, który siedział przy swoim biurku.

– No, witaj, witaj. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Oj, będziesz miała dzisiaj chyba dobry dzień. – Podniósł do góry jedną brew i kącik ust z tej samej strony.

– Tak? W sumie nie mam nic przeciwko. – Położyła na biurku skórzaną, lakierowaną torebkę i ściągnęła ciepły kaszmirowy płaszcz. – A masz jakieś konkretne powody, by tak przypuszczać, czy sam jesteś po prostu w dobrym nastroju? – ciągnęła temat kurtuazyjnie. Nocny odpoczynek dał jej energię do niezobowiązujących rozmówek, których zazwyczaj starała się unikać, gdyż bardzo ją męczyły.

– Poczekaj. – Bogusław wyciągnął w jej kierunku palec wskazujący i szybkim krokiem poszedł w stronę pokoju socjalnego. – Kazałem włożyć do wazonu – powiedział, niosąc ogromny bukiet białych lilii. – Ej, co jest? – zapytał skonsternowany, widząc jej minę. Nie tego się spodziewał. Myślał, że jak każda kobieta Carmen też się ucieszy na widok kwiatów.

Carmen wstała pospiesznie z krzesła i zastygła w bezruchu. Była przerażona. To nie mogła być prawda, nie widzi tego, co ma przed oczami, nie. Zamrugała kilkakrotnie i próbowała uspokoić oddech. Po ciele przeszedł jej zimny dreszcz. I choć bardzo starała się opanować swoje emocje, to zdawała sobie sprawę, że Leśniak musiał coś zauważyć.

– Widzę, że jesteś pod wrażeniem. – Puścił do niej oko, nie mogąc odczytać jej prawdziwych emocji.

Kiedy Carmen chwyciła przyczepioną do bukietu karteczkę, trzęsły się jej ręce. „Błagam, tylko nie to. Niech tam nie będzie napisane: Dla najpiękniejszej Lilii na świecie”, próbowała zaklinać rzeczywistość. Nie chciała pokazać koledze, że coś jest nie tak. Nie miała ochoty się tłumaczyć ani opo-

wiadać o swoim życiu. Swoim dawnym życiu. Otworzyła zaciśnięte powieki i przeczytała odręczny napis. „Dla najpiękniejszej Lilii na świecie”. W jednej chwili zniknął jej dobry nastrój, ustępując miejsca przerażeniu i od dawna zadawanym sobie pytaniom, wciąż pozostającym bez odpowiedzi.

– Dziękuję. Bardzo ładne – zdołała wydusić z siebie kilka słów. Doskonale wiedziała, że kwiatów jest równe trzydzieści sztuk – nie musiała liczyć.

Na spotkaniu myślami była zupełnie gdzie indziej. Początkowo nadkomisarz pytał, czy coś się stało, ale wykręciła się nagłym i silnym bólem brzucha. Zerwała się wcześniej z pracy i wyszła do domu. Jednak tam również nie mogła sobie znaleźć miejsca. Do głowy napływały jej niechciane obrazy, a strzępki rozmów wracały i odtwarzały się co chwila, niczym zdarta płyta. Nie wiedziała kiedy, a na zegarze wybiła dwudziesta. Znów miała wrażenie, że uciekło jej kilka godzin. Podniosła leżący na kuchennej wyspie telefon, którego ekran pojaśniał, sygnalizując przychodzące połączenie.

– Jak twój brzuch?

Wyczuła, że Leśniak pyta z autentyczną troską.

– Wyszłaś tak szybko, że nie zabrałaś kwiatów.

– Nie szkodzi – odpowiedziała. – Już mi lepiej. Jutro je zabiorę. Z czym dzwonisz? Bo chyba nie po to, by zapytać o zdrowie? – rzuciła zaczepnie, by myślał, że faktycznie wróciła do formy.

– Masz rację. Nie po to – powiedział poważniej. – Mamy kolejne wezwanie. Przyjeżdżaj. Namiary wyślę w wiadomości.

Zachełmie, Czerwona Jaskinia

Nadkomisarz Leśniak pokonywał stromą drogę, zamkniętą kilka dni temu na czas wymiany instalacji wodociągowej. Zostawił auto dwieście metrów w dole, chwycił latarkę i telefon z ustawioną lokalizacją na Czerwoną Jaskinię i piął się powoli w górę. W przeciwieństwie do poprzedniej jaskini w Szklarskiej Porębie, tej w Zachełmiu nie znał w ogóle. Nigdy nawet o niej nie słyszał, dlatego gdyby nie GPS pewnie musiałby ściągać któregoś z policjantów pilnujących grotę, żeby po niego zeszli. Dyszał i co chwila przeklinał rwę kulszową, że nie miała kiedy go zaatakować. Rozkopany asfalt pomieszany z błotem, piaskiem i kamieniami wydawał mu się śliskim podłożem, zwłaszcza po całotygodniowych deszczach. Musiał więc uważać podwójnie, by nie upaść i nie obić sobie lędźwi. Całe szczęście, że dziś nie padało. Leśniak miał już dosyć jesieni. Dużo bardziej wołał zimę i śnieg.

– Boguś! – usłyszał niewyraźne wołanie dobiegające z dołu.

Obrócił się i spostrzegł w ciemności biegnącego w jego kierunku Borysa. Przystanął, wyciągnął z kieszeni spodni paczkę papierosów i zapalił, zaciągając się dymem w oczekiwaniu na partnera. Miał wrażenie, że palenie pomaga zniwelować ból. Wołał jednak nie dzielić się tymi przemyśleniami z żoną. Będzie miał wystarczająco przerąbane, gdy Baśka wyczuje od niego zapach dymu. Na swoje usprawiedliwienie powie jej, że znów widział trupa. To zawsze go rozgrzeszało.

– Nienawidzę tych ciemności – przywitał go Szyk. – Ledwo tu dojechałem.

– A co ty, kurna, świateł w samochodzie nie masz? – zakpił.

– Niby mam, ale jak jeleni wyskakują ci z boku i przelatują przed maską, to fajnie nie jest. Sekunda szybciej i bym w niego uderzył, a potem szukałbyś mojego auta na zboczu leśnej skarpy, i tyle.

– Co z ciebie za czarownik?

– Nie wydaje ci się, że ten dzień jest jakiś za długi? – Borys spojrzał na niego porozumiewawczo.

– Ano, wydaje – odpowiedział. – I tak jest codziennie od jakiegoś czasu – dodał nieco ciszej.

Minęli Szczurze Wzgórze i weszli w ciemny, mroczny las.

– Od razu jakby zimniej. – Borys potarł rękoma ramiona i naprawdę zapragnął napić się wódki, by się rozgrzać. – O co mu, kurwa, chodzi z tymi jaskiniami? Dlaczego nie może porzucać ciał w bardziej normalnych miejscach?

– Czyli gdzie? Pod supermarketem? – ironizował nadkomisarz. Przeszli zaledwie kilkanaście metrów przez las, a on już miał przemoczone buty. Skrzywił się na myśl o tym, że przyplaci to silniejszym bólem pleców w nocy.

– Chociażby – Borys włączył latarkę w telefonie. – Jesteś pewny, że dobrze idziemy?

Po dwóch minutach marszu w kompletnej ciszy i ciemności zobaczyli światła między drzewami. Do ich uszu zaczęły dochodzić głosy kręcących się w pobliżu jaskini policjantów z komisariatu w Karpaczu. To oni zostali wezwani jako pierwsi. Zdążyli też zadzwonić po techników, więc Bogusław miał nadzieję, że wizyta w tym miejscu nie będzie długa, a może nawet w głębi serca liczył, że to znalezisko nie będzie nawiązywało do poprzedniej sprawy. Ba! Miał wielką nadzieję, że to nie ten sam typ ofiary i nie ten sam zabójca. Bardzo nie chciał mierzyć się z seryjniakiem na kilka miesięcy przed emeryturą. Takie sprawy potrafiły się ciągnąć latami.

– Co tam mamy, panowie? – Zapytał, kiedy oboje z Borysem podeszli do dwóch palących papierosy policjantów. Aspirant Tomasz Kujak i komisarz

Sebastian Cięcia spojrzeli na niego jednocześnie i w równym tempie pokręcili głowami.

– Cześć, Boguś – zaczął starszy z nich, Sebastian. Byli z Bogusławem w tym samym wieku i współpracowali w przeszłości przy niejednej sprawie. – Popatrzcie sami – wskazał ręką jamę, która zdawała się wykuta w wielkiej skale. Ze środka widać było rozbłyśki fleszy aparatów fotograficznych techników.

Nadkomisarz zrobił kilka kroków w przód. Droga do jaskini prowadziła w dół, a na jej zboczu posadowiony był wielki głaz. Wyglądało to tak, jakby specjalnie ktoś go tam umieścił, by zamknąć ujście jaskini, ale nawet dzieściu roślących mężczyzn nie dałoby rady go ruszyć.

– O ja, pierdołę! – zaklął, kiedy weszli do środka. Musiał obrócić głowę, żeby widok i smród rozkładających się zwłok nie wywołały wymiotów.

– No – Tomasz Kujak stanął przy nim – też tak samo zareagowałem. Słyszeliśmy o waszej sprawie Jaskiniowca ze Szklarskiej. Myślę, że nie ma żadnych wątpliwości, że to ta sama osoba, a co za tym idzie my spierdalamy na chatę – oznajmił.

– Sprawa jest wasza – podsumował Sebastian dla pewności, poklepał Leśniaka po plecach w ramach wsparcia, po czym obaj mężczyźni oddalili się z wyraźną ulgą. – Aaa! Zapomniałbym! – zawołał z oddali. – Prokurator już był.

Po lesie rozległ się głośny warkot silnika odbijający się echem wśród drzew.

– Co jest, do cholery. Ktoś robi sobie jazdy przełajowe po lesie w nocy? – Borys wyprostował się, próbując zlokalizować kierunek, z którego nadjeżdżał pojazd.

– Może lokalne pismaki już zwęszyły temat. – Leśniak stanął przy nim, wpatrując się w przestrzeń za drzewami, gdzie dostrzegł światło. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Carmen nie ma jeszcze samochodu.

– No, co tam chłopaki? – Zrobiła duży wykrok i zsiadła z maszyny. Ściągnęła kask, po czym zawiesiła go na kierownicy. – Pewnie musieliście dra-

łować pod górę na piechotę? – Widziała, że są poirytowani. Jej zdaniem w Polsce, podobnie jak w Hiszpanii, mężczyźni nie pałali entuzjazmem na widok kobiet, które lepiej sobie radziły od nich. Choćby nie wiadomo jak się zapierali, że jest inaczej. Jedna z teorii psychologicznych głosiła, że potrzeba męskiej dominacji nad płcią przeciwną jest po prostu wpisana w samczy genotyp. Nie ich wina.

– Świetnie się bawimy – powiedział z sarkazmem Borys. – Dołączysz?

– Pewnie! – Z uśmiechem podeszła do groty, ale mina szybko jej zrzędła. – ¡*Madre mía!* Ale śmierdzi. – Zakryła nos dłonią, na której wciąż miała rękawicę z motoru.

Na żwirowo-piaskowym podłożu leżały zwłoki skatowanej kobiety. Jaskinia była zbyt mała i ciasna, żeby oprawca mógł powiesić ją na sznurze. Zwłoki znajdowały się na ziemi i były otoczone krwią, strzępkami tkanek i tłuszczu pochodzącymi z rozciętej rany. Ale najgorszy był widok zalęgających się w otwartym brzuchu larw. Obślizgłe robale pełzały w ciele kobiety, wijąc się i połyskując w świetle latarki. Carmen poczuła, jak zawartość żołądka podchodzi jej do gardła, wybiegła czym prędzej z jaskini, starając się oddalić od miejsca zdarzenia i zwymiotowała. Nie dała rady. Chwilę później poczuła na swoich plecach czyjąś dłoń.

– Wszystko dobrze? – zapytał nadkomisarz z autentyczną troską.

– Tak. *Perdóname*. Nigdy czegoś takiego nie widziałam – przyznała z pokorą, co w ogóle nie było do niej podobne. Wyprostowała się i wytarła usta chusteczką.

– Nie musisz tam wracać. Jeżeli wolisz pracować ze zdjęciami, możemy tak zrobić.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Muszę tam wejść jeszcze raz, chcę poczuć na własnej skórze te okropieństwa. Dopiero wtedy będę wiedziała, z kim mamy do czynienia.

Leśniak zastanawiał się, czy dobrze ją zrozumiał. Poczuć okropieństwa? Kto chciałby na własnej skórze przeżyć coś takiego? Może źle dobrała polskie słowa i dlatego jej wypowiedź miała tak dziwny wydźwięk?

– Wytrzeszczone oczy, szara taśma budowlana zaklejająca usta, ślady łez i potu na resztkach makijażu – mówiła do siebie Carmen, jakby nagrywała słowa na dyktafon.

Policjanci stali obok niej i również wszystko analizowali. Musieli się pochylać, ponieważ tylko w jednym miejscu w jaskini było miejsce, w którym dorosły człowiek mógł się wyprostować.

– Skały, wszędzie skały. Czuję w powietrzu wilgoć od deszczu i zapach gnijących w lesie liści. Gleba przesiąknięta jest dziwnym zapachem, który czuć też w jaskini. Pająki pełzają po ścianach, wiją kokony. Ciało leży w niedbałej pozycji, jakby porzucone pośpiesznie. Proces rozkładu jest widoczny gołym okiem. Łono rozcięte jak w przypadku poprzedniej ofiary, ale mam wrażenie, że cięcie zostało wykonane niedbale, bardziej siłowo.

– Była pierwsza – wtrącił Borys. – Ciało leży tu już ze dwa tygodnie. Może zabójca nie wiedział jeszcze, w jaki sposób ciąć skórę i tkanki? Nie miał wprawy, dlatego wygląda to bardziej niedbale.

Spojrzała na niego z uznaniem. Miał rację. Chociaż znaleźli tę biedaczkę kilka dni później, to właśnie ona była pierwsza.

– Wiemy, kim była? – Carmen spojrzała na nadkomisarza.

– Chłopaki z Karpacza nie mieli pojęcia. Tak jak poprzednio ciało jest nagie i pozbawione rzeczy osobistych. A stopa? – przypomniał sobie o znaku wypalonym na pięcie Anety Sasek.

Borys kucnął i poświecił latarką na stopy ofiary.

– Jest i podpis zabójcy – stwierdził.

– I tym razem również niewyraźny, z uwagi na duże zaawansowanie rozkładu zwłok – nadkomisarz wciąż nie był pewien, czy wypalony znak to faktycznie kupła. Ciągłe czekali na raport specjalisty do spraw symboli.

– Co jeszcze? – odezwała się Carmen, a mężczyźni nie wiedzieli, czy pyta samą siebie, czy ich.

– Znów jaskinia i znów w jej nazwie występuje określenie: „czerwona” – zauważył Borys. – Czy to może mieć jakieś znaczenie?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała po chwili namysłu. – Trzeba sprawdzić ich symbolikę i ewentualne wypadki lub zabójstwa w jaskiniach na przestrzeni kilkunastu, a może i kilkudziesięciu lat. Nie wydaje mi się, żeby samo miejsce było przypadkowe. Jaskinia musi coś dla niego oznaczać, nie wiem tylko, czy ma to coś wspólnego z nazwą. Macie na tych terenach jeszcze jakieś czerwone jaskinie?

Spojrzeli na siebie w oczekiwaniu, że któryś będzie coś wiedział, ale kiedy żaden z nich się nie odezwał, Carmen wyciągnęła telefon i wpisała zapytanie w pasek wyszukiwarki Google.

– Wygląda na to, że nie. Tak więc albo to koniec, albo następne ciało porzuci w miejscu o innej nazwie – głośno myślała.

– Albo go złapiemy – powiedział buńczucznie Szyk. – Nie wierzysz, że może nam się to udać?

– Wierzę – przytaknęła. – Ale nigdy nie wiesz, co przyniesie przyszłość – stwierdziła. – Może się okazać, że za tydzień znajdziesz ciało leżące gdzieś od dwóch miesięcy. Na przeszłość nie mamy wpływu, a i o przyszłości nie decydujemy w pełni sami – zaczęła filozofować.

– Dobra, to co? Spotykamy się jutro o ósmej na komendzie? A tymczasem powiem chłopakom z pobliskiego komisariatu, żeby pochodzili trochę po domach, popytali ludzi. Może, ktoś coś widział.

– Jak ją tu dostarczył? – zapytała nagle Rodríguez.

– Co? – Borys nie rozumiał, co ma na myśli.

– No, jak ją tu przetransportował? Ile jest dróg prowadzących do jaskini? Bo jeżeli tylko ta jedna, którą jechałam, to musiał gdzieś zaparkować auto i dalej ją nieść samodzielnie. A wtedy istnieje większa szansa, że ktoś coś zauważył.

– Mogła też iść sama – powiedział Bogusław jakby nigdy nic. – Może one przychodzą z nim dobrowolnie. Może są w pełni świadome i mają na sobie ubranie. I dopiero w jaskiniach rusza do ataku, a jako trofeum zabiera ich ciuchy.

– I narządy rodne – przypomniała mu Carmen.

– Gdzie jest Złotko? – Do Leśniaka dotarło, że na miejsce zbrodni nie dotarła lekarka. – Ktoś ją poinformował?

Nikt z techników mu nie odpowiedział. Wyciągnął telefon i zadzwonił do Eweliny Złotnickiej.

Jelenia Góra,

apartament Carmen Rodríguez, noc

Długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, ale każda obrana pozycja wydawała się jej niewygodna. Miękki materac kupiony za duże pieniądze, zdawał się twardy i szorstki, zupełnie jak ten, na którym spała w więzieniu. Po pewnym czasie zaczęła nawet czuć jego smród. Przepocony, zabrudzony, stęchły. Jej oddech stał się cięższy, nie mogła wciągnąć powietrza nosem, jakby miała zapchane zatoki. Raz po raz przechodziły ją dreszcze na zmianę z uderzeniami gorąca. To zrzucała z siebie kołdrę, to znów przykrywała się po uszy, czując mroźne górskie powietrze dochodzące z uchylonego okna. W końcu udało jej się zasnąć. Sen zmorzył ją niespodziewanie, zupełnie niepostrzeżenie w chwili, kiedy już pogodziła się z myślą, że przeleży do rana. Materac zaczął kołysać się nieznacznie, jakby niesiony spokojnymi falami Morza Śródziemnego. Usłyszała szum wody i poczuła powiew morskiej bryzy, a w ustach rozpoznała słony smak. Była odprężona. Zawsze czuła się wolna podczas wypraw jachtem. Uwielbiała to. Już od dziecięcych lat, kiedy pływała razem z ojcem. Na morzu czuła się wolna, silna, niezależna, ale równocześnie zdawała sobie sprawę z podporządkowania siłom natury, była pogodzona z faktem, że jest tylko małym nic nieznaczącym elementem dryfującym po bezkresnej głębi. Rozejrzała się dookoła. Jak okiem sięgnąć morski krajobraz był spokojną tonią. Promyki słońca przyjemnie rozgrzewały jej skórę. Czuła się rozluźniona. Zamknęła oczy i dała się ponieść tej chwili. Spokojnej, odprężającej, dającej poczucie wolności. Miała wrażenie, że zasypia na pokładzie jachtu. Wybudziło ją mocne kołysanie, poczuła nagły, silny powiew wiatru na skórze, a zimne krople deszczu spadały na jej ciało. Wokół panowała ciem-

ność. Fale obijały się o burtę dużo głośniej i mocniej. Wystraszyła się. Była zdezorientowana. Nie wiedziała, gdzie jest ani jak wrócić do domu. Księżyc wylaniający się czasem zza chmur oświetlał jedynie otaczający ją bezkres morza. W tym momencie na jachcie rozbłysnęło oświetlenie, a chwilę później w przestrzeni rozszedł się niepokojący odgłos przypominający wystrzał. Wzdrygnęła się i spięła wszystkie mięśnie ciała. Poderwała się z miejsca i pobiegła w stronę dziobu, wydawało jej się, że właśnie z tamtego kierunku padł strzał. Bała się, a jednak ciekawość kazała jej sprawdzić, co zaszło. Szybkie bicie serca dodało energii jej ruchom. Do krwiobiegu uwalniało się coraz więcej adrenaliny i kortyzolu. Była pobudzona i gotowa na wszystko. Nie wiedziała, czy jest sama na pokładzie, nie pamiętała, jak się tutaj znalazła. Ale z całą pewnością mogła stwierdzić, że jacht należał do niej. Dostała go od rodziców. Stała jak wryta, dostrzegając w mesie dwoje ludzi. Kobieta trzymała w rękach broń, wymierzoną w mężczyznę. Jego dłonie były czerwone od krwi, która wylewała się niemal ciurkiem z dziury w jego brzuchu. Patrzył na nią z niedowierzaniem, jakby to, co się właśnie stało, zupełnie go zaskoczyło, jakby nie rozumiał... Adam? Początkowo nie była pewna, ale po chwili już wiedziała, że to był jej mąż. Zanim upadł na ziemię, kobieta pociągnęła za spust jeszcze raz. Carmen podskoczyła ze strachu, chowając się za ścianką. Jej nogi były ciężkie i odrętwiałe, jakby unieruchomione w zastygającym betonie. Z drżącym sercem obserwowała z ukrycia, jak nieznajoma kobieta ubrana w marynarski dres, który do złudzenia przypominał jej ulubione okrycie podczas morskich wypraw, ciągnie za nogi zabitego Adama, zostawiając na podłodze rozmazane ślady krwi. Ostatkiem sił przeciągnęła ciało na rufę, a następnie wrzuciła je do wody. Carmen nie wiedziała, dlaczego nie wyszła z ukrycia i jej nie przeszkodziła. Dlaczego nic nie zrobiła, nie krzyknęła, nie dała znać, że jest, że na nich patrzy, że zaraz wezwie policję. Pchnięta przez jakąś tajemniczą siłę wyszła z kryjówki i po chwili stanęła oko w oko z morderczynią. Wtedy się przeraziła. Zdała sobie sprawę, że patrzy wprost na swoją twarz. To była ona, to ona zabiła Adama. Poczowała nagle, że ręce zrobiły jej się mokre i lepkie. Spojrzała na nie i wrzasnęła przerażona, widząc, ściekającą z nich krew. Otworzyła oczy i podniosła się. Była cała mokra od potu. Klasnęła, by

zapalić lampkę nocną. Jedynie w sypialni nie miała zainstalowanej fotokomórki, by światło nie zapalało się każdorazowo, kiedy przewracała się z boku na bok. Jej oddech był szybki i urywany, a ciało płonęło żywym ogniem. Spojrzała na dłonie, były czyste. Żadnej krwi, żadnego morderstwa, żadnego jachtu czy morza. Była w swojej sypialni, w nowym niedawno kupionym apartamencie w Jeleniej Górze. Bezpieczna, daleka od wszelkiego zagrożenia, próbowała na trzeźwo ocenić sytuację. To, co przed chwilą się zdarzyło, to był tylko koszmary sen. Dotknęła dłonią czoła, czując kropelki potu. Czyżby miała gorączkę? Z trudem zwlekła nogi z łóżka, wsuwając je w miękkie kapcie, założyła szlafrok leżący na fotelu obok i poszła do kuchni. Zrobiła sobie gorącej herbaty, bo dreszcze przenikały jej ciało, łyknęła dwie tabletki ibuprofenu znalezionej w kupionej niedawno podręcznej apteczce i włożyła pod pachę termometr. Zapikał, kiedy już z powrotem była w łóżku. Trzydzieści osiem i osiem. Świetnie, pomyślała. Jeszcze tylko choroby brakowało w jej życiu.

Jelenia Góra,

Komenda Miejska Policji, spotkanie grupy dochodzeniowo-śledczej

W ciasnym pokoju, w którym mieściło się zaledwie biurko, cztery krzesła i regał, na którym stała paprotka, siedzieli już nadkomisarz Leśniak i podkomisarz Szyk. Borys stukał nerwowo palcami o blat biurka, jednocześnie wprawiając nogi w szybkie, kompulsywne drgania.

– Jezu, weź się uspokój – burknął na niego Bogusław, który znów tej nocy nie spał zbyt dobrze i każdy niepotrzebny ruch czy słowo ze strony młodszego kolegi, powodowały przeciążenie w jego układzie nerwowym.

– To może zaczniemy po prostu? – Przeczesał ręką krótkie blond włosy, postawione tego dnia na żelu. Mamy tu czekać na hiszpańską księżniczkę, bo nie zdążyła rano zrobić makijażu? – zakpił. – Kobiety wiecznie się wszędzie spóźniają. Facet wstaje rano i jest gotowy, a kobieta potrzebuje co najmniej dwóch godzin, żeby mogła się wynurzyć ze swojej jaskini.

Leśniak nie miał ochoty tego komentować. Znał poglądy Szyka dostatecznie dobrze, i wiedział, że nie ma sensu wchodzić z nim w jakąkolwiek polemikę.

– Dzień dobry. Przepraszam. – Głos Carmen wybrzmiał w małej salce. Weszła i w pośpiechu zamknęła za sobą drzwi. Usiadła przy stole, na którym czekały na nich akta spraw. – ¡*Madre mía!* Jeszcze nigdy nie byłam z wami tak blisko – rzuciła niby żartem, jednak jej towarzysze zauważyli, że nie czuje się tutaj komfortowo. Nie lubiła ciasnych pomieszczeń i za każdym razem, kiedy się w takim znajdowała, odnosiła wrażenie, że jest w potrzasku. W dodatku miała złe samopoczucie z powodu gorączki. Rano

znów zażyła dwie tabletki ibuprofenu i na razie temperatura ciała utrzymywała się w normie, mimo wszystko Carmen nie czuła się tego dnia dobrze.

– No niestety, w dużej sali jest jakieś szkolenie BHP i jesteśmy skazani na stary magazynek. Dobrze, przejdźmy może do podsumowania tego, co mamy do tej pory – zaproponował nadkomisarz. – Borys?

Szyk już miał się zbuntować, pytając dlaczego akurat on, kiedy zdał sobie sprawę, że Carmen jest tylko profilerką. Uczestniczy w spotkaniach, ale przecież nie prowadzi śledztwa. Nie ma do tego ani kwalifikacji, ani uprawnień.

– No to mamy dwa ciała. Zwłoki zostały ujawnione nie w tej kolejności, w której były zabijane. Jedną z ofiar jest Aneta Sasek, dwudziestosześcioletnia kobieta, drugą NN, w wieku około trzydziestu lat. Do tej pory nie udało się ustalić jej personaliów. Dziś ma zostać przeprowadzona sekcja zwłok. Obie kobiety zostały zabite w ten sam sposób, a ich ciała porzucone w jaskiniach. Co do śladów pozostawionych na miejscu zbrodni w Szklarskiej Porębie, to ich liczba jest właściwie równa zero, jednak z wstępnych ustaleń techników wynika, że w Zachełmiu, zebrano kilka dowodów, które są w analizie.

– Czyli zabójca się rozwija, udoskonala. Wyciąga wnioski z tego, co mógł zrobić źle za pierwszym razem i starał się to poprawić przy drugiej ofierze – wtrąciła Carmen.

– Racja – przyznał Leśniak. – Przy ciele NN znaleziono wiele śladów butów. Wiadomo, że większość to stare odciski turystów, ale zabijając Anetę Sasek, już po sobie posprzątał, zamiótł podłogę, że się tak wyrażę, i zadbał o to, by przestrzeń wydawała się nietknięta. Czy to może mieć jakieś głębsze znaczenie? – zwrócił się do Carmen.

– Raczej nie. Myślę, że on po prostu nigdy wcześniej tego nie robił. Takie zmiany w samym procesie i przygotowaniu do zbrodni cechują młodych zabójców, inteligentnych i wyciągających wnioski, ale niedoświadczonych. Podejrzewam, że NN była jego pierwszą ofiarą. Nigdy wcześniej nie zabijał i choć wydawało mu się, że ma wszystko przemyślane i zaplanowane, po

zabójstwie okazało się, że wiele jest do poprawy. Dlatego do kolejnej zbrodni przygotował się dużo lepiej. Bardzo jestem ciekawa, kim była ta kobieta. Musimy się tego jak najszybciej dowiedzieć, żeby prawidłowo wykreować typ ofiary.

– Typ jest raczej oczywisty – burknął Szyk.

– Tak? – zdziwiła się. – W takim razie mnie oświeć, bo ja jeszcze nie odkryłam, czym kieruje się morderca, wybierając takie, a nie inne kobiety.

– Proszę bardzo. – Spojrzał jej wyzywająco w oczy. – Kobiety, lat pomiędzy dwadzieścia pięć a trzydzieści, podejrzewam, że w stanie wolnym, ciemne, długie włosy, szczupłe, ładne. Ot, cała filozofia tego świra.

– Bardzo to głębokie – ironizowała.

– Bo może i zabójca jest płytki, nie pomyślałaś? Zabija, bo lubi. Uwielbia się nad nimi znęcać, bo jest pierdolonym psychopata. Nie kumam, dlaczego miałbym się doszukiwać w tym czegoś głębszego. Może nie dostał się do pracy do rzeźni albo obejrzał za dużo filmów z Kubą Rozpruwaczem. W dupie mam, skąd mu się to wzięło.

– A nie powinienes, bo to warunkuje motyw. A odkrycie motywu, może ułatwić nam wytypowanie sprawcy – powiedziała spokojnie. Nie chciała wdawać się w pyskówki. Poza tym obserwował ich Leśniak, a jej zależało, by on miał o niej dobre zdanie. – Myślę, że morderca jest inteligentny, a cała sprawa nie jest taka prosta, jak nam się wydaje. On ma żal do kobiet, nienawidzi ich, chce się na nich zemścić. Pozbawia je kobiecych cech, dlaczego? Być może pragnie je ukarać, wymierzyć sprawiedliwość za doznane z ich strony krzywdy i usuwanie im kobiecych atrybutów jest tylko wyrazem jego wielkiej nienawiści i okrucieństwa. Być może sprawa jest bardziej skomplikowana i jest tak, że kobiety go onieśmielają, górują nad nim. Wycinanie narządów rodnych przynosi mu ulgę, stawia go na równi z nimi. W ich obecności czuje się nikim, kimś gorszym, niewystarczająco dobrym, a z tego wynikałoby, że doznawał z ich strony poniżenia. Prawdopodobnie wyrastał w domu z dominującą matką lub inną kobietą, która znęcała się nad nim psychicznie. Zabójstwo i wycięcie narządów to forma uwolnienia się od poczucia bycia nic niewartym popychadłem. Przystępuje do działa-

nia, czuje moc sprawczą. Ponieważ nie ma poczucia własnej wartości, okalecza je. Inna hipoteza, którą rozważam, ma związek z jego sferą seksualną i poczuciem odrzucenia przez płęć piękną. Być może został poniżony przez kobiety w intymnej sferze. Myślę, że ważne jest też pytanie, czy dla niego fakt pozbawienia kobiecości jest przyjemnym, może nawet orgastycznym aktem, który stanowi swoistą ekscytację, czy robi to bez emocji, zostawiając wiadomość dla świata. Za wcześniej by jednoznacznie odpowiedzieć sobie na te pytania. Co do rodzaju ofiar, które wybiera, to faktycznie, obie kobiety pod względem urody były w podobnym typie, ale o ile wiem, różniły się kolorem oczu.

– Racja – wtrącił się Leśniak. – Sasek miała brązowe, a NN niebieskie.

– Zazwyczaj seryjni mordercy, których głównym kryterium doboru ofiar jest wygląd, wybierają osoby o tym samym kolorze oczu i włosów, w dodatku tej samej długości, są to często ludzie o podobnej masie ciała i zbliżonego wzrostu. Z tego, co widziałam, NN była dużo niższa, mam rację?

– Tak, była – potwierdził Bogusław. – Liczyła metr pięćdziesiąt osiem. Aneta Sasek metr siedemdziesiąt.

– Dlatego właśnie uważam, że nie mamy jeszcze typu ofiary. To znaczy nie wiemy, dlaczego wybrał dokładnie te kobiety, ale moim zdaniem, to nie ich wygląd jest kryterium doboru. Dobrze byłoby ustalić, czy się znały, czy coś je łączyło i czy mają wspólnych znajomych. Możliwe, że zabójca działa w określonym kręgu społecznym lub wybierał mieszkańców konkretnego terenu, dzielnicy czy miasta. Na razie wygląda na to, że grasuje w mniejszych podgórskich miejscowościach w okolicach Jeleniej Góry. Zobaczymy, jak będzie przy kolejnych.

– Kolejnych? – Leśniak spiął mięśnie twarzy w zdenerwowaniu. Ta prognoza mu się nie podobała i wołał na razie o niej nie myśleć. Co prawda, zdawał sobie sprawę, że Carmen ma rację, ale nie mogli od razu zakładać najgorszego. Może znajdą oprawcę, zanim ponownie zaatakuje.

– Jeżeli szybko go nie znajdziemy, niedługo zabije kolejną kobietę. I jestem niemal pewna, że porzuci jej ciało w jaskini – powiedziała profilerka, nie pozostawiając żadnych złudzeń.

– Może trzeba zlecić patrole w okolicy wszystkich pobliskich jaskiń? – głośno myślał Leśniak.

– Nie zaszkodzi – zgodziła się z nim.

– A wiecie, ile ich jest? Ze dwadzieścia – podniósł głos Borys. Niektóre wysoko w górach. Pogadać dobra rzecz, ale logistycznie moim zdaniem jest to nie do ogarnięcia. No chyba że chcemy się pozbyć z aglomeracji jeleńogórskiej wszystkich dostępnych policjantów.

Do sali wszedł aspirant Wojciech Tylus, niosąc w ręce beżową teczkę. Był młodym około dwudziestoletnim chłopakiem z krótko przystrzyżonymi ciemnymi włosami i szczupłą sylwetką, na której wisiał zbyt obszerny mundur.

– Przepraszam, panie nadkomisarzu, kazano mi to dostarczyć – przekazał przesyłkę i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Wyniki z toksykologii Anety Sasek – Leśniak odczytał na głos nagłówek dokumentu znajdującego się w środku koperty. Przez chwilę w pełnym skupieniu analizował rezultaty badań, nie zwracając uwagi na współtowarzyszy. – We krwi denatki znaleziono ślady benzodiazepin, czyli leków o działaniu przeciwlękowym, uspokajającym, nasennym i przeciwdrgawkowym. – Przeczytał najważniejszy dla nich wniosek.

– Czyli była naćpana – powiedział bez ogródek Borys. – A skoro tak, to zabójca musiał ją sam przywlec do jaskini. Dziewczyna była szczupła, ale wysoka, więc podejrzewam, że on też nie mógł być z metra cięty. No i wiemy już, w jaki sposób działa. Znaczy, jakie jest jego *modus operandi*. Jestem pewien, że potwierdzi to raport toksykologiczny NN.

– Skąd wiemy, że to zabójca? – zapytała Carmen.

– Halo? Nie widziałaś zwłok? – Borys spojrzał na nią jak na idiotkę.

– Nie o to chodzi – machnęła na niego ręką i zwróciła się w stronę nadkomisarza. – Nie wiemy, czy to zabójca podał jej leki. Może przyszedł, kiedy była już odurzona? Aneta przebywała w szpitalu psychiatrycznym, więc bardzo prawdopodobne, że na co dzień brała jakieś leki psychotro-

powe. Coś mi podpowiada, że pobyt w szpitalu może mieć znaczenie. Czy nie lepiej byłoby pojechać do szpitala i porozmawiać z personelem?

– Poczekajcie. – Leśniak uniósł rękę, przerywając ich wypowiedzi. – To jeszcze nie wszystko. Mamy też raport techników, którzy byli wczoraj w domu Anety Sasek. Zabezpieczyli wiele śladów w tym odciski palców, spermę i włosy. Udało się im wyodrębnić kilka DNA. Niestety, w większości nie ma ich w bazie, ale okazało się, że jedno figuruje w policyjnych danych i należy do Antoniego Pawlińskiego. – Otworzył szeroko oczy i ze specyficznym wyrazem twarzy spojrzął na Borysa.

– Co, kurwa?! – Borys niemal krzyknął. – Ten gnój miał czelność mnie okłamać? Już ja skopię mu...

– Uspokój się – wydał polecenie Leśniak. – Co to, pierwszy raz podejrzany cię okłamał? Opanuj się i ściągnij tego casanovę na komendę. Chyba trzeba będzie inaczej z nim porozmawiać.

– A ta trzecia kartka? – zapytała Carmen, widząc jeszcze jeden dokument w rękach nadkomisarza.

– A, no właśnie. – Pokiwał głową. – To opinia od grafologa. Twierdzi, że pokazał znak kilku kolegom, specjalistom od symboli i ikonografii, i ich zdaniem faktycznie jest to kupła. A to rzuca podejrzenie na pracownika KGHM-u. – Zamyślił się.

– Nie – zaprotestowała Rodríguez. – Niby po co Pawliński miałby to robić?

– To oczywiste. Był przez nią szantażowany i nie chciał, żeby żona się dowiedziała. Czasem skomplikowane zbrodnie mają proste przyczyny – powiedział filozoficznie Leśniak.

– W takim razie dlaczego zabił tę drugą? – Nie wierzyła, że nadkomisarz w ogóle bierze taki scenariusz pod uwagę.

– Tego jeszcze nie wiem. Ale może kiedy prokurator w końcu zrobi coś w tej sprawie, to dostaniemy nakaz i przetrzepiemy jego telefon, samochód, dom, a nawet biuro. Możliwe, że wtedy dowody same się znajdą.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Zrobiła zniesmaczoną minę.

– Ale dlaczego? Może chciał odwrócić naszą uwagę od siebie. Zabił tę pierwszą, z którą nic go nie łączyło, żeby wykreować seryjnego mordercę i spokojnie pozbyć się Anety.

– Nie rzucając na siebie cienia podejrzeń – wtrącił się Borys. – Byłem u niego w firmie i z nim gadałem. Ten człowiek cierpi na manię wyższości. Gardzi innymi i zdaje mu się, że to on rozdaje karty. A nie od dziś wiadomo, że na dyrektorskich stanowiskach w korporacjach najlepiej sprawdzają się psychopatyczne osobowości, nie?

Spojrzał na nią, szukając potwierdzenia. Akurat w tym miał rację, ale nie wydawało jej się, żeby Antoni Pawliński był mordercą kobiet. Hipoteza, że zabił wcześniejszą ofiarę, by wykreować seryjniaka i zmylić w ten sposób organy ścigania była dla niej niedorzeczna. Zastanawiała się, czy jeleniogórcy policjanci prowadzili kiedykolwiek śledztwo w sprawie seryjnego mordercy, czy ta jest ich pierwszą i dlatego pragną jak najszybciej ją zakończyć, ogłaszając wielki sukces, nawet jeżeli cała stworzona przez nich hipoteza była grubymi nićmi szyta. Z drugiej strony nie mogła wykluczyć jej z całą pewnością, skoro nie rozmawiała jeszcze z Pawlińskim.

– Dobrze. Jak go zgarniecie, to chciałabym przyglądać się przesłuchaniom z za weneckiego lustra – nalegała. Miała nadzieję, że zobaczy coś, co ostatecznie rozwieje jej wątpliwości.

– Masz to jak w banku – zapewnił Leśniak. – Czy w takim razie potrzebujemy omówić jeszcze coś? Bo jeżeli nie, to damę znać prokuratorowi i ściągamy podejrzanego na komendę. Do tego czasu wszyscy mają wolne.

Carmen i Borys nie odezwali się, więc Leśniak uznał, że sprawa niebawem będzie miała swój finał. Nie było śladów, które rzucałyby podejrzenia na kogoś innego. Może jednak uda mu się przejść na emeryturę w założonym terminie. Ta myśl znacząco uprzyjemniła mu dalszą część dnia.

Borys jako jedyny został na komendzie. Nie chciało mu się jechać do domu, skoro i tak musiałby niebawem wrócić. Chwilowo nie spotykał się z żadną pięknoscią, więc o wypadzie na szybki numer nie było mowy. Zamówił sobie tradycyjnego schabowego z kapustą na gęsto z zaprzyjaźnionej knajpy i zaczął wypełniać dokumenty. Papierologii nie cierpiał, jak

nikt inny, ale kiedyś tę pracę trzeba było wykonać. Zwłaszcza jeżeli liczył na awans w przyszłym roku. Przybijając pieczątki i składając podpisy pod nudnymi protokołami, zastanawiał się nad sprawą Jaskiniowca. Jeszcze wczoraj był przekonany, że Pawliński to morderca, ale kiedy znaleziono zwłoki drugiej kobiety, zaczął mieć wątpliwości. Z Leśniakiem zgodził się tylko dlatego, że chciał dopieć Rodríguez. Ta kobieta budziła w nim skrajne emocje, choć nie wiedział dlaczego. Za każdym razem gdy ją widział, czuł coś w rodzaju buntu. Postanowił, że się opanuje, bo sam przed sobą musiał przyznać, że zachowuje się jak niestabilny emocjonalnie. Zawsze uchodził za porywczego, ale wyrażał swoje zdanie i potrafił obronić każdą tezę, w którą wierzył. W obecności Rodríguez gotów był zaprzeczyć swojej własnej teorii, jeśli ona też by ją wyznawała. Wiedział, że nie jest to dobre i utrudnia prowadzenie sprawy. Trzeba nauczyć się oddzielać emocje od roboty. Tylko jak to zrobić, kiedy nie ufa się współpracownikowi? Ciągłe towarzyszył mu niepokój i przekonanie, że z Carmen coś jest nie tak, że trzeba na nią uważać.

– Śruba? – krzyknął do kolegi, który zdawał się wychodzić na obiad.

Śrubiński machnął do niego z uśmiechem, ale nie podszedł do Borysa. Założył białą czapkę z daszkiem pasującą do sneakersów w tym samym kolorze i zmierzał w kierunku wyjścia.

– Ej, Marcel! – Borys krzyknął i zawołał go gestem dłoni, ale kolega nie zareagował. – No, coś ty? Z kumplem nie masz czasu pogadać? – wyrzucił mu, podbiegając do niego.

– Głodny jestem, a poza tym wiesz, że tłumów nie lubię – rozejrzał się nerwowo po sali pełnej biurek, przy których siedzieli policjanci z innych grup.

Szyk wiedział, że Marcel jest odludkiem. To dlatego jako jedyny poza komendantem dostał mały i ciasny, ale swój własny gabinet do pracy.

– To się nazywa fobia społeczna – przypomniał mu. – No i mam robotę – tłumaczył się, gdyby poprzedni argument nie wystarczył. – Ta nowa Hiszpanka dała mi parę zadań.

Oczy Borysa zalsniły z ciekawości. Carmen nic nie wspomniała o tym drobnym fakcie, a podejrzany niedługo dojedzie na komendę, więc czego mogła chcieć od Marcela?

– Słuchaj. Zrobimy tak – objął go ramieniem. – Udamy się do twojej małej norki i zjemy tam obiad, który dowiozą nam z knajpy. A ty w międzyczasie opowiesz mi, czego chciała ta nowa.

Marcel zastanawiał się, czy zaprotestować.

– Ja stawiam – ostatecznie przekonał go Borys, pospiesznie pisząc wiadomość do obsługi restauracji, żeby podwoili zamówienie.

– No dobra, to co chcesz wiedzieć? – zapytał z wyraźną ulgą malującą się na twarzy, kiedy usiadł we własnym wygodnym fotelu.

– Wszystko! – Szyk wyszczerzył zęby do kolegi. – Co dla niej sprawdzasz? Chodzi o Jaskiniowca? – zapytał, bezmyślnie powtarzając przezwisko, jakie nadał mordercy dziennikarz.

Śruba od razu połączył fakty i spojrzał na kolegę z politowaniem.

– Będziesz miał przejebane – stwierdził.

– A niby czemu?! – Borys się oburzył. – Przecież nic nie zrobiłem. – Nie rozumiał, o co może chodzić informatykowi, dlatego od razu przybrał postawę obronną.

Śruba spojrzał na niego, jakby Borys był niespełna rozumu i uruchomił okno przeglądarki internetowej. Następnie wpisał adres WWW lokalnej gazety. Borys przysunął się nieznacznie i zaczął czytać.

– *Od naszego zaufanego informatora dowiedzieliśmy się, że w toku śledztwa ujawniono, iż Jaskiniowiec nie tylko morduje w okrutny sposób, ale także wycina kobietom narządy rodne* – zrobił przerwę i nie chciał czytać dalej. – I przypuszczasz, że to ja sypnąłem? – Założył ręce na klatce piersiowej i zrobił urażoną minę.

– Ja nie przypuszczam, ja to wiem. Dlatego radziłbym ci nie używać określeń zawartych w artykule, bo jak do uszu Leśniaka dotrze informacja, co wiedzą pismaki, to nie chciałbym być w twojej skórze.

– Spokojnie – machnął ręką. – Boguś myśli tylko o rychłej emeryturze i z każdego jest gotów zrobić podejrzanego, by jak najszybciej ją rozwiązać i mieć święty spokój. Tak więc sprawa może się niedługo zakończyć. Mów lepiej, co chciała Rodríguez.

– To ci się nie spodoba – powiedział z poważną miną, która nie współgrała z jego kolorowym dressem.

– No co? – Borys wyprostował się na krześle i czekał w skupieniu.

– Kazała mi sprawdzić, co robisz popołudniami. W tajemnicy wyznała mi – Śruba ściszył głos – że podejrzewa ciebie.

– Co, kurwa?! – Szyk aż się zapowietrzył. Poderwał się z krzesła ze wściekłą miną i już miał dać upust emocjom i dosadnie wyrazić swoje zdanie, gdy zobaczył, że Śruba pokłada się ze śmiechu. – Ja pierdołę, Śruba, pogięło cię? Weź ty wyjdź czasem do ludzi, bo robisz się dziwny, poważnie. To jednak prawda, co mówią o informatykach i ich zrytym poczuciu humoru.

– Dobra, już dobra – powiedział Marcel, trzymając się jeszcze za bolący ze śmiechu brzuch. – Tak poważnie to chciała, żebym sprawdził kilka osób. Twierdziła, że przejrzała dokładnie media społecznościowe Anety Sasek i potrzebuje się czegoś dowiedzieć o jej znajomych, z którymi wchodziła w polemikę w postach.

– I czego się dowiedziałeś? – zainteresował się Borys. – Byłoby głupio, gdyby okazało się, że Pawliński nie jest mordercą, a na trop prawdziwego winowajcy wpadła profilerka, zamiast wysłużonego podkomisarza.

– Jeszcze niczego. – Wzruszył ramionami. – No co, byłem zawałony robotą. Dopiero po obiedzie miałem zacząć sprawdzać.

– OK, mam prośbę. – Borys podszedł do niego i położył ręce na oparciu fotela Marcela. – Najpierw zadzwonisz do mnie i powiesz, czego się dowiedziałeś, dobra? Dopiero po godzinie, dasz jej znać.

Śruba parsknął i przewrócił oczami.

– A co ty myślisz...

– Myślę, że wisisz mi przysługę – przerwał mu. – Nie pamiętasz, jak kryłem ci dupę, kiedy uderzyłeś w płot Marczewskiego po pijaku?

Śruba przełknął ciężko ślinę. To wydarzyło się już dawno temu, ale się wydarzyło. Borys nie wiedział, że oprócz alkoholu, Marcel był wtedy również pod wpływem narkotyków. Być może gdyby wiedział, zachowałby się inaczej.

– To co robimy z długiem wdzięczności, Śruba? – Szyk pochylił się nad nim, zbliżył twarz w takiej odległości, że ich czoła niemal się stykały i spojrzał mu prosto w oczy.

– Spłacamy – odpowiedział bez zająknięcia.

– Właśnie. Bierz się do roboty! To ta lista? – Spojrzał na kartkę leżącą na biurku z kilkoma imionami i nazwiskami. Marcel przytaknął, a Szyk zrobił zdjęcie kartce i wyszedł. Był ciekaw, dlaczego Carmen ich podejrzewa.

Jelenia Góra,

parking pod mieszkaniem Carmen Rodríguez

Zalowała, że nie ma jeszcze samochodu. Do pracy jeździła taksówkami, a to nie dawało jej możliwości odreagowania i poczucia wyzwalającej prędkości. W przeszłości uwielbiała szybką jazdę. Zawsze kiedy miała coś do przemyślenia lub trapiły ją zmartwienia, wsiadała w swojego land rovera i wyjeżdżała poza miasto. Włączała głośno muzykę, rozwijała dużą prędkość i myślała. Czuła się wtedy wolna i niezależna. Rozwiązania same przychodziły jej do głowy, a kiedy wracała do domu, problemy wydawały się dużo mniejsze, niż były przed wyjściem. Teraz mogła poruszać się jedynie motorem, jednak pogoda sprawiała, że przejażdżki nie były przyjemne, a jej umiejętności prowadzenia pojazdu, w dodatku w trudnych warunkach atmosferycznych, z powodu dwóch lat pobytu w więzieniu pozostawiały wiele do życzenia. Jazda motorem jest bardziej niebezpieczna od prowadzenia auta. Nieroztropnie byłoby ryzykować. Wjeżdżając na parking przy budynku, zobaczyła czerwone BMW X6. Choć z odległości nie mogła dostrzec kierowcy, doskonale wiedziała, kto siedzi za kółkiem. Ta kobieta zawsze jeździła najnowszymi beemkami i wszystkie miały kolor czerwony. Początkowo chciała polecić kierowcy, by zawrócił, ale wiedziała, że to spotkanie prędzej czy później i tak się odbędzie. Westchnęła głęboko, policzyła od dziesięciu w dół i powtarzając sobie, że da radę, postanowiła się z tym zmierzyć. Mimo to czuła nieprzyjemne mrowienie w ciele. Zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła niepewnie, usztywniając mocno plecy. Nie wiedziała, jak zareaguje, kiedy ją zobaczy i właściwie spodziewała się wszystkiego, łącznie z urządzoną wielką aferą na ulicy, okraszoną krzy-

kami i wulgaryzmami. Podeszła do auta i zapukała w szybę od strony kierowcy. W końcu musi stawić temu czoło. Nie może wiecznie uciekać.

– Carmen, kochanie... – Teresa Sowińska wyszła z auta, rozpościerając ramiona odziane w kosztowny, markowy płaszcz. – Chodź tu, moja droga, uściskaj mnie. – Jej twarz wydawała się szlachetna i łagodna, a cała scena niewątpliwie mogła wyglądać na wzniosłą.

W Carmen coś się zmieniło i odczuwany początkowo lęk ustąpił. Hiszpanka odetchnęła z ulgą. Podeszła do teściowej i mocno ją przytuliła. Starą się nie okazywać emocji, ale było to silniejsze od niej. Poczula, jak do oczu napływają jej łzy, a to z pewnością zostało zauważone przez Teresę.

– Tyle lat się nie widziałyśmy. – Elegancka, starsza pani trzymała ją mocno w objęciach i nie puszczała.

– Bałam się naszego spotkania – przyznała Carmen, spoglądając jej w oczy. – Bardzo się bałam. Przepraszam.

– Niepotrzebnie. On nie żyje – powiedziała ze smutkiem kobieta. – Nic nam go już nie wróci, ale przecież mamy jeszcze siebie i musimy się wspierać. Straciłam syna i nie chcę stracić ciebie.

– Tak, tylko... – Urwała. Nie chciała wzbudzać w teściowej niepotrzebnych podejrzeń, jeżeli te faktycznie nie pojawiły się wcześniej. Czy to możliwe, żeby nigdy nawet przez chwilę jej nie podejrzewała? Z pewnością nie. Musiała uważać ją za zabójczynię, nawet jeżeli pomyślała tak tylko przez moment, w chwili kiedy skazał ją sąd.

– Cii... – Przytuliła ją mocniej. – Nawet tak nie myśl. Przecież ja wiem, że jesteś niewinna. Kochałaś Adama i nie mogłabyś go zabić. Chodź, pokażesz mi swój dom. Z pewnością jest piękny.

Chociaż czuła się bardzo niekomfortowo, wsiadła z Teresą do windy, pozwalając, by trzymała ją pod rękę. Miała nadzieję, że kobieta nie wyczuje jej drżących nóg. Carmen za to doskonale poczuła spływający po plecach zimny pot. Nie cierpiała ciasnych pomieszczeń, ponieważ ożywiały w niej wspomnienia z pobytu w więzieniu. W ciemnym pomieszczeniu została zaatakowana i dźgnięta nożem ledwie uszła z życiem. Jej ciało zawsze przypominało sobie traumatyczne doznania, kiedy znajdowała się w po-

dobnej klitce. Nagle poczuła przeszywający ból w okolicy rany na plecach, a na twarzy pojawił się grymas.

– Co się dzieje? – Teresa od razu to spostrzegła. – Moja droga, źle się czujesz? – Wydawała się autentycznie zatroskana.

– Przepraszam cię. – Carmen spojrzała na nią niepewnie. Nie chciała rozmawiać z teściową o więzieniu i o tym, co tam przeszła. W ogóle nie chciała z nią rozmawiać o ostatnich dwóch latach życia, ponieważ nie mogłaby być szczerą, a Teresa jak nikt inny potrafiła drażnić temat, który ją interesował. – Jestem przeziębiona i przechodzę mnie dreszcze. Dziś w nocy miałam gorączkę – ucieszyła się, że może powiedzieć coś, co jest prawdą.

– Rozumiem – kobieta dotknęła dłonią jej policzka, a potem czoła. – Mam propozycję. Połóż się i odpocznij, a ja ugotuję ci rosół. Widziałam po drodze supermarket. Jak cię znam, pewnie w ogóle nie gotujesz i nie masz w lodówce żadnych produktów – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Jakiś czas później siedziały z pełnymi żołądkami na kanapie w salonie i popijały świeżą, aromatyczną kawę.

– To naprawdę piękny apartament, a do tego urządzone z klasą – przyznała z uznaniem Teresa. – Zawsze miałaś dobry gust, moja droga.

– Dziękuję, ale skąd wiedziałaś, że tu mieszkam? – dopytywała. – Przecież nie wpadłaś na mnie przypadkiem.

– Drogie, dziecko – Teresa wstała z kanapy, trzymając w dłoniach filiżankę z kawą i podeszła do wielkiego okna z widokiem na góry – Jelenia Góra to bardzo mała miejscowość. Wkrótce sama się o tym przekonasz... – Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie nie przestrzegają tu prawa, bo bardziej liczą się układy? – Nie chciała, żeby zabrzmiało to jak zaczepka, ale właśnie w ten sposób odebrała zdanie Teresa.

– A gdzie się nie liczą...? – odparła i się zamyśliła.

Carmen znów przeszedł zimny dreszcz i wiedziała, że gorączka nie ustąpi tak szybko, jakby chciała. Czuła się dziwnie, była nieco dezoriento-

wana w sytuacji i nie łączyła faktów zbyt szybko, ale zrzucała to na karb choroby.

– Wiesz, jak bardzo za nim tęsknię – wyszeptała Teresa, wciąż patrząc w stronę górskiego pasma.

– Wiem, ja też – skłamała bez chwili namysłu. Nie chciała rozmawiać o Adamie, ale wiedziała, że w tej sytuacji to nieuniknione.

– Czasem wydaje mi się, że widzę go gdzieś w tłumie – przyznała kobieta.

Puls Carmen natychmiast przyspieszył, a mięśnie zdawały się bardziej napięte. Rodríguez milczała.

– Czasem czuję jego zapach w domu. – Teresa obróciła się do synowej z umęczoną miną. – Czasem nawet z nim rozmawiam. Jak idiotka pytam go na głos... Adam, to ty? Czy to ty mnie dziś odwiedziłeś? – Przetarła dłonią spływającą po policzku łzę. – Przepraszam cię – pociągnęła nosem i sięgnęła do torebki w poszukiwaniu chusteczek higienicznych. – Zazwyczaj nie pozwalam sobie na takie zachowanie.

– Nie masz za co przepraszać, ja wiem, jak to jest. – Podeszła i przytuliła ją mocno.

– Wiem, że przeprowadziłaś się tutaj, chcąc być bliżej niego. Chciałaś wrócić do miejsca, w którym dorastał, pragnęłaś poczuć jego rodzinne klimaty, poznać miasto, które kochał. Być bliżej niego, chociaż wiesz, że odszedł. Ja też nie mogłabym się stąd wyprowadzić, bo mam wrażenie, że on ciągle tu gdzieś jest. Carmen była szczerze zdziwiona jej zachowaniem. Nie znała matki swojego męża od tej strony. Zawsze wydawała jej się taka surowa i elegancka, nieustępliwa i przyzwyczajona do stawiania na swoim. Nigdy nie widziała jej bez makijażu ani bez misternie upiętego koka. Nawet dzisiaj, w przeciwieństwie do Carmen prezentowała się wytwornie. Nigdy nie były ze sobą w dobrej relacji, aż do teraz – ale ludzie się przecież zmieniają. Pod wpływem doświadczeń, wydarzeń, a zwłaszcza tych traumatycznych. Zrobiło jej się żal tej kobiety, nawet jeżeli nie zawsze była dla niej wsparciem, to przecież była to matka, która straciła syna.

– Ja też mam czasem wrażenie, że on chodzi po moim mieszkaniu. – Sama zdziwiła się, że to powiedziała. Nie chciała się zwierzać, ale słowa po prostu wypłynęły z jej ust.

Kobieta spojrzała na nią uważnie i odsunęła się nieco.

– To znaczy? – zapytała z ciekawością.

– No, nie wiem, jak to powiedzieć. Czasem wydaje mi się, że przedmioty są w innych miejscach, niż je zostawiłam, albo że ktoś jest za ścianą. Ja wiem, że to brzmi głupio i niedorzecznie – tłumaczyła się. – I zdaję sobie sprawę, że to tylko moja wyobraźnia. – Próbowwała ratować sytuację, wyrzucając sobie w myślach, po jaką cholere, weszła w tę rozmowę. Wolą nie wspominać o znikającym winie czy kwiatach, które ktoś przysłał jej na komendę. Bukiet składający się dokładnie z trzydziestu lilii, które zawsze przynosił jej Adam, z identyczną dedykacją na bileciku. Gdyby to zrobiła Teresa pewnie uznałaby ją za wariatkę. Na szczęście telefon wybawił ją od dalszych zwierzeń.

– Halo? – Odebrała pospiesznie. – Podejrzany już na komendzie?

Carmen przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha, żeby Teresa nie była w stanie usłyszeć rozmowy.

– Niestety nie – odpowiedział chrapliwym głosem nadkomisarz. – Okazało się, że wczoraj po rozmowie z Szykiem, wrócił do domu, spakował manatki i zwiął, gdzie pieprz rośnie. Żona nie ma pojęcia, o co chodzi. Mówię ci, Rodríguez, to będzie on. Czuję to w kościach! Weź sobie dziś wolne, będziemy w kontakcie.

– Aha, dobrze. To już się zbieram – powiedziała po tym, jak Leśniak się rozłączył. – Przepraszam cię, Tereso, ale muszę wracać do pracy – skłamała. Chociaż wizyta teściowej była miła, czuła się nią przytłoczona i potrzebowała zostać sama ze sobą.

– Oczywiście, moja droga, pójdę już – powiedziała, podnosząc torebkę z kanapy. – Ale pod jednym warunkiem.

Carmen się nieco przeraziła, nie miała ochoty na jakiegokolwiek ultimatum.

– Będziesz do mnie mówiła: „mamo”. – Uśmiechnęła się i przytuliła ją mocno.

– Dobrze, mamo – odprowadziła teściową do drzwi, obiecując rychłe ponowne spotkanie.

Teresa Sowińska wsiadła do auta i głośno westchnęła. Ta wizyta wiele ją kosztowała, ale w jej mniemaniu odniosła sukces. Zrobiła wszystko dokładnie tak, jak sobie zaplanowała, a nawet lepiej. Chwyliła kurczowo za kierownicę i czuła, jak schodzi z niej całe napięcie, a jednocześnie narasta silna złość. Dopiero teraz mogła uwolnić swoje prawdziwe emocje. Żal, złość, nienawiść, chęć zemsty. Spojrzała na wyświetlacz telefonu, który rozjaśnił się z powodu przychodzącego połączenia. Numer nieznany. Przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać, ale ostatecznie uznała, że da radę się opanować i odbyć rozmowę z potencjalnym klientem, który szukałby notariusza.

– Teresa Sowińska, notariusz – powiedziała spokojnym, profesjonalnym tonem głosu. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, z tej strony Marek Karłowicz z „Lokalnych Nowin”, czy mógłbym zająć pani chwilę?

Znała go. Kilka razy przeprowadzał z nią wywiady i doskonale wiedziała, że to on zajmował się pisaniem artykułu o Carmen, kiedy pojawiła się w Jeleniej. Co prawda, Teresa nie rozmawiała z nim osobiście na temat synowej, zadbała o to, by nie kojarzono jej z postacią Carmen, ale jeżeli Marek dzwoni do niej, to z pewnością w tej sprawie.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc czwartej władzy? – rzuciła niby od niechcenia, w myślach układając już swoją wypowiedź.

– Pani Tereso, robię obszerny materiał o pani synowej Carmen Rodríguez i w obliczu nowych, zaskakujących informacji, które pozyskałem, chciałbym prosić panią o spotkanie i porozmawiać.

– A czy gwarantuje mi pan anonimowość? – zapytała od razu.

– Jeżeli to jest warunkiem naszej rozmowy i pozyskania dodatkowych informacji. – W jego głosie było słycać zaciekawienie. – Rozumiem, że ma

pani pewną wiedzę na ten temat, która, jakby to powiedzieć... obnaży prawdę? – czekał na jej reakcję.

– Owszem. Carmen Rodríguez zabiła mojego syna i już najwyższy czas, żeby poniosła za to zasłużoną karę – powiedziała bez zająknięcia. – Proszę przyjechać do mnie do biura za dwadzieścia minut. Wszystko panu opowiem.

Prosektorium

Ewelina Złotnicka skończyła właśnie sekcję NN. Pozwoliła technikowi sekcyjnemu Igorowi Rudzikowi pójść do domu, a sama zabrała się do kończenia raportu. Nie spieszyło jej się, nie miała do kogo wracać. Kalina wyprowadziła się, zabierając ze sobą nawet kota. Tłumaczyła, że ona nie przesiaduje w pracy po dwanaście godzin i lepiej zaopiekuje się zwierzęciem, ale dla Eweliny i tak było to nieczyste zagranie. Znalazły go na wspólnym spacerze i miały doglądać razem. A tymczasem została w mieszkaniu sama jak palec. Jej nastrój tego dnia nie był najlepszy, w głowie kołatało się wiele myśli, a poza tym zbliżał jej się okres, więc hormony robiły swoje, a poziom frustracji rósł z każdą godziną.

– Cholerny Warszawiak – wymamrotała pod nosem. Była na niego wkurzona, bo tego dnia nie pojawił się nawet na chwilę, by tylko złożyć podpis. Zresztą nikt się nie pojawił na sekcji tej kobiety. Ostatnio na korytarzu miała takie tłumy, że myślała, że będzie sprzedawać bilety, ale kiedy chodziło o zwłoki w rozkładzie, to nikomu nie spieszyło się, by uczestniczyć w sekcji. Ona też nie uważała tego za dobrą rozrywkę, a w dodatku w dniach takich jak ten była zła, że nie ma się do kogo odezwać. Poza tym, to był jego pieprzony obowiązek. Zadzwoiła nawet do Waldka i zagroziła, że złoży na niego skargę, jeżeli będzie musiała podrabiać jego podpis na liście obecności. Obiecał, że zjawi się pod koniec sekcji, ale wciąż go nie było.

– Nie boisz się, że cię okradną? – Głos Warszawiaka wyrwał ją z zadumy, aż podskoczyła.

– Matko! – Złapała się się za pierś. – Ale mnie przestraszyłeś! Nie rób tak więcej, bo zejdem na zawał i trzeba będzie mnie pokroić na tym stole – zająrtowała mimo napiętej sytuacji. Spostrzegła, że jest jakiś nieswój. Co

prawda, jak zwykle prezentował się elegancko i wytwornie, ale po twarzy wydawał się zmęczony i jakby rozżalony.

– Co z tobą? – zapytała wprost. Nie lubiła owijać w bawełnę, a z Waldkiem znali się już dostatecznie długo i nie musieli przed sobą niczego udawać.

– Spierdoliłem – przyznał. Miał zgarbioną postawę ciała, a oczy podkrążone. Właściwie nigdy nie widziała go w takim stanie.

Dopiero teraz zauważyła, że jest po paru głębszych.

– Przyjechałeś tu autem? – zastanawiała się, czy gdyby potwierdził, to powinna mu zabrać kluczyki.

– Taksówką przyjechałem – wyjaśnił. – Przenoszę się do Warszawy i nie mam zamiaru zaczynać pracy z oskarżeniem o prowadzenie pojazdu pod wpływem.

– To co jest? Mów szczerze. – Pociągnęła go do pokoju socjalnego i zaparzyła mocnej herbaty.

– Kojarzysz tych dwóch, co się zabili?

– Ale których? – początkowo nie wiedziała, o kim mówi. Codziennie robiła sekcję kilku osobom, a samobójców wśród nich nie brakowało.

– Jacka Gorałę i Jerzego Pakosza. – Głos mu się nieco łamał, a mowa była niewyraźna.

– A! Masz na myśli policjantów z komendy miejskiej, którzy w odstępie tygodnia popełnili samobójstwo, tak?

– Dokładnie – przyznał jej rację bez entuzjazmu.

– To co z nimi?

– Zabili się przeze mnie – opadł na oparcie wersalki i poczuł się całkiem bezsilny.

– Co ty mówisz, Waldek? – podeszła do niego z kubkiem gorącej herbaty.

– Masz, weź to wypij. – Obraz, który jawił się jej przed oczami był dziwny, nic tutaj do siebie nie pasowało. Elegancki i wymuskany prokurator, posiadający władzę i gardzący biedą, zupełnie bezsilny i zrezygnowany siedział na starej wysłużonej kanapie koloru brązowego. Takiej, co to pamięta jesz-

cze czasy PRL-u. Wiedziała, że każdy człowiek miewa czasem gorsze chwile, ale Waldek nigdy wcześniej się tak przed nią nie otworzył.

– Dwa miesiące temu przyszli do mnie z ABW. Prowadzili dochodzenie w sprawie korupcji i rozpracowywali grupę przestępczą z powiązaniem w dolnośląskiej policji. Jacek i Jurek byli w to zamieszani.

Ewelina usiadła naprzeciw niego i słuchała z przejęciem.

– Poszedłem do nich i powiedziałem, co mam. Zaproponowałem, żeby zgłosili się na świadków koronnych, ale powiedzieli, że to nie wchodzi w grę, bo bandyci ich zabiją. Błagali mnie, żebym ukrył dowody, żebym im pomógł to zatuszować.

– No i...? – Złotnicka chciała jak najszybciej dowiedzieć się, z jakiego powodu Waldek się tak obwiniął.

– No i się nie zgodziłem. Powiedziałem, że albo będą świadkami, albo trafią do pierdła na długie lata. A oni się zabili – powiedział to tak, jakby nie rozumiał dlaczego.

– Woleli zginąć z własnych rąk niż mafii – dokończyła Ewelina.

– Tak. Dziś rano do prokuratury przyszła żona Jurka. Była w strasznym stanie. Krzyczała, obrażała mnie, nazwała skurwysynem, który zabił jej męża. Nawet mnie opluła. Powiem ci, Złotko, że ja już nie mam siły do tego zawodu.

Wydawał się naprawdę przybity i Ewelinie zrobiło się go po prostu żal.

– Może dobrze, że się przenosisz. Nowe środowisko, nowe problemy, może i nowa energia – Uśmiechnęła się, by dodać mu otuchy i poklepała go po ramieniu.

– Wszędzie jest taka sama chujnia – powiedział pod nosem.

– OK, masz rację, ale jakoś musimy z tym żyć, no nie? Poza tym, jakkolwiek źle by to zabrzmiało, to był ich wybór. I ten o współpracy z przestępcami, i ten o odebraniu sobie życia. Sami zdecydowali. Każdy z nas czasem źle wybiera i potem ponosi tego konsekwencje, takie życie – skwitowała, a on pokiwał tylko głową.

– A co tu mamy? – zapytał, chcąc choć na chwilę uciec myślami od tematu. Dobrze wiedział, że to tylko moment załamania. Jeżeli nie pozwoli złym myślom rozpanoszyć się za bardzo, jutro wstanie z łóżka niczym młody bóg i dalej będzie rządził światem. Cieszył się, że to Ewelina była świadkiem jego chwilowej słabości. Wiedział, że jest dyskretną i mądrą kobietą i nie będzie mleć ozorem dookoła. W prokuraturze nie miał przyjaciół, właściwie nie miał ich w ogóle. Nigdy ich nie potrzebował, poza kilkoma chwilami w życiu, takimi jak ta.

– Skończyłam sekcję. – Ewelina spojrzała w kierunku stołu sekcyjnego, na którym nie było już ciała. Technik zabrał je do chłodni przed wyjściem. – Właściwie wszystko odbyło się tak jak w przypadku pierwszego odnalezionego ciała, tyle że zabójstwa dokonano około trzy tygodnie temu.

– Czy to nie dziwne, że przez tyle czasu nikt jej nie znalazł? – zaczął się zastanawiać Warszawiak.

– W taką pogodę? Myślę, że nie. Non stop deszcze. Poza tym uważam, że większość ludzi nie ma pojęcia, że w Zachełmiu jest jakaś jaskinia. Ja nie wiedziałam.

– A znalazłaś coś, co się różniło? W sensie w sposobie zabijania, traktowania zwłok? Nie wisiała na sznurze, to wiem, w jaskini zostały znalezione ślady butów, ale może jest coś jeszcze?

– Rana była bardziej poszarpana – powiedziała.

– Inny nóż?

– Myślę, że tak – przyznała mu rację. – Większy i z ząbkami, u Anety Sasek narzędziem był raczej nóż myśliwski, gładki, profesjonalny, długość ostrza szacuję na piętnaście centymetrów, w przypadku NN dziesięć. Grubość ostrza to około cztery milimetry w obu przypadkach.

– Zobaczył, że ten z ząbkami się nie sprawdza i użył innego... – wymamrotał pod nosem.

– No tak, czyli z pewnością nie jest chirurgiem ani żadną osobą wykonującą zabiegi czy operacje. Odrzuciłabym więc zawody medyczne, pracowników ubojni czy myśliwych.

– Tak, z pewnością nie poluje hobbistycznie. Dlaczego je zabija?

– No, no, widzę, że wróciła ci ciekawość i detektywistyczna żyłka. Może pora dołączyć do grupy dochodzeniowo-śledczej i zająć się porządnie robotą? – Spojrzała na niego spod byka.

– A to nie wiesz, że już mają podejrzanego? – zdziwił się, że do tej pieczary umarłaków nie docierają informacje zwrotne. Wydałem nakaz aresztowania i zgodę na przeszukanie jego domu i samochodu.

– O! Nie miałam pojęcia – przyznała. – Ale to dobrze, oby nikogo więcej ten świr nie skrzywdził.

– Ponoć zwiął – wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno. – A jeżeli uciekł i to faktycznie on jest zabójcą, to wątpię, żebyśmy mieli kolejne zbrodnie na tym terenie. Udało ci się ustalić jakieś znaki szczególne ofiary? Coś, co pomogłoby w jej identyfikacji?

– Niestety nie. Przeciętna kobieta około trzydziestki, również przeciętnej urody. Zero tatuaży, złotych zębów czy niestandardowej liczby palców. Myślę, że nie należała do jeleniogórskiej elity – dodała.

– Skąd taki wniosek?

– Miała sporo zepsutych zębów. Nie była bardzo zaniedbana, ale też nie dbała o siebie wystarczająco. Z pewnością rodziła, tyle mogę o niej powiedzieć.

– Jak to? – zaciekawił się Warszawiak. – Przecież miała usunięte przydatki. Skąd wiesz takie rzeczy?

– Nie tylko przydatki. Bo to akurat nazwa jajników i jajowodów, a ten psychol wycina im też macicę. Natomiast cięcie, jakiego dokonał na skórze, jest bardzo nierówne. A obok niego widać ślad starej blizny.

– No i? – Nie zrozumiał.

– No i to jest blizna po cesarskim cięciu. A więc była matką. Blizna była jasna, więc podejrzewam, że nie rodziła w ostatnich trzech latach. Powinście przejrzeć rejestr osób zaginionych.

– Leśniak się tym zajmował. Nikogo pasującego do opisu nie znaleziono. Dobra, Złotko – poklepał ją po kolanie i wstał z wersalki w sposób sugeru-

jący, że ma co najmniej osiemdziesiąt lat. – Będę leciał. Posiadanie dzieci to też nic szczególnego, no nie? Nawet na prawo jazdy trzeba zdać egzamin, a dziecko urodzić może każda płodna kobieta.

Właściwie to chciała się go zapytać, czy zdaje sobie sprawę, jakie to obciążenie dla organizmu, ile trzeba znieść wyrzeczeń i jak wiele poświęcić, ale ugryzła się w język. Wiedziała, że nie chciał obrazić w ten sposób płci żeńskiej. Oboje doskonale pamiętali sprawę skatowanego Pawełka sprzed kilku lat. Ewelina robiła jego sekcję, a Warszawiak skarżył rodziców. Waldek miał rację, rodzicem zostać może każdy i to wcale nie jest dobre.

Polkowice, dom Antoniego Pawlińskiego

— **M**ówiłam już, że nic nie wiem – krzyknęła kobieta o blond włosach i z delikatną nadwagą.

Borys Szyk nie zareagował. Siedział spokojnie w salonie, podczas gdy ona wstawiała do zmywarki brudne naczynia. W domu panował nieład, dokładnie taki, jaki widywał u swoich kolegów, których odwiedzał podczas choroby dzieci. Rodzice w powyciąganych, poplamionych dresach, z tłustymi włosami niedbale zaczesanymi do tyłu lub w przypadku kobiet związanymi w kitkę, zabawki porozwalane dosłownie wszędzie i okruszki leżące na kanapie. Ot, normalna sytuacja panująca w domu zawładniętym przez gripę. Karolina Pawlińska wydawała się zmęczona. Nie tylko dziećmi i chorobą, na którą też zapadła, ale wszelkimi pytaniami dotyczącymi jej męża. Byli ubrani w białe kombinezony z kapturami naciągniętymi na głowę i widok ten był niecodzienny dla kogoś niezwiązanego z pracą w policji.

– Co innego mówiła pani policjantowi dwie godziny temu. Wysłany z komisariatu w Polkowicach funkcjonariusz, który miał doprowadzić pani męża na komendę w Jeleniej Górze, usłyszał, i tu cytuję: „mąż pojechał na delegację zagraniczną”.

Kobieta westchnęła głośno, odłożyła szmatkę, którą chciała właśnie przetrzeć blat kuchennej wyspy i złapała się za skronie. Głowa bolała ją nie miłosiernie, a żadne tabletki nie pomagały.

– Powtarzam jeszcze raz. Tak mi powiedział wczoraj Antek, że ma nagły wyjazd w delegację. Ale kiedy zapukała do nas policja, zaczęłam do niego wydzwaniać i nie odebrał.

– I co pani zrobiła?

– Zadzwoiłam do jego szefa. Zapytałam, w którym hotelu jest, bo nie mogę się z nim skontaktować, ale pan Zborowski nie wiedział, o co mi chodzi. Powiedział, że Antek nie pojechał na żadną delegację, tylko wziął kilka dni urlopu.

– I nie ma pani pojęcia, gdzie mąż może teraz przebywać?

– Nie mam – powiedziała z przekonaniem.

– I nie martwi się pani o niego? – Wydawała mu się zbyt spokojna jak na żonę, której mąż zniknął, a policja wkracza do ich domu z nakazem przeszukiwania.

– Nie jestem spokojna, zastanawiam się, ile będę miała sprzątanego po tym, jak wywrócicie mój dom do góry nogami i jak długo będziecie mnie jeszcze męczyli – znowu krzyknęła. We własnym domu nie mogę się czuć swobodnie, bo łązi po nim jakaś banda kosmitów. – Wskazała głową w kierunku techników przeczesujących obecnie gabinet jej męża.

– A to, że mąż jest podejrzany o zabójstwo nie wyprowadza pani z równowagi? – Też podniósł głos. Nie mógł pojąć, jak można być aż tak odciętym od rzeczywistości.

– Jakoś nie, proszę sobie wyobrazić! Wiem, że tego nie zrobił! I jak to wszystko się skończy, to pierwsze, co uczynimy z Antonim, to oskarżymy was o przekroczenie uprawnień i szkalowanie jego dobrego imienia. – Zaczęły jej się trząść ręce, a kąciki ust lekko zadrżały.

– Pani wie, prawda? – dopiero teraz do niego dotarło.

– Co wiem?

– Wie pani, że ta zamordowana kobieta, Aneta Sasek, była jego kochanką. – Patrzył na nią wnikliwie, próbując dostrzec to, co ona koniecznie chciała ukryć. Zdawało mu się, że coś się w niej zmieniło. Zaskoczył ją.

– To już jest dawno za nami – wyszeptała.

– Chyba nie, skoro w ostatnim czasie ją odwiedził – zarzucił haczyk. Sprawdzał, ile wiedziała, bo przecież mężowie dopuszczający się zdrady

nie mówią żonom wszystkiego, zwłaszcza jeżeli one jakimś cudem odkryją część prawdy.

– On jej nie zabił, był wtedy ze mną – powiedziała stanowczo, zaciskając pięści.

– Kiedy był z panią?

– Wtedy kiedy zginęła ta dziewczyna.

– To ciekawe, a kiedy zginęła?

– Nie wiem, do cholery! – krzyknęła ponownie. – Antoni był ze mną co dzień i co noc! O którykolwiek termin spytacie odpowiedź jest jedna – był wtedy ze mną! Jasne? Dopiero wczoraj wyjechał.

Podszedł do niej, spojrział z politowaniem i wyszeptał na tyle cicho, by musiała wyteńczyć słuch, aby coś zrozumieć.

– Nie warto. Jako żona nie musi pani zeznawać. Ale jeżeli pani zechce i poświadczy nieprawdę, a sąd i tak udowodni mu winę, to wasze dzieci zostaną bez obojga rodziców. Naprawdę takiej przyszłości pani dla nich chce? – Obrócił się i wyszedł.

Zostawił ją z tym pytaniem. Niech trochę pomyśli. Na stole położył swoją wizytówkę, więc jeżeli będzie chciała współpracować, zadzwoni. Jeżeli nie, oni i tak dowiodą prawdy.

Wracając do domu, odebrał telefon od Marka. Dziennikarz twierdził, że ma dla niego coś ekstra i koniecznie muszą się spotkać. Z początku nie miał ochoty na te bzdury. Jego ostatnie rewelacje uczyniły z niego jedynie głupka z siniakiem na twarzy. Skutki ataku Carmen będzie odczuwał jeszcze przez kilka następnych dni. Gdyby wiadomości były trafione, może i byłoby warto, ale dziennikarz nie mógł wiedzieć, że hiszpańska profilerka działała dla tajnych służb. Wszystko zostało przedstawione tak, by było jak najbardziej realistycznie. Podejrzewał, że gazety rozpisywały się w Maladze o tym, jak zabiła męża. To było potrzebne dla uwiarygodnienia sytuacji i wcale się nie dziwił, że po zakończeniu sprawy wołała przeprowadzić się do innego kraju. Jelenia Góra wydawała się dobrą opcją, bo tu dorastał jej mąż. Mimo to Marek wciąż nalegał na spotkanie, twierdząc, że ma spraw-

dzone informacje i że Borys będzie bardzo zaskoczony. Ostatecznie zgodził się, bo nie chciał pić w samotności. Po dwóch godzinach podróży w ciemności i przy wtórze kropel spadającego deszczu, poczuł się zmęczony i nawet myślał, żeby odwołać spotkanie z kolegą, ale nie miał już wyjścia. Marek siedział w aucie przy ogrodzeniu jego domu i czekał.

Piechowice, dom Borysa Szyka

— **M**am coś takiego, że nie uwierzysz! – powiedział na przywitanie, kiedy obaj weszli już do środka.

Usiedli w kuchni przy starym, drewnianym kompleksie jadalnym w kształcie litery L. Borys podszedł w stronę lodówki i wyciągnął z niej żółdkową gorzką i dwa kieliszki. Marek chciał odmówić, bo przyjechał autem, ale Szyk zagroził mu, że nie będzie wysłuchiwał jego rewelacji, jeżeli się razem nie napiją. Dziennikarz skapitulował.

– No, to dawaj, co tam masz na tapecie. – Borys stuknął szkłem o szkło kolegi i wlał w gardło pierwszą pięćdziesiątkę bez grymasu.

Deszcz zaczął za oknem coraz mocniej, dudniąc w blaszany dach garażu. Idealna pogoda na picie, pomyślał Szyk.

– Słuchaj, nie uwierzysz – z zaangażowaniem zaczął Marek. – Ta cała Carmen Rodríguez to niezłe ziółko!

– No, no. – Borys nie czuł ekscytacji. Dziennikarz po prostu nie miał pojęcia o policyjnej robocie, w którą była wciągnięta. Ale ponieważ Marek zdawał się dobrym kompanem do picia, pozwolił mu paplać, ile wlezie.

– Ej, poważnie ci mówię. Sprawdziłem dokładnie plotki, które krążą o zabiciu męża Carmen. To prawda. Ponoć zastrzeliła go, pakując w niego dwie kulki. Byli wtedy na jachcie na romantycznym rejsie, daleko od lądu. Zdaje się, że to była jakaś ich rocznica czy coś w tym stylu. Ta Rodríguez pochodzi z bardzo znanej i bogatej rodziny. Jej matka urodziła się i wychowała w Zakopanem. Dziadkowie Rodríguez od strony matki to właściciele kilku hoteli. Matka Carmen, Małgorzata Zalewska, wyjechała z Polski jako dziewiętnastolatka. Najpierw studiowała w Madrycie, a na ostatnim roku

poznała Enrique Rodrguenza, kilka lat starszego od siebie dziedzica fortuny jednej z maladzkich rodzin z brany nieruchomoci. Pokochali si i przeprowadzili do Malagi, skd on pochodzi. Jak si domylasz, hajtnli si i urodzia im si crka. Pono do tej pory s razem. Maj kup siana i yjq sobie w Hiszpanii w luksusie.

Borys omit spojrzeniem swj stary rodzinny dom, poczu, jak ze szczelin w oknie wdziera do rodka zimne powietrze i zastanawia si, czy bdzie w stanie z pensji policjanta kupi wgiel, ktrego cena z powodu inflacji i niedostatku surowca na rynku podskoczya ze cztery razy w ostatnim czasie. Wiedzia, e s ludzie, ktrzy maj pienidze, ktrzy maj obrzydliwie duo pienidzy. Ale po jak cholere mieszaj si w ycie ludzi zmagajcych si ze swoj szar codziennoci?

– Po co ona tu przyjechaa? – wymwi swoj myl gono w kierunku kolegi. – Skoro ma tyle kasy, to po jak cholere zaczepia si w komendzie na zadupiu?

Marek wzruszy ramionami i zrobi dziwn min.

– Nie mam pojqcia. Ale po tym, co narobia, podejrzewam, e miaaby przesrane w Maladze. Ta rodzina naley do elity, myl, e chcieli si pozby zgniego jaja i wysali j do Polski.

– No tak, ale dlaczego przysza do pracy w policji? Przecie z tego, co mwisz, ma kup kasy. Po cholere udaje zbawicielk wiata i zawraca nam dup.

Marek nie zna odpowiedzi na to pytanie.

– Suchaj. – Uczciwo Borysa wzia gr. – Musisz co wiedzie. Ona nie zabia ma. Pracowaa dla tajniakw, dorobili do jego mierci tak histori, eby moga wej do wizienia i zapa seryjn zabjczyni dzieci. – Chocia za ni nie przepada, uwaa, e w pewnych kwestiach trzeba ustali fakty. Poza tym sam chcia dowiedzie si, o co tu chodzi, a nie dojdzie prawdy, jeli wokl osoby Carmen bd kryc plotki. I niedomwienia.

Marek zrobi wielkie oczy i nic nie powiedzia. Nala sobie za to kolejny kieliszek i wypi jednym haustem.

– Kurczę, stary. Takich rzeczy to moi informatorzy nie podają, a wierz mi mam dobre źródła.

– Lepsze niż policyjne?

– No, właśnie policyjne. Moja koleżanka dotarła do gliny, w którego zespole pracowała Carmen. Twierdzi, że byli w szoku po tym, co się stało. Chociaż przez ostatnie lata zachowywała się dziwnie, jakby nie była w pełni władz umysłowych. W Maladze wrzało. Rodzice na początku próbowali ją wyciągnąć z więzienia, ale nawet pieniądze i układy nie pomogły. Chociaż może trochę tak, bo dostała tylko osiem lat. Na broni znaleziono jej odciski palców, ubranie miała umazane krwią męża. Wszystko się zgadzało i właściwie nie było żadnych innych tropów.

– Czekaj, czekaj... – Borys wyciągnął do góry wskazujący palec. – Ale ona odsiedziała tylko dwa lata. A przynajmniej tak mi powiedziała.

– Ha! I tu jest właśnie ta rewelacja. Wiesz, dlaczego wyszła?

Borys pokręcił przecząco głową. Nie zapytał Carmen, jak oficjalnie zostało rozegrane jej wyjście z więzienia po rozpracowaniu seryjnej zabójczynie. Podejrzewał ulaskawienie, ale wtedy i tak miałyby łatkę morderczynie. Może więc po zakończeniu sprawy policja ujawniła, że było to działanie pod przykrywką i wydała oświadczenie, że Carmen jest niewinna?

– Znalazł się facet, który przyznał się do winy! – Marek rzucił temat i czekał na reakcję kolegi.

– No, czyli niewinna – podtrzymał lekko już podchmielony. – I to by pasowało do całej historii z pracą dla tajnych służb.

– A ty skąd to wiesz? – Marek podrapał się po głowie. Ani razu nikt z jego informatorów nie wspomniął o pracy Carmen pod przykrywką. A przecież po tego typu akcjach policja lubi się chwalić sukcesami. Dobrze o tym wiedział, bo kiedy tylko udało się mundurowym ująć przestępcę czy zakończyć śledztwo, od razu się do niego zgłaszali z prośbą o obwieszczenie w mediach.

– No, od niej. – Dopiero wymawiając te słowa, Borys poczuł, że coś może być nie tak. Chociaż nadal wierzył w to, co powiedziała mu Carmen, coraz

bardziej interesowały go słowa Marka. Co jeżeli profilerka skłamała? Zna się na ludzkiej psychice, może nabija w butelkę ich wszystkich? Ziarno niepewności znów zostało zasiane. Jego kolega zaczął się głośno śmiać, przez co Szyk poczuł się jak rasowy idiota.

– Słuchaj – zaczął w końcu. – Ten facet, który przyznał się do zabójstwa, to jakiś biedak spod Malagi, bez motywu i jakiegokolwiek związku ze sprawą. – Marek zdawał się bardzo pewny swego. – Co ciekawe, jego żona w dniu, w którym przyznał się do zabójstwa, dostała dwieście czterdzieści tysięcy euro na konto. Interesujące, nie?

– Co? – Borys nie dowierzał. Pochylił się z ciekawością w stronę kolegi. – Mów dalej.

– Pieniądze miały pochodzić ze sprzedaży domu, ale ten dom to ponoć była istna rudera i wszyscy w Maladze gadali, że Rodríguez kupiła sobie wolność. Facet posiedzi parę lat, ale on i jego rodzina będą ustawieni.

– Nie mów, że to ona albo jej rodzice kupili tę chatę i pieniądze pochodziły z ich konta? – W to bym nie uwierzył. Nawet gdyby była winna, to przecież nie byłaby taka głupia.

– Nie. Nieruchomość, a raczej ruinę nabył niejaki Antonio Perez, deweloper.

Borys rozłożył ręce, jakby nic mu to nie mówiło. Bo niby skąd miałby znać Pereza? Ale skoro facet był deweloperem, to może chciał na tej działce postawić jakiś wieżowiec i po prostu mu się to opłacało.

– Słuchaj, widziałem stare wycinki z gazet. – Marek wychylił kolejny kieliszek. – Oni kiedyś ze sobą chodzili. Jestem przekonany, że Antonio Perez jej pomógł. Pewnie miał wciąż do niej słabość, w końcu stara miłość nie rdzewieje. Kolejny głąb manipulowany przez inteligentną, pozbawioną emocji psychopatkę.

– Czy mi się wydaje, czy kolega przechodzi ostatecznie problemy w związku – zażartował Borys, trafiając w czuły punkt Marka.

– Nie chcesz wierzyć, to nie wierz – odburknął urażony i wypił jeszcze kieliszek.

– Dobra, nie gorączkuj się tak. Powiedzmy, że mnie zaciekawileś. Tylko co ja mam zrobić z tymi informacjami. Z tego, co mówisz, oficjalnie ona jest oczyszczona z zarzutów, co oznacza, że nie mam po co iść z tymi newsami do komendanta. Podejrzewam nawet, że jeżeli było tak, jak mówisz, to Carmen wszystko mu opowiedziała. Jest kryta, zabójca jej męża siedzi w więzieniu. A ona jest biedną, niewinnie skazaną żoną pogrążoną w żałobie. Co można w tej sprawie zrobić?

– Czyli chcesz pracować z morderczynią, tak? Chcesz pewnego dnia przekonać się na własnej skórze, jak to jest być przez nią postrzelonym... OK, rozumiem, lubisz ryzyko. Twoja sprawa – monologował nieco już wcięty. – A nie dziwi cię, że te zabójstwa w jaskiniach pojawiły się w czasie, gdy ona przyjechała do Jeleniej Góry?

– Stary, chyba za dużo wypileś. – Borys odstawił butelkę do lodówki.

– Wspomnisz kiedyś moje słowa. Nawet jej teściowa uważa ją za niebezpieczną morderczynię.

– Co? Gadałeś z tą notariusz Teresą Sowińską?

Marek przytaknął, robiąc przy tym triumfalną minę.

– I co mówiła?

– Że jej synowa od zawsze miała problem z głową. Że wydaje się normalna, ale jest pozbawiona wszelkich emocji i jak nikt inny potrafi manipulować ludźmi. Podobno jej syn, opowiadał jej kilka razy, że nie poznaje swojej żony, że coś jest z nią nie tak. Nie chciała wdawać się w szczegóły, ale podobno Hiszpanka leczyła się psychiatrycznie. Carmen twierdziła, że jej mąż ma romans. Instalowała wszędzie podsłuchy, śledziła go, a każdą biznesową rozmowę, którą odbywał z kobietami, nagrywała i urządzała mu dzikie awantury. Podobno posuwała się nawet do rękoczynów i kiedyś zaatakowała go nożem, ale chybiła. Sowińska rozplakała się przy mnie, że przez nią straciła swoje jedyne dziecko. Twierdzi, że udaje dobre relacje z synową, żeby wybadać Rodríguez. Jej zdaniem nie przyjechała tu przypadkiem. Uważa, że Carmen przyświeca jakaś idea, że ma ukryty cel, ale nie ma pojęcia, co to może być. Powiem ci, że takiej nienawiści w oczach to

dawno nie widziałem. Jutro o tym wszystkim napiszę – poinformował go. – Tylko Sowińską w tym artykule pominę – prosiła mnie o dyskrecję.

– Dobra, jutro pogadamy. A teraz chodź. Zaprowadzę cię do gościnnego – złapał Marka pod pachę i położył w pokoju naprzeciwko. Karłowicz zasnął w momencie, gdy położył głowę na poduszce.

Kiedy Borys szedł do łóżka, zaczął się zastanawiać nad tym, co usłyszał. Gdyby historia, którą opowiedziała mu Carmen była prawdziwa, teściowa z pewnością by o niej wiedziała. Nie ukrywa się takich rzeczy przed bliskimi, zwłaszcza kiedy już jest po wszystkim. Ale Teresa Sowińska nic podobnego nie potwierdziła. No i ten przelew. Borys nie wierzył w zbiegi okoliczności, jednak nie chciał nakręcać Marka jeszcze bardziej. Widział, że coś go męczy i jest gotów przerzucić negatywne emocje na robotę, a to nie przysłuży się nikomu. Wolał, żeby ten artykuł nie powstał. Jeżeli faktycznie Rodríguez jest niebezpieczna i jest tu w jakimś konkretnym celu, to nie można wyprowadzić jej ze strefy komfortu. Musi wierzyć w to, że wszyscy łyknęli jej historię. Tylko tak będą mogli ją rozpracować.

Jelenia Góra, apartament Carmen

Rodríguez nie mogła zasnąć. Ten dzień był dla niej trudny zarówno pod względem emocjonalnym, jak i fizycznym. Na szczęście gorączka odpuściła i wydawało się, że organizm zwalczył przeziębienie. W tym zimnym i wilgotnym klimacie nietrudno o choroby, dlatego obiecała sobie, że będzie ubierać się jeszcze cieplej. Najwyżej ludzie na mieście wezmą ją za kosmitkę. Już teraz patrzyli na nią ze zdziwieniem, bo zawsze miała na sobie więcej ciuchów niż inni. Przetarła dłonią oczy, które piekły ją od ciągłego wpatrywania się w monitor. Przeglądała zdjęcia ciał znalezionych w jaskiniach. Nie wiedziała dlaczego, ale ciągle miała przeczucie, że coś przeoczyła, że nie była dostatecznie uważna. Seryjni mordercy często zostawiali policji wskazówki, bawili się z nimi, zwłaszcza ci inteligentniejsi. Chcieli ich naprowadzać na kolejne zbrodnie lub w jakimś sensie tłumaczyć się z obecnych, zdradzić motyw. Jej mentor Pablo Luiz zawsze powtarzał, że czasem trzeba się odsunąć, spojrzeć szerzej, nie tylko na samo ciało, ale na całość z uwzględnieniem miejsca zbrodni i najbliższej okolicy. Dopiero po tym można poznać, kim prawdopodobnie jest zabójca. Przeklikała parę ujęć, szukając bardziej ogólnych fotografii obejmujących całe jaskinie, ale kiedy je znalazła, uznała, że w zasadzie nic na nich nie widać. Skały o różowobeżowym zabarwieniu zlewały się w jednolitą masę, nie pozwalając dostrzec szczegółów, zagłębień czy nierówności, a może właśnie w nich morderca zostawił ślad. Albo na skalnych półkach. Była ciekawa, czy technicy wdrapali się chociaż na jedną z takich półek w jaskini w Szklarskiej Porębie i dobrze ją sprawdzili. Podniosła głowę znad laptopa i spojrzała przed siebie. Jej twarz odbijała się w szybie,

o którą dudnił silny deszcz. Zaczęła się zastanawiać, czy w tym kraju jest jakakolwiek szansa na promienie słoneczne poza sezonem letnim. Ale zaraz zganiła się, że pogoda nie powinna mieć wpływu na wywiązywanie się ze swoich obowiązków. Gdyby teraz miała auto, wzięłaby latarkę i pojechała jeszcze raz w spokoju obejrzeć jaskinie. Bardzo chciała zająć się tą sprawą i na chwilę oderwać myśli od swoich problemów. Co prawda, interesowało ją, czego dowie się o Alicji Topaz Marcel vel Śruba, ale nie chciała się za bardzo ekscytować, powodując niepotrzebną gonitwę myśli. Wizyta Teresy nieco ją uspokoiła, bo teściowa zdawała się być pogodzona z losem i z nadzieją patrzyła w przyszłość. Mimo wszystko jej słowa o tym, że ciągle czuje obecność Adama albo widzi go gdzieś pośród tłumu, zmroziły ją. Nie, nie może teraz o tym myśleć. Najpierw wykona swoją pracę, dopiero potem zajmie się prywatnymi sprawami. Zawsze taka była. Obowiązek ponad wszystko. Kiedy poszła na studia podyplomowe z profilowania i wstąpiła do policji, rodzice całymi tygodniami próbowali wybić jej to z głowy. Przekonywali, że czeka na nią imperium, że będzie miała co robić w rodzinnej firmie, ale ona czuła, że ma inną drogę, swoją własną. Nie tylko dlatego się poróżnili. Westchnęła przeciągle, wstała z krzesła i poszła do łazienki. Odkręciła zimną wodę, przemyła twarz i znów spojrzała w swoje odbicie w lustrze.

– Weź się w garść, do cholery – powiedziała z poważną miną do blondynki stojącej naprzeciwko. – Jesteś Carmen Rodríguez Zalewska, a to wiele znaczy. Przetrwiałaś więzienie, więc nic cię już nie złamie.

Postanowiła nie czekać na nowy samochód, do którego miała odebrać kluczyki w następnym tygodniu. Wróciła do gabinetu, wystukała na klawiaturze laptopa kilka wyrazów i już po chwili dzwoniła do wypożyczalni samochodów. Po godzinie pod jej blokiem stanął niebieski SUV, była to toyota rav4. Włożyła puchową kurtkę, ponieważ termometr na dworze wskazywał zaledwie pięć stopni i wsiadła w auto. Pierwszą czynnością, którą wykonała, było włączenie podgrzewanych foteli. Wiedziała, że może przypłacić zdrowiem, kiedy wyjdzie na wilgotne i chłodne powietrze, ale nie mogła oprzeć się tej przyjemności. Czuła się wtedy błogo i bezpiecznie.

Ustawiła nawigację na jaskinię w Zachełmiu, bo tam morderca uderzył po raz pierwszy. Kiedy zaparkowała auto tuż przed rozkopaną drogą i poszła w górę w stronę lasu, naszły ją wątpliwości. Czy powinna chodzić sama w ciemności w takie miejsca? Czy jest tutaj bezpieczna. Wioska wydawała się leniwa i senna, z domów usytuowanych po bokach stromego podejścia świeciły przyćmione światła, a w jednym z gospodarstw głośno ujadał wilczur. Szczęk łańcucha, na którym pies był trzymany, przyprawił ją o gęsią skórkę.

– Biedny piesku – powiedziała w jego stronę. – Już dobrze, nic złego ci nie zrobię.

Las spowity był gęstą mgłą, a dźwięk padającego deszczu mieszał się z szumem drzew. Pomyślała, że scenografia byłaby wręcz idealna do dreszczowca lub jakiegoś kiczowatego horroru. Zaśmiała się nawet, że daje się wkręcać w takie klimaty. Nigdy nie bała się duchów ani zjaw, ale od zawsze wiedziała, że zwykły, przeciętny człowiek jest stworzeniem najbardziej niebezpiecznym i brutalnym ze wszystkich. Tylko czy w takim miejscu, o tej porze i podczas takiej okropnej pogody komuś chciałoby się czaić w lesie? Nie. Nawet Jaskiniowiec, jak nazywała go prasa, nie miałby czego tu szukać, bo jak podejrzewała, będzie zostawiał kolejne ofiary w zupełnie innych jaskiniach. Ale czy zabójcy nie lubili czasem wracać w rejon zbrodni? Czy nie chcieli poczuć jeszcze raz tego miejsca, szczególnie uhonorować swój triumf, napawać się zapachem zbrodni?

– Spokojnie, Carmen – powiedziała do siebie. – Pamiętaj, że ty też jesteś zabójczynią. Groźną, bezwzględną i konsekwentną.

Przystanąła na moment, ujrawszy światło palącego się w oddali ogniska, lokalizowanego u progu wejścia do jaskini. Zmrużyła oczy, naciągnęła dokładniej na czoło kaptur, który zsuwał jej się podczas marszu.

– Dobry wieczór – stanęła dokładnie naprzeciwko kobiety kucającej w jaskini przy ogniu.

Zdziwiła się, że nie ujrzała tu grupki młodych ludzi, ale starą, pomarszczoną babuleńkę. Kobieta spojrzała na nią przestraszona, pospiesznie

wrzucając do ognia garść proszku trzymanego w ręce. Ogień buchnął nagle i zasyczał tak mocno, że Carmen musiała odsunąć się i zasłonić oczy.

– Co pani robi? – zapytała konkretnym, niezbyt miłym tonem.

Kobieta wydawała jej się dziwna, jakby nie z tego świata. Odziana w stare słowiańskie stroje, jakie widywała kiedyś na obrazkach z książek przysyłanych jej do Hiszpanii przez babcię z Polski. Na głowie miała zplecioną chustę, na szyi łańcuszki z zawieszkami w dziwnych kształtach, a na nadgarstkach bransoletki z lokalnych minerałów. Carmen spośród nich od razu rozpoznała biały kryształ i ametyst, innych nie potrafiła nazwać. Nie znała się aż tak dobrze na minerałach i magicznych mocach, które im przypisywano, ale od razu skojarzyła kobietę z kimś w rodzaju lokalnej czarownicy, więdźmy czy babki, jak mawiali niektórzy. Takiej, co to zna naturalne lekarstwa na wszystkie choroby i odprawia czary. Nie tylko Polacy wierzyli w gusła i zabobony, Hiszpanie też. W tym jednym nie różnili się w ogóle.

– Cicho – zgańiła ją kobieta, mrużąc pod nosem słowa, których sensu Rodríguez nie rozumiała. Zaczęła uderzać się przy tym w piersi, po chwili wstała i obesła ognisko dookoła, zataczając się, jakby była pijana.

Ten obraz wydał się Carmen zarówno śmieszny, jak i złowieszczy. Kobieta spojrzała na nią groźnie z drugiego końca jaskini. Nie dzieliła ich duża odległość i Carmen poczuła się nieswojo, jakby babka przeszywała ją wzrokiem na wskroś. Wyciągnęła z kieszeni kolejną garść proszku i rzuciła w ogień, który momentalnie się zgasił, a w grocie unosiły się jedynie kłęby ciemnego, drażniącego dymu.

– ¡Joder! – krzyknęła Rodríguez, nie mogąc złapać oddechu. – Chce pani, żebym tu umarła?

– Nikt tu już nie umrze, moje dziecko, a na pewno nie ty. Będziesz żyła długo, może nie zawsze szczęśliwie, ale za to zdrowo, a to w życiu najważniejsze – wyszeptała jej do ucha, nie wiadomo, jakim cudem znalazła się przy profilerce. Chwyła ją za ramię i wyprowadziła z jaskini na padający deszcz.

– Tak? A niby, skąd to pani wie? – Carmen potarła swędzące od dymu oczy i zakasłała.

– Wiem – powiedziała pewnie starucha. – I niech to ci wystarczy. – Splu-
nęła na ziemię. – Pora na mnie. Muszę zrobić mikstury, ludzie z rana
przyjdą, bo leki na nich nie zadziałają.

Rodríguez zaczęła się zastanawiać, czy kobieta miała równo pod sufi-
tem. Bredziła jak pomyłona, zupełnie nie na temat.

– Zaraz, zaraz. Mam parę pytań. – Carmen zaczęła znów kaszleć, bo dym
podrażnił jej struny głosowe i gardło. – Co pani tu robiła?

– Oczyszczałam jaskinię ze złych duchów – powiedziała, stojąc w całko-
witej ciemności na wprost Rodríguez. – Każde miejsce, w którym kogoś za-
bito, trzeba oczyścić. Żeby nigdy już nic takiego się nie wydarzyło – wytłu-
maczyła.

Carmen włączyła latarkę i skierowała światło na stopy. W tym momen-
cie spostrzegła, że kobieta jest boso. Miała zrogowaciałą skórę na stopach
i połamane brudne paznokcie. Rodríguez aż się wzdrygnęła. Baba mówiła
szepem, jakby z powodu nagłej infekcji gardła, nie była w stanie wydobyć
normalnego głosu. A ten, który z niej wychodził był skrzypiący i chrapliwy.

– Tobie też przydałoby się takie oczyszczenie – wymówiła spokojnie. –
Przyjdź do mnie kiedyś, a twoje lęki ustaną. Obiecuję.

– Czy pani wie coś na temat tej dziewczyny, którą tu zabito? – Carmen
wolała przejść do meritum, bo słowa tej wiedźmy zaczęły ją lekko niepo-
koić. Oczywiście, że nie wierzyła w jej nadprzyrodzone moce, ale skąd ta
kobieta tyle o niej wiedziała? Może po prostu stosowała jeden klucz do
umysłu każdego człowieka? Przecież każdy ma jakieś lęki i smutki.

– Zła była – wyszeptała niespodziewanie.

– Słucham? – nie była pewna, czy dobrze usłyszała. – Znała ją pani?

Kobieta przecząco pokręciła głową. I zlustrowała profilerkę od głów do
stóp. Wyglądała jakby chciała ocenić, ile może jej zdradzić na ten temat.

– A widziała tu pani kogoś podejrzanego? Mordercę może? Wie pani,
kim jest albo dlaczego zabija? – Postanowiła spróbować, bo skoro baba
uważa się za wszechwiedzącą, to może zaskoczy ją jakąś sensowną odpo-
wiedzią.

– Dlaczego zabija? – kobieta powtórzyła pytanie powoli i niespiesznie, podchodząc do Carmen jeszcze bliżej.

Stała tak blisko, jak Rodríguez nie lubiła, całkowicie ignorując jej strefę komfortu. Kobieta poczuła nieświeży oddech baby i zapach jej zady-mionych włosów. To było bardzo dziwne, niegroźne czy interesujące, po prostu dziwne.

– Bo zło lubi powracać. – Jej słowa rozeszły się szeptem po okolicy, niczym echo odbijające się od skał. I był to iście przerażający dźwięk. – Powracać, powracać, powracać... – dudniło w koronach drzew.

Carmen poczuła zimny dreszcz na plecach i upuściła latarkę. Kiedy ją podniosła, kobiety już nie było. Zniknęła, wyparowała, ulotniła się jak kamfora. Próbowwała wzrokiem szukać jej między drzewami, ale kobieta zniknęła bez śladu. Podeszła więc bliżej do jaskini i oświetliła jej ciemne wnętrze. Od razu zobaczyła coś, czego nie było tu wcześniej. Duża cyfra jeden, namalowana na ścianie we wnętrzu na wprost wejścia. Była ciekawa, kto i po co ją tu umieścił. Może to jakieś dzieciaki, może ta babka odprawiająca jakieś czary, a może morderca wrócił na miejsce zbrodni, chcąc ponumerować swoje ofiary. Wyciągnęła telefon komórkowy i pstryknęła kilka zdjęć. Postanawiając, że koniecznie musi pojechać na oględziny jaskini w Szklarskiej Porębie.

Szklarska Poręba,

podjazd przy domu nadkomisarza

— **C**ześć. – Borys machnął ręką przez otwartą szybę samochodu, kiedy zobaczył Bogusława idącego w jego kierunku. Leśniak włożył nogami, a podkomisarz stwierdził, że jego partner wygląda na sto pięćdziesiąt lat i totalnie nie nadaje się już do policyjnej roboty.

– Ja pierdołę, jak mnie łupie w krzyżu – jęczał Leśniak, wsiadając ociężale do samochodu. – Dzięki, że po mnie przyjechałeś. Sam nie dałbym rady dziś prowadzić.

– Spoko – wymówił, choć przez głowę przemknęła mu myśl, że jeszcze chwila i zamieni się w pielęgniarkę Leśniaka. Nie mógł się już doczekać dnia, kiedy nadkomisarz przejdzie na emeryturę.

– I co mamy? Cisza zupełna? – zapytał, myśląc o sprawie seryjnego. Od wczoraj nikt się do niego nie odezwał, telefon milczał jak zaklęty, a to nie wróżyło niczego dobrego. – Czy to możliwe, żeby po Pawlińskim słuch zaginął? No przecież muszą być jakieś ślady. Człowiek zawsze zostawia za sobą ślady.

– Sprawdzimy na komendzie, ale do mnie też nikt nie dzwonił. Może będą już wyniki z sekcji i raport od techników. Dobrze byłoby ustalić, kim była ta druga ofiara z jaskini. Pawliński Pawlińskim, ale pewne rzeczy trzeba podopinać nawet bez niego.

Bogusław zmartwił się i obrócił głowę w stronę okna. Bardzo chciał, żeby były kochanek Anety Sasek okazał się seryjniakiem, ale czy nie powinien wziąć pod uwagę jeszcze innych możliwości? Zaklął bezgłośnie pod nosem, zdając sobie sprawę, że niczego nie mieli.

W samochodzie rozbrzmiała melodia połączenia przychodzącego.

– Halo? – odebrał Szyk. – A po jaką cholere? – dopytywał.

Przez chwilę milczał, a Leśniak starał się wychwycić istotne informacje, ale kobieta mówiła za cicho. Nie poznał jej nawet po głosie.

– No, dobra. Niech będzie. Akurat jesteśmy obok. – Rozłączył się i nie spodziewanie skręcił w prawo, zjeżdżając z drogi krajowej numer trzy w ulicę, przy której było zejście do Czerwonej Jamy.

– Co jest? Czemu zjeżdżasz? – Leśniak mocno złapał się uchwyty nad drzwiami, gwałtowny skręt i towarzysząca mu siła odśrodkowa zaskoczyły go.

– Dzwoniła Rodríguez. Podobno była w jaskini w Zachełmiu i widziała namalowaną jedynekę na ścianie. Chce, żebyśmy podeszli do Czerwonej Jamy i sprawdzili, czy tam nie pojawił się numer dwa.

– Poważnie? – Leśniak otworzył szeroko oczy. Profilerka widocznie miała jakąś hipotezę, którą nie raczyła się z nimi jeszcze podzielić. – W sensie, że zabójca łązi po grotach i numeruje ofiary? – ironizował, bo ten pomysł wydał mu się całkowicie głupi.

Zacisnął pięści i czuł przyspieszone bicie swojego serca, kiedy schodzili w dół skarpy. Co jeżeli Carmen będzie miała rację? Po całonocnych opadach ściółka była mokra i trzeba było bardzo uważać, żeby nie upaść.

– Kurwa! – krzyknął Borys, który właśnie wywinął orła. – Zabiję Rodríguez, jeżeli złazimy tu na darmo. – Ledwo to jednak wymówił, stanął jak wryty, bo już z oddali widać było, że we wnętrzu jaskini jest coś nabażgrane, coś, czego tu wcześniej nie było.

– Co jest, do cholery? – zapytał nadkomisarz, który trzymając się za obolałe łędwie, pojawił się tuż za Szykiem.

– To nie jest dwójka – zaprzeczył Borys, podchodząc ostrożnie do wejścia jaskini. – Nie idź dalej, musimy wezwać techników. Być może Rodríguez miała rację – powiedział, choć trudno było mu się do tego przyznać.

Na ścianie jaskini czarnym sprayem ktoś wymalował cyfrę dziewięć.

– Dziewięć, kurwa. – Leśniak zebrał ślinę w buzi i wypluł ją na ziemię. – Mam nadzieję, że to nie znaczy, że mamy do odnalezienia kolejnych sie-

dem ciał.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Carmen czekała na chłopaków przy swoim biurku, popijając kawę z ekspresu. Korciło ją, żeby zapukać do Śruby. Była ciekawa, czego się dowiedział i czy w ogóle udało mu się coś ustalić. Jednak wołała nie okazywać zniecierpliwienia. Zaobserwowała, że Marcel Śrubiński wszedł na komendę w czapce z daszkiem, udając, że nie widzi jej ani nikogo innego, chociaż w sali znajdowało się co najmniej dziesięć osób. Zaraz po nim na miejscu zjawili się Leśniak i Szyk, ale tylko nadkomisarz podszedł do niej i się przywitał. Szyk zniknął gdzieś w korytarzach.

– Cześć. Mamy dziewiątkę – powiedział zrezygnowany i opadł na krzesło za swoim biurkiem.

– Co macie? – Nie rozumiała.

– No, dziewiątkę. Cyfrę dziewięć – wyciągnął telefon i pokazał jej zdjęcie z jaskini. – Musieliśmy poczekać na posterunkowego ze Szklarskiej, żeby przyszedł popilnować jaskini, dopóki nie zjawią się technicy. Od razu zleciłem im zbadanie jaskini w Zachełmiu.

– Cholera, faktycznie. – Zamyśliła się, spoglądając na fotografię. Cyfra była napisana w identyczny sposób jak ta, którą widziała wczoraj. Była czarna i duża, umiejscowiona wewnątrz groty, w doskonale widocznym miejscu. Porównała zdjęcie z tym, które zrobiła wczoraj. – Ten sam kolor i wielkość. Grafolog raczej nie wchodzi tu w grę? – upewniła się.

– Nie. Nie ma co porównywać ani do czego się odnieść. Dwie cyfry w dodatku inne to zdecydowanie za mało, żeby powiedzieć coś o autorze. – Myślisz, że to Aneta Sasek była dziewiątą ofiarą? – na jego czole pojawiły się

krople potu. Chyba nie był na to gotowy. Miał dosyć przy dwóch ciałach, a perspektywa znalezienia kolejnych siedmiu przyprawiała go o ból głowy.

– Szczerze, nie mam pojęcia – powiedziała zgodnie z prawdą. Ona też się tego nie spodziewała. Potrzebowała chwili na zastanowienie. – Seryjni zabójcy zazwyczaj nie działali tak szybko. Jeżeli NN zginęła trzy tygodnie temu, a Aneta Sasek kilka dni temu, to ciężko byłoby przeprowadzić porwania i zbrodnie na kolejnych siedmiu ofiarach w tak zwanym międzyczasie.

– Może on jest po prostu cholernie pracowitym seryjniakiem – zażartował dla rozładowania gromadzącego się w nich napięcia. – Zleciłem już patroli innych znanych jaskiń w powiecie jeleniogórskim – zakomunikował Leśniak. – Nie podoba mi się to, co tu się dzieje. Bardzo mi się to nie podoba – pokręcił głową z dezaprobatą.

W tej samej chwili pojawił się przy nich Borys, chowając do plecaka plik z dokumentami.

– I co robimy? – zapytał bez kurtuazyjnego cześć. Po rewelacjach, jakimi wczoraj uraczył go Marek, był gotów milczeć i po kryjomu samemu dojść do prawdy. Jego również poprosił o dyskrecję, w zamian obiecując, że dostanie wyłączność na obszerny materiał, który Borys zdoła zgromadzić. Marek nie chciał się jednak zgodzić na dłuższy okres niż tydzień, a i ten termin wynegocjował z wielkim trudem. Szyk otrzymał przed chwilą od Marcela dane osób, które sprawdzał dla Carmen, ale one nie były tak pilne, jak informacje na temat Rodríguez. Poprosił Marcela o ustalenie wszystkiego, czego nie było w jej oficjalnej teczce. Dopiero z konkretami będzie mógł pójść wyżej.

– Boguś, trzymaj pocztę – ciemnowłosa, puszysta kobieta po pięćdziesiątce podeszła do nich, w jednej ręce trzymając wydrukowane dokumenty, w drugiej lizaka, i figlarnie spojrzała na nadkomisarza. Miała znaczną nadwagę, jednak nie przeszkadzało jej to w noszeniu skórzanej mini i dużego dekoltu.

– Dzięki, Irenko. – Na jego twarzy pojawiły się wypieki i coś w rodzaju zawstydzenia.

Carmen od razu odkryła, że o ile Bogusław nie był flirciarzem, o tyle Irenka przez większą część dnia kokietowała mężczyzn. Uznała jednak, że to nawet zabawne i jedynie lekko się uśmiechnęła. Carmen już zapomniała, jak to jest wchodzić w interakcje z mężczyznami, budować napięcie, uwodzić. Owszem, trochę jej tego brakowało, a od kiedy wyszła z więzienia i poczuła się w końcu wolna, tym bardziej pragnęła męskiej uwagi i towarzystwa, ale to nie był dobry czas. Są w życiu sprawy ważne i ważniejsze, i ona musi najpierw zająć się tymi ważniejszymi.

– Przejdźmy do sali zebrań – zasugerował Bogusław, wiedząc, że będą musieli omówić parę spraw.

– Miałaś rację z tą cyfrą – przyznał Borys, kiedy usiadł obok niej. – Dobra robota – pochwalił ją i uśmiechnął niezszybkę w myśl zasady, żeby przyjaciół trzymać blisko, a wrogów jeszcze bliżej. Taki miał plan. Będzie miły i uważny. Tylko tak uda mu się dojść do prawdy, nie wzbudzając podejrzeń.

– Dzięki – odparła. – Jednak nadal nie mamy pojęcia, co one oznaczają, ani czy mają jakikółwiek związek z naszymi sprawami. Być może to tylko bazgranina bandy dzieciaków, albo miejscowych babek.

– Kogo? – Leśniak zmarszczył twarz. Dobrze wiedział, że jego żona często korzysta z ich pomocy, w szczególności w doborze ziół, ale za cholere nie mógł odgadnąć, co one mogły mieć wspólnego z jaskiniami.

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Chodzi o to, że nie możemy być pewni, kto jest autorem.

– Dobrze, a więc skoncentrujmy się na razie na tym, co wiemy. – Rozdał każdemu ksero dokumentów przekazanych mu przez Irenę.

– Raport z sekcji zwłok? – zapytała Rodríguez, zanim spojrzęła na papier.

– Tak.

W sali rozległ się głośny dźwięk telefonu nadkomisarza. Przeprósł i odebrał.

– Co? – wyraził wielkie zdziwienie po wysłuchaniu rozmówcy. – Ale, że tutaj? Dobra, dawaj go do pokoju przesłuchań. – Rozłączył się.

– Coś ważnego? – zapytała Carmen, widząc jego konsternację. Spojrzała kątem oka na Borysa, ale on pisał coś na telefonie, zupełnie nie był zainteresowany tym, co mówił Leśniak.

– Mamy go! – powiedział podekscytowany Leśniak.

– Kogo? – Szyk w końcu podniósł głowę znad ekranu.

– Tego Pawlińskiego. Jest tutaj. Zgłosił się dobrowolnie na komendę. Mam wrażenie, że się przyzna.

– Przyszedł sam? – zdziwiła się profilerka.

– No, dobrowolnie się zgłosił.

– Nie o to mi chodzi. Czy jest sam czy z adwokatem? – wyjaśniła.

– Eee... W sumie to nie wiem.

– Na twoim miejscu jeszcze bym się nie cieszyła – studziła euforię Leśniaka. Wiedziała, że dobry adwokat może im sporo zaszkodzić, tym bardziej że Pawliński miał alibi, a kierowany w jego stronę zarzut zabójstwa Anety Sasek był bardzo naciągany, nawet jeśli rozważą potencjalny motyw i jego ślady w domu ofiary. – Lepiej przygotujcie się na odpieranie zarzutów – powiedziała oschle.

– Po czyjej ty jesteś stronie? – Leśniak nie wytrzymał. Nie lubił, kiedy wytykano mu błędy, zwłaszcza kiedy sam nie był przekonany o słuszności podjętej decyzji i właściwym wytypowaniu podejrzanego, co tylko bardziej go irytowało.

– Po stronie ofiar – wyjaśniła, patrząc mu w oczy z determinacją. Nie chciała się kłócić, ale zaczynała ją mierzwić ta małomiasteczkowość, brak profesjonalizmu i udowadnianie za wszelką cenę swoich racji. W Maladze było zupełnie inaczej. Ludzie też byli inni, bardziej otwarci, przyjaźni. Nie chciała się zaprzyjaźniać z osobami z pracy, ale tu każdy patrzył na każdego z jakąś nieufnością i zawiścią. Widziała to również w codziennym życiu wśród sąsiadów. Z jednej strony nie była jeszcze gotowa na powrót do Hiszpanii, ale z drugiej strony bardzo tęskniła za swoim starym życiem.

Tym sprzed wyprawy jachtem, a raczej tym, które wiodła kilka lat wcześniej. Gdyby tak mogła cofnąć czas...

– Dobra Borys, idziemy – zakomenderował nadkomisarz, wychodząc z sali.

Carmen stała za weneckim lustrem i przysłuchiwała się rozmowie. Tak jak myślała, Antoni Pawliński nie przyszedł sam. Towarzyszył mu nie tylko adwokat, mecenas Tymoteusz Szczodrowski, ale także żona. Z mowy ciała każdego z nich wyczytała jedno i to samo przesłanie. Ujęłaby to w ten sposób: „Przyszliśmy tu z konkretnymi informacjami, Antoni jest niewinny, policja i prokuratura mocno nadużyła swoich uprawnień, ale jesteśmy gotowi wam wybaczyć, o ile po złożeniu zeznań dacie nam spokój. W przeciwnym razie pójdziemy na noże”. Przyjęli surowy wyraz twarzy, a jednocześnie zdawali się patrzeć na funkcjonariuszy z politowaniem. Ciekawe, pomyślała. Rzadko występowała taka spójność w wyglądzie i działaniu, zazwyczaj dało się dostrzec chociaż u jednego z członków przesłuchiwanego grup, jakąś inną, oderwaną od reszty emocję. Czasem była to niepewność, czy da radę kłamać, czasem złość w stosunku do jednego z pobratymców, ale zazwyczaj na twarzach malował się zwykły, ludzki strach. Tu nie było niczego takiego i Rodríguez zaczęła się zastanawiać, co jest tego powodem? Czy faktycznie wszyscy czuli to samo? Czy mieli tyle czasu na to, by porządnie przygotować się do przesłuchania?

– Dobrze, a więc zacznijmy od tego, że pan Antoni Pawliński jest podejrzany o popełnienie przestępstwa na Anecie Sasek z artykułu sto czterdziestego ósmego Kodeksu karnego, paragraf drugi – wyrecytował nadkomisarz. – Zazwyczaj w takich sytuacjach nie przesłuchujemy dwóch osób naraz, ale jedynie podejrzanego w obecności adwokata, jeżeli to konieczne. Jednak tym razem postanowiliśmy wyrazić w ten sposób naszą dobrą wolę i chęć współpracy. Przestępstwo to jest zagrożone karą dożywotniego pozbawienia wolności. Myślę jednak, że jeżeli pan Pawliński przyzna się do winy i złoży obszerne zeznania, sąd doceni jego dobrą wolę i okazaną skrupułość.

Nic. Miny mecenas a państwa Pawlińskich nadal były kamienne. Rodríguez przysunęła się do szyby, jakby to miało pomóc jej lepiej słyszeć, chociaż dźwięk rozmowy i tak wydobywał się z głośników ustawionych w rogu sali. Zmrużyła oczy i wpatrywała się w twarz Karoliny Pawlińskiej, to u niej spodziewała się najszybciej wychwycić jakąś emocję. Słowa Leśniaka ewidentnie nie zrobiły na niej wrażenia.

– Po to właśnie przyjechaliśmy – pociągnął temat mecenas, jednocześnie zakładając nogę na nogę i opierając się wygodnie o oparcie fotela. – By złożyć wyjaśnienia.

– Doskonale – powiedział nadkomisarz, na którego twarzy Rodríguez wyczytała wiele. Jego mimika zmieniała się w trakcie rozmowy, począwszy od wyrażenia zaskoczenia, po ulgę, aż po rozpierającą go dumę z powodu rozwikłania sprawy, była też niecierpliwość, która zaprowadzi go na manowce. Ciekawe, że kiedy go poznała, wydał jej się spokojnym i profesjonalnym gliną.

Przewróciła oczami z niedowierzaniem i słuchała dalej.

– Tyle że mój klient wraz z małżonką, będą składać wyjaśnienia odnośnie do miejsca pobytu pana Pawlińskiego w dniu, w którym dokonano zabójstwa. Nikt tutaj nie ma zamiaru do niczego się przyznawać – stanowczo zaznaczył Szczodrowski.

Na twarzy nadkomisarza pojawiła się konsternacja. Borys wydawał się wściekły, a Antoni Pawliński lekko się uśmiechnął.

– Widzę, że idziecie w zaparte – powiedział nadkomisarz, zaciskając pięści pod stołem. – A więc dobrze, słuchamy.

Mecenas Szczodrowski skinął na swojego klienta, by ten zaczął mówić.

– Nie zabiłem Anety Sasek – powiedział zdecydowanym dyrektorskim głosem, co najmniej jakby przemawiał na walnym zgromadzeniu członków zarządu. – Jestem natomiast skłonny do współpracy w każdej mierze, służącej wyjaśnieniu sprawy – wymówił te słowa łagodniej, jakby rozumiał trudną sytuację policji. – W noc, kiedy popełniono zabójstwo, byłem w domu z żoną.

Ramiona Karoliny Pawlińskiej spięły się, powodując ledwo zauważalny ruch, coś jakby wzdrygnięcie. Jednak Carmen była pewna, że nikt inny tego nie wychwytał. Kobieta została przygotowana do odpowiedniego zachowania się. Ona jednak wiedziała, że w wypowiedzi Pawlińskiego coś nie było do końca prawdą. Jej ciało buntowało się, chociaż próbowała trzymać je w ryzach.

– Karolina może to poświadczyć. – Spojrzał na małżonkę, a ona z zacięciem na twarzy przyznała mu rację.

– Mówiłam to już podczas pana wizyty u nas w domu – zwróciła się do podkomisarza. – Mąż każdego wieczora przez ostatnie dwa tygodnie był w domu, pomiędzy godziną osiemnastą a siódmą rano następnego dnia.

Nie uszło uwadze Rodríguez, że kobieta zdaje się bardziej zacięta i zdeteminowana od męża.

– A trzy tygodnie temu? – zapytał Szyk, który do tej pory jedynie się przyglądał.

– Pan wybaczy – mecenas roześmiał się teatralnie – ale z lekka się ośmieszacie.

– Doprawdy? – wtrącił zirytowany Leśniak. – A czemuż to, jeżeli można wiedzieć?

– Chyba nawet pan nie może uważać za prawdopodobne, by mój klient zabił również tę nieszczęsną kobietę, którą znaleźliście w jaskini w Zachełmiu. – Spojrzał na nich z politowaniem i z wyższością wypisaną na twarzy.

Carmen pomyślała, że prawnicy w Polsce i Hiszpanii nie różnią się znacznie. Tej wyższości w spojrzeniu uczą chyba na każdym wydziale prawa.

– Przecież nie mówimy, że to on – bronił ich teorii Szyk. – Na razie podejrzenie dotyczy jedynie zabójstwa na Anecie Sasek. Motyw jest oczywisty, kobieta nie chciała odpuścić i groziła, że powie pana żonie o waszym romansie – zwrócił się bezpośrednio do Pawlińskiego. – Pan chciał ją uciścić. Podczas naszej ostatniej rozmowy, stwierdził pan, że się z nią nie widział, że u niej nie był. Tymczasem mamy dowody, że jest inaczej. Technicy

znaleźli pana odciski palców w domu pani Sasek oraz płyny ustrojowe w postaci spermy – wymówił to zdanie, kierując tę informację w stronę Pawlińskiej.

I wtedy do Carmen dotarło. Pawlińska nie broniła męża. Ona broniła samej siebie. Swojego poczucia stabilizacji i względnego poczucia bezpieczeństwa, jakie dawało jej to małżeństwo, pomimo rys ewidentnie pojawiających się na szklanej fasadzie ich związku. Pomimo zdrad, które ją upokarzały. Chciała je ukryć, by nie wyjść na słabą, poniewieraną kobietę. Nic niewartą żonę, której mąż nie potrafi trzymać ptaszka w spodniach. Broniła małżeństwa jak niepodległości, bo tym samym broniła siebie. Żony, matki, gospodyni. Na dobre i złe, jak przyrzekali sobie na ślubnym kobiercu. Nawet jeżeli mąż ją ranił i zdradzał.

– Owszem – przyznał bez zająknięcia. – Byłem u Anety kilka dni temu. Musiałem się z nią ostatni raz rozmówić, powiedzieć, że to koniec.

– Zawsze ma pan w zwyczaju sypiać z kobietami, z którymi pan chce zakończyć romans? – zaciekawiał się Leśniak.

– Nie wiem, ponieważ poza Anetą nigdy z żadną inną kobietą nie sypiałem. Oczywiście w trakcie trwania mojego małżeństwa – poprawił się.

Carmen znów zauważyła, że ramiona Karoliny drgnęły. Cholera, może minę miała zaciętą i wydawała się bardzo pewna siebie, ale ciało zdradzało wszystko. Nie wierzyła w ani jedno słowo, które mówił. Tyle tylko, że nigdy nie powie tego głośno.

– Może wróćmy do meritum – sztywno zaproponował mecenas. – Mój klient miał romans. To się zdarza, i można go za to potępiać, ale to nie jest w tym kraju karalne. Natomiast w noc zabójstwa, czyli ósmego listopada państwo Pawlińscy byli razem z dziećmi w domu. – Pytanie o to, co mój klient robił trzy tygodnie temu, uważam za niestosowne. Nie ma żadnych dowodów ani nawet poszlak łączących go z zamordowaną kobietą. Co więcej, nawet nie udało wam się ustalić jej personaliów, a co dopiero jakiegokolwiek motywu. Pomijam już fakt, że jesteście mało wiarygodni, uważając że dwa zabójstwa, które zostały dokonane w podobny sposób i świadczące ewidentnie o grasującym na tym terenie seryjnym mordercy, przypisujecie

dwóm różnym sprawcom. Żenada – skończył swoją przemowę, jednocześnie wyglądając na zdegustowanego zachowaniem policji i zadowolonego z siebie.

– A słyszał pan kiedyś o naśladownictwie? – Borys przekrzywił lekko głowę i spojrzał na mecenasa.

– Naśladownictwie? – powtórzył, aby dać sobie czas na przemyślenie pytania. Było widać, że się tego nie spodziewał. Wszedł do pokoju przesłuchań z całkowitą pewnością, że zadanie, które ma wykonać będzie dziecinnie proste i nikt go niczym nie zaskoczy.

– Opowiem panu taką historię, niech pan dobrze słucha – zaczął Szyk. – Proszę sobie wyobrazić, że pewien mężczyzna i pewna kobieta wybierają się na wycieczkę do lasu. Są kochankami, więc nie chcą się pokazywać w miejscach publicznych, ale standardowy seks w czterech ścianach przestał ich już bawić. Wiało nudą, a oni potrzebowali ekstremalnych doznań, bo taka właśnie była ich relacja. Ekstremalna, wybuchowa, może ktoś powiedziałby, że chora, ale nie mnie oceniać. Ich sprawa. Związek jest burzliwy, pełen kłótni, rozstań i gróźb. Kochanka, dajmy na to o imieniu Aneta, cały czas grozi swojemu wybrankowi, dajmy na to Antoniemu, że powie o ich romansie jego żonie. Czasem się kłócą, czasem godzą, czasem Antoni ją uderzy. Jak to w zakazanym związku – mówił, a miny zebranych zdawały się wyrażać konsternację.

– Nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety – krzyknął nagle Pawliński.

Ciekawe, pomyślała Carmen. Borys zdaje się dobrze gra swoją rolę. Chce ich zaskoczyć, wyprowadzić ze strefy komfortu.

– A tam – machnął ręką Szyk. – Przecież klapsy czy lekkie szarpanie podczas seksu to nic złego. – Puścił do niego oko, a Pawliński tylko bardziej się zdenerwował.

Mecenas powstrzymał go jednak gestem ręki przed kolejną wypowiedzią.

– Być może nawet... – Borys zrobił małą przerwę dla podkreślenia atmosfery – ktoś ich na tym spacerze w Zachełmiu widział. – Podał nazwę miejscowości niby od niechcienia, jednocześnie wskazując na kierunek, w któ-

rym podąża rozmowa. – Załóżmy, że padał deszcz, było zimno, a ich naszło na amory, ale trzeba było się gdzieś skryć. Szukali suchego, dyskretnego miejsca i drogowskaz wskazał im leżącą niedaleko Czerwoną Jaskinię. Poszli tam, nie mogąc doczekać się chwili bliskości, jednak kiedy weszli do środka, ujrzeni makabryczny obraz zamordowanej i zaszlachtowanej kobiety – powiedział podniesionym nieco głosem. Nie mogli wezwać policji, bo zaczęłyby się przesłuchania, a żona Antoniego od razu dowiedziałaby się, że mąż jednak nie pojechał w delegację. Udawali więc, że niczego nie widzieli. Ale Antoniego znów naszły wątpliwości, czy powinien spotykać się z Anetą, co jeżeli żona wystąpi o rozwód z jego winy i straci wszystko? Napisał do Anety, że nie chce mieć z nią nic wspólnego, że znów ją zostawia, bo przecież tych powrotów i rozstań było bardzo wiele, ale tym razem w Anetę wstąpił jakiś demon. Wpadła w szal, groziła Antoniemu i być może była już nawet w drodze do Polkowic. I wtedy Antoni wpadł na świetny pomysł. Pozbędzie się jej tak, żeby nie zdradzać żadnych podejrzeń. Pojechał do Zachełmia, nikomu nic nie mówiąc, mając nadzieję, że w taką pogodę nikt jeszcze nie znalazł ciała. Obejrzał dokładnie zwłoki i zamordował Anetę identycznie w taki sam sposób, w jaki ktoś uśmiercił tę biedną dziewczynę w Zachełmiu. Sprytnie, doceniam inwencję i kreatywność. – Pokiwał głową z uznaniem.

W sali zapanowała kompletna cisza. Nawet Carmen, będąc za lustrem weneckim, wstrzymała oddech, bo nie była w stanie stwierdzić, czy Szyk poważnie tak myślał, czy tylko chciał postraszyć Pawlińskich i oddalić od policji zarzuty o niedorzeczności ich teorii. Właściwie ona w ogóle nie pomyślała o takiej możliwości, ale to przecież nie znaczyło, że było to niemożliwe.

– Historia jest piękna – zaczął mecenas, który nagle otrząsnął się z chwilowego letargu. – Jednak te zabójstwa niczym się od siebie nie różnią. Nie da pan rady udowodnić, że popełniło je dwóch różnych sprawców.

Nadkomisarz Leśniak też się otrząsnął. Borys nie wtajemniczył go w swoje podejrzania, ale teraz kiedy je wymówił na głos, historia wydawała się policjantowi realna, a wszystkie dowody pasowały idealnie. Dlatego

właśnie lubił współpracować z Szykiem. Wydawał się porywczy, niedojrzały, a czasem i głupi, ale potrafił bardzo dobrze kojarzyć ze sobą fakty. Przypomniał sobie, co przeczytał we wnioskach z raportu sekcyjnego NN i wyciągnął z teczki dokument.

– Cóż... – westchnął. – To akurat będzie najłatwiejsze. Proszę spojrzeć na raport z sekcji zwłok, który wyraźnie mówi o tym, że kobieta odnaleziona w Czerwonej Jaskini w Zachełmiu została zamordowana innym nożem niż Aneta Sasek. Przypadek? Nie sądzę. Jako dowód mamy też wiadomości tekstowe z kłótniami kochanków. Myślę, że sprawa jest raczej oczywista – rozłożył ręce na boki, jakby chciał powiedzieć, że nie widzi podstaw do dalszej dyskusji.

– Nie wrobiecie mnie – wrzasnął Pawliński i poderwał się z krzesła. – Byłem wtedy z żoną. Powiedz im – krzyknął do Karoliny rozkazującym tonem, choć siedziała blisko niego. Jego nozdrza rozszerzyły się, a z ust wyleciały kropelki śliny.

Karolina Pawlińska patrzyła po zebranych ze strachem w oczach. Pierwszy raz odkąd przyszła, wydawała się zagubiona i niepewna. Carmen wiedziała, że zadaje sobie pytanie, czy jej mąż faktycznie może być mordercą. W jej oczach pojawiły się łzy, a cała postura ciała wyrażała panikę.

– Niech się pani dobrze zastanowi. – Borys spojrzał na kobietę poważnie. – Pamięta pani, o czym rozmawialiśmy w kontekście dzieci?

Karolina przytaknęła. Jej ciałem targały emocje. Nie wiedziała, co się dookoła niej dzieje. A w głowie kołatało pytanie, czy to możliwe, żeby Antoni...?

– Nie chciałbym, żeby pani zeznania okazały się sprzeczne z zeznaniami sąsiadów, co do obecności pani męża w domu, wieczorem ósmego listopada. – Dał jasno do zrozumienia, że sąsiedzi nie potwierdzili, by auto stało na podjeździe.

– Męża nie było – powiedziała pospiesznie. Całe jej ciało zdawało się drzeć, a po policzkach poleciały łzy.

– Ty, suko! – wrzasnął Pawliński i już miał rzucić się na żonę, kiedy powstrzymał go adwokat, a zaraz za nim Borys. – Nie zabiłem jej! Słyszycie?

Nie zabiłem!

– Jest pan zatrzymany – powiedział nadkomisarz, po czym wyszedł z sali przesłuchań.

– Przyznaję, że nie wzięłam pod uwagę takiej możliwości – wyznała Rodríguez, kiedy wrócili do sali spotkań.

– Wiem, ja początkowo też nie – odpowiedział Szyk i potarł dłonią czoło. Chyba do tej pory niedowierzał, że wszystko tak gładko poszło. – Ale dziś rano zadzwonili do mnie z komisariatu w Karpaczu. Powiedzieli, że nie mają niczego konkretnego. Jedyne zeznania jednego z właścicieli posesji przy drodze do Czerwonej Jaskini. Widział mężczyznę i kobietę spacerujących w deszczu trzy tygodnie temu. Wydało mu się to dziwne. Początkowo myślałem, że może to zabójca z ofiarą, bo przecież nie wiemy, czy poszła tam dobrowolnie, czy zaniósł ją nieprzytomną, ale rysopis kobiety bardziej pasował do Anety Sasek niż do NN. Świadek twierdził, że kobieta była wysoka. Dopiero podczas tego przesłuchania nagle mnie oświeciło. Postanowiłem spróbować – wyznał szczerze.

– To nawet ma ręce i nogi. – Wciąż była pod wrażeniem, jednak potrzebowała czasu, by przeanalizować sprawę po swojemu.

Zaskoczył ją. I nawet jeżeli było to pozytywne zaskoczenie, po prostu się tego nie spodziewała. Myślała, że Pawlińscy wyjdą z komendy dumni z siebie i pełni pogardy dla wymiaru sprawiedliwości, a oni będą mogli w końcu skupić się na poszukiwaniu prawdziwego zabójcy, którym jej zdaniem był seryjny morderca. A tu taka niespodzianka.

– Tak. Dobra robota – pochwalił go nadkomisarz. – Tyle że nadal nie mamy pierwszego zabójcy.

– Ale jeżeli to faktycznie Pawliński zabił Anetę – ciągnęła Carmen – to dobra wiadomość jest taka, że może już nie być kolejnych zbrodni. To prawdopodobnie nie żaden seryjniak. Chociaż byłam pewna, że tak – przyznała się do porażki.

– A więc ogłaszam częściowy sukces. – Bogusław upił łyk zimnej już kawy i wskazał ręką na ksero dokumentów przyniesionych przed przesłuchaniem przez Irenę. – Możecie zabrać raporty do domów. Jutro widzimy

się o stałej porze. Gdyby coś się działo, dzwońcie. Carmen? – przywołał ją do siebie, gdy wychodzili.

– Tak?

– Stwórz, proszę, portret psychologiczny sprawcy przy założeniu, że zabił tylko jedną kobietę.

– Jasne.

Po wyjściu z komendy miała ochotę wrócić do domu i położyć się spać. Zazwyczaj jej ciało reagowało tak, kiedy komuś udało się ją zaskoczyć. Musiała odpocząć i w spokoju poukładać sobie wszystko. Czy Antoni Pawliński faktycznie zabił Anetę? Wszystko wskazywało na to, że właśnie tak było, a przecież ona w ogóle nie brała takiej możliwości pod uwagę. No i co z pierwszą ofiarą? Przecież tak okrutne zbrodnie charakteryzowały seryjnych morderców, a nie osoby zabijające w afekcie. Z drugiej strony, nawet jeżeli zbrodnia na Anecie Sasek została upozorowana w taki sposób, by rzucić podejrzenia na pierwszego zabójcę, to wcale nie wyklucza pojawienia się kolejnych ofiar. A liczby w jaskiniach? Przypadek? Nie były związane z zabójstwami? Czy może coś znaczyły? Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. W świetle nowych wydarzeń technicy z pewnością będą porównywali ślady obuwia pochodzące z jaskini w Zachełmiu z butami z domu Pawlińskiego i obuwiem Sasek. Ale istotnie, wszystko układało się w jedną całość. To dlatego na miejscu zbrodni NN były odciski butów. Ktoś wszedł tam po zabójstwie i nie zgłosił tego faktu. Być może byli to kochankowie Aneta i Antoni. Jadąc wypożyczoną toyotą, czuła się w końcu komfortowo i bezpiecznie. Jazda autem uspokajała ją. Miała czas pomyśleć, poukładać sobie pewne rzeczy. Planowała zajechać do restauracji wziąć jedzenie na wynos, ale ostatecznie postanowiła wyjść poza schemat, zrobić coś innego niż zwykle. Zatrzymała auto na parkingu przy parku Norweskim, rozpostarła parasol i szybkim krokiem poszła w kierunku Pawilonu. Zje na miejscu, jak przystało na normalną osobę, która ma na to czas. Która może chodzić, gdzie chce i nie musi jadać wyłącznie w miejscu zamieszkania, jak to było w więzieniu. Dawno nie jadła na mieście. Właściwie nie pamiętała, kiedy ostatni raz siedziała przy restauracyjnym stoliku

w oczekiwaniu na posiłek. Zawsze kupowała coś na wynos lub zamawiała z dowozem do domu. Pomimo że zdawała sobie sprawę, że nie ma szans, by ludzie znali jej przeszłość, czuła się w obecności innych niekomfortowo. Miała wrażenie, że kiedy usiądzie w restauracji, wszyscy będą na nią patrzyli i szeptali po kątach. Nie chciała tego, a jednocześnie nie wyobrażała sobie ciągle się ukrywać. Wiedziała, że powinna walczyć ze swoimi demonami, tylko czy to był dobry na to czas? Za dużo myśli. Musi przestać tyle analizować i zacząć żyć. Weszła do restauracji.

– Pani Carmen? – powitał ją niski, dojrzały głos dochodzący ze stolika z lewej strony.

Początkowo nie poznała mężczyzny, który patrzył na nią badawczo spod okna. Doktor Marcin Rokosz wstał i podszedł do niej.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał głośno i wyraźnie, jakby mówił do dziecka.

– Tak, przepraszam – ocknęła się. – Chyba zakręciło mi się w głowie. Nic dzisiaj nie jadłam.

– W takim razie zapraszam do stolika. Musi pani zacząć bardziej o siebie dbać.

– Tak, dziękuję, tylko że ja... – zawahała się. Silna, niezależna kobieta, bezwzględna morderczyni, niedostępna emocjonalnie i zimna sucz, jak określała samą siebie w myślach, bała się usiąść wśród ludzi, których nie знаła. Nie mieściło jej się to w głowie. Coraz bardziej siebie nie rozumiała. Przez chwilę miała poczucie odrealnienia, jakby jej dusza wyszła poza ciało i obserwowała to wszystko z boku.

– Nalegam – powiedział i zaprowadził ją do krzesła.

– Przepraszam, ja naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje. W pracy się tak nie zachowuję. Tam wszystko jest inaczej, normalniej – wyjaśniła.

– Zakłada pani maskę?

– Słucham? – nie zrozumiała.

– W pracy zakłada pani maskę, obojętnej i profesjonalnej. Teraz jest pani w swoim czasie wolnym i czuje się pani zagubiona. Ma pani sporo do prze-

pracowania, pani Carmen, ale ze wszystkimi problemami można się uporać.

– No, nie wiem – spojrzała mu przez chwilę w oczy, po czym spojrzała w okno. – Czasem mam wrażenie, że moje demony nigdy nie znikną.

– Może mnie pani odwiedzi?

Znów spojrzała na niego, jakby nie odgadła jego intencji.

– W gabinecie – wyjaśnił. – Myślę, że potrzebuje pani rozmowy, mam rację?

– Tak – przyznała. Była mu wdzięczna, że nie wypytuje jej w restauracji, że dba o jej prywatność.

Kiedy zamówiła jedzenie, poczuła się nieco lepiej. Oddech się uspokoił, a zawroty głowy ustały.

– A co tam słyhać w robocie? – zapytał niby od niechcenia.

Wiedziała, że stara się podtrzymać jakoś rozmowę, nie chcąc poruszać tematów dla niej trudnych.

– Chyba dobrze – przyznała oględnie. – Mamy podejrzanego, ale proszę to zachować dla siebie.

– O! – wydał z siebie odgłos dużo głośniejszy, niż zamierzał i zakrył sobie usta dłonią. – Przepraszam. Czyli sukces? Oczywiście zachowam to dla siebie, ale zżera mnie ciekawość, chodzi o tego seryjnego mordercę, Jaskiniowca, tak? – Pochylił się nad stołem i ściszył głos, żeby nikt z gości ich nie usłyszał.

Przytaknęła i nagle wpadł jej do głowy pomysł, a zaraz potem naszła wątpliwość, szczelina w do tej pory pasującej historii Antoniego Pawlińskiego. Ale musiała poczekać na wyniki toksykologii, bo to one ostatecznie utwierdzą ją w przekonaniu.

– Jak działają benzodiazepiny? – zapytała nagle.

– Myśli pani, że potrzebuje takich leków? To nie są cukierki, pani Carmen.

– Przepraszam, ale czy możemy mówić sobie po imieniu? Nie chodzi mi o skracanie dystansu i przechodzenia na koleżeństwo – wyjaśniła. – Tylko

w Polsce strasznie irytuje mnie to „paniowanie”. Możemy tak zrobić? Czy etyka lekarska dopuszcza taką możliwość?

– Nie mam z tym problemu – powiedział po chwili zastanowienia. – Zazwyczaj rozmawiam z pacjentami ich językiem i na ich zasadach. O ile nie przekraczają pewnej oczywistej granicy, a proszę mi wierzyć, w psychiatrii zdarza się to bardzo często. Ale dobrze, zastanawiasz się nad wdrożeniem benzodiazepin? Dlaczego?

– Nie, nie. Chodzi mi o konsultację psychiatryczną potrzebną do pracy. To znaczy wiem, że to substancje o działaniu przeciwlękowym, uspokajającym i nasennym, ale zastanawiam się jak działają. Co czuje osoba, która jest zdrowa, a weźmie na przykład kilka dawek na raz?

Rokosz oparł się o krzesło i spojrzał na nią wnikliwie.

– Oczywiście, zapłacę za konsultację – poczuła, że weszło w nią nowe życie, energia i pewność siebie. Zajmowała się pracą, a nie własnymi problemami i to sprawiało, że znów była inną osobą niż ta zaszczuta, biedna Carmen odczuwająca rzeczywistość w nierealny sposób.

– Nie musisz płacić, chętnie pomogę – rozsiadł się wygodniej. – Zatrucie pochodnymi benzodiazepin, czyli przedawkowanie zazwyczaj zdarza się przy próbach samobójczych. Nie wiem, czy pytasz o to, co się dzieje z człowiekiem, kiedy weźmie o jedną dawkę za dużo, czy takim, który połknie całe opakowanie, ale generalnie następuje utrata zdolności realnej oceny rzeczywistości, zaburzenia funkcji poznawczych, trochę tak jakby pacjent był pijany lub pod wpływem narkotyków. Często dochodzi do zaburzeń równowagi, koordynacji psychoruchowej, braku świadomości pomimo bycia przytomnym. Tak jakby pacjent był oziębiały, bez kontaktu z rzeczywistością. Mogą pojawić się zaburzenia świadomości, wzmożony lęk lub agresja. Każdy może reagować inaczej. W przypadku sporej dawki zdarza się, że dochodzi do śpiączki i zatrzymania akcji serca.

– Ciekawe... – Zamyśliła się.

– Dlaczego?

– Bo mam wrażenie, że czasem ja się tak czuję.

– Nigdy nie wchodzę w polemikę z pacjentem odnośnie do tego, co czuje
– powiedział poważnie.

– Ale? – wiedziała, że ma coś na myśli.

– Ale u ciebie to poczucie odrealnienia czy derealizacji ma raczej charakter lękowy, związany z reakcją na stres i zaburzenia adaptacyjne. Mam wrażenie, że zdarzyło się w twoim życiu coś traumatycznego, o czym jeszcze mi nie powiedziałaś.

– Dokładnie. Nie wiesz o mnie wszystkiego. – Spojrzała smutno w okno.

– Dobrze, a więc zapraszam jutro na szesnastą do gabinetu. Może być?

– Jasne. Będę na pewno.

– A teraz wybacź, ale mam za chwilę pacjenta – powiedział, spoglądając na zegarek. – Pracuję siedem dni w tygodniu.

– Będę jadła sama? – Poczowała nagły przyływ lęku i niemocy. Zganiła się w myślach za wypowiedzenie tych słów. Do cholery, miała czterdzieści lat, a zachowywała się jak siedmiolatka.

– Proszę ćwiczyć. Tylko tak dojdiesz do siebie. – Pożegnał się, zostawił na stole pieniądze za obiad i zniknął.

Wychodząc z restauracji, miała już plan na resztę dnia. Ułożyła go podczas jedzenia sałatki z łososiem i grzankami czosnkowymi. Tak było łatwiej. Kiedy zajmowała czymś umysł, nie miała czasu na myślenie o swoich traumach. Poza tym już czas zająć się własną sprawą, to w końcu po to tutaj przyjechała. Przed deserem otrzymała wiadomość od Śruby, że w szufladzie jej biurka zostawił sprawozdania o osobach, które miał prześwietlić. Wróciła po nie na komendę, zastanawiając się, dlaczego, do cholery, nie dał ich jej, kiedy była na miejscu. Komenda znajdowała się na drugim końcu miasta i wcale nie było jej po drodze. Weszła do mieszkania, wyciągnęła ze skrzyni w gabinecie przygotowany na tę okazję karton ze sprzętem do monitoringu i zadzwoniła do swojej teściowej.

– Moja droga – powitał ją łagodny i ciepły głos – jak miło, że dzwonisz.

– Dzień dobry, mam – przywitała się, pamiętając, o co prosiła ją Teresa.

– Mam wolne popołudnie i pomyślałam, że może wpadłabym do ciebie na

kawę.

– Z wielką chęcią, moja droga, ale przyjedź może koło dwudziestej na kieliszek czegoś mocniejszego, dobrze? Za pół godziny wychodzę na spotkanie stowarzyszenia.

– Dobrze, mamó. Widzę, że pewne rzeczy się nie zmieniają. – Zaśmiała się.

– Od dwudziestu lat zawsze w niedzielę o szesnastej, moja droga, zawsze. Choćbym miała czterdzieści stopni gorączki. Społeczeństwo nas potrzebuje.

– Do zobaczenia – Carmen pożegnała się i rozłączyła.

Miała nadzieję, że właśnie taka będzie odpowiedź Teresy. Doskonale pamiętała, że jej teściowa była przewodniczącą Stowarzyszenia Auxilium. Od lat członkowie spotykali się co niedziela. Według statutu zajmowali się działalnością dobroczynną, chociaż zdaniem Carmen organizacja ta zrzeszała członków po to, by mieć poczucie panowania nad światem i górowania nad resztą społeczeństwa. Kiedyś nawet podejrzewała, że Auxilium to coś w rodzaju sekty czy stowarzyszenia religijnego z bardzo dobrze rozbudowaną strukturą organizacji. Wiedziała, że musiałoby się stać coś naprawdę wyjątkowego, żeby jej teściowa nie poszła na zebranie. W Maladze i z tego, co się orientowała w większych miastach całego świata, bardzo modne były kluby Rotary, których motto brzmiało: „służba na rzecz innych ponad wszelką korzyść”. Tu, w Jeleniej Górze, mieli Stowarzyszenie Auxilium. Należeli do niego tylko wpływowi i zamożni członkowie społeczności i wcale nie było łatwo się tam dostać. Korciło ją, żeby zerknąć do dokumentów, które wzięła z komendy, ale wiedziała, że jeżeli to zrobi, będzie nad nimi siedziała do rana i nie wyjdzie z domu. Dlatego odłożyła je na biurko, ćwicząc tym samym swoją silną wolę. Zrobiła sobie kawy, odczekała pół godziny i pojechała pod dom Teresy. Budynek na ulicy Podleśnej mieścił się na obrzeżach miasta. Był okazały i dobrze utrzymany, ale przede wszystkim za duży dla jednej osoby. Carmen pomyślała ze smutkiem, że teściowa też może tak uważać, jednak nigdy nie opuści miejsca, w którym wychowywał się jej ukochany syn. Po ciele przeszedł jej dreszcz i ogarnęło ją uczucie

niepokoję. Stała w bocznej, leśnej uliczce, tak by auta przejeżdżające drogą, nie mogły jej zobaczyć. Dom najbliższego sąsiada, położony był około dwustu metrów dalej, ale każda z posesji była odgrodzona od sąsiadów murem i rzędem wysokich na trzy lub cztery metry świerków. Kiedy przejdzie przez mur, nie będzie musiała się nawet ukrywać. Wybrała dojście od strony lasu, włożyła zabrany z domu karton do plecaka i zarzuciła sobie na plecy. Zaczęła się zastanawiać, czy pamięta jeszcze, jak to się robi. W młodości pasjonowała się wspinaczką. Wszystkie ścianki w Maladze były jej, ale lubiła wspinać się też w prawdziwych górach. Adam nigdy nie pochwałiał jej pasji, twierdząc, że jest niebezpieczna. Tak naprawdę nie lubił, kiedy była w czymś lepsza od niego. W każdym razie, już dawno tego nie robiła. Podeszła do muru wykonanego z białego marmuru. Kamienie były nierówne, uwypuklone i wklęsłe, specjalnie poukładane w taki sposób, by stwarzały wrażenie trójwymiarowości i były przyjemniejsze dla oka. Parę lat temu, gdy przyjechali do Teresy pierwszy raz, a Carmen z nadmiaru emocji nie mogła zasnąć, wyszła nocą na podwórko i przeszła kilka razy przez mur w tę i we w tę. To był jej trening i sposób na odreagowanie. Nikomu się jednak nie przyznała, bo jej teściowa tak samo jak mąż mieli jednakowe zdanie o zachowaniu, które powinno cechować kobietę i przeszkakiwanie murów jakoś z nim nie korespondowało. Przyłożyła dłonie do zimnego i śliskiego od deszczu kamienia. Trafiła na okno pogodowe, ponieważ deszcz przestał już padać, ale w związku z deszczową aurą, która utrzymywała się w Polsce przez kilka ostatnich tygodni, kamienie były po prostu śliskie. Przywarła całą powierzchnią ciała i stopami. Na nogach miała antypoślizgowe buty, idealne do wspinaczki. Zamknęła oczy. Zaczęła szukać dłońmi pierwszej wypustki, której mogłaby się złapać. Potem drugiej i trzeciej i to samo robiły jej stopy. Wspinała się coraz wyżej. W końcu znalazła się po drugiej stronie. Wiedziała, że Teresa nie ma psa obronnego, który mógłby ją ugryźć. Była uczulona na wszelkie futra i sierści, dlatego nawet płaszcz ku swojemu rozgoryczeniu musiała nosić ze sztucznym futerkiem. Carmen modliła się tylko w duchu, aby zamki od domu Teresy nie były wymienione. Zanim to sprawdziła zlustrowała dokładnie ogród i podjazd. Bała się, że spotka w domu gosposię. Teresa z pewnością nie sprzą-

tała domu sama, ale w niedzielę pomoc domowa powinna mieć wolne. Przynajmniej zawsze tak było. Kiedy upewniła się, że po podwórzu nikt się nie kręci, a drzwi i okna są pozamykane, podeszła do okien i zajrzała przez nie, sprawdzając pomieszczenia. Wyglądało na to, że miała szczęście. Nikogo nie było i mogła przystąpić do działania. Włożyła klucz do zamka i przekręciła. Drzwi ustąpiły i już po chwili była w przedpokoju. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak pamiętała. Antyczne dębowe meble, kryształowe żyrandole, masywny, zdobiony stół w jadalni przy salonie, wazy z bolesławieckiej porcelany, które Teresa uwielbiała kolekcjonować. Jedynie kuchnia uległa modernizacji. Zamiast frontów z wysokiego połysku w bieli, tak modnych kilka lat temu, teraz meblami rządził matowy beż, ale sam rozkład pozostał bez zmian. Na podłodze niezmiennie królował biały marmur, który był przyjemnie ciepły, dzięki ogrzewaniu podłogowemu. Czują to pod stopami, bo nie chcąc nabrudzić w domu, zostawiła buty zaraz za drzwiami. Podejrzewała, że ma około trzech godzin, jednak wołała się spieszyć. Wyciągnęła z pudełka kilka mikrokamer i podsłuchów. Od dawna szykowała się na ten dzień i wiedziała, że nic nie może pójść źle. Wszystko miała dokładnie przemyślane. Pozostawała jedynie kwestia podpięcia się pod router. Ale i tu nie spodziewała się komplikacji. Włączyła urządzenia i na panelu sterującym wybrała odpowiednią sieć Wi-Fi. Urządzenie zażądało hasła i od razu wpisała Adam2023. Teresa od zawsze ustawiała imię swojego jedyne go syna jako hasło, niezależnie od tego, czy było to hasło w banku, na infolinii czy w telefonie. I co roku aktualizowała je o adekwatny rok kalendarzowy. Jednak tym razem system odmówił dostępu.

– ¡Putá madre! – zaklęła po hiszpańsku. – Myśl, Carmen, myśl – poleciła sobie.

Spróbowała jeszcze, wpisując Adam2022, myśląc, że teściowa zapomniała o aktualizacji, ale i tym razem się nie udało. Pięć minut próbowała odmieniać na wszystkie sposoby imię swojego nieżyjącego męża i zestawiać z jego datą urodzin i śmierci, ale nadal nie znajdowała odpowiedniego hasła. Była już zrezygnowana, kiedy wpadła na mało realny jej zdaniem pomysł. Zdecydowała się jednak spróbować, bo nic innego nie przy-

szło jej do głowy. Carmen Rodríguez wpisała hasło, którego zazwyczaj używał Adam i ku jej wielkiemu zdziwieniu, uzyskała dostęp do Internetu. Poczula ogarniający ją niepokój, jednak nie było czasu na analizę. Instalowanie wszystkich kamer w kratkach wentylacyjnych i żyrandolach zajmie jej ponad godzinę. Będą wysyłać obraz za pomocą Wi-Fi na jej telefon komórkowy dołączony do zestawu, do którego przezornie kupiła niemiecką kartę telefoniczną. Pobyt w więzieniu był trudny, a czasem przerażający, ale zyskała tam znajomości, jakich nigdy nie zyskałaby na wolności i nauczyła się rzeczy, jakich nigdy nie podejrzewała, że będzie kiedyś potrzebować. Ostatnie dwie kamery założyła na podwórku. Jedną w szczelinie w murze, a drugą przypięła trytytką do drzewa. Były właściwie niezauważalne, chyba że ktoś wiedziałby, czego szukać. Nie chciała wchodzić na górę. Była pewna, że Teresa i tak zaprowadzi ją tam podczas wieczornego spotkania. Będzie chciała usiąść w pokoju Adama, poprzeglądać razem z nią zdjęcia i powspominać stare dobre czasy. Nie będzie mogła tego uniknąć, a co gorsza, znów założy na siebie maskę, udając zrozpaczoną, pogrążoną w żalobie żonę. Zrobi to dla niej. Nie ma na tyle sumienia, by odebrać jej to, co ma najcenniejsze, czyli dobre wspomnienia o własnym synu. Każda matka kocha swoje dzieci najmocniej na świecie. Ale Teresa nie wiedziała jednego. Nie wiedziała, że jej syn był prawdziwym potworem.

Jelenia Góra,

apartament Carmen Rodríguez, noc

Wiedziała, że tej nocy nie zmrzuci oka. Wróciła od Teresy roztrzęsiona, przebrała się w dres i pomimo późnej pory wyszła pobiegać. Targały nią silne emocje. Podczas spotkania musiała odegrać swoją rolę, nie mogła okazać prawdziwych uczuć, chociaż chciała je wykrzyknąć, kiedy Teresa z rozrzewnieniem wspominała swojego cudownego syna. Idealizowała go, wychwalała, nie widziała w nim żadnych wad. Carmen rozumiała, że to taki mechanizm, że tak łatwiej jest jej żyć, że powinna być jej wdzięczna, bo teściowa ciepło ją przyjęła i okazywała wsparcie. Jednak to wsparcie miało wysoką cenę, którą Carmen właśnie płaciła. Dwie godziny siedziały nad albumem ze zdjęciami Adama w jego pokoju. W tym samym, w którym Carmen spała z nim, kiedy wspólnie odwiedzali Teresę. W tym samym, w którym pierwszy raz ją uderzył, bo odezwała się do jego matki inaczej, niżby sobie tego życzył. Pamięta bardzo dobrze, w jakim była wtedy szoku. Nie wiedziała, co właściwie się stało, dlaczego jej ukochany, który do tej pory prezentował się jako ciepły, wyrozumiały partner, był w stanie podnieść na nią rękę i absolutnie tego nie żałować. Obarczył ją wtedy winą za ból głowy matki, za nieprzyjemną atmosferę przy stole, za całkiem zepsute przyjęcie, na które została zaproszona połowa śmietanki towarzyskiej Jeleniej Góry. Była w takim szoku, że nie wiedziała, jak zareagować. Powinna się wtedy spakować, złożyć wniosek o rozwód i wystąpić o zakaz zbliżania się. Ale tego nie zrobiła i przez następne lata ponosiła dotkliwie konsekwencje tej decyzji. Biegła ulicą Polskiego Czerwonego Krzyża między domkami jednorodzinnymi, w których paliły się światła. W niektórych oknach widziała rodziny siedzące przed telewizorem w salonie, w in-

nych – ludzi przytulających się w kuchni. Wyobrażała sobie, że w większości z nich matki kładą teraz do łóżek swoje dzieci. Członkowie rodzin mieli w sobie oparcie, towarzystwo i bliskość ukochanych osób. Ona nie miała nic. Choć kiedyś też liczyła na to wszystko. Jej oddech był nierówny i urywany, skronie pulsowały rytmicznie, sprawiając ból, a do oczu napłynęły ciężkie łzy. Przystanęła, bo nie dała już rady biec. Mięśnie nóg odmawiały posłuszeństwa. Czuła, jakby były z kamienia i miały mocno ograniczoną ruchomość. Kucnęła na poboczu, zakryła twarz dłońmi i zaczęła głośno płakać. Nie spodziewała się, że tej nocy ogarnie ją takie silne uczucie żalu. Wyła do księżycy niczym zraniony wilk, nie zważając na to, czy ktoś ją zobaczy, a może nawet podświadomie miała nadzieję, że tak się stanie. Może chciała, żeby ktoś wyszedł, zapytał, czy może jakoś pomóc, zainteresował się nią. Tylko że każdy miał swoje życie i nikogo nie obchodziła jakaś Carmen, która przybyła do Jeleniej Góry w niewiadomym celu. Była sama i taka już pozostanie. Tylko na siebie może liczyć i tylko ona sama siebie nie zawiedzie i nie zada sobie cierpienia. Ludzie potrafią ranić, nawet tych, których kochają, a zwłaszcza tych, którzy kochają ich. Wróciła do mieszkania po godzinie, nadal zalana łzami. Płakała pod prysznicem i podczas nalewania sobie kieliszka wina, którym popiła tabletkę na sen od doktora. Dopiero po fakcie przypomniała sobie jego słowa, żeby nie mieszać jej z alkoholem. Bez przesady. Wytłumaczyła sobie, że doktorowi chodziło pewnie o większe ilości alkoholu i tabletek. Ona miała zamiar wypić tylko jeden kieliszek. Usiadła przed laptopem, spojrzała na zegarek, było już po pierwszej w nocy. Przestała płakać. Włączyła sprzęt i sprawdziła, czy coś niepokojącego działo się dzisiaj w domu pod jej nieobecność, ale system na nic takiego nie wskazywał. Wyglądało na to, że jest w apartamencie bezpieczna, a pierwotne podejrzenia były tylko wytworem jej wyobraźni i ciągle obecnego lęku. Coraz rzadziej chwytła za nóż leżący między materacem a zagłówkiem w łóżku, gdy w nocy budziły ją jakieś odgłosy. Coraz swobodniej czuła się w tych wnętrzach i nie miała już takiej potrzeby kontrolowania wszystkiego. Czy to znaczyło, że zaczynała wracać do rzeczywistości? Odkąd bierze leki, nie miała też poczucia, że ktoś nawiedza jej mieszkanie, a przedmioty znajdowały się na swoim miejscu. Może po pro-

stu zaczęła się wysypiać i zmęczony wcześniej umysł teraz nie nadbudowywał rzeczywistości. „Będzie dobrze”, powtarzała w myślach. Doktor Rokosz powiedział, że nie widzi u niej niczego niepokojącego poza trudnościami w przystosowaniu się do życiowych zmian. Ufała mu. Pomimo że pierwotnie wzbudził w niej lęk, wierzyła w jego słowa i chciała pójść do niego na wizytę następnego dnia. Wróciła do salonu, zapaliła świece i nałła sobie drugi kieliszek wina. Była wykończona fizycznie i emocjonalnie, ale mimo wszystko pełna nadziei, że niedługo i u niej będzie normalnie. Włączyła telewizor i z ciekawością przeskakiwała po kanałach. Pierwszy raz odkąd tu zamieszkała, pozwoliła sobie na taką chwilę beztroski. Pierwszy raz od wielu lat, oglądała polską telewizję. Ciężar wylanych łez wciąż jej towarzyszył, mimo to wiedziała, że te łzy były potrzebne. Oczyszczyły ją z negatywnych emocji, pozwoliły wylać na świat żale, których nie mogła nikomu wyjawiać. A właściwie mogła, zamyśliła się przez chwilę. Czy powinna do niego napisać? Czy ma prawo zamećczać go własnymi problemami? Pomógł jej, kiedy najbardziej tego potrzebowała, ale to nie oznaczało, że automatycznie może przerzucić na niego wszystkie swoje lęki i emocje. Spojrzała na jego zdjęcie widniejące na WhatsAppie.

– Antonio Perez – wymówiła na głos. – Kiedyś podjęłam w życiu złą decyzję i potem płaciłam za nią latami. Ale ty mi pomogłeś. Pomimo wszystko. Pomimo że cię skrzywdziłam.

Odłożyła telefon na kanapę. Nie ma prawa wciągać go w to wszystko. To jej walka i tylko ona może stanąć w ringu.

– Zło zawsze powraca – głos starej baby rozszedł się po domu, a Carmen od razu poderwała się z miejsca. Rozejrzała się po salonie, zlustrowała kąty, jakby głos wydobywał się z umieszczonych tam głośników kina domowego.

– Ktoś tu jest? – krzyknęła, zastanawiając się, czy naprawdę to słyszała, czy umysł znów płata jej figle.

Jej serce zabiło szybciej i niemal słyszała, jak pompowana pospiesznie krew szumi w jej żyłach.

– Zło zawsze powraca – wymówiła ostrożnie. – Co to znaczy? – zapytała głośno, ale nikt jej nie odpowiedział.

Uznała, że to znak, że umysł podsuwa jej wydarzenia i słowa, które mogą mieć znaczenie dla sprawy, a których nie sprawdziła. Tylko co tu jest do sprawdzania? Spojrzała w zamyśleniu na komodę w salonie i jej wzrok skoncentrował się na spiętych ze sobą kartkach.

– Alicja Topaz – powiedziała nagle i zerwała się, by wziąć plik dokumentów. – Zupełnie o tobie zapomniałam, ty suko – wymówiła z zacięciem i pogardą. Czuła wewnętrzną ekscytację, chociaż starała się ją tłumić. Najgorsze co może być, to obiecywać sobie za dużo i doznać zawodu.

Przekartkowała szybko strony z informacjami na temat ludzi, którzy totalnie jej nie interesowali, a których nazwiska pochodziły z sieci kontaktów w mediach społecznościowych Anety Sasek. Ponieważ nie dostała dostępu do policyjnej bazy danych, musiała sobie jakoś radzić. Było to spore utrudnienie, jednak zawsze mogła powiedzieć, że osoba, którą chce prześwietlić jest zamieszana w sprawę, którą aktualnie prowadzi. Tak właśnie zrobiła. Skłamała, że Alicja Topaz weszła w konflikt z Anetą w jednym z wpisów na portalu. Nie musiała wymyślać wiele. Śruby nie interesowały dokładne powody. Potrzebował tylko podpiąć zapotrzebowanie na informacje pod konkretną sprawę, i tyle. Pośrodku stosu kartek znalazła te, na które liczyła. Drżącymi dłońmi odczepiła pozostałe i z ulgą stwierdziła, że o samej Alicji udało się uzyskać sporo informacji. Zajmowały mniej więcej pięć kartek. Upiła kolejny łyk wina i zaczęła czytać. Do dokumentów przypięta była karteczka, ręcznie napisana przez Marcela. „W systemie znalazłem trzy Alicje Topaz. Ale mówiłaś, że ta, której mam szukać, ma około trzydziestu pięciu lat. Pozostałe mają dwadzieścia i sześćdziesiąt, więc je odrzuciłem. Poza tym ta babka ma bardzo ciekawą przeszłość...”. Poczła wewnętrzne rozedrganie i wzięła dwa głębokie wdechy, a następnie pogрузzyła się w lekturze. Faktycznie kobieta, której szukała miała bogatą przeszłość. Z każdą kolejną kartką czuła ucisk w klatce piersiowej. Kiedy skończyła czytać, jedyne co przychodziło jej do głowy, to jedno powtarzane w kółko zdanie.

– *Put a madre!* Jak mogłam być tak ślepa!

Dawniej,

Mirsk, mieszkanie państwa Koczorów

Kubuś bawił się na dworze patykami i kamieniami. Był zimny listopad, ale on miał już dziesięć lat, a to oznaczało, że był prawie dorosły. Dorosli nie marzą się jak dzieci, kiedy jest im zimno i nie zawracają głowy innym dorosłym, kiedy są głodni. Tak zawsze powtarzała mu mama, kiedy wyrzucała go z siostrą na podwórko, żeby się pobawili i zahartowali. Matylda siedziała zazwyczaj nieruchomo i patrzyła na las. Lubiła obserwować, jak wiatr strząsał z drzewa kolorowe liście, jak rzucał pod nogi żołądździe i kasztany. Kazała Kubie zbierać je do siatki i potem razem, wieczorami, robili z nich ludziki i inne stwory. Kuba wiedział, że Matylda jest inna od pozostałych dzieci, które znał. Nie chodziła do szkoły, nie potrafiła czytać ani pisać i rzadko się odzywała. Bywały takie dni, że nie odzywała się wcale albo wydawała dziwne chrapliwe dźwięki, które denerwowały rodziców. Matka nazywała ją wtedy debilem, ojciec wrzeszczał na matkę, że to jej wina, że urodziła upośledzonego potwora, a Kubuś zakładał jej na uszy zepsute słuchawki znalezione kiedyś przy śmietniku przy szkole i przytulał mocno, by nic nie słyszała. W domu często były awantury. W budynku obok, w którym mieszkali sąsiedzi Kubusia, też tak było, ale tam pito alkohol. Czasem jego ojciec szedł do sąsiadów w odwiedzinach i kiedy wracał, cuchnął niemiłosiernie oraz się zataczał. Raz wpadł nawet do pobliskiej sadzawki i prawie się utopił. Wyciągnął go wtedy sąsiad, który powiedział Kubie, żeby nie miał ojcu za złe. Że on musi się czasem napić, bo z taką kobietą jak jego matka to nikt na trzeźwo by nie wytrzymał. Chłopiec zapytał, dlaczego chociaż wiedział, że sąsiad ma rację. Mężczyzna twierdził, że jego matka jest chora psychicznie, że to jest „schizonemia” lub

coś w tym stylu – Kuba pierwszy raz usłyszał takie określenie i nie mógł zapamiętać dokładnej nazwy choroby. Pewnego dnia, kiedy matka okładała go kablem, wrzeszcząc, że wypędzi z niego szatana, wykrzyczał jej w twarz, że jest psychiczna i ma „schizonemię” i że nikt nie może z nią już wytrzymać. Ojciec zerwał się wtedy z fotela, przy którym jakby nigdy nie oglądał telewizję i sprzął go tak, że przez tydzień Kuba nie pojawił się w szkole. Pamięta, że tamtą noc, pomimo minusowej temperatury, spędził w szopie usytuowanej za domem, bo rodzice stwierdzili, że może w ten sposób nabierze pokory. Teraz był listopad i pomimo niskiej temperatury chłopiec bawił się na zewnątrz w krótkim rękawku i nie było mu wcale zimno. Był zahartowany. Matylda patrzyła na drzewa, kiwając się w przód i w tył. W ściśniętych rączkach trzymała swoją ukochaną przytulankę.

– Eeee – zaczęła wydawać dźwięki, wskazując na spadające z porywami wiatru żołądźcie.

– Chcesz jednego? – podszedł do siostry i przyniósł jej w dłoniach kilka liści i żołądźci.

Dziewczynka zaśmiała się radośnie, jakby dostała najdroższy skarb na świecie.

– Kuba, Matylda! Już na obiad! Co za jebane bachory. Zapraszać was trzeba specjalnie? Nie wiecie, która jest godzina? – usłyszeli głos ojca, który dał się na nich z okna.

Kuba wyczuł, że tato jest zdenerwowany. Spojrzał na siostrę i zobaczył poszerzającą się plamę moczu na jej spodniach. Dziewczynka zacisnęła mocno dłoń z żołądźkami i zaczęła się mocniej kiwać.

– Kiedyś stąd uciekniemy, obiecuję ci – wyszeptał jej do ucha. – Zamieszkamy razem w lesie w jaskini i będziemy zbierać kasztany i żołądźcie. Ale teraz chodźmy do domu, żeby nie denerwować taty.

Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza

Przyszła na to spotkanie wyjątkowo pobudzona. W nocy w ogóle nie spała. Udało jej się zmrużyć oczy dopiero koło siódmej rano, a o ósmej obudził ją telefon od nadkomisarza. Twierdził, że może tego dnia pracować z domu, bo nie mają w planach żadnych spotkań. Będą robili swoje i jeżeli coś znajdą, to dadzą jej znać. Niosła go jeszcze fala wczorajszego sukcesu, a to było jej nawet na rękę, ponieważ nie mogła przestać myśleć o swojej sprawie. Była na dobrym tropie, ale musiała przemyśleć, jaki krok powinna teraz podjąć. I czy w ogóle dało się coś jeszcze zrobić. Może potrzeba jedynie czasu?

– Jak się dzisiaj czujesz? – zaczął Rokosz, wpatrując się w jej podkrążone oczy. – Coś mi się wydaje, że nie spałaś za dobrze, a mimo to masz wzmożony napęd? Jesteś podenerwowana, podekscytowana? Nie umiem wyczuć.

– Tak, masz rację – przyznała. – Dowiedziałam się wczoraj czegoś, co z jednej strony mnie przybiło, a z drugiej dało nadzieję na przyszłość.

– Chcesz być tajemnicza czy szczerą?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Wyartykułował je całkiem naturalnie, bez żadnej ironii.

– Nie wiem, czy mogę być z tobą całkowicie szczerą.

– Czego się boisz, mówiąc prawdę?

– Chyba tego, że mnie ocenisz, że uznasz mnie za złego człowieka, a ja nie chcę być złym człowiekiem – przyznała zaskoczona, z jaką łatwością rozmawiają o jej lękach i pragnieniach.

– Nikt nie jest całkiem zły ani całkiem dobry – odparł. – Każdy z nas ma coś za uszami, nawet ja. Problem pojawia się wtedy, kiedy nie możemy sobie z tym poradzić i nasz umysł zaczyna płatać nam figle, nie pozwalając prawidłowo funkcjonować. Możesz być tajemnicza i zaprezentować własną osobę w odpowiednim dla siebie świetle, ale wątpię, by taka terapia przyniosła rezultaty – zamilkł.

Przez chwilę analizowała jego słowa i doszła do wniosku, że ma rację. Tak naprawdę od wielu lat nie była z nikim do końca szczerą. I tego brakowało jej najbardziej. Bycia sobą, pozwolenia sobie na wyłanie wszystkich swoich żali, lęków i pragnień, bez oceniania swojej własnej osoby. Gdzie mogłaby sobie na to pozwolić jak nie w gabinecie psychiatrii?

– Zabiłam męża – powiedziała to, co wydawało jej się najgorszą prawdą i czekała na jego reakcję.

Nie zauważyła, by się wzdrygnął, odsunął mimowolnie ciało czy zrobił choćby zdziwioną minę. Czy to możliwe, żeby o tym wiedział?

– I siedziałam za to w więzieniu – dodała, wykorzystując chwilową ciszę.

– Chcesz mi opowiedzieć, jak to się stało? – Jego głos brzmiał spokojnie i ciepło, co sprawiło, że bardzo tego chciała. Musiała w końcu zrzucić z siebie ten ciężar.

– Tylko że... – zawahała się. – Ja do końca nie wiem, jak to było.

Marcin Rokosz oparł łokieć o ramię fotela i się zadumał.

– Nie pamiętasz?

– No właśnie nie do końca. To są te zaniki pamięci, o których ci mówiłam ostatnio. Te sytuacje, w których moja świadomość wraca do rzeczywistości, ale nie wiem, co się wydarzyło chwilę wcześniej.

– Opowiedz mi to, co pamiętasz.

– Byliśmy na jachcie. To miał być nasz rejs z okazji rocznicy. Rodzice dali nam – zatrzymała się na chwilę. – To znaczy dali mi jacht. A formalnie wypożyczyli na czas nieokreślony i nie mieli zamiaru mi go zabierać.

– Nie lubili twojego męża? – przekrzywił lekko głowę.

– Nie lubili. Byli przeciwni naszemu ślubowi, bo twierdzili, że on mnie ogranicza i przy nim nie wydaję się szczęśliwa. Poza tym uważali go za łowcę majątku i kazali podpisać intercyzę, grożąc, że w przeciwnym razie wydziedziczą mnie i odetną od środków finansowych.

– Rozumiem, że twoi rodzice są zamożni?

– Tak. Są jednymi z najbogatszych ludzi w Maladze – przyznała, a w jej oku zalśniła łza. – Kocham ich, kochałam i zawsze będę kochać, ale małżeństwo z Adamem, mocno nadwyrężyło nasze relacje.

– Podpisał intercyzę?

– Nie. Nie poprosiłam go o to. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli zrezygnujemy z majątku i razem będziemy budowaliśmy wspólną przyszłość.

– Można by powiedzieć, że podjęłaś dojrzałą decyzję. Byłaś dorosła i postawiłaś na własne życie. Nie ma w tym niczego złego.

– Tak myślałam, ale Adam wkurzył się, że tak się stało. Powiedział, że powinnam mu dać podpisać tę intercyzę, że nie miałby nic przeciwko, a tak będziemy mieli złe relacje z moimi rodzicami.

– Miał rację?

Uśmiechnęła się smutno.

– Teraz myślę, że nie chodziło mu o relacje z rodzicami, ale o ich pieniądze. Gdyby podpisał intercyzę, nadal mieszkalibyśmy w jednym z penthouse'ów hotelu Rodríguez w Maladze. Korzystalibyśmy z kart kredytowych i wystawnego życia. Intercyza miała dotyczyć jedynie braku możliwości przejęcia mojego majątku w razie rozwodu lub mojej śmierci.

– Rozumiem, że po tym, jak Adam nie podpisał intercyzy, twoi rodzice uznali, że to zły znak? Wzięli Adama za materialistę szukającego łatwych pieniędzy? Za łowcę majątków.

– Tak – przytaknęła, nieznacznie kiwając głową.

– I z tego, co widzę, w końcu przyznałaś im rację?

– Tak. – W jej głowie pojawiało się teraz wiele wspomnień, którymi chciała się podzielić, bo przecież nic w tej historii nie było proste ani takie, jakie wydawało się na początku.

– I dlatego go zabiłaś?

Skrzywiła się i lekko wzdrygnęła.

– Nie. Do czasu jego śmierci ślepo wierzyłam w to, że nie zależy mu na majątku.

– Czyli małżeństwo było udane? – Widać było, że zaczyna się gubić. – Carmen, musisz zacząć mówić sama z siebie. Jak będę cię ciągnął za język, to do niczego nie dojdziemy, bo ja nie wiem, co w twojej historii było najbardziej istotne. Mów od serca.

– Dobrze – zgodziła się i rozsiadła wygodnie w fotelu. – Z początku Adam był cudowny. Przystojny, szarmancki i pewny siebie, ale przy tym troskliwy i czuły. Nie minął tydzień od naszego poznania na Ibizie, a ja wiedziałam, że chcę za niego wyjść. Obsypywał mnie kwiatami, podarunkami i komplementami. Wiesz, Hiszpanie są inni, bardziej, jakby to powiedzieć – zamyśliła się na chwilę – niezależni, samowystarczalni? Pamiętam, jak mama opowiadała mi kiedyś, że w Polsce można jeszcze spotkać prawdziwych gentlemanów, którzy otwierają kobiecie drzwi, oddają swoją marynarkę, kiedy jest jej zimno i płacą za nią w restauracji. Nie chodziło o pieniądze, bo przecież mieliśmy ich pod dostatkiem, ale o sam gest. I taki wydawał mi się Adam. Myślałam, że rodzice go polubią, bo w końcu mamy rodzinę w Polsce, a Adam pochodził z dobrego, szanowanego domu. Nie miał wielkich pieniędzy, ale nie był też biedny. Twierdził, że jego firma całkiem dobrze prosperuje i za parę lat wybudujemy wille na wybrzeżach obu naszych krajów. Ja pracowałam jako profilerka kryminalistyczna w policji w Maladze. Nie zarabiałam dużo, ale wciąż korzystałam z zaplecza rodziców, mieszkalam w jednym z ich apartamentów i jeździłam jednym z ich najlepszych samochodów. Mama i tata nigdy niczego mi nie żalowali, jednak zawsze bali się dnia, w którym przedstawię im człowieka, za którego chcę wyjść, bo trudno było im komuś zaufać.

Przerwała na chwilę, by napić się wody.

– I chociaż nie okazali tego podczas kolacji zapoznawczej, to po tygodniu zaprosili mnie na obiad i oznajmili, że powinnam zadbać o intercyzę, i że ich zdaniem Adam nie jest dobrym kandydatem na męża.

– Mieli powody, by tak myśleć? – wtrącił pytanie Rokosz. – Zastanawiam się, czy mogli zauważyć coś, czego nie widziałaś ty z racji swojego zakochania.

– Wątpię. Na kolacji Adam zachowywał się wspaniale. Był rozmowny i towarzyski, ale nienarzucający się. Mamie podarował kwiaty, a ojcu przyniósł alkohol. Miałam wrażenie, że wszystko poszło w dobrym kierunku.

– Skąd więc takie obiekcje?

– Myślę, że po prostu zatrudnili detektywa, który go sprawdził i dowiedział się różnych rzeczy na jego temat, a ja odkryłam te fakty dopiero po kilku latach małżeństwa.

– Czyli?

– Tego, że jako nastolatek miał problemy z prawem, że był aresztowany za pobicie i oskarżony o gwałt, ale to oskarżenie zostało wycofane. Tego, że jako bogaty, jak na Jelenią Górę, dzieciak zamożnych rodziców nie przestrzegał prawa równości wszystkich obywateli i uważał się za lepszego od innych. Ale to może jeszcze by mu wybaczyli i zrzucili winę na błędy młodości, jednakże rodzice mieli poważne zastrzeżenia, co do jego zaradności i majątku. Twierdzili, że zadaje się z niewłaściwymi ludźmi, że prezentowany przez niego biznes to zwykła wydmuszka – pusta w środku, i że żeni się ze mną tylko dla pieniędzy.

– Jak się czułaś, słysząc te słowa.

– A jak mogłam się czuć? Byłam zakochana i wściekła, że go sprawdzają. Cokolwiek by wtedy powiedzieli, nie uwierzyłabym im. Kochałam go najbardziej na świecie i miałam dosyć obsesji moich rodziców i ludzi ich pokroju, co do chronienia swojego majątku. Uważałam, że wcale go nie potrzebuję, że oboje mamy pracę i sobie poradzimy. Ale kiedy Adam dowiedział się o tym, że mnie wydziedziczyli, bo nie chciałam mu dać do podpisania intercyzy, wściekł się. Wpadł w furję, krzyczał i zachowywał się tak jak jeszcze nigdy. Nie żebym już wtedy się go bała, ale wydawało mi się, że był zupełnie innym człowiekiem niż ten, za którego wyszłam. Nawet mówił jakoś inaczej. Ton głosu, akcent i barwa, wszystko było inne. Jakby mówił do mnie ktoś, kogo wcześniej nie słyszałam. A potem pojechaliśmy

w pierwszą podróż do domu jego matki, tu do Jeleniej. I tam pierwszy raz mnie uderzył. – Zaobserwowała, że doktor Rokosz się przejął.

– Pierwszy? To znaczy, że były jeszcze inne razy?

– Tak – powiedziała ze smutkiem. Zaczęło się od tego, że gnębił mnie psychicznie, okazywał zniecierpliwienie, rzucał niewybredne komentarze à propos moich życiowych decyzji, kiepskiej pracy czy braku umiejętności. Wiesz, to był taki przypadek, kiedy silna, raczej niezależna kobieta, poznaje faceta, zakochuje się w nim, a on wysysa z niej całą energię życiową i odbiera pewność siebie. Jednego dnia był dla mnie cudowny, a drugiego potrafił rzucić przed wyjściem na kolację u znajomych, żebym zmyła czerwoną pomadkę z ust, bo wyglądałam jak dziwka. Pamiętam, że raz, kiedy byliśmy w knajpie z przyjaciółmi, poprosił mnie na stronę i urządził awanturę, że za długo patrzę się w oczy męża mojej koleżanki, i że z pewnością mamy romans. Odburknęłam coś, żeby nie był śmieszny, a on złapał mnie za włosy, szarpnął tak mocno, że upadłam na podłogę w łazience i zmusił do odbycia stosunku. Jak powiedział, chciał, żebym mu udowodniła, że tylko jego pożądam – zaczęły jej się trząść ręce, a usta ledwo wypowiadały słowa opisujące to trudne doświadczenie.

– Zgwałcił cię – podsumował Rokosz.

– Był moim mężem – polemizowała, bo nie chciała uchodzić za ofiarę gwałtu.

– Nie chciałaś tego, a on odbył z tobą stosunek. To się nazywa gwałt i trzeba to sobie jasno powiedzieć.

– Dobrze – przytaknęła i wypowiedziała ciszej – zgwałcił mnie.

– Szukałaś gdzieś pomocy?

– Nie. – Pokręciła stanowczo głową. – Nie byłam w stanie przyznać rodzicom, że mieli rację co do Adama. Mężowi nie szło w interesach i coraz częściej przychodził do domu zirytowany. Coraz rzadziej wychodziliśmy ze znajomymi na miasto, bo on nie był w nastroju, a ja nie chciałam dawać mu powodów do kolejnych awantur, wychodząc sama. Poza tym dopadła nas szara codzienność. Dużo wtedy pracowałam, pamiętam, że to był czas, kiedy w Maladze dochodziło do wielu dziwnych morderstw i policja bardzo

potrzebowała współpracy z profilerem. Czasem prowadziłam konsultacje online dla komend w innych miastach i tak stopniowo oddalałam się od rodziny i przyjaciół.

– Jeżeli mogę coś wtrącić, to twoja historia jest bardzo typowa dla ofiar przemocy domowej. Myślę, że dobrym pomysłem byłoby uczęszczanie na terapię grupową, gdzie mogłabyś poznać inne kobiety, które przez to przeszły.

– Nie, ja... – Ten pomysł absolutnie nie przypadł jej do gustu. – Nie zrozum mnie źle, ale czy takie rzeczy nie dzieją się głównie w alkoholowych rodzinach w slumsach? Widziałam wiele małżeństw podczas współpracy z policją. Często motywowałam się, żeby to przerwać, że przecież mogę odejść, albo po prostu postawić jasną granicę. Miałam nawet ulotną myśl, że po prostu powiem stop. Że wyartykułuję mu, żeby więcej mnie nie ruszał i że to podziała. Bo przecież ja nigdy niczego takiego nie powiedziałam.

– Obwiniłaś się, że skoro nie mówisz stop, to sama jesteś sobie winna?

– Tak, miewałam takie myśli.

– To bardzo częste u ofiar. A na te spotkania nie przychodzi jedynie pijacka patologia, jeżeli to masz na myśli. Zdziwiłabyś się, jak często wykształcone, samodzielne kobiety padają ofiarami tego typu katów.

– Tylko że ja byłam przekonana, że go potrzebuję.

– Zachwiał twoją pewność siebie, obniżył samoocenę, to zrozumiałe.

– Nie – zaprotestowała. – Oczywiście to też robił, ale ze mną zaczęło dziać się coś złego. I to jest właśnie to, o czym ci opowiadałam. – W pewnym momencie zauważyłam, że mam luki w pamięci, że nie wiem o pewnych naszych ustaleniach czy wymienianych wiadomościach. Zaczęłam odczuwać niepokój, lęk i miewać ataki paniki i wierz mi, mimo że czasem Adam był potworem, to w tych momentach mojego życia zachowywał się niezwykle pomocnie. Miewał też lepsze dni, a czasem nawet tygodnie i wtedy wszystko u nas grało. Tylko że z roku na rok ja coraz bardziej ztracałam siebie. Często miałam wrażenie, że ktoś jest w mieszkaniu, kiedy byłam sama, że przedmioty poukładane są inaczej, że nie tak je zostawiłam,

wychodząc na spacer. Bóle głowy i bezsenność stały się moimi towarzyszami. Nie mogłam się skoncentrować, a to również przekładało się na moją pracę. Pisałam wiadomości, że się zwalniam albo że jestem chora, po czym szłam normalnie na komendę, zupełnie nie pamiętając o tym, bym cokolwiek wysyłała. Kiedy było ze mną naprawdę źle, Adam mnie wspierał. Poszedł nawet do moich rodziców, z którymi spotykaliśmy się tylko z okazji świąt i urodzin, i powiedział, że się martwi, że coś się ze mną dzieje i może trzeba mi jakoś pomóc. Ojciec załatwił badania neurologiczne w najlepszej klinice, ale te nic nie wykazały. Lekarz kazał odpocząć, zrzucił wszystko na stres i powiedział, że potrzebuję wsparcia i odpoczynku. I co zrobili moi rodzice? Dali mi wtedy jacht. Niby na prezent z okazji naszej rocznicy, ale forma przekazania i tak świadczyła o tym, że dalej nie wierzą mojemu mężowi. Ja byłam zbyt przerażona tym, jakie figle płatał mój umysł, żeby się przejmować ich zachowaniem. Wy płynęliśmy z Adamem w rejs. Był alkohol, świece i muzyka. Razem z nami płynął tylko kapitan, który w nocy po ustawieniu kursu i włączeniu autopilota poszedł spać. W tę noc zabiłam Adama.

– Ale mówiłaś, że tego nie pamiętasz?

– Bo nie pamiętam. Wiem, że tańczyliśmy na rufie, że piliśmy szampana, że gadaliśmy do trzeciej w nocy. Pamiętam, że koło drugiej chciałam iść już spać, ale Adam uparł się, żeby jeszcze posiedzieć. Twierdził, że dawno nie było między nami tak dobrze. Zaczęłam się zastanawiać, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy mieli pieniądze. Czy wtedy nie pojawiłyby się te frustracje i przemoc? Pamiętam, że byłam bardzo zmęczona i zdezorientowana wszystkim, co działo się wokół. I tyle.

– A następny obraz, który masz w głowie?

– Odzyskałam świadomość, kiedy trzymałam pistolet w dłoni, byłam w zakrwawionym marynarskim dresie, a kapitan krzyczał, żebym rzuciła broń.

– Byłaś już wcześniej agresywna?

– Nie – zaprzeczyła. – To znaczy... Od dawna zbierała się we mnie frustracja i gniew. Miałam dużo żalu do męża, obwiniałam go o to, jak ułożyło

się nasze życie. Pamiętam, że raz, kiedy mówił mi, że bez niego sobie nie poradzę, że wszyscy moi znajomi obgadują mnie za plecami, że tylko on jest ze mną szczerzy i że powinnam mu być wdzięczna, że ze mną wytrzymuje, chciałam chwycić za nóż i wbić mu go w serce. Wiem, że to złe, ale tak właśnie wtedy czułam. Miałam dosyć jego i tego, kim się przy nim stałam.

– Ale tego nie zrobiłaś...

– Nie, nigdy na nikogo nie napadłam. Poza tym jednym razem na jachcie.

– Masz jakieś przeczucie, co się mogło wydarzyć? Chodzi mi o ten czas, którego nie pamiętasz.

Po gabinecie rozeszło się głośne pukanie do drzwi i do środka weszła ciemnowłosa recepcjonistka.

– Panie doktorze, przyszła już pani Kornelia – zakomunikowała i uśmiechnęła się delikatnie, przerzucając wzrok z Rokosza na Carmen.

– Tu już czas? – lekarz spojrział na zegarek na przegubie dłoni i westchnął głęboko.

Recepcjonistka zniknęła za drzwiami.

– Przepraszam, ale mam następną pacjentkę. – Wstał pospiesznie z fotela, jakby wizyta pani Korneli nie mogła się odbyć choćby minutę później.

– Rozumiem, dziękuję za wysłuchanie. Jest mi trochę lepiej – powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

– Mam przeczucie, że nie skończyliśmy. Proszę wpaść do mnie na dniach. Może w czwartek o szesnastej?

– Dobrze, będę. – Podała mu rękę na pożegnanie i wyszła z gabinetu.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Borys Szyk zastanawiał się, co zrobić. Nie miał na myśli sprawy Jaskiniowca, bo tutaj nic nie uległo zmianie. Antoni Pawliński został tymczasowo osadzony w areszcie śledczym, czekając na rozprawę, na której sędzia zapewne wyznaczy kaucję, aby mógł odpowiadać z wolnej stopy. Nie powinien, bo przestępstwo, które mu zarzucano, należało do tych najcięższych, ale podkomisarz nie miał żadnych wątpliwości, że zamożny pan dyrektor jednej z największych spółek w kraju będzie potraktowany łagodniej od innych. Poza tym znalazła się jakaś bzdziągwa, która twierdziła, że ósmego listopada w nocy, był z nią. Kolejna, zaraz po żonie, gotowa zeznać nieprawdę, by tylko utrzymać dobrostan swojego sponsora. Podejrzał, że to któraś z jego dawnych kochanek w zamian za pieniądze zgodziła się dać mu alibi. Tyle że sąd z pewnością weźmie jej zeznania pod uwagę. Działo się tak nie raz i nie dwa, dlatego prokuratura musi mieć mocne dowody, świadczące o jego winie, by wsadzić skurwiela. Borys twierdził, że jeżeli chodzi o sprawę Anety Sasek, to właśnie takie mają. Pozostawało ustalenie zabójcy NN, a w tej sprawie, niestety, nic nie mieli. Nadal nie wiedzieli, kim była ofiara, nie znali jej adresu czy numeru telefonu, nie mieli gdzie zbierać śladów ani ustalać motywów. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, ale przecież minęło dopiero kilka dni. Rzadko zdarzało się w takich sprawach szybkie ustalenie zabójcy. Być może nawet nie odnajdą go nigdy. Przeszukano wszystkie okoliczne jaskinie i nie znaleziono kolejnych ofiar, to była dobra wiadomość. Borys upił łyk kawy i jeszcze raz spojrzął na wydruki, które wczoraj dał mu Śruba. Przeglądał je niemal przez pół nocy. Analizował i dokładnie wczytywał się w wydrukowane dane per-

sonalne, informacje na temat szkół, pracy i rodziny podanych przez Carmen ludzi. Potem wszedł na profil w mediach społecznościowe Anety Sasek i sprawdził, w jakie konflikty wdawali się z nią ludzie w sieci. Ze zdziwieniem odkrył, że tylko jeden mężczyzna faktycznie groził jej słownie. Tobiasz Nowak, jakiś religijny fanatyk, który pisał, że znajdzie ją i wymierzy sprawiedliwość za to, jakie zdjęcia wrzuca do Internetu. A dokładniej i tu cytat: „za pokazywanie dupy i cycków wystających spod krótkich ubrań”. Pod komentarzem rozpoczęła się regularna pyskówka, która, co dziwiło Borysa, nie została usunięta przez Anetę. Jedna ze sprawdzanych osób zaciekała go bardziej od innych. Alicja Topaz. Skazana w przeszłości za oszustwo, otrzymała rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Większość życia mieszkała we Wrocławiu, jednak urodziła się w Jeleniej Górze. Mogła znać ofiarę. Pozostali to zwykli obserwatorzy, z różnych zakątków kraju. Kiedy chciał sprawdzić jej profil, okazało się, że nie istnieje, a szukając intensywnej i emocjonalnej wymiany zdań w historii komentarzy między nią a Anetą, stwierdził z zainteresowaniem, że w ogóle takowych nie było. Być może pani Topaz usunęła swoje profile w mediach, co również świadczyłoby o zacieraniu dowodów, ale przecież mieli już zabójcę. A Carmen Rodríguez nie była na tyle głupia, żeby poważnie myśleć o tej kobiecie jako o podejrzaney. Dlaczego więc ją sprawdzała? Na pewno chodziło o ich prywatne porachunki. I ta myśl tchnęła w Borysa nową energię. Znalazł trop, którym podąży, by odkryć, kim tak naprawdę jest Carmen Rodríguez.

– Śruba, masz chwilę? – Zajrzał do pokoju Marcela przez uchylone drzwi i zobaczył go klikającego coś w komputerze, z wielkimi słuchawkami na uszach. – Halo! Ziemia do Śruby – Pochylił się nad nim i odsunął mu z ucha słuchawkę.

– Co jest? – wystraszył się Marcel. – Nie nauczyli pukać? – Zdawał się oburzony.

– Takiś zapracowany? – Borys siadł na pufie sako, położonej w rogu małej klitki informatyka. – Fajne to – przyznał z uznaniem.

– Mów, z czym przychodzisz, dobry człowieku, bo nie mam dziś czasu – odpowiedział Śruba, nie spuszczając wzroku z monitora. Jego palce nadal pędziły po klawiaturze, a ortalionowy, kolorowy dres, szeleścił, ocierając się o blat biurka.

– Co to, kurwa, Jelenia Góra stała się nagle miastem miliona przestępstw?

– Ty byś pewnie wolał, żeby była miastem seksu i biznesu? – zażartował.

– Nie byłoby źle. Nie ruchałem, odkąd zjawiała się ta Rodríguez.

Marcel przerwał nagle pisanie i z zaciekawieniem obrócił się w stronę kolegi.

– Rodríguez? Poważnie? Wpadła ci w oko?

– Nie, no kurwa, nic z tych rzeczy. A wręcz przeciwnie – tłumaczył się Szyk. – Jak pracujesz z taką herod-babą, to, wierz mi, nie masz już ochoty na przebywanie z płcią piękną. Ona wysysa ze mnie wszystkie soki.

Śrubiński zaśmiał się i wrócił do pisania.

– Słuchaj, potrzebuję, żebyś mi coś sprawdził, ale tak poza aktami. Da się?

– Nie pierwszy i nie ostatni raz – skwitował informatyk.

– No i dobra. Chodzi o tę Alicję Topaz, którą sprawdzałeś dla Rodríguez. Kojarzysz? Urodzona w Jeleniej Górze, studiowała iberystykę we Wrocławiu, ale oblała drugi rok studiów i przeniosła się na Wydział Pielęgniarski Uniwersytetu Medycznego.

Marcel znów przestał pisać i spojrzał na Szyka spode łba.

– Ciekawe... – powiedział tylko, czym zirytował kolegę.

– Mów, o co ci chodzi – odburknął. – Nie mam siły ciągnąć cię dzisiaj za język.

– Zgadnij, co teraz robię? – zapytał z zakamuflowanym uśmiechem.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć – obruszył się Borys. – Mam swoje zagadki w robocie i twoich już nie potrzebuję.

– Chyba faktycznie dawno nie ruchałeś, bo żeś taki nabuzowany.

Borys już chciał wstać i coś powiedzieć, kiedy Marcel wyciągnął w jego kierunku obie ręce, dając znać, że nie będzie dalej walczył.

– Rano dzwoniła do mnie profilerka. Twierdzi, że trop Alicji Topaz może być istotny i prosi o bardziej aktualne dane. Dostaliście wszystko, co udało mi się wyciągnąć o jej przeszłości, ale kobieta cztery lata temu całkowicie się rozplynęła. Rodríguez zależy na tym, żeby otrzymać jej aktualne dane.

– Znalazłeś już coś? – wstał z pufy i podszedł do monitora.

– Słuchaj, dopiero zaczynam. Wysłałam zapytania o jej karty kredytowe, konta w banku, szukam nawet na lotniskach w rejestrach pasażerów, ale to nie jest takie hop-siup. Ostatnia praca, którą wykonywała, to, jak wiesz, stanowisko pielęgniarki w Szpitalu Uniwersyteckim we Wrocławiu. Cztery lata temu złożyła wypowiedzenie i słuch o niej zaginął.

– Może wyjechała z kraju? To by się nawet zgadzało.

– Z czym? – przyglądał się koledze wnikliwie.

– Możesz sprawdzić, czy pracowała w Hiszpanii?

– Żartujesz?

– Słuchaj, sześć lat temu laska została skazana za oszustwo. Co prawda, dostała tylko zawiasy i nadal pracowała, ale jej reputacja została zszargana. Może wyjechała za granicę do pracy, kiedy tylko skończył się dwuletni zakaz opuszczania kraju? Czyli dokładnie cztery lata temu. Przecież nie rozplynęła się w powietrzu, a skoro nie możesz znaleźć żadnych informacji na jej temat w Polsce, to musiała wyjechać.

– O co tu, kurwa, chodzi? Dobrze wiesz, że współpraca międzynarodowa wymaga podpisu przełożonego. A raczej wątpię, żeby Topaz była powiązana z zabójstwem tych kobiet. Więc dlaczego ci tak zależy. Myślę, że albo...

– Będę twoim dłużnikiem – przerwał mu Borys.

– Komendant się nie zgodzi, a ja nie chcę za to beknąć – odpowiedział.

– Pełniącym obowiązki jest Leśniak, pokaż mi, gdzie podpisać – obaj doskonale wiedzieli, że Borys nieraz podpisywał się za Leśniaka w pilnych

sprawach, kiedy nadkomisarza akurat nie było na komendzie. Tyle że w tamtych przypadkach Bogusław doskonale o tym wiedział.

Śruba westchnął, wyciągnął odpowiedni druk z szuflady i podał go Borysowi.

– Daj długopis.

– Pojechało cię? Nie chcę wiedzieć, że ty to robisz. Wyjdź i zachowajmy choć odrobinę pozorów, żeby z czystym sumieniem mógł udawać, że o tym nie wiem.

– To się nazywa hipokryzja, Marcelku. – Potar mosił mu zmierzwione włosy.

– I pamiętaj, że jesteś moim dłużnikiem – rzucił do niego na odchodne.

Jelenia Góra, park Norweski

Biegła alejkami usypanymi drobnym żwirem. Liście z drzew opadły już całkowicie i krajobraz zdominowały ciemne, smutne gałęzie porażone we mgle. Była sama, bo o tak wczesnej porze nikomu nie przyszło nawet do głowy, by biegać. Po lewej stronie, za jeziorem, widziała majaczące w oddali światła samochodów, w których zaspani kierowcy pędzili na poranne zmiany. Czuła się nieco lepiej od ostatniej wizyty u doktora Rokosza. W pracy też nie miała wielu obowiązków. Co więcej, teoria Borysa, jakoby Antoni Pawliński był naśladowcą zabójcy mogła okazać się trafna. Początkowo czekała z wydaniem własnej opinii do momentu otrzymania raportu z toksykologii przeprowadzonej po sekcji zwłok NN. Wiedziała, że gdyby okazało się, że w ciele tej kobiety również znaleziono benzodiazepiny, byłby to dla niej dowód, na to, że sprawca był jeden. Po prostu za drugim razem użył innego noża, bo pierwszy się nie sprawdził. Ale w próbkach krwi, moczu i płynu mózgowo-rdzeniowego, nie znaleziono śladów żadnych środków odurzających, a to w połączeniu z różnicami w sposobie pozostawienia śladów, ułożenia ciała i innego narzędzia zbrodni dawało jasny przekaz dwóch różnych sprawców. A jednak ciągle wydawało jej się, że coś przeoczyli. Nieustannie dudniły jej w głowie słowa babki z lasu. Zło zawsze powraca. Dlaczego to zrobił? Bo zło zawsze powraca. Czy chodziło o to, że zabójca też był źle traktowany? Statystycznie rzecz biorąc, większość seryjnych miała kiepskie dzieciństwo. Tyle że w tej sprawie nie ujawniono kolejnych zwłok. Czyżby śmierć NN miała być jedyną zbrodnią tego sprawcy? Carmen poczuła w kieszeni bluzy lekkie wibrowanie. Wyciągnęła telefon i ze zdziwieniem odkryła, że dzwoni nadkomisarz Leśniak.

– Cześć – rzuciła, nie przerywając biegu. Miała już na tyle wyćwiczony oddech, by móc normalnie rozmawiać podczas treningu. – Nie możesz spać na chorobowym? Jest ledwo po szóstej.

– No cóż, zabójca zdecydował, że muszę przerwać L4. Służba nie drużba. Zbieraj się do Sobieszowa. Widzimy się za dwadzieścia minut pod Dziurawym Kamieniem.

– Pod czym?

– Wyślę ci pinezkę.

– Poczekaj – powiedziała głośniejszym głosem, wiedząc, że Leśniak zaraz się rozłączy. – Chcesz powiedzieć, że Jaskiniowiec znowu zaatakował?

Nadkomisarz jedynie głośno westchnął i się rozłączył. To wystarczyło jej za odpowiedź. Zawróciła w kierunku drogi na osiedle. Była podekscytowana. Nie, żeby cieszyła ją, że kolejna kobieta straciła życie z ręki jakiegoś psychopaty. Ale ta sprawa utknęła w martwym punkcie i bez dowodów nie było szans, by ją rozwikłać.

Nawigacja doprowadziła ją niemal pod samą budkę z biletami. Zaparkowała pod zakazem zatrzymywania się i postojem i za przednią szybą umieściła tabliczkę z napisem „policja”. Dostała ją w przydziale, kiedy zaczynała współpracę. Jej zdaniem nie miała ona raczej mocy prawnej, ale jeżeli zdaniem tutejszych policjantów chroniła ją przed odholowaniem auta, wołała ją położyć. Wysiadła z toyoty i zapięła pod szyję puchową kurtkę. W powietrzu czuć było zapach dymu z pobliskich kominów, a wokół unosiła się mgła, która stawała się coraz gęściejsza po wejściu do lasu. Leśniak napisał, że od drewnianej budki należy iść schodami do góry, a potem skręcić w lewo na czarny szlak. Po trzech minutach powinna zobaczyć krzątających się przy jaskini techników. Pomachała, dostrzegając w oddali czworo znajomych. Trzech mężczyzn i kobietę. Ewelinę Złotnicką poznałaby wszędzie. Pomimo że nie ułożyła dzisiaj irokeza na głowie, była najbardziej barwną postacią w tej grupie. Miała na sobie długi czerwony płaszcz, prawdopodobnie z wełny i czapkę w tym samym kolorze. Z czarnymi gnaniami i pomalowanymi również na czarno paznokciami wyglądała bardziej jak nastolatka niż medyk sądowy.

– Jesteś wreszcie – rzucił Bogusław Leśniak, który ewidentnie cierpiał z bólu. Od trzech dni przebywał na chorobowym. Rwa kulszowa nie odpuszczała, a do tego wszystkiego wypadł mu dysk w kręgosłupie i codziennie musiał chodzić na rehabilitację.

– Jak się czujesz? – zapytała w przypiływie współczucia, a nadkomisarz wyglądał tak, jakby stał nad trumną.

– Jestem obklejony cholernymi kolorowymi taśmami. Mam zakaz łykania tabsów częściej niż raz na cztery godziny, a boli mnie tak, że choćbym łykał przeciwbólowe co godzinę, to i tak byłoby za mało.

– Współczuję – odpowiedziała mechanicznie. – Prawda była taka, że od kąd spędziła dwa lata w hiszpańskim więzieniu, nie współczuła prawie nikomu. A już zwłaszcza mężczyznom, którzy umierali, ilekroć dostawali niewielkiej gorączki i potrafili zrobić wokół siebie ogromny szum, z powodu tego, że coś ich zabolalo. Ona codziennie odczuwała ból w ranie na plecach, która została zadana nożem, ale nikomu o tym nie opowiadała i się nie żaliła.

– Mamy kolejną ofiarę – zaczął prokurator. – Niestety, wejście do jaskini jest bardzo wąskie i trzeba tam wchodzić gęsiego – wyjaśnił.

– Aż tak? – zdziwiła się, bo to była jakaś nowość w świetle poprzednich miejsc zbrodni.

– Nigdy nie zwiedzałaś Dziurawego Kamienia? Na żadnej wycieczce z rodziną męża czy coś? – zapytał Borys, spoglądając na nią uważnie.

– Nie – odparła krótko. – Wychwyciła, że miał na myśli dużo więcej, niż chciał powiedzieć.

– To taki bardzo wąski i długi tunel – tłumaczył dalej Waldemar Warszawiak. – Wchodzi się jedną stroną, a dokładnie tędy – pokazał ręką w kierunku tabliczki wejście – a wychodzi z drugiej strony na górze skały. Żeby się tam znaleźć, najpierw trzeba się wspinać wąską szczeliną do góry. – Od jego drobnego załamania nerwowego, którego świadkiem była Ewelina, minęło parę dni i czuł się zdecydowanie lepiej. Na tyle, by okazać zainteresowanie zagranicznej profilerce. W sumie dopiero dziś stwierdził, że jest bardzo atrakcyjna.

– W takim razie, w jaki sposób zabójca wniósł tam zwłoki? – zastanawiała się.

– Ślady wskazują na to, że ciągnął je za sobą. Prawdopodobnie na jakiejś folii, którą potem zabrał.

– Ale jak udało mu się w tak ciasnej przestrzeni rozpruć jej brzuch i wypalić znamię? Zrobił to, zanim wciągnął zwłoki do środka?

– Nie. Tym razem nie rozpruwał jej brzucha – zaprzeczył Warszawiak.

– Nie? – Carmen się zdziwiła. – To skąd wiecie, że to Jaskiniowiec, skoro *modus operandi* jest zupełnie inne.

– *Modus operandi* można by rzec, że jest niemal identyczny – rozpoczął wyjaśnienie prokurator. – Tyle że tym razem nie wyciął macicy i przydatków, ale jądra.

Carmen Rodríguez spojrzała na niego z niedowierzaniem. Była w szoku i nie wiedziała, jak ma poskładać te wszystkie niepasujące do siebie elementy w jedną całość.

– Ofiarą jest mężczyzną? – zapytała w końcu.

– Tak – przyznał Leśniak. – Kamil Sukulski. Jeden z techników go rozpoznał. – Spojrzał na wyłaniającego z jaskini mężczyznę w białym kombinezonie. – Mieszkał gdzieś na jego ulicy.

– Cholera, szefie – krzyknął technik do Leśniaka. – Nie ma jak skrzyni ze sprzętem wnieść. Trzeba pojedynczo, a do tego wycofywać się tyłem. Ze trzy godziny tu będziemy siedzieć.

– Dobra, róbcie, co do was należy. Poczekamy – zapewnił go nadkomisarz.

– Kto znalazł ciała? – zainteresował się prokurator, który przybył na miejsce dopiero parę minut temu.

– Dwóch nastoletnich uciekinierów z domu. Łazili po lesie najarani i szukali przygód – wyjaśnił Szyk.

– No, to teraz odechce im się ucieczek – stwierdziła Złotnicka. – O dziewiętnastej będą grzecznie wracać do domu.

– Macie jakieś zdjęcie ofiary? – zapytała Rodríguez i spojrzała krótko po każdym z członków zespołu. Była ciekawa, dlaczego akurat dziś zjawili się w komplecie. Czy dostali burę za brak wytypowanego sprawcy pierwszego zabójstwa i tym samym dopuszczenie do kolejnego morderstwa? A może właśnie tak zazwyczaj pracowali, tylko z powodów jej nieznanych przy poprzednich dwóch zbrodniach nastąpiło chwilowe rozluźnienie w szeregach. Wydawali się całkiem zgraną ekipą i z całą pewnością swobodnie się przy sobie czuli, co dla profilerki było niemałym zaskoczeniem. Do tej pory odbierała ich jako samodzielne jednostki, kompletnie od siebie różne i preferujące pracę w pojedynkę.

– Trzymaj. – Złotnicka pokazała jej na telefonie dwie fotografie ofiary przesłane przez technika. – Mężczyzna w wieku około czterdziestu lat leżał na plecach w ciemnym i wąskim korytarzu jaskini. Był nagi i miał odciętą mosznę. Na pierwszy rzut oka wyglądał normalnie. Nie zauważyła żadnych znaków szczególnych. Gdyby minęła go na ulicy, w ogóle nie zwróciłaby na niego uwagi.

– Czy to nie dziwne, że nie ruszył przyrodzenia? – zdziwiła się Rodríguez.

– Dziwne to jest to, że się wykrwawił – wtrąciła Złotnicka. – Obstawiam, że został wcześniej nafaszerowany jakimiś lekami przeciwzakrzepowymi, ale trzeba będzie poczekać parę dni na wyniki toksykologii.

– Co to ma oznaczać? – Carmen nadal zachodziła w głowę. – Pragnął uczynić z niego kogoś niezdolnego do odbycia stosunku?

– O stop! Muszę coś wtrącić – Złotnicka ponownie zabrała głos. – Po usunięciu jąder możliwa jest kopulacja przy pełnym wzwodzie.

– Poważnie? – zdziwił się Borys, a wszyscy pozostali wydali się równie zainteresowani.

– Owszem. Żeby doszło do erekcji potrzebny jest testosteron – tłumaczyła. – A ten hormon, jak pewnie wiecie, powstaje w jądrach, ale nie tylko. Wytwarzany jest również przez korę nadnerczy. Tyle że nie w tak dużych ilościach. Także po kastracji mocno spada libido i wszelka ochota na współżycie, ale przy odpowiedniej terapii hormonalnej podnoszącej poziom te-

stosteronu, nie powinno być aż takich problemów z ochotą na seks, jak powszechnie się wydaje. Idziemy na kawę? – zaproponowała, płynnie zmieniając temat.

– Wszystko jest zamknięte – powiedział Szyk. – Jeszcze siódmej nie ma. – Trzymał ręce w kieszeniach, bo było mu cholernie zimno.

– Tu obok jest taki mały hotel. Podają śniadania od szóstej. Również gościom z zewnątrz. Kawa na pewno się znajdzie – naciskała Złotnicka. – I tak nie możemy tam teraz wejść.

– Dobra, idziemy. Bo mnie ta wilgoć w plecy kłuje – zaordynował nadkomisarz z kwaśną miną.

Usiedli przy stoliku usytuowanym w rogu sali, tak by rozmowy o trupach i odciętych częściach ciała nie dobiegały do uszu gości hotelowych podczas jedzenia śniadania, chociaż w stołówce było zaledwie kilkoro ludzi. Zamówili kawę i cztery zestawy jajeczniczy z grzankami. Carmen została przy kawie. Nie lubiła jadać tak wcześnie. Zazwyczaj zaczynała konsumować dopiero koło jedenastej. Grzecznie odmówiła, zauważając, że Borys ciągle jej się przygląda. Wodził za nią wzrokiem, a mimo to właściwie się do niej nie odzywał. Od początku wiedziała, że to specyficzny człowiek, ale teraz ewidentnie coś do niej miał. Będzie musiała spotkać się z nim na osobności i pogadać.

– Słuchajcie, musimy to jakoś ogarnąć, a ja za cholere nie wiem jak – zaczął Leśniak. – Tyle dobrze, że tym razem mamy dane ofiary. Od razu możemy zlecić sprawdzenie adresu, przeszukanie mieszkania, przesłuchanie sąsiadów i współlokatorów, połączenia telefoniczne, ostatnie logowanie i wiadomości. Ale nie mam pojęcia, o co chodzi sprawcy. Jaki, do cholery, może mieć motyw czy jaką wyznaczył sobie misję, bo muszę przyznać, że teraz bez dwóch zdań mamy seryjniaka.

Zebrani spojrzeli na Carmen, jakby żądali natychmiastowej odpowiedzi.

– Posłuchajcie, to nie jest takie proste, jakby się mogło wydawać – powiedziała, trzymając w zmarzniętych dłoniach kubek parującego napoju.

– Nikt nie mówił, że jest, ale to twoja część roboty i powinnaś na tym etapie mieć jakieś przemyślenia – zaatakował ją Borys.

Z jednej strony miał rację, ale z drugiej wyczuła, że to jakieś personalne przytyki w jej kierunku. Ten człowiek zdawał się jej niezrównoważony emocjonalnie. Raz nadspodziewanie uprzejmy, zaraz potem wykazujący bierną agresję. Podejrzewała go o więcej zaburzeń psychicznych, niż diagnozowała sama u siebie.

– Miałam – powiedziała stanowczo. – Dopóki nie aresztowaliście Antoniego Pawlińskiego, wszystko do siebie pasowało. – Mężczyzna między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, biały, dosyć silny, bo musiał transportować swoje ofiary do jaskiń i robił to prawdopodobnie nosząc je na rękach, inteligentny i skłonny do samorozwoju. Moim zdaniem nienawidzący kobiet, ponieważ któraś skrzywdziła go w dzieciństwie lub we wczesnej adolescencji, kiedy traumy najbardziej odciskają piętno na psychice. Więc się mści. Albo za krzywdy, jakie doznał od matki albo jednej z pierwszych partnerek. Była też opcja druga, zakładająca, że sprawca jest impotentem. Prawdopodobnie zaszczutym, niepewnym siebie, obrażanym i wyśmiewanym. Może nawet sam sobą gardzi, ale mści się na tych, których obwinia za swój wstyd, czyli na kobietach. Bo przecież to w relacjach z kobietami cierpi najbardziej.

– Ta... Byłoby pięknie, gdyby nie dzisiejsza ofiara – wszedł jej w słowo Leśniak. – Dziękuję – zwrócił się z uśmiechem do kelnerki, podającej im posiłek. – Dlaczego mężczyzna? Bo ja nie mogę tego pojąć.

– Nie wiem. To się naprawdę rzadko zdarza wśród seryjniaków. Zazwyczaj koncentrują się na jednym typie ofiary o podobnym wyglądzie. Tutaj musi chodzić o coś jeszcze. Trzeba przeświecić życie tych ludzi. Nawet jeżeli się nie znali, muszą mieć jakieś cechy wspólne, które powodują, że ich wybiera, że właśnie na nich się mści.

– Myślisz, że coś mu zrobili? – Prokurator rozłożył na nogach serwetę, patrząc z lekkim niesmakiem na Borysa, który mlaskając, wciągnął już połowę jajecznicy. – Może znali się w młodości? Gnębili go, wyśmiewali albo zrobili jeszcze coś gorszego?

– Opcje są dwie. – Carmen dołała sobie kawę z dzbanka postawionego na stole. – Albo znali się osobiście, co zdarza się rzadziej w przypadku seryj-

nych morderców i ich ofiar, albo zabici, reprezentują jakąś grupę społeczną, której zabójca nienawidzi. Przypominają mu kogoś z jego życia. Myślę, że kluczem do rozwiązania zagadki są obrażenia ciała. Dlaczego wycina im gonady?

– Tak sobie myślę – wtrącił Leśniak, który zjadł już całą jajecznicę i przetarł twarz serwetką. – A może chodzi o zdradę? Może on karze zdrajców? Znał te osoby i wiedział, że wdawały się w romanse. To by pasowało do Anety Sasek, może kolejne ofiary prowadziły rozwiązy tryb życia.

– Zapominasz, że Anetę Sasek zabił Antoni Pawliński. Jej nie powinniśmy brać pod uwagę – wtrącił Borys.

– Niestety, chyba powinniśmy – Carmen była stanowcza. Od samego początku coś jej nie pasowało w teorii Szyka. – Nie twierdzę z całą pewnością, że Pawliński jej nie zabił, ale nie jestem też w stu procentach przekonana, że to zrobił. Myślę, że powinniśmy rozważyć dwa scenariusze – rozszerzyła wypowiedź, nie chcąc wkładać kij w mrowisko. – On jednak cały czas twierdzi, że jest niewinny.

– A który zabójca oddaje się z chęcią wymiarowi sprawiedliwości? – W głosie Borysa słychać było irytację.

– Dobra, nie ma co pierdolić. – Leśniak był zirytowany. Po głowie krążyła mu niepokojąca myśl, że być może popełnili błąd. Ale na razie nie chciał się dzielić tą myślą z innymi. W tej sprawie wszystko może okazać się prawdopodobne. – Nie ma sensu, żebyśmy tu wszyscy czekali. Zostanę ze Złotkiem, a wy idźcie przesłuchać sąsiadów i rodzinę ofiary. Pojedźcie do pracy, o ile ją miał i sprawdźcie potencjalne kochanki. Nie pojawiajcie się w firmie bez konkretów.

– To ja też będę leciał. – Prokurator wyprostował się na krześle. – Mam o dziesiątej rozprawę. Do tego czasu przygotuję wszystkie potrzebne nakazy. Musimy przeszukać jego dom, samochód i miejsce pracy, sprawdzić bilingi. Będziesz miał Boguś sporo roboty.

– I tym się właśnie zajmę dziś w biurze.

– Czyli sekcję znowu mam robić sama? – Ewelina Złotnicka zwróciła się w stronę Waldka.

– Spokojnie – powiedział. – Nie wiemy, o której nastąpił zgon. Przed upływem dwunastu godzin i tak nie możesz go kroić, nie?

– Racja. – Uspokoła się nieco.

– Dam znać, jak tylko będę wolny, obiecuję, że się zjawię.

Jelenia Góra-Sobieszów, dom Kamila Sukulskiego

Adres podał im technik, który rozpoznał ciało. Stali pod wielorodzinnym budynkiem w starej części miasta. Kamienica w kształcie sporego kwadratu, szara, bez zdobień, z odpadającym tynkiem i wychodzącymi z różnych punktów budynku czarnymi kablami energetycznymi.

– Teraz to część Jeleniej, ale jeszcze niedawno Sobieszów był samodzielnym administracyjnie tworem – powiedział Szyk, chcąc wymówić coś pozbawionego emocji i tylko to przyszło mu do głowy. Przez ostatnie dni analizował wszystko, czego dowiadywał się o Carmen i co rusz zmieniał o niej zdanie. Zastanawiał się, czy to już odpowiednia pora, by z kimś na jej temat porozmawiać. Ta kobieta kryła w sobie wiele tajemnic. Raz jej współczuł, a innym razem nie cierpiał. Ale co najważniejsze, chyba wiedział, dlaczego przyjechała do Jeleniej i zastanawiał się, czy nie powinien zaingerować. Bo ta sprawa może się dla wszystkich źle skończyć. Przycisnął guzik domofonu pierwszego z mieszkań, ale nic nie zabuczało.

– Zepsuty – stwierdził i nie próbując wcisnąć kolejnego przycisku, nacisnął na klamkę, odrapanych drzwi.

Korytarz cuchnął stęchlizną, po podłodze wały się buty mieszkańców, brudne dziecięce zabawki i jeden rozklekotany wózek niemowlęcy, pamiętający czasy przedpotopowe, używany teraz zapewne jako wózek dla lalek. Na parterze znajdowały się dwa mieszkania. Stanęli pod drzwiami pierwszego i zapukali. Odpowiedziała im głucha cisza. Podchodząc do drugiego, usłyszeli kroki dochodzące z wnętrza. Zapukali. Tym razem z mieszkania dobiegł ich donośny płacz niemowlęcia.

– Tak? – zapytała kobieta trzymająca na ramieniu około półroczne dziecko. Krzyczało tak głośno, że niemal zagłuszało ich myśli.

– Dzień dobry. Podkomisarz Borys Szyk, a to moja partnerka Carmen Rodríguez – wyciągnął odznakę w stronę kobiety, na której twarzy malowało się zmęczenie i lekki niepokój.

– Coś z Piotrkim? – zapytała pospiesznie, poklepując niemowlę ręką po pleckach.

– Nie, z Piotrkim wszystko dobrze – odparł, chociaż za cholerę nie wiedział, o kim rozmawiają. Podejrzewał, że Piotrek to jej partner i ojciec dziecka. Reakcja kobiety była zupełnie normalna. Zazwyczaj ludzie podczas przybycia policji, pytali z niepokojem o swoich bliskich. – Chcielibyśmy zadać pani parę pytań o sąsiada Kamila Sukulskiego. Możemy wejść?

– No, dobrze – otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając ich do środka.

W mieszkaniu panował bałagan, jaki cechuje domy, w których przebywają małe i nierzadko chore dzieci. Z drugiego pomieszczenia znajdującego się za kuchnią, do której ich wprowadziła, z ciekawością wystawała postać małej dziewczynki. Mogła mieć trzy lub cztery lata. Niemowlę nadal płakało i kobieta chwyciła je w ramiona, lekko je kołysząc.

– Przepraszam za bałagan, przechodzimy trudne dni ostatnio. Mały cały czas płacze z powodu kolek.

– Spokojnie – powiedziała Carmen i z szerokim uśmiechem pomachała do jasnowłosej dziewczynki, zaglądającej przez drzwi.

– Lena, idź pooglądaj bajki – matka wydała polecenie nieco gniewnym tonem. – Zaraz musimy wychodzić do przedszkola. O co chcieliście zapytać.

– Kamil Sukulski mieszka na górze, tak?

– A jakże, dokładnie nad nami – powiedziała w nerwach. – Skaranie boskie z tym człowiekiem. Za każdym razem, kiedy dzieci płaczą, wali w podłogę jakimś kijem albo puszcza głośno muzykę, żeby się odegrać za zakłócanie ciszy, jak twierdzi.

– Mieszka sam? – dopytała Rodríguez.

– Taa.. Jego żona odeszła do innego jakieś dwa lata temu, ale dajcie spokój – machnęła ręką, – do jeszcze większej patologii niż ten tutaj.

– A ten to jaki jest? – zapytał Borys, widząc z ulgą, że niemowlę w ramionach matki zaczęło się uspokajać.

– Żyje sam dla siebie, pracuje na trzy zmiany, a wieczorami pije. Nie cierpi dzieci. Zawsze straszy Lenę, jak widzi ją na podwórku, że jak będzie się za głośno bawiła, to ją do studni wrzuci albo porwie w nocy i zostawi w ciemnym lesie wilkom na pożarcie. Świr jeden – wymówiła z oburzeniem i odrazą. – Tyle razy z jego powodu policję wzywaliśmy i co? I nic! Nic mu nie zrobili. Bo przecież u siebie jest i może sobie robić i mówić, co chce. A dzieciaka trzeba pilnować ciągle, bo po tym jak raz podszedł do niej na dworze, to przez trzy kolejne tygodnie w nocy się moczyła.

– A wie pani, gdzie pracuje albo czy ma jakichś znajomych? Ktoś go odwiedza?

– Na zmiany w Drexie robi. A znajomych to nigdy nie widziałam, to specyficzny człowiek. Ludzie wolą go unikać, bo jak się do kogoś przyczepi, to nie chce odpuścić i trudno takiego potem odgonić.

– Czyli nie lubią go? – doprecyzował.

– Ano nie lubią. A jak takiego lubić, jak do każdego się dowala? Poza tym jest wredny i wszystkim robi na złość. Niby nie jest stary, a zachowuje się jakby miał demencję. Wczoraj wiedział, że dziecko usypiam ponad dwie godziny. Stasia bolał brzusek i płakał cały czas. U nas ściany są cienkie, to wszystko słyhać – wyjaśniła. – W każdym razie, kiedy w końcu udało mi się go uśpić, to ten na fula muzykę włączył i skakał po podłodze. A potem, koło dwudziestej pierwszej, kiedy już myślałam, że odpuści, to tak trzasnął drzwiami, że szyby prawie z okien wyleciały. Oczywiście Stasiak przez to spać nie mógł i znów pół nocy się darł.

– Wychodził gdzieś? – Borys lustrował kobietę, spoglądał na jej tłuste włosy, zabrudzony od wymiocin niemowlęcia ubiór i podkrążone z niewyspania oczy i w duchu pogratulował sobie, że nie ma dzieci.

– Ta, pewnie po wódkę, bo jak nie miał następnego dnia rannej zmiany, to pił.

– A pamięta pani, o której wrócił?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę. Odłożyła dziecko do łóżeczka turystycznego znajdującego się w kuchni i usiadła z wyraźną ulgą przy stole.

– W sumie to nie słyszałam. A co? Coś mu się stało? Dlaczego właściwie przyszliście? – dopiero teraz zdała sobie sprawę z niecodziennej sytuacji. Przecież tyle razy wzywała policję, ale nigdy nie poświęcali tyle uwagi na jej wypowiedź, co teraz.

– Obawiam się, że tak. Pani sąsiad został dziś rano znaleziony martwy – czekał na jej reakcję, ale ona nie nastąpiła.

Kobieta siedziała jak skamieniała, nie wiedząc jak się zachować.

– Pewnie nie wie pani, czy się cieszyć, czy go żałować – wypaliła Rodríguez, widząc zszokowaną minę Borysa. – Spokojnie, to normalna reakcja. Sukulski nie był święty – powiedziała, jakby to była oczywista oczywistość i nie obowiązywały w tym przypadku żadne konwenanse.

– No tak, ale wie pani, o zmarłym dobrze albo wcale – zaniepokoiła się kobieta.

– My wolimy szczerze – odparła Carmen. – Wie pani może, komu mogłoby zależeć na jego śmierci? Kto miał z nim najbardziej na pieńku? A może ludzie gadali coś o jakichś jego sprawkach z przeszłości, które można by teraz połączyć z tą śmiercią?

– W sensie, kto chciałby się na nim zemścić? O to wam chodzi?

– Owszem – przytaknęła Rodríguez. – Często motywem zabójstw jest pragnienie zemsty. Może wśród sąsiadów krążyły pogłoski o jego przeszłości?

– W sumie to... – Zamyśliła się chwilę. – Tak naprawdę to on był skłócony z każdym. Ja nie chcę nikogo obwiniać – powiedziała niepewnie – ale na miejscu jego żony sama bym go ukatrupiła.

– Dlaczego? Bo pił?

– Nie. – Pokiwała przecząco głową. – Nas tu jeszcze nie było, ale sąsiedzi opowiadali, że on kiedyś był bardzo przemocowy. Podobno bił i ją, i syna.

– Syna? – zainteresował się Szyk. – Ale syn już z nim nie mieszka? Wyprowadził się z matką?

– Nie. Syna zabrali do domu dziecka jakieś dziesięć lat temu. Odebrali im prawa rodzicielskie. To znaczy chyba tylko jemu, a żonie ograniczyli. Ona podobno odwiedzała małego, tylko że...

– Tylko że co?

– Ludzie mówią, że on, znaczy ten chłopiec, tyle razy po głowie dostał, że jest bez kontaktu z otoczeniem. Warzywo.

– I Sukulski nie dostał wyroku? – zbulwersował się Szyk. – Rodzicem nie chciał zostać, ale brzydził się typami podnoszącymi rękę na kobiety i dzieci.

– Dostał – przyznała. – Dwa lata siedział. Ale potem wrócił.

Tego dnia odwiedzili jeszcze dwoje pozostałych sąsiadów i wszędzie usłyszeli to samo. Pojechali też do firmy, w której pracował, jednak tam nikt nie znał Sukulskiego na tyle dobrze, by cokolwiek o nim powiedzieć. Nigdy się nie spóźniał, pracownikiem był przeciętnym, robił na odczepnego, ale robił, więc go nie zwolnili. Pracował na taśmie od trzech lat, i tyle.

– Kurwa, powiem ci, że takich skurwieli to sam bym chętnie wykastrował – stwierdził Borys z absolutną pogardą w głosie, jadąc z Carmen wypożyczoną toyotą.

– Może właśnie odkryłeś motyw, drogi kolego. – Spojrzała na niego i zobaczyła, że jest zaskoczony. – Dobra, wysiadaj – powiedziała, podwożąc go w miejsce, w którym zaparkował samochód.

– Nie było tak źle, co? – zajrzał do toyoty przez otwartą szybę, kiedy znalazł się już na zewnątrz. Sam był zaskoczony, że praca z Rodríguez ułożyła się całkiem sprawnie. I nawet nie miał czasu myśleć o jej życiowych perypetiach.

– No, nawet mnie nie wkurwiałeś – przyznała z udawaną powagą i puściła do niego oko. – A przynajmniej nie aż tak bardzo. Widzimy się jutro na spotkaniu grupy. Adiós! – rzuciła na pożegnanie i ruszyła z przytupem.

Spieszyła się, ponieważ za godzinę miała wyznaczoną sesję u doktora Rokosza. Po ostatnim spotkaniu czuła się dużo lepiej. Wiedziała, że wygadanie się osobie, którą obowiązuje tajemnica lekarska jest najlepszym, co może dla siebie zrobić. Od wczoraj czuła już lekkie napięcie i podenerwowanie. Niecierpliwie czekała na wyznaczoną wizytę. Niby nie wydarzyło się nic nowego, jednak im bliżej czwartku i godziny szesnastej, tym bardziej się niecierpliwiła. Bieganie po parku o szóstej rano jedynie to potwierdzało. Musiała się trochę spocić i zmęczyć, by rozładować emocje. Była niemal zdecydowana wyznać dziś Rokoszowi całą prawdę. Wczorajszej nocy zasnęła całkiem szybko, jednak już o czwartej nad ranem otworzyła oczy i wiedziała, że z pewnością nie zaśnie ponownie. Dobrze, że w pracy coś się działo, bo mogła chwilowo odgonić myśli od własnych spraw. Planowała jeszcze skoczyć na szybki obiad. Ale najpierw musiała zatankować. Zajeżdżała na stację benzynową i stanęła w kolejce, przed nią stały dwa auta. Zastanawiała się, z jakiej racji są takie tłumy przy dystrybutorach. Zanim przyjechała do Polski, czytała o różnych absurdach tego kraju. Z nudów zaczęła rozglądać się po parkingu i zobaczyła czerwone bmw swojej teściowej. Mimowolnie poczuła na rękach gęsią skórkę. Rozważała, czy powinna wyjść i się przywitać, ale chyba nie miała siły mierzyć się teraz z demonami. Może Teresa nie zauważy jej, wychodząc ze stacji i każda odjedzie w swoją stronę? Miała nadzieję, że właśnie tak będzie. Przerzuciła wzrok na drzwi i czekała. Wolała, żeby kobieta wsiadła w auto i odjechała, zanim ona z niego wysiadzie. I nagle jej ciało spięło się w silnym skurczu. Tego, co zobaczyła, kiedy drzwi od stacji rozsunęły się, nie sposób było przewidzieć. Teresa Sowińska wyszła ze środka w towarzystwie mężczyzny. I to nie było kogo, bo samego Marcina Rokosza. Doktora Rokosza. Tego samego, któremu Carmen się zwierzała, któremu opowiadała o swoich lękach i traumach.

– Co jest, do cholery? – rzuciła pytanie w próżnię, schyliła się nieco, chowając głowę za kierownicę i obserwowała.

Czy mogli spotkać się tam przypadkiem? Czy się znali? Czy oboje wstąpili do sklepu, by kupić płyn do chłodnicy lub inną istotną rzecz, którą

można dostać w takim miejscu i po prostu wychodzili ze sklepu przy stacji benzynowej obok siebie? Ale dlaczego rozmawiali? Obserwowała ich wnikliwie, czując obawę przed tym, że zostanie przyłapana. Tylko czego, do cholery, się bała? Przecież nie robiła nic złego. I oni chyba też nie, skoro spotkali się w miejscu publicznym. Teresa powiedziała coś, żywo przy tym gestykulując, a Rokosz zaśmiał się energicznie. Miał na głowie czapkę, a wokół szyi zawinięty szalik i Carmen uznała, że albo jest takim samym zmarzluchem jak ona, albo nie chciał być rozpoznany. Ale przecież to głupie, bo ona poznała go od razu. Po chwili oboje udali się w kierunku auta Teresy i razem odjechali. Do cholery! Czy powinna przykładać do tego jakąś wagę? Oczywiście, że tak! Przecież to chore, żeby spowiadała się ze wszystkiego lekarzowi, który świetnie zna się z jej teściową, a może nawet... Nie, nie chciała dopuszczać do siebie myśli, że razem przeciwko niej spiskują. Teresa nie była złym człowiekiem i z pewnością nie chciała zrobić jej żadnej krzywdy. „Jelenia Góra jest mała, tu wszyscy wszystkich znają”, powiedziała kiedyś, będąc w jej apartamencie. „Zobaczysz, niedługo sama się przekonasz...”. To były dokładnie jej słowa... I dziś właśnie się o tym przekonała. Ale przecież to nie musiało oznaczać niczego złego. Carmen zatankowała i pojechała pod McDrive’a. Mimo wszystko była zdenerwowana, a kiedy się denerwowała, miała ochotę na tłuste i niezdrowe jedzenie. W całym wzburzeniu i niepewności, które właśnie odczuwała, cieszyła się, że pomału zaczyna wracać do siebie. Do Carmen, jaką była kiedyś. Wcinając twistera z frytkami, uśmiechnęła się sama do siebie. Już dawno nie jadła takich świństw. Nie pamiętała nawet, jakie to jest dobre.

Jelenia Góra,

gabinet doktora Rokosza

-**C**ześć – przywitała się, wchodząc do gabinetu.

Doktor Marcin Rokosz siedział już w fotelu i pił przygotowaną mu przez recepcjonistkę herbatę.

– Oho, wygląda na to, że nieźle się przeziębilesz. – Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy nie powinien wziąć dziś wolnego. Wyglądał naprawdę źle, czego nie zauważyła, obserwując go godzinę temu na stacji. Ale wtedy dzieliła ich spora odległość.

– Tak bywa, kiedy w domu wystąpi awaria ogrzewania i całą noc człowiek marznie. Aż tak widać?

– Podkrążone oczy, zmęczona, smutna twarz, gorąca herbata trzymana łapczywie oburącz. Możliwe, że masz gorączkę – zawyrokowała. Jej obawy o spiskowanie z teściową nieco się oddaliły, kiedy miała przed sobą ten smutny, godny pożałowania widok chorego mężczyzny.

Powtórzyła sobie w myślach, żeby nie być taką podejrzliwą, przecież nie wszyscy ludzie na świecie chcą ją skrzywdzić. Powinna walczyć ze swoimi lękami, a nie je pielęgnować i sprawiać, że z każdym dniem będą większe. Zaśmiała się nawet sama do siebie, że znów próbuje sabotować swój dobrostan. Rokosz jej pomagał i nie powinna tego negować oraz wmawiać sobie, że jest inaczej.

– Przepraszam. Jeżeli boisz się, że się zarazisz, możemy przełożyć spotkanie. Nie powinienem świadomie narażać pacjentów. Ale gorączki nie mam. To jedynie chwilowa niedyspozycja.

– Nie, nie! – zaprzeczyła stanowczo. – Nic mi nie będzie. Czekałam na to spotkanie. Gdyby nie dzisiejsza akcja w pracy, to nie wiem, jakbym przetrwała – przyznała zgodnie z prawdą, zastanawiając się, czy zapytać go o Teresę. Wiedziała, że niewypowiedziane lęki potrafią przerodzić się w wielkie traumy, ale czy nie ośmieszy się, mówiąc mu o swoich podejrzeniach?

– A co się wydarzyło? – zaczął spokojnym, miarowym głosem, jak zwykle zadając otwarte pytanie.

– Kolejne zabójstwo. – Postanowiła jednak nie poruszać tematu.

– Jaskiniowiec? Czy nie mówiłaś ostatnio, że macie podejrzanego?

– Taa... – Zacisnęła zęby ze zirytowania. – Tylko że on mi w ogóle nie pasuje, wiesz? Ale moje zdanie nie jest brane pod uwagę. Polacy są bardzo dziwni, wolą iść w zaparte i coś spierdolić, niż przyznać się do błędu i rozwiązać zagadkę.

Marcin Rokosz zaśmiał się szczerze.

– Czy nie wszyscy tacy jesteśmy? My, ludzie? Czy nie wszyscy boimy się zostać pośmiewiskiem, nieudacznikiem czy głupkiem? Wybacz bezpośredniość moich słów. Mam tak, kiedy jestem przeziębiony.

Tym razem to ona się zaśmiała.

– No tak. Masz rację. Nikt nie lubi się mylić. Ja też nie. Ale ta sprawa jest albo tak bardzo skomplikowana, że nie mam pojęcia, o co chodzi, albo tak prosta, że trudno mi uwierzyć w najbardziej oczywiste rozwiązanie.

– Hmm... – Zamyślił się przez chwilę. – Mogę jakoś pomóc? Masz problem z oceną psychologiczną sprawcy?

– A wiesz, że chętnie cię o coś dopytam. – Wcześniej nie zakładała, żeby przyjść tu w sprawach zawodowych, ale przecież w Hiszpanii często konsultowała się z psychiatrami. Zwłaszcza kiedy miała podejrzenia, że przestępca może cierpieć na którąś z chorób psychicznych. – Ale rozmowa zostanie wyłącznie między nami? – upewniła się.

– Carmen. – Spojrzał na nią z wyrzutem, jakby mówił, żeby go nie obrażała.

– OK. To posłuchaj. Mamy trzy ciała. Pierwsze dwa zabite niemal tak samo, jednak innym nożem. Ofiary to kobiety, które były bite po rękach i którym wypalono znamię na pięcie, prawdopodobnie kupłę.

– Kupłę?

– Też nie wiedziałam, że to się tak nazywa. To taki symbol górnictwa.

– OK, mów dalej.

– Rozcięto im podbrzusze i usunięto macice i przydatki. Wykrwawiły się. Jak wiesz z gazet, ciała zostały ujawnione w jaskiniach.

– Sprawca zostawił jakieś ślady?

– Nie. A przynajmniej nic, po czym moglibyśmy go zidentyfikować.

– A więc jest raczej poukładany i działa metodycznie – stwierdził.

– Zapewne – przyznała mu rację. – Byłam pewna, że nienawidzi kobiet, skoro wycina im żeńskie organy.

– Słusznie – przyznał jej rację. – Albo się ich boi – podsunął pomysł. – Może odczuwać wewnętrzny strach, przed płcią przeciwną, mogą go onieśmielać, sprawiać, że przy nich wydaje mu się, że jest nic niewarty i dlatego je karze. Może miał dominującą, destrukcyjną matkę, która wiele od niego wymagała.

– Hmm... Też o tym myślałam. Ale możliwości może być wiele. Zakładam również, że albo nienawidzi kobiet i się na nich mści, bo w dzieciństwie matka go biła. Albo miał problemy jako dojrzewający człowiek ze sferą seksualną i przez to był wyśmiewany przez kobiety i pogardliwie traktowany. W każdym razie jako motyw zabójstwa przyjąłabym zemstę na płci przeciwnej, ponieważ zabójstwa są bardzo brutalne, a typ ofiary był ten sam. Przynajmniej do dzisiaj.

– Do dzisiaj?

– Tak. Dziś znaleźliśmy kolejne ciało. Ale tym razem był to mężczyzna.

– Mężczyzna... – Rokosz jedynie powtórzył za nią słowo, ale nie dodał niczego od siebie.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Przyznam szczerze, że ja nie wiedziałam, jak to ugryźć.

– Może to nie Jaskiniowiec?

– A może Jaskiniowiec chce, żebyśmy tak myśleli? Wiesz, że za drugie zabójstwo został już oskarżony ktoś inny?

– Wspominałaś, że mieliście podejrzanego, ale myślałem, że chodzi o dwie zbrodnie.

– No, właśnie nie. Moi koledzy z wydziału uważają, że druga zbrodnia była dokonana na zasadach naśladownictwa po pierwszej.

Rokosz zaśmiał się lekko.

– Przepraszam, wiem, że to nie temat na żarty, ale... – Nie dokończył.

– I jeżeli teraz uznamy, że mężczyznę też zamordował ktoś inny to, do cholery, całe śledztwo nam szlag trafi.

– Racja – przyznał. – A co wszystkie trzy ofiary mają ze sobą wspólnego?

– Znalezione je w jaskiniach, miały na pięcie wypaloną kupkę i wszyscy mieli wycięte organy płciowe. To znaczy mężczyzna tylko jądra – poprawiła się.

– Uznałbym jednak, że to ten sam zabójca. Ale zmieniam teraz moje zdanie o nim.

– To znaczy? – pochyliła się w jego stronę.

– Tu nie chodzi o nienawiść do kobiet ani o strach przed nimi.

– Właśnie wiem. Tylko o co?

– On nie chce, żeby te osoby się rozmnażały. Mówiłaś, że nie usunął członka tylko jądra, tak?

– Tak.

– Czy to samo było w przypadku kobiet? Nie usunął im pochwy, tylko macicę i przydatki?

– Dokładnie. – Była pod wrażeniem jego przenikliwości. Potrafił szybko kojarzyć fakty.

– Czyli on nie ma zaburzeń erekcji ani problemów ze sferą seksualną. On ma żal do rodziców. Uważa, że pewni ludzie nie powinni mieć dzieci.

Sprawdźcie, czy zamordowani mieli dzieci i jak je traktowali. To jest moim zdaniem klucz do rozwiązania zagadki.

– Zło zawsze powraca – powiedziała z zastanowieniem. – Masz rację, rodzice musieli się nad nim znęcać i teraz on mści się na złych rodzicach. Ale... – zastanowiła się przez chwilę – Aneta Sasek miała dziecko, które zmarło z powodu śmierci łóżeczkowej. Nie zrobiła mu krzywdy.

– No to nie wiem. – Rozłożył ręce, po czym płynnie zmienił temat. – A ty? O czym chcesz dzisiaj porozmawiać?

– Odkryłam coś i chcę ci o tym opowiedzieć – powiedziała, jednak wciąż była myślami przy Anecie Sasek. Może źle ją ocenili? Może nie wiedzieli wszystkiego? Może coś im umknęło? Teoria Rokosza miała ręce i nogi, ale gdyby była prawdziwa, znaczyłoby to, że policja źle prześwietliła życie ofiary. W sumie była skłonna bardziej uwierzyć w tę wersję niż w nietrafiony ogląd psychiatry na tę sprawę. On też uważał, że ofiary zabił jeden człowiek. Głowa zaczęła ją boleć, a obraz stawał się nieco rozmazany. „Zło zawsze powraca”, słyszała powtarzane w kółko słowa baby z lasu. „Jelenia Góra jest mała, tu wszyscy wszystkich znają”, wtórowały im słowa Teresy. „Zobaczysz, niedługo sama się przekonasz”.

– Traktuję tę wizytę bardziej jako prywatną, przyjacielską, a nie jako poradę lekarską. Czy nie masz nic przeciwko? – zdołała opanować głosy i skoncentrować się na rozmowie. Mimo wszystko czuła ból w skroniach i rytmiczne pulsowanie.

– To zależy od tego, czy twoje dolegliwości ustały i faktycznie będziemy sobie tylko plotkować? – Rokosz nie miał najmniejszych problemów z przerzuceniem się z tematu na temat.

– Powiem tak – nabrała głęboko powietrza w płuca i wypuściła je powoli – od naszej ostatniej rozmowy, nie zauważyłam u siebie niczego niepokojącego. Ale bardzo potrzebuję porozmawiać z kimś, kto jest mi przychylny i kto wie, przez co przesłam. Szczerze mówiąc, brakuje mi przyjaciół. Wyznała szczerze, nadal zmuszając się do koncentracji na własnym życiu zamiast na sprawie.

– W takim razie wizyta będzie gratis – ściszył głos, jakby mówił konspiracyjnie – inaczej musiałyby być lekarska.

– Doceniam. – Uśmiechnęła się. Wiedziała, że oboje mają wystarczająco dużo pieniędzy. Ona, by mu zapłacić, on by tych pieniędzy nie przyjął. Kto wie, może to będzie początek nowej wartościowej znajomości? – Ale najpierw potrzebuję wyjaśnić jedną kwestię. Miałam jej nie poruszać, ale skoro rozmawiamy prywatnie... – Ból głowy ustał nagle, jakby jej umysł docenił podjęcie rękawicy i wyjaśnienie tego, co ją męczyło.

– Strzelaj. – Przetarł nos chusteczką i oparł plecy o fotel.

– Widziałam cię dzisiaj na stacji – powiedziała wprost i czekała na jego reakcję. Obserwowała jego mimikę. Szukała najmniejszego choćby grymasu niepewności, przestraszenia się czy winy, ale niczego takiego nie zauważyła.

– W takim razie trzeba było zatrąbić albo krzyknąć. Zepsuło mi się auto i szukałem podwózki.

– Zepsuło ci się auto? – powtórzyła, nie zakładała takiej możliwości. Od razu zaczęła podejrzewać go o coś złego, a przecież nie wszyscy ludzie są źli, nawet jeżeli ona miała wyjątkowe szczęście, by takich spotykać.

– Ostatnia doba to po prostu jakiś koszmar – stwierdził. – Od wczoraj same awarie!

– *¡Madre mía!* Przykro mi – powiedziała, nie tracąc jednak czujności. – Znalazłeś podwózkę? – Nie wychodziła przed szereg. Nie powiedziała mu, z kim go widziała.

– Tak. Na szczęście spotkałem tam przewodniczącą Auxilium. To takie stowarzyszenie, może słyszałaś? Coś jakby fundacja. Pomagają ludziom z naszego powiatu. A ja czasem z nimi współpracuję, jeżeli chodzi o konsultacje psychiatryczne. Nie każdy ma pieniądze na prywatne wizyty i nie wszyscy mogą dojechać do gabinetu.

– Aha. – Zamyśliła się. – To miło z twojej strony.

Pomimo wyjaśnienia sprawy, wątpliwości jej nie opuszczały. Czy nadal powinna mówić mu o wszystkim ze swojego życia? Co jeżeli będzie chciała

wspomnieć o Teresie albo o tym, że to, co dotychczas opowiadała dotyczyło syna przewodniczącej Auxilium? Czy to nie będzie dla niego stanowiło problemu, jakiegoś konfliktu interesów. Nie czuła się z tym komfortowo. Może Marcin Rokosz nie był osobą, której powinna się zwierzać. Co jeśli on kłamie, przeszło jej przez myśl, a tętno nagle przyspieszyło. Oczyma wyobraźni widziała, jak po jej wyjściu Marcin Rokosz pisze wiadomość do Teresy: „Co za idiotka. Uwierzyła we wszystko, co jej powiedziałem”. Podeszła się z krzesła, czując, jak jej ciało oblewają zimne poty.

– Carmen? – Lekarz spojrział na nią zdziwiony. – Dobrze się czujesz?

– Przepraszam, ja... – Zawahała się. – Muszę już iść. Przepraszam – powiedziała i pospiesznie wyszła z gabinetu.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

— **K**urwa, chyba popełniliśmy błąd – zaklął nadkomisarz Bogusław Leśniak, siadając z Borysem przy biurku.

– No, musiał być całkiem duży, skoro mnie tu ściągnąłeś – obruszył się. Leśniak zadzwonił do Borysa, kiedy wjeżdżał już na podjazd przy swoim domu, a oczami wyobraźni widział schłodzoną wódkę czekającą na niego w lodówce. – Co znowu?

– Aresztowaliśmy nie tego człowieka – przyznał. – Moim zdaniem Pawliński nie jest zabójcą.

– Czyli bierzesz stronę Hiszpanki? – Zdenerwował się.

– Posłuchaj. – Nadkomisarz chwycił go za koszulę i przyciągnął do siebie, jednocześnie ścisząc głos. – Zadzwonił do mnie jego adwokat. – Rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy. – Wysłał mi na telefon filmik z hotelowej recepcji.

– Czekaj, czekaj. – Borys zaczął kojarzyć fakty. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że zdradzasz żonę i ten gość cię szantażuje? Żąda wypuszczenia Pawlińskiego, tak?

– Czy ty się Szyk z chujem na głowy zamieniłeś? – wypalił głośniejszym głosem, niż powinien przez co zwrócił uwagę pozostałych policjantów znajdujących się w sali.

– To co? Bo nie kumam.

– Film jest opatrzony datą i godziną, co więcej, przy hotelowej recepcji w telewizji trwa program informacyjny „Fakty24”, na tickerze w dolnej czę-

ści ekranu widoczna jest dokładna data i godzina. – Uważał, że tyle Borysowi powinno wystarczyć, by zrozumiał, o co chodzi.

– I...? – Najwyraźniej nie wystarczyło.

– I hotel znajduje się w Głogowie, a data to ósmy listopada tego roku. A teraz zgadnij, kto jest na tym filmie?

– Kurwa! – niemal wykrzyczał Szyk, uderzając ręką w blat biurka.

– Ogarnij się – Bogusław przywołał go do porządku. – Możemy to załatwić po cichu. Nie wniosą zażalenia, nie zrobią awantury. Prokurator oddali oskarżenie, Pawliński wróci do domu jeszcze dzisiaj i zajmie się swoim życiem.

– Nie chcę tego upubliczniać? – domyślił się podkomisarz. – Ja bym szedł w zaparte, żeby zrobić mu na złość. Niech ma za swoje, pieprzony zdrajca. – Przemawiała przez niego złość, którą czuł na sobie. To on źle ocenił sytuację, to on wierzył w to, że Pawliński był zabójcą Anety, ale potrzebował na kimś tę złość wyładować.

– Uspokój się i przyjrzyj uważnie kobiecie z filmu.

Borys zmrużył oczy i skoncentrował wzrok na ekranie.

– Powinienem ją znać?

Nadkomisarz kliknął coś na telefonie komórkowym i po chwili ukazał im się artykuł w „Wysokich Obcasach”.

– Bajeczne życie państwa Zborowskich. – Borys czytał dalej po cichu, bo sam tytuł niczego mu nie mówił. Od razu za to skojarzył kobietę z filmiku z żoną pana Zborowskiego, która trzymała męża pod rękę i z czułością patrzyła na dwoje urwisów biegających po łące. – Żona prezesa KGHM – wymówił w końcu.

– Facet ma tyle kasy i prawników, że nas zniszczy, jeżeli wywlecemy to na światło dzienne. A nam też nie jest potrzebna zła sława. Zjebaliśmy i tyle. Trzeba dzwonić do Warszawiaka.

– Dobra, biorę to na klatę. Musimy zaczynać od nowa – pokiwał z niesmakiem głową, w duchu przyznając, że Carmen od początku miała rację.

– Jest jeszcze coś.

- Widzę, że dziś dzień pełen wzruszeń – ironizował Szyk.
- Kiedy poszliście, a my ze Złotkiem zostaliśmy w lesie, miałem poczucie, że ktoś nas obserwuje – powiedział poważnie.
- Nie popadasz czasem w jakąś paranoję?
- Nie – powiedział dobitnie. – Może gdybyś wcześniej nieco się porozglądał, też byś go zobaczył.
- Niby kogo?
- Bartosza Saska.
- Sasek obserwował was w lesie? Tam gdzie były zwłoki tego dzisiejszego truposza? – Był w szoku. Po odnalezieniu ciała Anety, w ogóle nie brał pod uwagę opcji, że jej brat mógł mieć z tym coś wspólnego. Znał go przecież. Może nie jakoś wybitnie, ale... Cholera, czy to możliwe, że byłem aż tak ślepy?
- Na początku miałem tylko takie przeczucie, ale potem zobaczyłem, że z mgły za drzewem wyłania się jakaś postać. Pobiegłem za nim, a on zaczął uciekać. Skubaniec, szybki jest. Potknął się o konar i upadł, myślałem, że już go dorwę, tyle że i tak mi zwiął.
- Skąd wiesz, że to on? Nie znasz go przecież.
- Złotko tak powiedziała. Widziała wszystko i powiedziała, że to on przyszedł zidentyfikować ciało Anety. Ona ma pamięć do twarzy.
- Cholera. Myślisz, że mógł mieć z tym coś wspólnego?
- Nie wiem. Zaraz potem technicy powiedzieli, że skończyli i poszliśmy z Eweliną obejrzeć zwłoki. Ale wydało mi się dziwne, że ten facet był na miejscu ujawnienia ciała. Może i jest to miejsce publiczne i każdy ma prawo urządzać sobie spacer, ale ja w takie przypadki nie wierzę. Coś mi tu śmierdzi.
- Dobra, jutro pojedę go przesłuchać.
- Tylko ostrożnie – ostrzegł go. – Drugi raz nie możemy się pomylić. Pamiętaj, że w noc śmierci Anety nie było go w Jeleniej.
- Borys zaklął pod nosem, bo wiedział, że ślepo uwierzył Bartkowi w wyjazd do Wrocławia. Prawda była jednak taka, że tego nie sprawdził.

Jelenia Góra, apartament Carmen, noc

O d powrotu od lekarza czuła podenerwowanie i tępy ból z tyłu głowy. Było jej głupio, że po prostu wstała i uciekła z gabinetu, ale wątpliwości wzięły górę. Już kiedyś ślepo zaufała jednemu mężczyźnie i do dziś borykała się ze skutkami tej decyzji. Drugi raz, nie może być taka głupia. Co ona sobie w ogóle myślała? Że przyjedzie do obcego miasta, a właściwie wiochy, gdzie wszyscy się znają, i że na spokojnie będzie mogła sobie opowiadać o własnym życiu bez narażania się na komplikacje? Przecież w takich miejscach wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. „Jelenia Góra to bardzo mała miejscowość. Wkrótce sama się o tym przekonasz...”, usłyszała znów głos teściowej. Nalała sobie kieliszek wina i usiadła na kanapie. Przez jej głowę przelatywały setki niepokojących myśli. Czy kiedyś będzie czuła się wolna? Czy ten koszmar się wreszcie skończy? Marcel do tej pory nie uzyskał informacji, o które prosiła. Wiedziała, że pewne sprawy muszą potrwać, ale ile jeszcze będzie musiała czekać? Miała wrażenie, że Śruba nie jest z nią do końca szczery. Może powiedział Leśniakowi o tym, że drażny temat Alicji Topaz? Nie, wtedy nadkomisarz wezwałby ją na rozmowę, tego była pewna. Upiła łyk wina i poczuła, jak procenty rozchodzą się po organizmie. Chwilowa ulga przerodziła się w następne wątpliwości. Chwyliła za laptopa, położyła go sobie na kolanach i sprawdziła, co słychać u teściowej. Kliknęła w ikonę z napisem: „TS” i wstukała hasło, dzięki temu będzie mogła oglądać obraz z domu Teresy w czasie rzeczywistym. Na ekranie pojawiły się ujęcia z sześciu umiejscowionych w domu i ogrodzie kamer. Na jednym z nich starsza kobieta siedziała nieruchomo w fotelu przy kominku i myślała. Niby normalny widok, może nawet błogi, bo ogień

trzaskający za szybą kominka zazwyczaj relaksuje ludzi, ale ona poczuła się zaniepokojona. Kliknęła przybliżanie i przyjrzała się dokładniej twarzy teściowej. Wyraz jej oczu i mina przeraziły ją. Wyglądała zupełnie inaczej niż podczas ich spotkań. Zniknęła gdzieś spokojna, wyrozumiała i wrażliwa staruszka. Pojawił się za to ktoś, kogo się bała. Kobieta chowająca w głowie myśli, którymi nie może się z nikim podzielić, bo są zbyt straszne, by je artykułować, zacięta i zdeterminowana, by osiągnąć swój cel. A może po prostu dostrzegła w niej siebie? Wzdrygnęła się i przeskoczyła do odtwarzania całego dnia. Kamery zapisywały jedynie zdarzenia, w których fotokomórka wychwyciła jakiś ruch. Nie musiała więc przeglądać kilku godzin nagrań pustych pomieszczeń, czekając aż coś w końcu zacznie się dziać. Prześledzenie wszystkiego na przyspieszeniu pochłonęło godzinę, a Carmen wypła w tym czasie dwa kieliszki wina. Odłożyła laptopa zrezygnowana. Kolejny dzień, w którym u Teresy nie działo się kompletnie nic. Żadnych proszonych ani nieproszonych gości, żadnych niestandardowych zachowań. Zwykły dzień starszej, samotnej kobiety. W pewnym momencie nawet zaczęła współczuć Teresie. Kiedyś miała wszystko: dom, męża, syna, z którego była dumna, a teraz? Była sama jak palec. Pomyślała, że ma z teściową więcej wspólnego, niżby sobie tego życzyła. Wstała z kanapy i poszła do łazienki. Nalała wody do wanny, wrzuciła swoją ulubioną jaśminową sól do kąpieli i zdjęła ubranie. Potrzebowała odrobiny relaksu i wytchnienia po ciężkim dniu.

– Jesteś już wolna – powiedziała do swojego odbicia w lustrze. – Może czas odpuścić? – Wpatrywała się uważnie w siebie świdrującym spojrzeniem i zastanawiała się, czy ma na tyle determinacji, by ciągnąć to dalej. Sama widziała, że z każdym dniem pobytu na wolności jej lęki się wypłaszczają. Owszem, czasem coś jeszcze ją niepokoiło, czego dowodem był dzisiejszy dzień. W myślach pojawiały się różne scenariusze, które mogłyby zagrozić wolności, szczęściu czy poczuciu stabilizacji, ale zauważała też dobre strony. Naprawdę powoli wracała do siebie, do tego, kim była dawno temu i może powinna właśnie na tym się skoncentrować. Po co na ślepo gonić za demonami, po co prowadzić życie owładnięte chęcią zemsty czy żyć w przekonaniu, że wszyscy knują za jej plecami? Nie chciała tego. Tak

naprawdę pragnęła żyć normalnie, tylko czy nie odkrywając prawdy z przeszłości, będzie w stanie oddać się teraźniejszości i z nadzieją patrzeć w przyszłość? Miała wątpliwości. – Nie odpuszczaj! – powiedziała do siebie. – Dasz radę, jesteś silna.

Wzięła do ręki pilot i włączyła fioletowe, przyćmione światła. Kliknęła też na przycisk uruchamiający spokojną, hiszpańską muzykę. Tęskniła za swoim językiem. Co prawda, jako dziecko używała w domu języka polskiego, ale to hiszpański traktowała jako swój ojczysty język. To nim posługiwała się w przedszkolu i szkole, to nim władała płynnie. A kiedy myślała, to zawsze po hiszpańsku. Gorąca woda otuliła jej ciało, dając poczucie odprężenia. Przyciągnęła głowę najpierw do prawego, potem do lewego ramienia, a następnie do klatki piersiowej. Mięśnie karku do tej pory spięte, również zaznały chwilowej ulgi. Na moment zamknęła powieki. Dlaczego życie nie może być takie proste i błogie jak w tej chwili? Wczuła się w rytm melodii, która dobiegała z głośników. Początkowo ruszała rytmicznie palcami u rąk i nóg w takt muzyki. Ta chwila nie trwała długo. Zaraz potem przeniosła się w inne miejsce. Mroczne i przerażające. Kiedy otworzyła oczy, nie widziała nic z wyjątkiem kompletnej ciemności. W popłochu podniosła się z miejsca. Nie była już w swojej wannie i apartamencie, ale miejscu zatęchłym i wilgotnym, a do tego ciasnym. Tak ciasnym, że czując napierające z czterech stron ściany, zaczęła mieć problemy ze złapaniem oddechu.

– Halo! – krzyknęła i po omacku próbowała wyczuć, czy coś przed nią stoi. Bała się potknąć, przewrócić i rozciąć sobie głowę, jak zdarzało się to w celi, kiedy nagle, nie wiedząc czemu strażnicy wyłączali światło. – Halo? – Poczowała, że drżą jej ręce, oddech jest płytki i urywany, a po plecach przechodzi zimny dreszcz. – Kto tu jest? Czowała czyjaś obecność, wiedziała, że nie jest sama. Nagle z dużą siłą została popchnięta i uderzyła prosto w ścianę. Zraniła się w twarz, a w ustach wyczuła metaliczny smak krwi.

– Pozdrowienia od Alicji i Adama. – Pogardliwy kobiecy głos wybrzmiał w przestrzeni. Carmen poczuła zimne ostrze noża przeszywające jej plecy i zawyła żałośnie z bólu.

Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół z przerażeniem. Na szczęście to był tylko sen. Jeden z tych cholernych, męczących ją koszmarów, które nie odpuszczały, od kiedy wyszła z więzienia. A właściwie, które zaczęły śnić jej się już wcześniej. To, co łączyło koszmar i rzeczywistość w tej chwili, to ciemność. W łazience faktycznie panowały egipskie ciemności. Tego dnia na klatce schodowej bloku wisiało ogłoszenie o możliwych przerwach w dostawie energii elektrycznej. W związku z tym nie przejęła się panującym mrokiem. Otarła spływającą z oka łzę, która pojawiła się na wspomnienie wydarzeń z więzienia. Blizna na plecach znów ją bolała. Ciekawe, czy kiedyś jej to przejdzie. Tak bardzo chciałyby przestać wracać do tego momentu, ale było to silniejsze od niej.

– Nie możesz odpuścić – powiedziała do siebie na głos. – Nie możesz! Wyszła powoli z wanny, wytarła ciało i twarz ręcznikiem i nago poszła w kierunku sypialni. Nie stanowiło to dużego problemu, światło księżyca rozświetlało wnętrze apartamentu, poza tym miała już całkiem niezłe zmapowaną przestrzeń własnego mieszkania. Skręciła w korytarz w prawo i popchnęła uchylone drzwi do sypialni. Kiedy weszła, zamarła w bezruchu. Na ścianie naprzeciwko łóżka widoczny był wielki fluorescencyjny napis: „ZAWSZE BĘDĘ PRZY TOBIE!”.

Piechowice, dom Borysa Szyka

— **C**zy wyście wszyscy dzisiaj powariowali? – wymówił oburzoną tonem Szyk, kiedy pod jego drzwiami o północy pojawił się Marek Karłowicz.

– Myślałem, że jesteś żądny nowych informacji, ale skoro nie jesteś zainteresowany... – Podniósł do góry ręce i obrócił się na pięcie. Już niemal dochodził do swojego auta, zostawionego pod bramą, kiedy Borys zawołał go.

– Dobra, dobra, coś taki wrażliwy. Wchodź! – otworzył szerzej drzwi, w geście zaproszenia w stronę kolegi.

– A ty coś taki zmarnowany? – Karłowicz zdjął ciepłą, jesienną kurtkę i powiesił na wieszaku.

– Życia nie mam, odkąd Jaskiniowiec buszuje. Godzinę temu na chatę wszedłem.

– I jeszcze się nie najebałeś? Ciekawe, nie powiem.

– Chciałem, ale nie miałem siły. Ojciec miał atak, dopiero go położyłem. – Dawał ewidentnie do zrozumienia, że marzy już tylko o ciepłym łóżku i wizyta dziennikarza nie była mu wcale na rękę. – Po co przylazłeś? I to bez zapowiedzi.

– Dzwoniłem, ale nie odebrałeś. – Markowi zrobiło się trochę głupio. Wiedział, że Borys jest lekkoduchem, ale był dobrym synem, który się poświęcił, żeby się opiekować ojcem. Kto zgodziłby się na to, żeby zamieszkać z obłożnie chorym staruszką, w dodatku w starym domu bez żadnych udogodnień? – Słuchaj, mam rewelacje i szczerze myślę, że już czas obwie-

ścić je światu. Obiecałem, że dam ci tydzień, a ten się za chwilę kończy. Dłużej nie będę czekał.

Borys zagryzł wargi i poszedł do kuchni. Nalał wodę do czajnika. Choć miał ochotę, wiedział, że dziś nie powinien pić. Atak ojca mógł się powtórzyć.

– Siadaj. – Wskazał Markowi drewniany kompleks jadalny. – To nie jest takie proste, jak się nam wydawało na początku.

– Co ty nie powiesz? – ironizował Marek, który wiele się przez te dni dowiedział.

– Dobra, mów. – Chciał, żeby Karłowicz zdradził mu wszystkie informacje, które posiadał. Skoro przyszedł w środku nocy, musiał mieć nowe ważne fakty w sprawie.

– Posłuchaj. – Nabrał głęboko powietrza. – Jutro rano wyjdzie ten artykuł. – Podał mu złożoną kartkę papieru, którą wyciągnął z kieszeni spodni. – Chciałem cię ostrzec. Nie mogłem dłużej czekać. Szef dał mi ultimatum, że albo zabieram się do roboty albo wypad z gazety.

Szyk pospiesznie chwycił kartkę. Nie wiedział, dlaczego się denerwuje, przecież powinno mu być wszystko jedno, ba! Nawet powinien się cieszyć, że Rodríguez dostanie po uszach, bo odkąd tu przyjechała, strasznie się panoszyła. I kłamała. A jego oszukała bez zająknięcia, wymyślając bzdurną historyjkę, że do więzienia trafiła jako przykrywka. A jednak nie chciał, żeby o niej pisali. Coś w jej historii nie pasowało i miał przeczucie, że Carmen szuka sprawiedliwości. A zadośćuczynienie powinno należeć się każdemu.

– Zanim coś powiesz – zaczął dziennikarz – muszę cię poinformować, że moi znajomi w Hiszpanii dokopali się głębiej.

– Czyli? – zapytał szorstko. Był wkurzony. W jego żyłach krążyła adrenalina. I to uczucie bardzo nie było mu na rękę. Zdawał sobie sprawę, że to świadczy o jego zaangażowaniu emocjonalnym, a przecież on jej nawet nie lubił. Czasem odnosił wręcz wrażenie, że jej nie cierpi. Ale Carmen była częścią grupy. Co innego nosić w sobie pragnienie poznania prawdy na jej temat, a co innego publikować obraźliwy artykuł, którego miała zostać bohaterką.

– Tydzień przed zabójstwem – zaczął opowiadać Karłowicz – Adam Sowiński wykupił polisę na życie.

– Czyli uważasz, że miała motyw, tak? A nie przyszło ci do głowy, że ona miała kasy jak lodu?

– Nie. – Spojrzał na kolegę pewnym wzrokiem. – Pochodziła z bardzo bogatej rodziny, owszem. Ale kiedy wyszła za Sowińskiego, rodzice ją wydziedziczyli. Przepisali jej tylko kamienicę w Maladze i to jeszcze zanim wstąpiła w związek małżeński, zależało im, żeby nieruchomość nie przeszła nigdy w ręce jej męża. Podobno go nie lubili. Moi informatorzy rozmawiali z kolegami Carmen z pracy. Twierdzą, że z jej głową działo się coś bardzo złego, poza tym, była jakaś przybita, zdesperowana, a czasem wybuchowa. Podobno słyszała głosy i czuła zapachy, których nie było. Czasem czepiała się ludzi, że poprzestawiali rzeczy w jej gabinecie, podczas gdy nikt do niego nie wchodził. Nie układało im się w małżeństwie. Adam Sowiński nie był chodzącym ideałem. Nie szło mu dobrze w biznesie. Jedną firmę zamykał, by otworzyć kolejną. Mieli problemy finansowe, a ona nie przywykła do biedy. Od urodzenia niczego jej nie brakowało, zawsze żyła ponad stan, nie musząc o nic się martwić. Nagle zaczęło brakować jej pieniędzy, na horyzoncie pojawiło się widmo biedy. Myślę, że to było przyczyną jej frustracji. Obwiniała go za to, że przy nim stała się nikim.

– Przecież mieli kamienicę. Nie mogli jej wynajmować?

– Nie. Ponoć rodzice Carmen wiedzieli, że wstępuje w związek małżeński z nierobem i łowcą majątków. Dali jej, co prawda, kamienicę, ale w środku to była kompletna rudera. Carmen i Adam mieszkali w wynajętym mieszkaniu. A kamienicę mieli sobie pomału odnawiać. Kumasz? Chodziło o to, by nauczyć ich, a zwłaszcza jego, dochodzenia do własnych pieniędzy ciężką pracą. Chcieli zobaczyć, że facet jest czegoś wart. Dali mu wędkę, ale nie rybę.

– Rozumiem, że nie wyremontowali tej kamienicy.

– Nie.

– Ale mogli ją sprzedać – przyszło mu do głowy. – Taka kamienica w centrum Malagi była pewnie sporo warta.

– Rodzice Rodríguez i tu się zabezpieczyli. Kiedy podpisywali u notariusza dokumenty, zastrzegli, że kamienica nie może być sprzedana ani przepisana na nikogo przez najbliższe sześć lat – wyjaśnił.

– I?

– Co i?

– Mów, kurwa, co dalej, nie będę cię ciągnął za język.

– No i Carmen ją sprzedała, ale już będąc w więzieniu. Po zabójstwie, kiedy pozbyła się męża, ale jeszcze nie otrzymała kasy z ubezpieczenia, postanowiła sprzedać kamienicę. Myślę, że już wtedy miała ustawionego człowieka, który miał się przyznać do winy w zamian za dwieście czterdzieści tysięcy. Tyle że nie mogła podejmować takich kroków, siedząc w kicju, nie mogła szukać kupca ani jeździć na spotkania. A kasy potrzebowała. Wyplata świadczenia z polisy męża została wstrzymana z uwagi na wewnętrzne dochodzenie w firmie ubezpieczeniowej. Podobno zastanawiali się, czy umowa polisy jest w ogóle wiążąca, jeżeli to ona ją wykupiła. Okazało się, że Carmen zawarła umowę telefonicznie, podała dane swoje i męża, dokumenty zostały wysłane mailem, a opłata została dokonana z ich wspólnego konta. Ubezpieczyciel debatował, czy skoro zabiła męża, a uprzednio sama wykupiła tę polisę, to czy wypłata świadczenia jest w ogóle zgodna z prawem. Rodríguez została pozbawiona pieniędzy, by wypłacić środki facetowi, który miał pójść siedzieć za nią. Ale Carmen miała przygotowany na tę okoliczność plan B. – Podniósł do góry brwi, dając znać, że teraz będzie najciekawsza część. – Miała współnika. Kiedy minęło sześć lat od momentu przeniesienia praw własności kamienicy na Carmen, kobieta mogła ustalić zarządcę nieruchomości, który za nią podpisywał umowy sprzedaży, szukał kupców i oprowadzał po nieruchomości.

– Dobra, już wiem. – Borys postawił herbatę na ławie i usiadł na wprost Marka. – Chcesz powiedzieć, że tym zarządcą był deweloper Antonio Perez... Że sprzedał kamienicę, a za te pieniądze kupił ziemię od żony tego biedaka, co wziął na siebie jej winy, tak?

– Nie. – Marek pokręcił głową, w dłoniach trzymając kubek z gorącą herbatą. Zaczął siorbać. Skrzywił się, podmuchał napój i upił jeszcze łyk.

– To nie kumam. Z tego, co mówiłeś, wszystko, by się zgadzało. To Antonio Perez wyłożył dwieście czterdzieści tysięcy na odkupienie rudery od tego gościa, który zgłosił się jako zabójca Adama i poszedł siedzieć za Carmen.

– Ale to by było zbyt proste, nie uważasz? Ona nie jest głupia. Mam przecucie graniczące z pewnością, że to bardzo inteligentna kobieta. I doskonale wie, co robi. Podejrzewam, że Antonio Perez dostał kasę ze sprzedaży tej kamienicy, żeby mógł dalej działać.

– To kim był drugi jej współnik? – zadał pytanie i wtedy go olśniło.

– Dokładniej rzecz biorąc, to współniczka – zaczął Marek, ale Borys nie pozwolił mu skończyć.

– Alicja Topaz, prawda? To musiała być Alicja Topaz.

Karłowicz spojrzał na niego z niemałym zdziwieniem i odłożył kubek.

– No, widzę, że nie tylko ja mam nowe informacje.

– Posłuchaj. – Szyk pochylił się w jego kierunku. – Musisz się wstrzymać. Nie mogę ci teraz powiedzieć, o co chodzi, ale proszę, wstrzymaj się z tym artykułem. Prowadzę wewnętrzne śledztwo, a jak twój artykuł ujrzy światło dzienne, to niczego się więcej nie dowiem.

– Przykro mi, brachu. – Spojrzał Szykowi w oczy. – Nic nie zrobię. Wszystko poszło już do druku.

– Kurwa mać! – zaklął, uderzając pięścią w stół.

– Ale nie musisz się o nią martwić – powiedział mimochodem, widząc, że Borysowi nie chodzi jedynie o śledztwo. – Babka da sobie radę. Summa summarum dostała ten milion euro z polisy po mężu i może się wygodnie urządzić w każdym miejscu na świecie – puścił do niego oko.

Kiedy Karłowicz wyszedł, Borys miał ochotę zadzwonić do Carmen i wyjaśnić z nią to wszystko. Jeżeli Marek miał rację, a zapewne miał, Carmen nie tylko była kłamczuchą, ale i niebezpieczną przestępczynią, która znalazła się na wolności dzięki pieniądзом. Pewnie, że nie ona jedna na świecie, tylko że z innymi przestępcami jakoś nie miał okazji pracować. „Nie bądź hipokrytą”, odpowiedział mu wewnętrzny głos. „Wielu policjantów zamie-

szanych było w mniejsze lub większe przekręty”. To fakt, niejeden podczas trwania kariery Szyka poszedł siedzieć. Ale mimo to policjant wciąż miał nadzieję, że Rodríguez nie jest zła. Pracowała sumiennie, stawiała dobre hipotezy i nie wplątywała się w firmowe kłótnie. Była trochę z dala od nich, zdystansowana i pozbawiona emocji, ale czy po tym, co przeszła, powinna zachowywać się inaczej? Szczerze mówiąc, nie dziwiło go nawet to, że tu przyjechała. Skoro w takiej małej miejscinie, jaką jest Jelenia Góra, odkryto prawdę, to nie miała czego szukać w policji w Maladze i zapewne w całej Hiszpanii. Oficjalnie była niewinna, ale przecież każdy wiedział, jaka była prawda. Cały czas miał co do jej osoby mieszane uczucia. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Było już sporo po pierwszej w nocy. Czy mimo to powinien do niej zadzwonić i uprzedzić o jutrzejszym artykule? Z drugiej strony nie chciał się narażać na pomówienia, że współpracował z dziennikarzem. W komendzie i tak wszyscy mówili, że to on sprzedaje Markowi informacje. Może lepiej stać z boku i przyglądać się jej reakcji. Schował telefon do kieszeni spodni i poszedł do kuchni posprzątać kubki. Głośny sygnał połączenia przychodzącego wybił go z rozmyślań. Chwycił za telefon, był pewny, że Marek czegoś zapomniał. Ku swojemu zdumieniu na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Rodríguez.

– A ty co, masz podsłuch? – wypalił bez zastanowienia, bo niby dlaczego dzwoniła do niego w środku nocy zaraz po tym, jak skończył o niej z Markiem rozmawiać.

– Chyba mam – powiedziała zdenerwowana. W jej głosie było słychać niepokój i silne emocje. – Ktoś wchodzi do mojego domu, kiedy mnie nie ma i wypisuje na ścianach różne rzeczy. Muszę wymienić zamki, możesz mi pomóc?

– Ale, że co? – Stał jak wryty. Informacje, które wyrzucała z siebie z szybkością karabinu maszynowego dopiero do niego docierały. – Czekał, czekał. Dobrze się czujesz? – Przypomniawszy sobie, jak Marek mówił mu, że z jej głową jest coś nie tak, że słyszy i czuje rzeczy, które nie istnieją.

– Borys, kurwa! Potrzebuję pomocy. Nie mam do kogo zadzwonić. Proszę!

– Dobra, będę za dwadzieścia minut. Masz zapasowe zamki?

– Nie mam – przyznała, zdając sobie sprawę, że wymiana nie będzie przez to możliwa.

– Spoko, na pewno mam coś w garażu. Na ten moment wystarczą, a rano pojedziesz do Castoramy i kupisz nowe.

– Dziękuję.

Kiedy przyjechał, czekała na niego w drzwiach.

– Widziałam cię z okna – powiedziała, wpuszczając go do środka. – Przepraszam, że zadzwoniłam w środku nocy, ja... – Zawahała się. – Trudno jest żyć, kiedy nie można nikomu powiedzieć prawdy.

– O twoim mężu i Alicji Topaz? – wypalił i sam siebie zaskoczył tą bezpośredniością.

Pozostawała w bezruchu i przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z jednej strony nie lubiła Borysa. Był dziwny, często buntował się bez przyczyny i za nic miał kulturę osobistą, ale z drugiej to właśnie do niego pierwszego zadzwoniła. A to coś znaczyło.

– Tak – przyznała. – O moim mężu i Alicji Topaz. Widzę, że zebrałeś już wywiad.

– Ostatnim razem mnie okłamałaś, a ja bardzo tego nie lubię. Jeżeli masz zamiar dziś cokolwiek mówić, to radzę, żeby była to prawda, w przeciwnym razie nie mam zamiaru ci pomagać.

Położył na ziemi skrzynkę z narzędziami, założył ręce na klatce piersiowej i patrzył na nią w wyczekiwaniu.

– OK. Co chcesz wiedzieć? – skinęła na niego głową, by ruszył za nią. Udała się do kuchni, wyciągnęła z szafki wino i naląła po kieliszku.

– Kilka rzeczy mnie intryguje – zaczął. – Ale przede wszystkim to, czego chcesz od tej kobiety.

– Jest mi winna kasę – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Ponoć masz jej wystarczająco. Nie wierzę, że dla dwustu czterdziestu tysięcy euro jesteś w stanie ponownie trafić za kratki.

– Jest mi winna pięćset tysięcy.

– Co?

– Tyle wzięła za moją kamienicę. Problem polegał na tym, że udzieliłam jej pełnomocnictwa, ale nie zabezpieczyłam się odpowiednio, by pieniądze były wpłacane na moje konto. A skoro Alicja była pełnomocnikiem, to kupujący i notariusz nie mieli obiekcji, aby pieniądze zostały wpłacone na jej konto. Nie muszę chyba dodawać, że nigdy więcej jej nie zobaczyłam?

– Oszukała cię i okradła... – Próbował ułożyć to sobie w głowie.

– Tak, ale najgorsze było to, że planowała to od dawna.

– Od dawna?

– Słuchaj. Nie wiem, ile wiesz, ale moje małżeństwo nie było usłane różami. Mój mąż mnie niszczył psychicznie i znęcał się nade mną fizycznie. Straciłam przyjaciół, odsunęłam się od ludzi, bo nie chciałam, żeby wiedzieli, że sobie na to pozwalam. Kiedyś Adam złapał mnie mocno i wykręcił mi rękę. Wyłam z bólu, więc zawiózł mnie na izbę przyjęć i tam ją poznałam. Była pielęgniarką, zajęła się mną. Powiedziała, że nie wierzy, że potłułam rękę, upadając, że jej zdaniem był to jawny obraz przemocy domowej. Błagałam ją o dyskrecję, a ona obiecała, że nikomu nie powie. Wtedy myślałam, że mi pomaga, dziś wiem, że kryła Adama.

– Nawiązali znajomość? – zaciekawił się.

– Nie – zaprzeczyła. – Alicja spotykała się ze mną, kiedy jego nie było akurat w Maladze, albo był zajęty pracą. Zaprzyjaźniłyśmy się i ta przyjaźń trwała dwa lata. Nigdy nie podejrzewałam, że cokolwiek ich łączyło. Ona twierdziła, że wychowywała się w Warszawie i że kilka lat wcześniej przyjechała za chlebem do Hiszpanii.

– Ale wychowała się Jeleniej Górze i we Wrocławiu. Dlaczego kłamała?

– Bo już wtedy knuła za moimi plecami. Dopiero kiedy przyjechałam do Jeleniej i zleciłam Śrubie ustalenie informacji o niej, dowiedziałam się, że urodziła się w Jeleniej Górze. Ciekawe, nie?

– Zaraz, zaraz czy ty sugerujesz, że spiskowała za twoimi plecami z Adamem? Że wasza przyjaźń była częścią uknutego wcześniej planu i nie po-

znałyście się przypadkiem?

– Dokładnie to chcę powiedzieć. Jestem wręcz tego pewna. Z jakiego innego powodu miałyby kłamać o mieście pochodzenia? A na potwierdzenie tej teorii podam ci fakt, że przy ostatniej wizycie u mojej teściowej, przeglądałyśmy stare zdjęcia Adama. Wiesz, takie typu Adaś w przedszkolu, Adaś w pierwszej klasie i tym podobne. Teresa bardzo przeżywa śmierć syna i często o nim opowiada.

Borys już miał zdradzić Carmen, co ta kobieta o niej wygaduje, ale ugryzł się w język. Bądź co bądź ma prawo opłakiwać syna na swój sposób.

– I co było na tych zdjęciach, bo chyba nie Alicja i Adam na komersie?

Carmen zaśmiała się ze smutkiem.

– Masz ciekawe poczucie humoru. A co więcej, prawie trafiłeś. Nie jestem na sto procent pewna, bo ludzie zmieniają się na przestrzeni lat, zwłaszcza kiedy dorastają, ale wydaje mi się, że rozpoznałam ją na grupowym zdjęciu z pierwszej klasy. Prawdopodobnie potem przeprowadziła się z rodzicami do Wrocławia. Oni się znali, rozumiesz? A mimo to udawali, że tak nie jest.

– Carmen, nie chciałbym być brutalny, ale fakty są takie, że ona ukradła kasę, ale to ty zabiłaś. Nie chodzi mi o to, żeby ważyć winę, tylko czy nie widzisz tu znacznej dysproporcji? Nie wiem, czy na twoim miejscu podchodziłbym do sprawy w ten sposób.

– A jednak nie wiesz wszystkiego, co? – zrobiła kolejny łyk wina. Zdawała się przygnębiona, jakby ta historia ciążyła jej wiele lat i opowiadanie o niej wcale nie przynosiło ulgi.

Wkurzyła go tym zdaniem. Zaczął się zastanawiać, czy znów nie będzie go chciała okłamać. Odegnąć od siebie winę i skoncentrować się na grzechach Alicji. Przecież to chore, żeby pomagał zabójczyni odzyskać kasę. Sam nie wiedział, dlaczego tu jeszcze siedzi. Niby chciał wyjść i nie oglądać się za siebie, ale dawno nic tak bardzo go nie pochłonęło. Miał wrażenie, że faktycznie w tej sprawie mogą wyjść na jaw jeszcze inne rzeczy.

– Wiem wystarczająco – tego był pewien. – Wiem, że niewinny człowiek poszedł siedzieć za twoje winy i że wynagrodził mu to deweloper Antonio Perez.

– Jestem pod wrażeniem. Z początku miałam cię za kiepskiego glinę, a przede wszystkim takiego, który lubi olewać sprawy, ale widzę, że mocno się zaangażowałeś.

– Uważasz, że to śmieszne? Jeżeli to nieprawda, to zaprzecz. – Nie wiedział, co wołałby usłyszeć. Ale z pewnością chciał znać prawdę. Tylko czy ona mu ją przedstawi?

– Nie mam zamiaru zaprzeczać. Tak było – przyznała. – To najprawdziwsza prawda, ale uważam, że nikomu tym nie zaszkodziłam i każdy jakoś skorzystał. Nie masz pojęcia, jak to jest być w więzieniu, zwłaszcza jeżeli pracowałeś wcześniej dla policji i wierz mi, nie chcesz się nigdy dowiedzieć.

Nie mógł tego pojąć. Rozmawiała w ten sposób, jakby to, co zrobiła, można było usprawiedliwić niewygodami penitencjarnymi. Czy ona w ogóle miała sumienie?

– Do cholery, kobieto! – nie wytrzymał. – Strzeliłaś do własnego męża! A żeby było śmieszniej, teraz żyjesz w luksusach, wydając kasę, którą dostałaś z jego polisy na życie!

– Bardzo mnie ciekawi, kto jest twoim informatorem – powiedziała po cichu.

– Przekonasz się jutro, czytając regionalną gazetę – wypalił ironicznie.

– Co?

– Jajco, kurwa! – przyznajesz tak po prostu, że zabiłaś męża i przekupiłaś jakiegoś biedaka, by się przyznał do winy, a teraz prosisz mnie o wymianę zamków, bo czujesz się zagrożona. Czy ty masz po kolei w głowie? – nie wytrzymał.

– A czy twój informator nie powiedział ci, że o mało co, a by mi nie wypłacono tej kasy z polisy?

– Owszem, powiedział i co? Uważasz, że to strasznie, że musiałaś tyle czekać? – ironizował.

– A powiedział ci, z jakiego powodu tak długo czekałam?

Wiedział, że dokąś zmierza, że on nie ma o czymś pojęcia, ale przecież przyznała się do popełnienia najcięższej zbrodni, więc w co chciała jeszcze grać?

– Powiedział, że mieli wątpliwości, co do obowiązywania polisy, ponieważ sama ją zamówiłaś, a potem zastrześliłaś męża. Nie wiedzieli, czy mogą w takiej sytuacji wypłacić pieniądze.

Zaczęła się głośno śmiać, niemal krztusząc się winem popijanym z kiełiszka.

– W takim razie w twoich oczach muszę być prawdziwym potworem – powiedziała, nie przestając się chichrać.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – zganił ją, nie rozumiejąc, skąd u niej takie dziwne stany. Możliwe, że faktycznie miała coś z głową.

– Posłuchaj. To nie jest tak, jak myślisz – powiedziała i znów zaczęła się śmiać. Zachowywała się irracjonalnie, ale miała w sobie tyle sprzecznych i silnych emocji, że nie wiedziała już, co powinna w tej chwili czuć. To histeryczny śmiech rozpacz i bezsilności, spowodowany sytuacją, w której się znalazła.

– Carmen. – Borys podszedł do niej i chwycił za ramiona. Potrząsnął nią delikatnie i spojrzał w twarz. – Co się dzieje? Czego mi nie mówisz?

– Nie wypłacali środków z polisy niemal przez półtora roku. Nie dlatego, że to ja ją kupiłam. Zrobiła to Alicja Topaz, podając się za mnie. Znała wszystkie dane moje i Adama, i to ona wykupiła polisę na życie. Adam zapłacił z naszego wspólnego konta. Uknuli to razem, rozumiesz?

– To bez sensu, przecież jej nie wypłacono by żadnych środków po jego śmierci – zastanawiał się intensywnie, o co jej chodzi, ale nie znajdował racjonalnego wytłumaczenia.

– Ona udawała mnie. Chodziło o to, by stworzyć motyw, który uwiarygodni moją chęć zabicia męża. Wiadomo, że jej nic by nie wypłacili. Ale

mnie też nie chcieli. A wiesz dlaczego? Bo zastanawiali się, czy jeżeli nie znaleziono ciała, to mogą go uznać za martwego.

– Nie znaleziono ciała? – cofnął się o krok i obserwował ją. – Jak to? Przecież zostałaś skazana za zabójstwo.

– Parodia nie? Sąd uznał mnie za winną zarzucanego mi czynu, chociaż nie było ciała. A firma ubezpieczeniowa nie była pewna, czy mogą Adama uznać za martwego. Sam proces był poszlakowy – wyjaśniła. – Byliśmy na jachcie nocą, piliśmy alkohol. Nie pamiętam, co się wtedy działo. Miałam zaniki świadomości. Ocknęłam się, mając na rękach krew i trzymając w dłoni pistolet. Sędzia uznał, że ciało wpadło do morza i zapewne z powodu prądów morskich nie było szans na jego odnalezienie. Na jachcie obecny był kapitan, który zeznał, że widział mnie trzymającą pistolet, a wcześniej obudził go huk, przypominający wystrzał, dlatego poszedł sprawdzić, co się stało.

Borys usiadł na stołku barowym przy wyspie i słuchał jej z uwagą. Kiedy skończyła, on nic nie mówił. Potrzebował czasu. Marek nie wspominał o tym, że proces był poszlakowy. Ale nawet jeśli, to jakie było prawdopodobieństwo, że zabił ktoś inny? To ona trzymała w rękach pistolet, zapewne jej odciski palców znaleziono na broni i to krew Adama znajdowała się na jej ubraniu i jachcie. Wszystko wydawało się jasne.

– Może wymienię teraz te zamki? Szczerze, nie wiem, co powiedzieć. Muszę to wszystko przemyśleć.

– Dobrze, ale najpierw coś ci pokażę. Chodź – zaprowadziła go do sypialni.

Już w progu zobaczył fluorescencyjny ogromny napis: „ZAWSZE BĘDĘ PRZY TOBIE”.

– Co to, kurwa! – Wszedł do pokoju i zapalił światło, ale napis momentalnie zniknął. Zgasił je i od razu pojawił się ponownie.

– Farba fluorescencyjna. Ktoś był tutaj, kiedy wyszłam z domu. Ja wiem, że myślisz, że zwariowałam. Sama tak o sobie myślałam i to bardzo długo, wierz mi. Ale przecież ja tego nie napisałam!

– Wiesz, kto mógł to zrobić? – zapytał, podchodząc do ściany i przyglądając się jej wnikliwie.

– Nie – skłamała. Nie miała zamiaru wyjść na jeszcze większą wariatkę. – Ale tak mówił do mnie Adam zawsze, kiedy płakałam. Nawet jeżeli płakałam z jego powodu, kiedy mnie ranił. To była taka forma psychicznego znęcania się nade mną – przyznała.

– Coś jeszcze się wydarzyło, odkąd tu przyjechałaś? – zapytał właściwie pro forma, bo nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć.

– Do pracy ktoś przysłał mi kwiaty. Dokładnie takie same, jakie dostawałam od Adama i z identyczną notką na bileciku. „Dla najpiękniejszej Lilii na świecie...”. Dawał mi je zawsze na przeprosiny, po tym jak mnie uderzył.

– Cholera. – Obrócił się na chwilę i zastanawiał, czy to może być prawda. – Wiem już, dlaczego przyjechałaś do Jeleniej. Ty nie uciekasz, ty ruszyłaś w pogoń! – Poczuł, jak do jego krwi nastąpił nagły wyrzut adrenaliny.

– Tak – przyznała, patrząc mu prosto w oczy.

– Uważasz, że twój mąż żyje, a odnajdując Alicję Topaz, chcesz dotrzeć do niego.

– Pomożesz mi, Borys? – zwróciła się do niego błagalnie. Takim tonem, jakiego jeszcze u niej nie słyszał.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Bogusław Leśniak walczył z papierologią i kłął, na czym świat stoi na to, że zgodził się pełnić obowiązki komendanta. Na jego biurku piętrzyły się stosy dokumentów, zamówień, faktur i innych mniej lub bardziej zrozumiałych pism, które musiał podpisać.

– Bry, szefie – usłyszał głos Marcela, który pojawił się znikąd.

– Na Boga, człowieku – podskoczył przestraszony – uprzedzaj, że idziesz. Co jest?

– Będzie dziś Borys? Nie mogę się do niego dodzwonić.

Nadkomisarz spojrział na zegarek. Wskazówki pokazywały dziesiątą, a ani Szyka, ani Rodríguez nie widział dzisiaj w firmie, pomimo że wyraźnie zazaczył, że ma zamiar zrobić spotkanie w sprawie kolejnej ofiary. Zmierzył uważnym wzrokiem Śrubińskiego i teczkę, którą trzymał w rękach.

– Powinien być – odpowiedział po chwili namysłu. – Zostaw u mnie to, co masz dla niego, przekażę. – Uśmiechnął się sztucznie i dostrzegł na twarzy Marcela coś dziwnego, coś, co sklasyfikował jako uczucie niepewności.

– Spoko, przekażę mu, jak przyjdzie, nie będę szefa fatygował. – Obrócił się na pięcie i już miał zamiar odejść, kiedy usłyszał za sobą groźny, niski głos Leśniaka.

– Kurwa mać, Śruba! Nie słyszałeś, co do ciebie powiedziałem?! W tej chwili kładziesz mi tu na biurku tę teczkę i spierdalasz do siebie.

Śruba nie polemizował. Położył dokumenty i wrócił szybkim krokiem do swojej nory.

Nadkomisarz odsunął na bok wcześniejszą robotę i z zaciekawieniem spojrzął na beżową, tekturową teczkę. Lata obserwacji świadków i sprawców dawały mu przekonanie o tym, że Śruba nie zmieszał się bez powodu. W środku znajdowało się coś, czego być może nie powinien widzieć. Otworzył teczkę i pochylił się nad lekturą. Po kilku minutach był czerwony z wściekłości. Niech no tylko Szyk wejdzie na komendę. Już on mu pokaże, gdzie jego miejsce! Skurczybyk podrobił jego podpis i działał za jego plecami. I kim, do cholery, była Alicja Topaz? Kiedy zdołał się opanować, spojrzął jeszcze raz na dokumenty. Zawierały nie tylko dane o tej kobiecie, ale także wiele informacji o Adamie Sowińskim i Carmen Rodríguez. Podrapał się po głowie w zamyśleniu. Nazwisko Sowińskich znał całkiem nieźle. Teresa Sowińska chyba wciąż pracowała jako notariusz. Ze zdumieniem odkrył, że jej syn Adam to mąż Carmen. Tylko dlaczego, do jasnej cholery, Borys kazał ich sprawdzić? Chwycił za telefon i wybrał numer Szyka. Poczekał parę sygnałów, ale Borys nie odpowiedział. Po sekundzie odezwał się sygnał dzwonka i Bogusław zobaczył, że dzwoni Olek Pawełek, policjant postawiony na straży przy „Dziurawym Kamieniu”.

– Masz coś, Olek? – zapytał z ciekawością.

– Szefie mam tu jednego chłopaczka. Może ma z dwanaście lat. Ale jakiś cwaniak. Twierdzi, że nazywa się Zuza Zuziak i nie ma przy sobie legitymacji.

– Po cholere mi o nim mówisz? – zirytował się. Nieraz musiał w myślach przyznawać z niesmakiem, że do policji nie przyjmowali najinteligentniejszych ludzi na świecie. Ani nawet tych najbardziej zaradnych. – Co ty jesteś policja szkolna? Na wagary pewnie przyszedł. Zabójcą raczej nie jest, co?

– No, ja tam nie wiem, panie nadkomisarzu, ale spray miał i cyfrę osiem w jaskini napisał. A pan kazał złapać takiego, co przyjdzie cyfrę napisać.

– A, to zmienia postać rzeczy. Dobra robota – pochwalił go. – Trzymaj go tam. Za dwadzieścia minut będę – rzucił do słuchawki i się rozłączył. – Gdzie ten cholerny Borys? – wycedził. Nigdy go nie było, kiedy go potrzebował. Kto to widział, żeby tuż przed emeryturą musiał latać po lasach za jakimiś małolatami. Leśniak był zły, ale jeszcze bardziej zdawał się zdezo-

rientowany. Nie wiedział, co działo się na komendzie ani w samym śledztwie, a to znaczyło, że pomału wypadał z obiegu. Szyk kompletnie przestał się z nim liczyć i zaczął prowadzić jakąś swoją grę. Chwycił kluczyki od radiowozu leżące w szufladzie, założył kurtkę i wyszedł z komendy.

– To jeszcze raz. – Pochylił się do chłopaka mierzącego może z metr trzydzieści. Jak na dwanaście lat zdawał mu się całkiem niski. – Kto kazał ci napisać cyfrę osiem na ścianie jaskini?

– Nic nie powiem, znam swoje prawa – rzucił buńczucznie młody, po czym splunął na ziemię. A wy nie możecie mnie przesłuchiwać bez udziału mojego opiekuna.

– Cwaniak, co? – Leśniak puścił uwagę w kierunku aspiranta.

– Panie nadkomisarzu, ja bym na czterdzieści osiem zamknął w celi z bandziorami, to może by zaczął sypać – zażartował sobie.

W oczach chłopaka zobaczyli niepokój, jednak jego bunt trwał nadal.

– Mnie to się wydaje, że to, co zrobił podpada pod niszczenie mienia publicznego. Oj, chyba tatuś będzie musiał potrącić z kieszonkowego kilkanaście tysięcy złotych na zapłatę grzywny. – Gwizdnął przeciągle Leśniak, chcąc pokazać skalę problemu. – No chyba że odpowiesz na jedno pytanie. Wtedy będziesz naszym świadkiem koronnym i nic ci nie grozi – zaproponował.

– Świadkiem koronnym? – zaciekawiał się chłopak. Zdawał się podekscytowany. – Kurde, jeszcze nikt z moich znajomych nie był świadkiem koronnym. – Chwycił za daszek czapki, którą miał na głowie i obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni.

– No, to jak będzie? Idziesz na współpracę? – zapytał poważnie nadkomisarz. Miał podejście do dzieci, chociaż dawno z żadnym nie rozmawiał. Gdyby chodziło o normalne przesłuchanie, faktycznie musiałby zaprosić rodziców chłopaka i najlepiej gdyby wszystko odbywało się w obecności psychologa, żeby nikt mu niczego nie zarzucił, ale w tym przypadku zależało mu na odpowiedzi na jedno istotne pytanie.

– Dobra, pójde na to. – Chłopak przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i położył ręce na swoich biodrach. – Ale dorzucacie pięć dych.

Skubaniec nie był w ciemną bity, pomyślał Leśniak.

– A ile dał ci tamten, co kazał cyfrę namalować? – spojrział na niego spod byka.

– Trzydzieści – odpowiedział.

– Dobra – Bogusław spojrział do portfela i wyciągnął pieniądze. – Masz tu dwie dychy. Razem będzie pięć, więc dziś i tak sporo zarobiłeś.

– I jeszcze spray mogę zatrzymać. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Sorry, Batory. Narzędzie zbrodni rekwirujemy – zmartwił go. – Musimy je oddać do badań daktyloskopijnych.

Młody otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

– Ojejciu!

– No, to mów. Znasz tego, co zlecenie wystawił?

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Pierwszy raz typa na oczy widziałem – powiedział.

– A jak wyglądał? Duży był, mały?

– Bo ja wiem. – Wzruszył ramionami. Taki normalny wzrostem, jak pan policjant – wskazał ręką na aspiranta przysłuchującego się rozmowie. – Ale więcej mięśni miał. Cały umięśniony był.

– OK, dobrze ci idzie. Mów dalej – zachęcał go.

– Ale twarzy nie widziałem. Kominiarkę miał.

– Kominiarkę? Jak zbir? Bałeś się go?

– No, co pan? Ja się niczego nie boję. Bo to jeden w kominiarce chodzi? Zimno jest rano. Poza tym, ci, którzy graffiti robią na budynkach, też zamaskowani zawsze są, żeby ich nikt nie poznał.

– Nie ściągnął jej ani razu?

– Nie, ale jeżeli chcecie wiedzieć, jakie miał włosy, to był blondynem. Wiem, bo mu wystawały.

– A oczy? Pamiętasz może kolor?

– Niebieskie, podobne do tych, co mają husky. Taki zimny odcień.

– To dziś rano go spotkałeś? A gdzie dokładnie?

– Pod szkołą – przyznał. – Szedłem do budy, tu do piętnastki chodzę, i stał taki jeden typ ulicę dalej od szkoły i w kółko i krzyżyk grał. Na asfalcie malował sprayem, ale asfalt ciemny, a farba czarna i mało co było widać. Ale co tam, to i tak ciekawsze od lekcji. Podeszedłem i powiedziałem, że fajnie i że też chciałem zawsze coś sprayem pomalować, ale rodzice mi nie pozwalają. To mi powiedział, że on mi pozwala i nawet powie, gdzie mogę to zrobić tak, żeby nikt się nie dowiedział, i że jeżeli obiecuję dobrze wykonać zadanie, to da mi nawet trzy dychy. No i dał, bo się zgodziłem.

– Przyszedł tu z tobą?

– Nie. Mówił, że idzie do pracy i że jestem wystarczająco duży, żeby sobie poradzić.

– Słuchaj, tu jest las, jest zimno, ciemno i ponuro jak w horrorze. Chcesz mi powiedzieć, że nie bałeś się wejść do Dziurawego Kamienia?

– Co pan? Przecież ja mieszkam ulicę dalej stąd – rzucił, czym ewidentnie rozbawił obu policjantów. – Często z chłopakami bawimy się w tym lesie i łazimy po jaskini – powiedział z lekkim oburzeniem. Nie chciał, żeby policjanci brali go za tchórza. Chwycił trzymaną w rękach Leśniaka dwudziestkę i schował do kieszeni. – Mogę już iść?

– Idź. I pamiętaj, że wagary to nic dobrego.

Chłopak był zadowolony z siebie. Zrobił wszystko tak, jak polecił mężczyzna i mógł się już cieszyć widmem dwustu złotych, które zostawił mu grafficiarz. Zadanie nie było wcale trudne i nawet się nie zająknął, kiedy opowiadał bzdury na temat wyglądu faceta. Ale głupi też nie był. Nie podał mu swojego prawdziwego adresu, a jedynie adres sąsiadów, którzy mieszkali w kolejnej przecznicy i nigdy nie bywali w domu, ponieważ pracują za granicą. Podeszedł do płotu, otworzył furtkę i uśmiechnął się na widok niebieskiej koperty wsadzonej w drzwi. Otworzył ją i wyjął dwustuzłotowy banknot. Wiedział, że tego dnia zrobił dobry interes.

Szklarska Poręba,

dom Bartka Saska

— **G**dzie ty, do cholery, jesteś? – zagrzemiał w słuchawce głos nadkomisarza, kiedy Szyk przeciągnął palcem po ekranie w celu odebrania połączenia. Musiał instynktownie odsunąć od siebie telefon, bo istniało ryzyko, że krzyk nadkomisarza uszkodzi mu bębenki w uszach.

– Przecież chciałeś, żebyśmy przesłuchali Saska, to jesteśmy – tłumaczył.

– Rodríguez jest z tobą?

– No – odparł elokwentnie.

– Jak skończycie, dawajcie na komendę. Mamy opis zabójcy, przynajmniej częściowy.

– Dobra. – Rozłączył się, bo drzwi do domu właśnie się otworzyły.

Bartek Sasek tylko westchnął na ich widok i od razu przesunął się w bok, by weszli do środka.

– Chcecie kawy? – zaproponował, kiedy usiedli przy stole w kuchni. – Właśnie zaparzyłem.

– Poprosimy. – Rodríguez uśmiechnęła się, kopiąc pod stołem Borysa, który już miał odmówić. – Wyluzuj. Pięć minut cię nie zbawi.

Była spokojniejsza niż przez ostatnie dni. Wiedziała, że zawdzięcza to temu, że mogła się szczerze wygadać. Niczego już nie ukrywała. Świadomość tego faktu, była uwalniająca. Poza tym Borys obiecał pomóc jej w ustaleniu, gdzie przebywa Alicja. Zasugerował nawet zgłoszenie sprawy na prokuraturę, ale Carmen wiedziała, że kradzież w świetle prawa odbyła się legalnie i trudno będzie jej wyegzekwować zwrot pieniędzy. Zresztą wcale tego nie chciała. Pieniądzy miała pod dostatkiem. Zależało jej jedynie

na tym, by poprzez Alicję dotrzeć do Adama. To on powinien za wszystko odpowiedzieć, za każdą jej krzywdę, nie tylko tę, którą wyrządzono jej w więzieniu.

– Czyli już wiecie, że to ja byłem wczoraj na miejscu zbrodni – Bartek sam zaczął mówić, podczas wręczania im kubków z parującym napojem.

– Ano, wiemy – przytaknął Borys. – Chujowo zrobiłeś, że uciekłeś – poinformował go. – Teraz zastanawiamy się, czy to ty nie jesteś zabójcą – upił łyk kawy i zobaczył przerażenie w oczach kolegi.

– To nie ja! Jak mógłbym zabić własną siostrę?

– A wiesz, że najczęściej zabójstwa dopuszczają się osoby z najbliższego otoczenia ofiary? – powiedziała, zastanawiając się, czy czytał dzisiejszą gazetę. Borys uprzedził ją, że będzie tam niekwestionowaną gwiazdą i że w związku z tym, czeka ich długa przeprawa z Leśniakiem.

– Co tam robiłeś? – Szyk pochylił się nad mężczyzną i czekał na odpowiedź. – Tylko nie mów, że byłeś na grzybach, bo mnie szlag trafi, przysięgam!

– Musiałem coś sprawdzić. – Z jego ust wydobył się cichy, niepewny głos.

– A co konkretnie?

– Czy ten świr nie zabija osób z mojego otoczenia. Chciałem sprawdzić, kto jest kolejną ofiarą. Bałem się, że to ktoś mi bliski.

– Przyjechałeś tam bardzo wcześnie – stwierdziła Carmen łagodnym głosem. – Skąd miałeś informacje, że znaleziono zwłoki?

– Dzieciak znajomych je znalazł. Od razu zadzwonili do mnie, żebym wiedział. No i pojechałem.

– Nie rozumiem, dlaczego uważałeś, że zabijane są osoby z twojego otoczenia? Przecież tylko Aneta została zidentyfikowana. Pierwszą ofiarą była kobieta o nieznanym personaliach. Coś mi tu nie gra. – Zamyśliła się.

Bartek coś ukrywał, ale widząc jego przerażenie i to, jak się trzęsie, wiedziała, że jest z nimi szczerzy. Targały nim silne emocje, a to znaczyło, że wiedział więcej od nich.

– Ty ją znałeś, prawda? – Spojrzała na niego uważnie.

– Chyba tak, to znaczy na pewno tak, o ile ofiara jest kobietą, o której myślę.

– Dlaczego nas nie zawiadomiłeś?

– Nie opublikowaliście nigdzie jej zdjęcia – tłumaczył. – Skąd mogłem wiedzieć?

– A teraz, skąd wiesz? – szorstko burknął Borys. To fakt, że nie rozpowszechniali w mediach jej zdjęcia, ponieważ ciało znaleziono w znacznym stadium rozkładu. A szkic wykonany przez rysownika mógł być mylący.

– Ludzie zaczęli gadać, podawać jej rysopis i miejsce znalezienia ciała. I wtedy pomyślałem, że to może być ona. Miałem sporo zamieszania z pogrzebem siostry. Nie interesowałem się tym, co dzieje się w świecie. Ale w końcu informacje o kolejnej ofierze do mnie dotarły. Kiedy usłyszałem, jak wyglądała kobieta, to od razu pomyślałem, że to może być moja znajoma. Kilkakrotnie do niej dzwoniłem, ale nie odbierała. Pojechałem do niej, ale nikogo nie było.

– I nie mogłeś tego zgłosić do nas?

– Chciałem, naprawdę. Miałem to zgłosić, ale to było dopiero przedwczoraj. Wczoraj rano obudziłem się ze świadomością, żeby do ciebie zadzwonić, o ile dalej nie będzie dawała znaku życia. Dawno z nią nie gadałem, to nie była bardzo bliska mi osoba. Poza tym – zawiesił na chwilę głos. – To mąż powinien zgłosić jej zaginięcie.

– Mieliście romans? – Carmen wychwyciła to od razu.

– Tak – przytaknął. – Kilka lat temu. Naprawdę miałem zadzwonić na policję i opowiedzieć o moich podejrzeniach, ale dostałem informację o kolejnej ofierze. I po prostu musiałem sprawdzić, czy i tę osobę znam. Zrozumcie mnie, byłem przerażony. Zacząłem sobie wkręcać, że zabójca wyruszył w osobistą krucjatę, która dotyczy mnie i moich najbliższych. Kiedy zaczął mnie gonić ten policjant, spanikowałem. Nie chciałem być wzięty za mordercę i spędzić reszty życia w więzieniu. Uciekłem i myślałem, że nikt mnie nie rozpoznał.

– Znałeś Kamila Sukulskiego?

– Na szczęście nie – powiedział z wyraźną ulgą w głosie. – Za cholere nie wiem, kim był ten człowiek.

– Dobra, podaj nam dane swojej koleżanki i adres. Pojedziemy to sprawdzić.

– Monika Markowska – powiedział pospiesznie. – Adresu nie znam, jeździłem tam na pamięć, ale czekajcie, wejdę w aplikację Mapy Google i pokażę wam lokalizację.

– Czy twoja znajoma miała dziecko albo dzieci?

– Nie – zaskoczyło go to pytanie.

– Zastanów się dobrze. Może dzieci nie mieszkały z nią?

– No coś ty, chyba bym o tym wiedział? Ona nie mogła mieć dzieci. Mówiła mi, że chorowała w młodości i jest bezpłodna.

– A miała bliznę na podbrzuszu? Taką jak po cesarce? – Carmen wołała doprecyzować.

Bartek początkowo się zirytował, ale po chwili zdało się, że coś sobie przypomniał. Carmen instynktownie wskazała palcami, w którym miejscu powinna być blizna.

– Miała bliznę – powiedział w zamyśleniu. – Ale mówiła, że to po operacji. Że miała raka macicy.

– Dobra, to nam wystarczy. Weźmiemy adres i jedziemy. – Szyk wstał z krzesła i rozprostował nogi. Wszystkie mięśnie go bolały, był zmęczony z powodu braku snu.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. – Rodríguez nadal siedziała, a jej mina stała się nagle bardzo poważna. – Nie odpowiadaj od razu. Zastanów się, bo to bardzo ważne.

Bartek Sasek odłożył telefon i spojrzał na nią uważnie.

– Czy twoim zdaniem Aneta mogła zrobić krzywdę swojemu dziecku?

– Co?! – Odgłos krzesła uderzającego o podłogę, kiedy mężczyzna gwałtownie wstał, rozległ się po kuchni. – Co to w ogóle za pytanie? To była śmierć łóżeczkowa. Moja siostra bardzo to przeżywała.

– Może nie o wszystkim ci mówiła? – Rodríguez pytała spokojnym, ale zdecydowanym głosem.

– Myślę, że możecie już iść. – Bartosz Sasek poszedł do przedpokoju i otworzył im szeroko drzwi wejściowe.

– Prześlij adres w wiadomości – powiedział Borys i poklepał go po ramieniu.

Szyk wiedział, że Carmen musiała zapytać. Wczorajszej nocy długo dyskutowali o sprawie i konsultacji z doktorem Rokoszem. Coś musiało łączyć ofiary, a skoro i kobiety, i mężczyźni byli kastrowani, zabójca ewidentnie uważał, że nie powinni mieć dzieci. Nie będzie podważał tej teorii. Często bliscy ofiary nie mają pojęcia o tym, jakie mroczne sekrety skrywają ich krewni.

W drodze do miejsca zamieszkania Moniki Markowskiej, które znajdowało się nieopodal Czerwonej Jaskini w Zachełmiu, czyli miejsca znalezienia zwłok NN, byli niemal pewni, że to dobry trop. Przeciętny mężczyzna, zwłaszcza nieżonaty i bezdzietny nie jest w stanie odróżnić blizny po cesarskim cięciu od tej po operacji usunięcia macicy spowodowanej nowotworem. Markowska mogła go oszukać, bez najmniejszego problemu. Złapali wiatr w żagle i czuli, że są blisko rozwiązania zagadki.

– Słuchaj, muszę pojechać do tego szpitala psychiatrycznego w Złotoryi, w którym leczyła się Aneta. Pewnie potrzebny będzie nakaz Warszawiaka, żeby zobaczyć dokumentację medyczną. Może tam uzyskamy informacje, o których nie wiedział jej brat. Jeżeli znęcała się nad dzieckiem, tak jak Kamil Sukulski, to być może tylko terapeuci lub lekarze o tym wiedzieli.

Jechali krętymi, górskimi uliczkami, a wokół rozpościerał się potężny las. Drzewa kołysały się, poruszane przez porywy silnego wiatru.

– Nie powinno być problemu. Załatwię to z Waldkiem. – Borys stuknął nerwowo palcami prawej ręki o drzwi samochodu.

– Chyba nie boisz się ze mną jeździć? – zapytała, wskazując palcem na jego wciąż ruszającą się dłoń. Wybrali się w podróż autem z wypożyczalni, bo było wygodniejsze i szybsze. A Borys twierdził, że nie ma nic przeciwko.

– Nie o to chodzi. – Zamyślił się. Nie był pewien, czy podzielić się z nią informacją, którą otrzymał w tym momencie, czy lepiej poczekać, aż wróci na komendę.

Rodríguez zjechała nagle w prawo, na parking usytuowany przy drodze.

– Mów! – zdążyła go już poznać na tyle, żeby wiedzieć, że coś ukrywa.

– Śruba napisał wiadomość. Podobno Leśniak wie o wszystkim. Zabrał mu dokumentację i jest wkurwiony.

– OK. – Wzięła głęboki oddech i ruszyła z powrotem na trasę. – Przecież wiedziałam, że będę musiała się dzisiaj z tym zmierzyć.

Borys też odetchnął. Powiedział jej tylko część prawdy i to na razie jej wystarczyło. Wolał, żeby myślała trzeźwo i była zaangażowana w sprawę, którą teraz muszą rozwiązać. Na osobistą wendettę przyjdzie czas później.

Kiedy dotarli pod dom Moniki Markowskiej, zrobili zdjęcie i wysłali je Bartkowi, by upewnić się, że są w dobrym miejscu. Powiadomienie zwrotne przyszło momentalnie.

– To tutaj. – Borys podniósł głowę znad telefonu i przyjrzał się nieruchomości.

– Ej, ale tam ktoś jest! – Carmen podeszła do ogrodzenia i stanęła na palcach. – Halo! Dzień dobry! – krzyknęła, próbując przebić się przez huczenie silnego wiatru.

– Robi się niebezpiecznie. Strażacy będą dziś mieli dużo roboty – stwierdził Borys, ledwo słysząc jej słowa.

Ku swojemu zdziwieniu zobaczył idącą do nich męską postać.

– Słucham? – wysoki blondyn koło czterdziestki przyglądał się uważnie przybyszom.

– Policja. – Szyk wyciągnął odznakę w kierunku mężczyzny. – Podkomisarz Borys Szyk i moja partnerka Carmen Rodríguez. Pan Markowski? – Włożył odznakę do wewnętrznej kieszeni skórzanej, ocieplanej kurtki.

– Tak. Tolek Markowski. Coś się stało? – zaniepokoił się. Otworzył furtkę i wyszedł na zewnątrz.

– Chcielibyśmy porozmawiać z pana żoną. – Rodríguez obserwowała jego mimikę.

– Jest w domu, źle się czuje. – Spojrzał w kierunku okna, w którym poruszała się kobieca postać. – Wróciliśmy z urlopu godzinę temu. Żona ciągle nie może pozbyć się klątwy faraona. – Wyjaśnił. – Przykro mi, ale musimy ją zobaczyć – oznajmił Borys. – To zajmie tylko chwilę.

– No, dobrze. – Widać było, że mężczyzna nie rozumiał, co się wokół niego dzieje, ale nie chciał wchodzić w polemikę. Odgadł, że szybciej sobie pójda, jeżeli będzie współpracował.

Weszli do domu i zobaczyli stojącą w czarnym dresie kobietę. Wyglądała na bladą i osłabioną, ale zdecydowanie żywą. I faktycznie przypominała wyglądem ofiarę.

– Przepraszam, to rutynowa kontrola – skłamał Szyk. – Rozumiem, że u państwa wszystko dobrze?

– Tak, ale o co chodzi? – zaniepokoiła się. Podeszła do męża i chwyciła go pod ramię.

– Państwo byli na wakacjach, to zapewne jeszcze nie wiecie. W okolicy zamordowano kobietę. Miała około trzydziestu lat i długie ciemne włosy. Prawdopodobnie mieszkała w którejś z tutejszych wiosek, ponieważ zabójca podrzucił ciało do Czerwonej Jaskini, tu w Zachełmiu.

– I myśleliście, że to ja? – dotknęła ręką serca. – O Boże, dlaczego?

– Tak jak kolega wspomniał – powiedziała Rodríguez. – Sprawdzamy mieszkanki odpowiadające rysopisowi. – Czy znają państwo może kobietę o podobnym wyglądzie, zamieszkującą okolicę? To prawdopodobnie strońiąca od ludzi osoba, bo nikt nie zgłosił zaginięcia i, być może miała kiedyś dziecko. Coś wam to mówi?

– Nie – zdecydowanie zaprzeczył Markowski.

– A ta wiedźma z Przesieki? – Pociągnęła męża za rękę i spojrzała na niego pytająco.

– A, no tak. Jest jedna taka – przyznał. – Znajomi z Przesieki nam kiedyś opowiadali, że mieszka w ostatnim domu pod lasem kobieta. Pomyłona

strasznie. Podobno czasem można ją spotkać w ich sklepie spożywczym. Chodzi i gada do siebie. Mówi się, że słyszy rzeczy, które nie istnieją i że zachorowała, kiedy była nastolatką. Ale nie wiem, czy dziecko miała. Musielibyście ich zapytać.

– Gdzie ich znajdziemy i jak się nazywają?

– Agnieszka i Marek Masłowski. Jedyne sklepy w Podgórzynie prowadzą, znajdziecie go po lewej stronie, jak na koniec wsi dojedziecie.

– Dziękujemy – powiedziała Rodríguez i dała znać Borysowi, żeby już wyszli.

– Chyba nie będziemy teraz jeździli po wszystkich wiochach w okolicy, sprawdzając doniesienia o pomyłonych, samotnych kobietach?

– Nie wiem. To ty jesteś policjantem. – Westchnęła ciężko, dając znać, że naprawdę liczyła na rozwiązanie tej sprawy.

– Myślę, że zlecę to chłopakom z Karpacza. Po odkryciu zwłok to oni przeszukiwali mieszkańców Zachełmia. Niech sprawdzą okoliczne wioski.

Carmen skrzywiła się, bo telefon uwierał ją w kieszeni spodni, a do tego zaczął wibrować. Wyciągnęła smartfon i zobaczyła na wyświetlaczu połączenie przychodzące od Teresy.

– Moja teściowa – powiedziała, dając znać Borysowi, żeby był cicho. – Cześć mam, co słychać? – starała się mówić miłym, naturalnym tonem, ale kątem oka zauważyła, zdziwioną minę Szyka. Wyglądało na to, że był zaskoczony jej zachowaniem.

– Carmen! – W aucie wybrzmiał przerażony głos Teresy Sowińskiej. – Carmen, przyjedź do mnie, proszę. – Słychać było, że kobieta cała drży i jest roztrzęsiona.

– Mamo, spokojnie, już jadę. Będę u ciebie za dziesięć minut, ale powiedz, co się stało? Ktoś ci zrobił krzywdę? – Przypomniała sobie, jak wczoraj wieczorem podglądała ją na kamerce. Nic nie zwiastowało takich emocji.

– Ja chyba zwariowałam, ja chyba zwariowałam – powtarzała w kółko.

– Teresa! – Carmen krzyknęła, żeby jej przerwać i usłyszała, jak starsza kobieta zaczyna płakać do telefonu. – Mamo, nie rozłączaj się. Bądź cały czas na linii. Jestem w aucie i niedługo do ciebie przyjadę. – Spojrzała na Borysa porozumiewawczo, a on jedynie przytaknął.

– Carmen, on tu był. Jestem tego pewna. Adam był dziś w domu...

Usłyszeli trzask i połączenie zostało przerwane. Carmen przycisnęła pedał gazu w taki sposób, że Borys automatycznie złapał się uchwytu na suficie.

– Słuchaj, lepiej, żebyśmy nie wypadli z zakrętu, jeżeli masz zamiar dalej zajmować się tą sprawą – oznajmił nonszalancko, ale wewnątrz siebie czuł strach. Chyba następnym razem nie zgodzi się, żeby to ona prowadziła.

Dojechali do posiadłości teściowej i z impetem wjechali na posesję. Brama była otwarta, drzwi również i Carmen mocno się przeraziła. Poczowała, że drżą jej ręce, a wysiadając z auta, miała wrażenie, że nogi ma z galarety.

– Mamo! – krzyknęła, wchodząc do obszernego przedpokoju i pobiegła prosto do kuchni. Borys był tuż za nią.

Zobaczyli Teresę stojącą nad stołem, z potarganymi włosami i przerażoną miną.

– Dziś w nocy – powiedziała, patrząc na nich z przerażeniem, ale nie ruszając się ani na centymetr – wydawało mi się, że słyszę kroki. Myślałam, że to mi się tylko śni. Często tak miałam, że wydawało mi się, że odwiedza mnie Adam, że przychodzi do mnie w nocy, kiedy śpię, siada na skraju łóżka, całuje w czoło i mówi: „Nie martw się, mam, ja żyję i wszystko będzie dobrze” – uрониła drobną łzę. – Ale potem budziłam się rano i wiedziałam, że to był tylko sen. Dzisiaj było inaczej – powiedziała głośnie, spoglądając to na Carmen to na mężczyznę, z którym przyjechała. Nie spodziewała się, że Carmen będzie ktoś towarzyszył. Nie chciała, aby ktoś obcy był świadkiem jej wyznania. Nie chciała uchodzić na mieście za wariatkę, która postradała zmysły po śmierci syna.

– Co było inaczej, mam? Opowiedz nam – poprosiła Rodríguez. Trzymała bezpieczny dystans od kuchennej wyspy, przy której stała teściowa.

Starła się nie ruszać, aby nie zatrzeć potencjalnych śladów pozostawionych przez Adama.

– Dziś zasnęłam. Budzik mi nie zadzwonił i kiedy otworzyłam oczy, musiałam szybko ubrać się, umyć zęby i pędzić na spotkanie na dziesiątą. Ale przez cały ranek czułam unoszący się zapach wody kolońskiej w domu. To było zarazem przerażające, jak i bardzo miłe. Dopiero kiedy wróciłam, czyli po dwunastej, u wejścia do domu powitał mnie krzyk pani Zofii.

– Zofia to pomoc domowa – Carmen wyjaśniła Borysowi, a on skinął głową.

– Ona dopiero zaczynała pracę i kiedy weszła do kuchni, żeby zrobić obiad, zobaczyła to. – Teresa wskazała na kartkę papieru napisaną odręcznie.

– Proszę tego nie ruszać – polecił Borys, widząc, że kobieta chce wziąć kartkę w ręce i podać synowej. – Błatu też już pani nie dotyka. Generalnie niczego. Za chwilę ściągnę tu techników, którzy zbiorą odciski palców i inne potencjalne ślady.

Carmen podeszła ostrożnie do świstka papieru. Jej twarz z każdym czytaniem słowem wyrażała więcej niż tysiąc słów.

– Powróciłem, żeby się zemścić – wymówiła na głos. – To jego pismo. Ale dlaczego chce się zemścić na tobie? – nie rozumiała.

– Gdyby chciał na mnie, to miałby ku temu wiele okazji – powiedziała spokojnie Teresa. – On chce dorwać ciebie, Carmen, za to, co mu zrobiłaś.

– Czy coś jest przestawione, coś położone w inny sposób, niż było wcześniej? – Borys zadał logiczne pytanie. Musiał wiedzieć, co powinni jeszcze zabezpieczyć.

– Nie – Teresa pokręciła głową – ale wczorajsze ciasto z piekarnika zniknęło. Zostały tylko rodzyнки.

– Adam nie lubił rodzynek – powiedziała do siebie Rodríguez. – Zawsze je zostawiał.

– Dobrze – głośno myślał Szyk. – A więc wyszedł z ukrycia. Przecież i tak wiedzieliśmy, że on żyje, pytanie brzmi, po co sam siebie zdemaskował?

Dlaczego odkrył karty i postanowił się ujawnić?

Teresa Sowińska przysłuchiwała się tej rozmowie w zdumieniu. Poczula, że kręci jej się w głowie, a bluzka zapięta pod samą szyję zaczyna ją uwierać. Z trudem łapała powietrze i kiedy poczuła, że zaczyna mdleć, instynktownie chciała się czegoś chwycić.

– Nie! Niech pani nie dotyka blatu. – Usłyszała głos policjanta i runęła na ziemię.

Kiedy karetka zabrała kobietę do szpitala na obserwację, a technicy zaczęli kręcić się po domu, Carmen podeszła do Borysa.

– Słuchaj, muszę ci coś pokazać, ale obiecaj, że przyjmiesz to bez emocji.

– No, po takim wstępie to możesz zapomnieć – odburknął.

– Dobra, nie to nie. – Obróciła się. – Jedziemy na komendę?

– Dobra, gadaj! – rzucił wkurzony, że go podeszła. Doskonale wiedziała, jak wzbudzić w nim ciekawość.

Wyciągnęła telefon i na ekranie kliknęła aplikację TS. Oczom Borysa ukazał się zrzut obrazu z kamery umieszczonej w kuchni w kratce wentylacyjnej, na którym on i Carmen oglądali coś na telefonie.

– Ja pierdolę... – był w szoku. – Umieściłaś w jej domu kamerę? – Nie wiedział, jak zareagować. Ta kobieta potrafiła działać sama i nie oglądała się na nikogo.

– Nie – zaprzeczyła z miną niewiniątka. – Umieściłam sześć kamer. – Uśmiechnęła się. – Nie mogłam tego pokazać przy Teresie, ale zaraz zobaczymy, kto chodził po domu.

Przez chwilę szukała nagrań z nocy i faktycznie je znalazła. Śledzili w skupieniu, jak ubrany na czarno postawny mężczyzna w ciemnym dresie i czapce z daszkiem wchodzi do domu około trzeciej w nocy. Jak przechadza się po pomieszczeniach na parterze, jak wchodzi na górę. Niestety, na piętrze nie umieściła kamer. Ostatnie ujęcie było z kuchni. Mężczyzna wyciągnął kartkę papieru trzymaną w kieszeni spodni, rozłożył ją i położył na stole, a potem podszedł do piekarnika i zjadł ciasto, zostawiając rodzyнки.

– To on? – Borys był żądny odpowiedzi.

Ale Carmen nie była pewna.

– Nic tutaj nie widzę. Ma czapkę z daszkiem, twarz jest cały czas zasłonięta, jakby wiedział, że nie może podnosić głowy. Ale postura, układ ramion i nawet linia zuchwy, którą można dostrzec jest identyczna.

Zobaczył, jak drżą jej ręce, a ciało mimowolnie się wzdryga.

– Tak, myślę, że to on. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Niby wiedziałam, że żyje, ale nie jest mi łatwo oglądać go w domu Teresy. Borys, on żyje. On naprawdę żyje. A ja spędziłam dwa lata w więzieniu, skazana za jego zabójstwo.

– Mam nadzieję, że będziemy to mogli udowodnić. I że człowiek, którego zatrudniłaś, by siedział za ciebie, też został uniewinniony. – Rozumiał, że zrobiła to, by udowodnić, że zabójstwa nie było, ale i tak mu to nie odpowiadało. W więzieniach powinni siedzieć winni, a nie niewinni ludzie. – Przekażemy nagrania technikom i powiemy, żeby nie ruszali kamer. Może jeszcze się nam przydadzą.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

Z Bogusławem spotkali się w sali konferencyjnej, aby na spokojnie i bez świadków przedyskutować wszystko, co się wydarzyło. Po pierwszych zjebach, jakie dostali oboje i kilkunastu przekleństwach przeplatanych ze złorzeczeniem, wiedzieli, że Leśniak spuścił trochę pary. Wyładował emocje i był gotów ich wysłuchać. Najpierw chciał wiedzieć, co się wydarzyło w sprawie Jaskiniowca, bo jak twierdził, to jest ich praca i na tym powinni się skupić. Potem przez godzinę słuchał historii Carmen oraz o tym, co działo się, odkąd przeprowadziła się do Jeleniej Góry. Na koniec, żeby dać sobie czas na przeanalizowanie uzyskanych informacji, przekazał im, co udało mu się ustalić podczas pobytu w lesie i przesłuchania chłopaka.

– A więc mamy trzy cyfry. – Carmen również wolała skoncentrować się na sprawie Jaskiniowca. W domu jej teściowej i u niej w mieszkaniu pracowali technicy i z pewnością do następnego dnia nie będą znali konkretnych wyników analiz. Teresa nie chciała zostać w szpitalu ani nawet w mieście. Stwierdziła, że woli wyjechać do kuzynki do Wrocławia i trochę odpocząć, bo to dla niej za dużo. Carmen miała wrażenie, że nie była szczerą. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale czuła, że teściowa ją okłamała, że coś przed nią ukryła. – Trzy cyfry, jeden, dziewięć i osiem – powtórzyła. – Wiemy już, że z pewnością nie są to numery ofiar.

– W takim razie co? – zapytał nadal zirytowany Leśniak. On też wolał skoncentrować się na sprawie, chociaż śledztwo nie szło im dobrze. W duchu modlił się, żeby koledzy z komisariatu w Karpaczu ustalili dane ofiary.

Miał nadzieję, że wysłanie ich do pobliskich miejscowości coś da. Przecież ta kobieta nie mogła wziąć się znikąd!

– Może sto dziewięćdziesiąt osiem to cyfra, która coś dla niego znaczy? – podzielił się swoim pomysłem Leśniak.

– Albo to nie jest pełna liczba – rzuciła pomysł Rodríguez.

– Co masz na myśli? – Nadkomisarz nie zrozumiał.

– Może to ma być data, na przykład rok, który jest dla niego ważny – tłumaczyła. – Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty któryś. Nie wiemy jeszcze który, bo czeka z ujawnieniem kolejnej cyfry na następną ofiarę.

– A może po prostu wodzi nas za nos i się z nas śmieje – zirytował się Szyk.

– Tylko po co? – Carmen stała twardo przy swoim. – Seryjni mordercy lubią symbole. Chcą pokazywać policji i światu, dlaczego zabijają. Może to źle brzmi, ale często mają misję, którą uważają za słuszną. A przekazanie tej wiadomości organom ścigania traktują jako coś niezwykle istotnego.

– To powiedz mi, dlaczego nie wypisywał tych cyfr sam, od razu po zabójstwie, co? Dlaczego czekał do następnego dnia po znalezieniu zwłok i dopiero wtedy wkraczał. I to nie sam, ale za pośrednictwem dzieciaków? Mnie się wydaje, że on z nami pogrywa. Jedzie po bandzie, i tyle. My się tu głowimy, a to po prostu fałszywy trop, i tyle.

– Dobre pytanie – przyznała. – Nie mam pojęcia, dlaczego nie pisał ich od razu. – Zamyśliła się.

– Zleciłem Olkowi Pawełkowi sprawdzenie monitoringu z Sobieszowa. Ma poszukać gościa w kominiarce albo takiego z długimi blond włosami i niebieskimi oczami. – Bogusław Leśniak poprawił się na fotelu, który zaskrzypiał głośno. Było mu cholernie niewygodnie, chociaż ból pleców po mału ustawał za sprawą magicznych ziółek od żony.

Carmen rozboleła głowa. Wydarzenia z dzisiejszego dnia odcisnęły na niej swoje piętno i ewidentnie potrzebowała przerwy. Zdała sobie sprawę, że tego dnia nic jeszcze nie jadła, a piła też niewiele.

– Słuchajcie, czy możemy zamówić obiad? – zapytała, nie chcąc proponować przerwy w spotkaniu.

– Boguś? – Borys spojrział na Leśniaka. – Szczerze mówiąc, też jestem głodny jak wilk.

Leśniak zgodził się i po zebraniu zamówień wykręcił numer pobliskiej, zaprzyjaźnionej restauracji. Carmen podparła głowę, kładąc łokcie na stole i zamknęła oczy. Ból był coraz silniejszy i miała wrażenie, że znów zaczyna kręcić jej się w głowie. „Zło zawsze powraca...” Usłyszała głos starej kobiety z jaskini. Zacisnęła mocno powieki, starając się odgonić te głosy. „Zło zawsze powraca”, zdanie rozległo się po raz kolejny. I wtedy ją olśniło.

– Wiem! – krzyknęła i poderwała się z miejsca.

Leśniakowi aż wypadł z ręki telefon. Spojrział na nią przerażony, a już po chwili jego przerażenie zamieniło się w cholerną złość!

– Poczekaj, zanim na mnie nawrzeszczysz. – Zatrzymała go w pół słowa, bo kiedy podniósł telefon, popatrzył na nią, jakby miał wiele do powiedzenia. – Wiem, co trzeba sprawdzić. „Zło zawsze powraca”, przecież to oczywiste. Zabójca kastruje ludzi, bo uważa, że nie powinni być rodzicami. Ma do nich emocjonalny stosunek, ponieważ sam był źle traktowany w dzieciństwie. Być może bity, katowany, a może znał jakieś dziecko, kolegę, kuzyna czy kogokolwiek skatowanego przez rodziców – mówiła szybko, czuła, że jest podekscytowana jak nigdy. – Musimy sprawdzić takie przypadki w latach tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt do osiemdziesiąt dziewięć, i zacznijmy od powiatu jeleniogórskiego.

– Niegłupie – przyznał Borys.

– To dziesięć lat – stwierdził Leśniak, który na samą myśl o przeglądaniu archiwalnych akt wydawał się zmęczony. – Nie można tego jakoś zawęzić?

– Można – powiedziała Rodríguez. – Szukajcie danych dzieci, które zostały znalezione w jaskiniach lub lasach. On nie zostawia tam ofiar bez powodów. Można też sprawdzić, czy w tamtym okresie miały miejsce zabójstwa osób dorosłych dokonane w podobny sposób. Najlepiej gdybyśmy znaleźli informacje na temat zabójstw dokonanych w jaskiniach w tych konkretnych latach.

– I kopalniach – powiedział stanowczo Borys.

– Kopalniach? – Leśniak zwrócił się do niego.

– Tak. Borys ma rację – przyznała Carmen. – Skoro wszystko jest symbolem, to kupła też nie jest przypadkowa. Czemu nie wpadłam na to wcześniej! – Zakryła oczy ze wstydu. – Może chodzić o zabójstwa w kopalniach. Zaczniście od tego – zaordynowała – a ja połączę się z ordynatorem Oddziału Psychiatrycznego szpitala w Złotoryi. Warszawiak przesłał nakaz i facet zgodził się na spotkanie online na Teamsie.

Po sali rozszedł się dźwięk przychodzącej wiadomości i Borys spojrział na telefon.

– Co jest? – spytała Rodríguez, widząc jego zaskoczoną minę.

– Na pierwsze wyniki analizy śladów zebranych w domu twojej teściowej będziemy musieli poczekać do jutra, ale przyszły już częściowe dane z twojego domu. Kazałem wykluczyć linie papilarne pochodzące od ciebie i Teresy, bo mówiłaś, że odwiedzała cię w mieszkaniu. Dlatego kiedy pobraliśmy jej dzisiaj odciski palców, od razu przesłałem informację do kolegów zajmujących się rano twoim mieszkaniem.

– No, kumam, no i co?

– Jest kilka niezidentyfikowanych odcisków na meblach w przedpokoju i na drzwiach.

– To mogą być ślady budowlańców albo dostawcy jedzenia – wysnuła przypuszczenie. – Ale mieli się skoncentrować na ścianie w mojej sypialni i sprzęcie elektronicznym.

– No i tak zrobili.

– I?

– I nie znaleźli żadnych innych.

– Czyli to był ktoś w rękawiczkach – stwierdziła. – Można się było tego spodziewać.

– Nie zrozumiałaś mnie. – Pokręcił przecząco głową. – Nie znaleziono żadnych innych, ale wasze owszem.

– Nasze? Znaczy moje i Teresy na sprzęcie i na ścianie w sypialni?

– Tak – potwierdził. – Ale nie tylko tam. Może to nic takiego, jednak poleciłem sprawdzenie kilku produktów spożywczych.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że profilaktycznie. Na butelkach z winem, opakowaniach herbaty i kawy też znajdowały się jej odciski palców – oznajmił.

Carmen próbowała przypomnieć sobie, czy Teresa dotykała czegoś w kuchni.

– Czekaj, ona robiła mi kiedyś obiad. Może przeglądała wina i produkty, jakie mam w szafkach.

– Co nie zmienia faktu, że to ona jest autorką napisu na ścianie, a nie Adam – podkreślił. Jego odcisków nie znaleziono nigdzie. – Co więcej, kiedy oglądałem filmik z twoich kamer, coś mi nie pasowało. Nie do końca wiedziałem co, ale teraz już wiem.

Carmen usiadła na krześle. Miała wrażenie, że z twarzy odpływa jej cała krew, a po rękach poruszają się miliony mrówek. Potrzebowała chwili, by to przetrawić, bo każde wypowiedane przez Borysa słowo docierało do niej jakby z głębi oceanu.

– Carmen, dobrze się czujesz? – Leśniak, który do tej pory tylko się przysłuchiwał, podszedł do profilerki i przykucnął. – Chcesz wody?

– Poproszę – ledwo wymówiła. – Co ci nie pasowało? Muszę wiedzieć.

– Dlaczego Adam, kiedy był w domu swojej matki, nie napisał listu odręcznie? Dlaczego wyciągnął wcześniej przygotowaną kartkę i po prostu zostawił ją na stole?

– Nie wiem, może nie miał czasu? – rzuciła pomysł. Czowała, że jest coraz słabsza.

– A miał czas paradować po całym domu i spokojnie jakby nigdy nic jeść sobie ciasto?

– Borys, co ty chcesz mi powiedzieć? – zapytała ostatkiem sił.

– Myślę, że to nie był Adam. Ani u ciebie, ani u Teresy. Ta kobieta wszystko uknuła. To ona napisała tę kartkę, wiedziała, jaki charakter pisma miał jej syn, potrafiła go podrobić tak, żebyś się nie zorientowała.

– Po co, nie rozumiem? Nie, to nie ma sensu...

– Nie mówiłem ci, ale ona cię nienawidzi za to, że zabiłaś jej syna.

– Nie, ona nie wierzy w to, że to ja. Wie, że zostałam wrobiona, mówiła mi – próbowała bronić ostatniej rzeczy, której w tej historii była pewna.

– Nie, Carmen. – Jego słowa zabrzmiały brutalnie, ale musiał przedstawić jej prawdę. – To ona udzieliła wywiadu do gazety, a w rozmowie z dziennikarzem twierdziła, że jesteś okrutną morderczynią. Teresa udawała miłą, żeby odkryć, w jakim celu się tu wprowadziłaś. To wszystko to tylko cyrk, który zafundowała ci z chęci zemsty.

Carmen nie usłyszała już ostatnich słów. W głowie zaczęło jej szumieć, pokój zawirował, przed oczami zrobiło jej się ciemno i runęła na podłogę.

Droga do Wrocławia

Teresa Sowińska wcisnęła mocniej pedał gazu i poczuła, jak drżą jej mięśnie nóg. Właściwie to drżało jej całe ciało, bo nie dość, że jej misternie uknuty plan nie wyszedł, tak jak to zaplanowała, to jeszcze słowa, które padły z ust tego policjanta sprawiły, że serce zatrzepotało jej w piersi i nic więcej nie było już w życiu istotne. Wiedzieliśmy, że on żyje, powiedział. Czy to mogła być prawda? Jej plan zemstczenia się na Carmen był prosty. Z początku opowiadała jej głodne historyjki, że czasem widuje Adama, gdzieś w tłumie, że czuje jego zapach, że czasem słyszy jego głos w nocy. Chciała zbudować napięcie, sprawić, że Carmen zacznie o nim myśleć, że będzie się zastanawiać, czy to tylko wyobraźnia cierpiącej matki, czy rzeczywiście Teresa także odczuwa jego obecność? Grunt pod dalsze działania przygotowała sobie już wcześniej. Była znaną notariuszką i miała szerokie kontakty wśród deweloperów. Nikt nie podejrzewałby jej o jakiegokolwiek złe zamiary co do synowej, zwłaszcza że oficjalna wersja wydarzeń była taka, że to nie Carmen zabiła Adama. Prawdziwy morderca został w końcu schwytany i osadzony w więzieniu. Poprosiła więc Tomasza Kręcioła, dewelopera, który był inwestorem budynku, by udostępnił jej klucze do apartamentu Carmen, w celu przygotowania dla kochanej synowej powitalnej niespodzianki. Nawet się nie zawahał. Wszystko szło według planu. Dorobiła klucze i kiedy Carmen wprowadziła się już do mieszkania, zapłaciła najlepszemu informatykowi we Wrocławiu, żeby przyjechał i tak przeprogramował systemy zabezpieczeń domu, żeby mogła nimi sterować u siebie. To ona wysłała jej do pracy kwiaty. Syn wiele razy opowiadał, jakie bukiety wręcza swojej żonie i co zawsze umieszcza na liściku. To ona napisała na ścianie jej sypialni wiadomość od Adama i to ona zatrudniła Tomasa, swojego ogrodnika, łudząco podobnego do jej własnego dziecka, by za

konkretne pieniądze odegrał teatrzyk w jej domu. Początkowo nie wiedział, o co chodzi i nie chciał się zgodzić, ale kiedy rzuciła kwotę, otworzył szeroko oczy i wiedziała, że go kupiła. Nie zadawał więcej pytań. Nie była głupia i wiedziała, że Carmen ją obserwuje. Nie ufała jej ani trochę i po jej odwiedzinach od razu zadzwoniła po znanego samorządowca, który był również detektywem, by sprawdził w jej domu, czy nie ma zainstalowanego podsłuchu. Wystarczyło wyłączyć prąd, by router przestał działać i nie przekazywał obrazu. To samo robiła, kiedy musiała pojawić się w jej mieszkaniu. Schodziła do podziemia, gdzie znajdowała się rozdzielnia i wyłączała główny bezpiecznik. Okazało się, że w jej domu podsłuchów nie ma, ale kamery są i to aż sześć. To wtedy wymyśliła, żeby zmartwychwstały Adam przeszedł się po domu. Wiedziała, że Carmen będzie przerażona. Skoro nigdy nie znaleziono ciała, wszystko było możliwe. Chciała pomieścić jej w głowie, sprawić, że Rodríguez będzie żyła w strachu i nie będzie mogła zaufać swoim zmysłom. To było najłatwiejsze do zrobienia. Już jakiś czas temu rozpoczęła współpracę z Marcinem Rokoszem, uznanym psychiatrą z Jeleniej Góry. Zlecała mu wizyty u podopiecznych Fundacji Auxilium, cierpiącym na choroby psychiczne. Lekarz przepisywał im silne leki, głównie benzodiazepiny, Teresa podkradała leki i umieszczała je za pomocą strzykawki w winach, tak bardzo cenionych przez Carmen oraz w postaci sproszkowanej w kawie i torebkach z herbatą. Korek w butelkach zostawał niemal nienaruszony, a tej drobnej dziurki nikt, kto nie wiedział czego szukać, nie mógł zauważyć. Miała przeświadczenie, że to powinno wystarczyć, by Rodríguez postradała zmysły, a przynajmniej myślała, że tak jest. Nie wzięła tylko pod uwagę jednego znaczącego szczegółu. A mianowicie ingerencji policjantów. Nie sądziła, że kobieta, która zabiła jej syna, będzie komukolwiek opowiadała o tej historii. Była wręcz przekonana, że kiedy artykuł w końcu się ukáže, wszyscy się od Carmen odwrócą. Tymczasem nie dość, że synowa zdążyła nakarmić jakąś głodną historyjką tego głupiego policjanta, to jeszcze oboje twierdzili, że jej syn naprawdę żyje. Nie mieściło jej się to w głowie. Ale była tylko matką, która straciła dziecko, a ciała nigdy nie odnaleziono. Sama bardzo długo czekała, aż Adam stanie w progu jej domu i powie: „Mamo, ja żyję, to wszystko to tylko

zły żart”. Jednak minęły ponad dwa lata i tak się nie stało. Mimo wszystko teraz musiała podzielić się swoimi obawami z jedyną osobą, do której Adam odezwałby się, gdyby żył. Oczywiście jedyną, poza nią samą. Zadzwoiła na jej czeski numer, gdy tylko wyszła ze szpitala i kazała natychmiast przylecieć do Wrocławia. Wiedziała, że jeżeli powie jej o śledztwie policji, Alicja nie odmówi jej przyjazdu. Są rzeczy, o których trzeba rozmawiać osobiście. Miała nadzieję, że podczas zaplanowanego na jutro spotkania kobieta zdradzi jej sekret, że jej syn jednak żyje. Zjeżdżając z autostrady A4, czuła, jak serce mocno bije jej w piersi.

Jelenia Góra, apartament Carmen Rodríguez

— **M**asz dzisiaj leżeć – zaordynował stanowczo Borys, który przywiózł Carmen do domu. Ewentualnie siedzieć na kanapie i się relaksować – dopuścił taką możliwość.

– Ale jesteśmy w takim miejscu, że nie możemy odpuścić, ja muszę porozmawiać z tym lekarzem i...

– No wiedziałem, że tak będzie! Masz – wyciągnął z teczki dokumenty – połączyłem się na Teamsie za ciebie. Poprosiłem o dokumentację na maila i kazałem Śrubie ją wydrukować. Tylko obiecaj mi, że nigdzie nie będziesz wychodziła. Posiedzisz grzecznie w domu i sprawdzisz, czy coś można z tego wyciągnąć.

– Dobra, a co słyhać w Przesiece? Odkryli coś? – Wiedziała, że Borys odebrał telefon od chłopaków z komisariatu w Karpaczu, ale nie słyszała, o czym mówił, bo wyszedł z pomieszczenia, w którym ją położyli, kiedy zemdląa. – Właściciele sklepu spożywczego, Masłowscy, pokazali im, gdzie mieszkała kobieta. Było otwarte. Weszli do środka i ściągnęli techników. Są przekonani, że to ofiara z Zachełmia. Halina Tobolek. A teraz, uwaga, trzymaj się mocno.

– No? – Spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

– Pamiętasz, jak Markowscy mówili, że ta kobieta z Zachełmia jest po-
mylona?

Przytaknęła i czekała na dalsze newsy.

– Słuchaj, jak mi potwierdzili, że to nasza NN, to jeszcze raz zadzwoniłem do ordynatora w Złotoryi. Spytałem, czy Halina Tobolek też była pa-

cientką ich szpitala. Odpowiedział wymijająco, że nie może udzielać takich informacji bez nakazu.

– Cholera! – zaklęła Rodríguez.

– Nie gorączkuj się tak – uspokajał ją. – Czasem warto posłuchać do końca, zamiast wrzucać swoje trzy...

– Borys!

– No dobra, dobra. A więc zapytałem go, czy warto starać się o taki nakaz, w sensie, czy jest po co, a on spojrział do komputera i powiedział, że warto. Ma mi przesłać dokumentację, jak tylko Warszawiak wystawi nakaz. Nie mogę się do niego dodzwonić, ale będę próbował – obiecał.

– I od razu mi prześlesz? – upewniała się.

– Tak. A teraz słuchaj. Jest jedna rzecz, o której ci nie powiedziałem, kiedy byliśmy w aucie.

Oczy jej się zwężyły, a twarz wyrażała niezadowolenie.

– Śruba znalazł Alicję Topaz. Myśleliśmy, że może wieść sobie wygodny żywot w Hiszpanii, ale nie. Przeprowadziła się do Czech. Kupiła tam dom i żyje sobie spokojnie.

– Możemy do niej pojechać? – Carmen chciała rzucić wszystko i wsiąść w auto.

– Nie ma takiej potrzeby – uspokoił ją.

– Jak nie ma? Jest! Ja wiem, że byłem nieuwważna, że przegapiłam ważne zapisy w pełnomocnictwie, które mi podsunęła, ale ona mnie oszukała, a nade wszystko uważam, że sfingowała z Adamem jego śmierć.

– Carmen, po pierwsze nie pojedziemy do niej, ponieważ ona przylatuje jutro do Wrocławia.

– Co?

– Marcel dostał wiadomość z lotniska, że Alicja Topaz wykupiła na jutro bilet z Pragi do Wrocławia. Ale po drugie, nie wiem, czy nie powinnaś odpuścić. Moim zdaniem on naprawdę nie żyje. Myślę, że nie ty go zabiłaś, że był ktoś, komu zależało na tym, by cię zrobić. Może to Alicja, może ktoś inny, ale to jest już nie do udowodnienia.

– Nie, ja to wszystko przemyślałam, Borys. Moim zdaniem Adam żyje. Kiedy siedziałam w więzieniu, a ta suka mi już wszystko ukradła, wpadłam w szal i porozwalałam rzeczy w celi. Za karę zostałam zamknięta w izolatce. To było najgorsze doświadczenie z całego pobytu w zakładzie karnym. Było tam ciemno i ciasno, i kiedy tam weszłam, ktoś mnie zaatakował. – Odsłoniła sweter i pokazała mu bliznę na plecach.

Szyk skrzywił się, a jednocześnie wyglądał na przejętego.

– Kobieta, która wbiła mi nóż w plecy powiedziała, że to pozdrowienia od Alicji i Adama. Rozumiesz? Oni razem zlecili moje zabójstwo, bo wiedzieli, że kiedyś wyjdę na wolność i będę chciała się zemścić.

– Cholera, Rodríguez, czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. – Przyłożył dłoń do ust i myślał w skupieniu. – OK, trzeba dzisiaj rozpocząć oficjalnie śledztwo, a jutro złożyć wizytę pani Topaz i pani Sowińskiej.

– Sowińskiej? – zdziwiła się.

– A poważnie uważasz, że to przypadek, że twoja teściowa właśnie dziś wyjechała do kuzynki do Wrocławia?

– *¡Putá madre!* – zaklęła po hiszpańsku.

– Dobra, ja idę dalej pracować. W kuchni masz siatkę z podstawowymi zakupami. Nie dziękuj, to Leśniak je zrobił. Obaj twierdzimy, że nie powinnaś spożywać niczego, co znajdowało się w tym domu do momentu wyników z laboratorium.

Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka, więc kiedy Borys wyszedł, zajęła się dokładnym sprawdzaniem dokumentacji medycznej Anety Sasek. Początkowo nie odkryła niczego nowego. Kobieta przyjęta w stanie epizodu depresji, spowodowanej śmiercią łóżeczkową dziecka. Spędziła na oddziale cztery tygodnie, miała wahania nastrojów, wpadała w histerie, towarzyszył jej zmienny napęd i nastrój. W niektórych raportach mogła wyczytać, że pacjentka konfabuluje, nadbudowuje rzeczywistość czy że występuje u niej nieadekwatny afekt. Czytała raporty od końca, czyli te najbardziej aktualne, aż natknęła się na wzmiankę o zmianie lekarza prowadzącego. I właściwie przeszłaby nad tym do porządku dziennego, gdyby nie fakt, że pierwszym lekarzem prowadzącym Anety był Marcin Rokosz. Car-

men poczuła w żyłach wyrzut adrenaliny. To mogło nic nie znaczyć. Może Rokosz pracował tam, ale odszedł z pracy akurat w czasie jej pobytu. Mógł jej nawet nie pamiętać. Media nie podały do wiadomości prawdziwego nazwiska ofiary Jaskiniowca. Ona też nie przypominała sobie, żeby o niej wspominała. Opisywała jedynie obrażenia, jakie zadał sprawca. Serce biło jej coraz mocniej. Czy Rokosz mógł mieć coś wspólnego z jej zabójstwem?

– Opanuj się, Rodríguez – zganiła samą siebie. – To, że znasz faceta, nie znaczy, że automatycznie jest mordercą. Gdybyś do niego nie chodziła, w ogóle nie zanotowałybyś tego faktu jako czegoś istotnego. – Ze zdenerwowania kartki zsunęły jej się z rąk i upadły na podłogę.

Uklękła, by je pozbierać. Były w kompletnym nieładzie i teraz zajęłoby jej dużo czasu, żeby posegregować je chronologicznie. Przerzucała je szybko, szukając pieczętki i podpisu Rokosza. Chciała wiedzieć, co myślał o swojej pacjentce. Po chwili kompletnego chaosu dotarła do jego tygodniowego raportu ze spotkań z Anetą Sasek. Twierdził w nim, że zachodzi istotne prawdopodobieństwo, że kobieta mogła chcieć zabić swoje dziecko i że wielokrotnie w trakcie rozmowy stwierdzała, że uwolniła się od córki, której nie chciała. Dziwne, pomyślała Rodríguez, bo to stoi w kompletnej sprzeczności z tym, co mówiła później innemu lekarzowi. Czyżby wystraszyła się, że może zostać oskarżona o śmierć dziecka i drugiemu specjalście opowiadała już coś kompletnie innego? Spojrzała na wyświetlacz telefonu i przeczytała przychodzącą od Borysa wiadomość. Pisał, że powinna mieć już dokumentację Haliny na mailu. Pobiegnęła szybko do laptopa i odebrała pocztę. Teraz wiedziała już, czego szukać. Palce drżały jej, kiedy klikała na prawą strzałkę przesuwającą kolejne slajdy. Ten przypadek był bardziej oczywisty. Kobieta trafiła do szpitala pięć lat temu ze zdiagnozowaną schizofrenią. Ale to nie był powód jej przyjęcia. Została skierowana na przymusowe leczenie przez sąd, po tym jak utopiła podczas kąpieli swojego czteroletniego syna. Spędziła w zakładzie dwa lata. Boże, jakie to strasznie. Carmen oparła się o fotel. Potrzebowała chwili, żeby zebrać myśli. Niby wiedziała, że ofiary Jaskiniowca mogły krzywdzić swoje dzieci, ale mimo wszystko było to dla niej przerażające. Zrobiła głęboki wdech i wy-

dech i wróciła do czytania dokumentacji. Tym razem aż tak bardzo się nie zdziwiła, kiedy odkryła, że lekarzem prowadzącym Halinę również był Marcin Rokosz. OK, pracował w tym szpitalu, przyjmował wielu pacjentów. Może dlatego, kiedy zapytała go o klucz doboru ofiar, od razu stwierdził, że chodziło o złe rodzicielstwo. Tylko czy naprawdę swoją teorię postawił na podstawie obrażeń, jakie miały ofiary, czy to on był Jaskiniowcem? A może Rokosz znał zabójcę, może leczył się u niego i zwierzał z tego, co robił innym ludziom? Chwyciła w rękę telefon i szybko wystukała do niego wiadomość: „Przepraszam, że ostatnio uciekłam. Źle się czuję. Czy możemy spotkać się jutro?”. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. „Oczywiście, zapraszam o dziesiątej rano”.

Carmen dokładnie wiedziała, co musi jutro zrobić. Plan pojawił się w jej głowie natychmiast.

Dawniej,

Mirsk

Matylda drżała z zimna, trzymając w rękach pluszową zabawkę. Kurczowo obejmowała ją ramionami, jakby mała gąska miała zapewnić jej ciepło i bezpieczeństwo. Płakała. Kubuś też z początku płakał, ale potem stwierdził, że musi być dzielny. Ta noc w końcu minie, a rano rodzice przyjdą po nich i kara się skończy. Tak przynajmniej powiedziała matka, która przyprowadziła ich do starej kopalni minerałów i kazała zostać tu na noc za karę. Chłopiec usiadł przy siostrze i objął ją ramieniem. Było mu coraz bardziej zimno i nawet jesienne kurtki, w które ubrała ich mama, nie zapewniły odpowiedniej ochrony przed lodowatym powietrzem. Kopalnia miała długie, wąskie korytarze, wykute w skale, jej wnętrze było wilgotne i przerażające, ale Kuba wiedział, że musi zrobić wszystko, żeby Matylda się nie bała. Oboje byli dzisiaj niegrzeczni i zasłużyli na karę. Matylda dlatego, że przypadkiem stłukła piłką szybę w pokoju, a Kuba, kiedy zobaczył, jak mocno matka ją za to pobiła, wziął kamień i celowo wybił szybę w drugim oknie. Był coraz starszy, miał dwanaście lat i coraz częściej się buntował, a matka miała powody, by wymyślać coraz okrutniejsze kary. Zwłaszcza wtedy, kiedy mąż szedł do pracy na nockę. Nie ograniczała się, jakby maltretowanie dzieci sprawiało jej przyjemność, jakby tylko czekała na moment, kiedy zostanie z nimi sam na sam. Kuba spał już poza domem wiele razy, ale nigdy w jaskini w środku lasu i nigdy z Matyldą. Bał się o siostrę, która nie rozumiała przecież wielu rzeczy.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał jej do ucha. – Ta noc szybko minie i matka po nas wróci. A poza tym, zawsze chcieliśmy mieszkać w jaskini,

pamiętasz? – przypomniał jej swój dawny pomysł, że kiedyś uciekną z domu i tak spędzą resztę dzieciństwa.

Dziewczynka przestawała powoli płakać, choć jej oddech był jeszcze nierówny i urywany. Zaczęła się kiwać w przód i w tył, a brat kiwał się razem z nią, bo odkrył, że ruch daje mu poczucie ciepła.

– Będzie dobrze – powtórzył jeszcze raz. – Kocham cię i zawsze będę cię chronił i przed matką i przed dziećmi, które ci dokuczają.

Ale dobre dni nie nastąpiły. Rano, kiedy matka przyszła, by zabrać dzieci do domu, jedno z nich było już martwe.

Wrocław

Borys nie zdradził Carmen, że jeszcze wczorajszej nocy wybrał się do Wrocławia. Działal w porozumieniu z Leśniakiem, by stary więcej niczego mu nie zarzucił, i z Warszawiakiem, bo wszystko musiało być dokładnie udokumentowane. Żadnej samowolki, inaczej niczego nie będą mogli udowodnić. Dostał w przydziale dwóch funkcjonariuszy z komendy wojewódzkiej. Cieszył się, że nie będzie działał sam. Mieli zgodę na założenie podsłuchów w pokoju hotelowym, do którego dzisiejszego dnia powinna zameldować się Alicja Topaz. Rezerwacji na nazwisko Sowińska nigdzie nie znaleziono, dlatego Borys podejrzewał, że Teresa faktycznie mogła nocować u kuzynki, ale przecież nie zaprosi tam Alicji. Gdyby obie zechciały wyjść do kawiarni czy na spacer, też byli przygotowani. Pozostało im tylko czekać. Żeby nic mu nie umknęło, pojechał na lotnisko i kiedy tylko Alicja Topaz wyszła z portu i wsiadła w taksówkę, ruszył za nią. Ledwo ją poznał. Wyglądała inaczej niż na zdjęciach, które mieli w systemie. Zapuściła włosy i przefarbowała je na rudo albo po prostu założyła perukę. W każdym razie mało brakowało, a zupełnie by ją przeoczył. Podróż do zarezerwowanego hotelu w centrum miasta przebiegła na szczęście bez problemów i po dwudziestu minutach wszyscy trzej policjanci byli już w furgonetce pod budynkiem.

– Czy to nie stara Sowińska? – zapytał Robert Barański, jeden z przydzielonych do sprawy policjantów.

– Masz dobre oko – pochwalił go Borys. Każdy z nich otrzymał wcześniej zdjęcia obu kobiet.

– No to *showtime* – oznajmił Hubert Pylik, rozsiadając się wygodnie w fotelu i zakładając na uszy słuchawki. Po chwili wszyscy troje przenieśli się do pokoju trzysta dwanaście.

– Alicjo, jak dobrze, że przyjechałaś. – Głos Teresy był drżący, ale zarazem pełen nadziei.

– Mnie też miło cię widzieć. Co się stało? Mów, bo wczoraj niemal umarłam ze strachu – powiedziała kobieta, prowadząc Teresę do stolika kawowego.

– Błagam cię, powiedz mi prawdę. – Starsza pani, przystanęła nagle, a w jej oczach było widać prawdziwą grę emocji.

Alicja Topaz się wystraszyła. Czy ta kobieta domyślała się prawdy? Byłoby to bardzo niekorzystne i być może musiałaby się jej pozbyć. Postanowiła jednak grać głupią, tak jak do tej pory. Teresę można było łatwo manipulować i być może będzie jej kiedyś potrzebowała. A poza tym takich ludzi jak ona warto mieć po swojej stronie.

– Nie wiem, o co ci chodzi i zaczynam się bać. – Usiadła, kładąc sobie rękę na piersi. – Aż serce bije mi szybciej. Wczoraj mówiłaś jakoś bez ładu i składu. A dziś zaczynasz od takiego pytania jakbyś sugerowała, że cię okłamałam.

– Mój syn żyje, prawda? – zapytała wprost. Drżały jej ręce i ledwo wydusiła z siebie to zdanie, ale musiała poznać prawdę. – Muszę to wiedzieć. Muszę choć raz jeszcze go przytulić. Błagam cię, nie okłamuj mnie. Nawet jeżeli zrobiliście coś złego, nawet jeżeli on się uratował, ale woleliście utrzymać ten fakt w tajemnicy i zemściliście się na Carmen defraudacją pieniędzy za kamienicę. Błagam cię, chociaż raz, daj mi się z nim zobaczyć.

– Poczekaj – przerwała jej. – Dlaczego tak myślisz?

– Była u mnie policja. Twierdzą, że Adam wcale nie umarł tamtego dnia, że żyje. Mają zamiar wszcząć śledztwo w tej sprawie. – Postanowiła pominąć kwestię, że zapewne sama się do tego przyczyniła, robiąc wszystko, żeby Carmen uwierzyła w to, że on żyje.

Alicja zamilkła na moment. W myślach analizowała, co powinna powiedzieć matce Adama, a co lepiej przemilczeć.

– Błagam cię – ciągnęła dalej Teresa. – Wiem, że mieliście romans. I wiem, że on cię bardzo kochał. Chciał z tobą być, ale potrzebował naj-

pierw się odkuć, żeby móc was utrzymać. Opowiadał mi, że w małżeństwie mu się nie układa, że Carmen jest porywcza, że czasem się jej boi. Wtedy to bagatelizowałam, ale kiedy dostałam wiadomość, że ona go zastrzeliła, wiedziałam, że nie przesadzał. Dlatego cię odszukałam. Bo to ty byłaś zagrożona w żałobie, nie ona. Wspierałam cię, podpowiedziałam, jak napisać dokumenty do notariusza, żebyś mogła wykorzystać kruczek prawny i wpłacić pieniądze ze sprzedaży kamienicy na własne konto. Ofiarowałam ci tyle zaufania i wsparcia, ile tylko mogłam, ale teraz ty musisz zaufać mnie. Błagam, pozwól mi zobaczyć się z synem.

– Wiem, co myślisz. – W oczach Alicji nagle pojawiły się łzy i patrząc z zewnątrz, wcale nie było widać, że są udawane. – Uważasz, że to zaplanowaliśmy, tak? Wiesz, że Adam czasem dosypywał jej leków do napojów, żeby była spokojniejsza. Myślisz, że ją uśpił i zaaranżował własne zabójstwo. Że tak naprawdę pistolet wystrzelił w niebo, on rozlał wcześniej przygotowaną krew i wyskoczył za burtę, gdzie w głębinie czekali nurkowie z butlą tlenową?

Teresa właśnie tak myślała. To było jedyne rozsądne rozwiązanie, które przyszło jej do głowy.

– Masz rację – powiedziała, a starszej pani łzy szczęścia i niedowierzania spływały po policzkach. Teresa rozpromieniła się i upadła na klęczki.

– Dzięki Ci, Panie! Dzięki Ci, bo mój syn żyje. – Nagle wróciła jej wiara w Boga. – Muszę go zobaczyć, muszę.

Alicja podeszła do Teresy i podniosła ją z kolan.

– Proszę cię. To jest dla mnie bardzo trudne – powiedziała ze smutkiem. Los nas pokarał. Taki mieliśmy plan. To był zły plan i nikt nie powinien nigdy nikogo wrabiać w zabójstwo. Ale owszem dokładnie to zaplanowaliśmy. Carmen go wyniszczała, Adam tracił przy niej całą energię i uśmiech. Myśleliśmy, że będziemy żyli sobie na jakiejś rajskiej wyspie, kiedy tylko wyłudzymy od niej pieniądze za sprzedaż kamienicy. Od początku taki był plan. Wiedziałam, że kiedy trafi się już dobry klient, będzie mi łatwo przekonać ją do sprzedaży nieruchomości. Byłam jej jedyną przyjaciółką, jedyną osobą, która odwiedzała ją w więzieniu. Ale nie, Tereso. Adam nie

żyje. Coś poszło nie tak, i kiedy rano czekałam na niego w umówionym miejscu, przyszedł szef nurków i powiedział, że Adam wpadł do morza martwy. A oni uciekli i zostawili tam ciało. Carmen naprawdę go zabiła. – Łzy same polały jej się po policzkach.

Teresa Sowińska zawyla żałośnie i nie potrafiła się już opanować. Dziś po raz kolejny oplakiwała śmierć swojego syna. Alicja rozluźniła się nieco. Nie pierwszy raz udało jej się okłamać staruszkę. Zastanawiała się, czy dostałaby za tę rolę Oscara. Zawsze osiągała to, czego pragnęła. A prawda była taka, że godzinę przed wypłynięciem nurków, przyszła do nich, zapłaciła całość umówionej kwoty i oznajmiła, że akcja została odwołana. Adam wpadł do morza, wierząc, że to przeżyje. Niestety, nie umiał pływać i nikt nie ruszył mu z pomocą. Po co dzielić się kasą z mężczyzną, jeżeli można ją mieć tylko dla siebie? To i tak od początku do końca był jej pomysł. To ona zasłużyła na te pieniądze. I to ona poświęciła najwięcej, bo przez dwa lata grała ten chory teatrzyk. Zdobywała zaufanie kobiety, której nienawidziła, za to, że miała w życiu lepiej od niej, bo urodziła się w rodzinie milionerów. Czekala, aż zbliży się koniec sześcioletniego okresu ochronnego dla kamienicy i w końcu będzie można zadziałać. W tym czasie ciężko pracowała, odsuwając Carmen od rodziny i przyjaciół, wbijając do jej głowy, że jej nie kochają, nie dbają o nią i obgadują za jej plecami. A kiedy zrealizowała wszystko, co sobie zaplanowała, pozbyła się Adama i zgarnęła pieniądze Carmen, zleciła jej zabójstwo. Wolala nie ryzykować ponownego spotkania z Rodríguez, kiedy po latach wyjdzie na wolność. „Pozdrowienia od Alicji i Adama”, wiadomość, którą kazała jej przekazać przed śmiercią wymyśliła w ostatnim momencie. Uznała to za niezły żart, a samą siebie za mistrzynię zabójczej intrygi. Nagle drzwi pokoju hotelowego z impetem się otwały i uderzyły z hukiem o ścianę. Alicja była w potrzasku, widok trzech mężczyzn mierzących do niej z pistoletu przeraził ją.

Jelenia Góra, gabinet doktora Rokosza

I dąc do psychiatry, próbowała kilkakrotnie dodzwonić się do Borysa. Miała nadzieję, że zabierze ją do Wrocławia i będzie mogła spojrzeć Alicji w oczy, a być może i swojemu mężowi. Adam. Poczwała, że nogi zrobiły jej się miękkie, jak z waty na samą myśl, że mogłaby go dzisiaj zobaczyć. Zarazem chciałyby tego i bała się. Czy gdyby tak było, wszystkie złe rzeczy w jej życiu, miałyby swój kres? Oczyszczyłaby się ostatecznie od wszelkich podejrzeń. Dopóki nie stanie przed nią i nie spojrzy jej w twarz, myśl o tym, że żyje, będzie ciągle tylko przypuszczeniem, a nie faktem. W więzieniu osadzony był niewinny człowiek. Przecież wiedziała, że wyszła po to, by udowodnić, że żadnego morderstwa nie było. Miała świadomość, że to tylko na chwilę. Ale co, jeżeli nie uda się jej niczego dowieść? Skręciła w prawo, popchnęła furtkę i weszła na teren domu przypominającego kamienicę. Gabinet doktora Rokosza mieścił się blisko placu Piastowskiego i parku Zdrojowego w dzielnicy Cieplice. Z ulicy Zielonej miała tu całkiem blisko, dlatego postanowiła przyjść na piechotę, by się przewietrzyć. Spojrzała na ciemnopomarańczową elewację. Dom wydawał się wielorodzinny, piękny i stary, chociaż niedawno odnowiony. Wiedziała jednak, że nikt inny tu nie mieszka. Na parterze znajdował się gabinet Rokosza, a na górze jego prywatne mieszkanie. Cały teren ogrodu należał tylko do niego. „Ogromny dom i ogród, zbyt ogromny, jak na jednego mieszkańca”, pomyślała i zadzwoniła do drzwi.

– Carmen – przywitał ją lekkim skinieniem głowy i niewymuszonym uśmiechem.

– Cześć. – Starła się brzmieć lekko, ale nie była pewna, czy jej to wyszło.

Jeszcze dziś rano biła się z myślami, czy na pewno powinna to zrobić, czy nie lepiej opowiedzieć o swoim odkryciu współpracownikom. Ostatecznie tuż przed wyjściem z domu postanowiła zadzwonić do Borysa, ale nie odebrał. Wysłała mu wiadomość i skontaktowała się z Marcelem, by poprosić go o sprawdzenie, czy Kamil Sukulski leczył się psychiatrycznie i czy miał jakiegokolwiek powiązanie z doktorem Marcinem Rokoszem.

– Nie ma dziś recepcjonistki? – zapytała, przechodząc obok pustego biurka w poczekalni.

– Będzie później. Przyjmuję cię dziś przed innymi pacjentami – wyjaśnił.
– Wydawało mi się, że potrzebujesz tej wizyty, a ja miałem już grafik wypełniony.

– Dziękuję. – Usłyszała drzenie własnego głosu i poczuła niepokój. Będą sami. W razie niespodziewanego zdarzenia, nikt jej nie pomoże...

– Z czym dzisiaj przychodzisz? – zapytał, kiedy oboje zasiedli w welurowych fotelach.

– Przepraszam, że to powiem, ale źle wyglądasz – odparła, żeby nieco oddalić od siebie zbliżającą się nieuchronnie rozmowę. Rokosz naprawdę wyglądał nie najlepiej. Był smutny, może zamyślony i miał podkrążone oczy, jakby całą noc nie zmrużył oka. Pomyślała, że może wrócił z dyżuru. Lekarze zazwyczaj pracują w kilku miejscach i było to bardzo prawdopodobne. Rodríguez zauważyła nie tylko ogromne zmęczenie, ale coś jeszcze. Wyczuwała coś silniejszego i mroczniejszego, jakby złą energię czy skrupulatnie ukrywaną ogromną złość... Przestraszyła się tego.

– Nie chciałbym cię zanudzać swoimi sprawami – chciał zakończyć temat, nim zdążył go rozwinąć.

– Słuchaj, ja wiem, że jesteś lekarzem i to ja mam pewne problemy, ale każdy z nas jest też człowiekiem. A skoro jesteśmy po imieniu i dystans pacjent–lekarz zniknął dawno temu, to może chciałbyś opowiedzieć, co się stało? – powiedziała, mając nadzieję, że dowie się czegoś nowego. Być może chociaż trochę rozwieje jej podejrzenia albo ostatecznie je potwierdzi.

– To nic takiego. – Machnął ręką. – Dowiedziałem się wczoraj wieczorem, że ktoś, kogo znałem, zmarł, ale nie chcę o tym opowiadać. Nie byliśmy blisko i ta osoba nie była dla mnie dobra, więc nie powinno mnie to, aż tak ruszyć. Po prostu źle dzisiaj spałem.

Zaczęła się zastanawiać, czy nie mówi o swojej matce? To by się zgadzało. Starsza kobieta mogła umrzeć, to było naturalne. Była dla niego zła w dzieciństwie, a to by pasowało do seryjniaka. Jeżeli to faktycznie on, to miała jedną szansę na milion, żeby właśnie teraz dowiedzieć się prawdy. Teraz kiedy jest jeszcze w szoku i pod wpływem emocji, które tak nieumiejętnie ukrywa. Zrobiła głęboki wdech i zaczęła opowiadać historię, misternie układaną przez całą noc.

– Dobrze, więc jeżeli mogę, to chciałabym ci o czymś opowiedzieć. Nie byłam z tobą do końca szczerą. – Przerwała nagle, jakby potrzebowała przemyśleć, co dalej mówić.

– Jak większość pacjentów – odezwał się i spojrzał na nią z zaciekawieniem. – Potrzeba czasu, żeby sobie zaufać. Ufasz mi już, Carmen? – zadał pytanie, obserwując uważnie jej mowę ciała. Była dziś spięta, dużo bardziej niż zwykle.

– Ufam – skłamała. – Dlatego musisz wiedzieć, że nie jestem dobrym człowiekiem. Nie jestem taka, za jaką mnie miałeś.

– Każdy z nas robi czasem w życiu złe rzeczy, ale miarą człowieczeństwa jest żal za nie i potrzeba naprawienia zła.

– Ale ja nie żałuję. – Podniosła na niego wzrok. – Chyba coś musi być ze mną nie tak, bo ja nie żałuję niczego. – Czuli się coraz pewniej i wiedziała, że jest już gotowa, by opowiedzieć zmyśloną w nocy historię. – Obowiązuje cię tajemnica lekarska, prawda?

– Tak – przytaknął zaintrygowany. Po tym czego się wczoraj dowiedział, buzowało w nim wiele sprzecznych emocji i chociaż starał się je tłumaczyć, wiedział, że niedługo wybuchnie niczym gejzer.

– Mówiłam ci, że nie pamiętam, czy zabiłam męża. Prawda jest jednak taka, że pamiętam to doskonale. Strzeliłam do skurwysyna dwa razy, celując mu prosto w serce. Nienawidziłam go. Nienawidziłam, bo zabrał mi

wszystko, co miałam. I nie chodzi tu tylko o pieniądze. Zabrał mi całe życie, całą radość, moją energię, przyjaciół i chęć do istnienia. Zastrzeliłam go z zimną krwią, pławiąc się poczuciem dokonania sprawiedliwości.

– Rozumiem – podsumował jednym słowem. Był nieco zaskoczony. Wyglądał, jakby analizował, czy to, co mu powiedziała, może być prawdą, jednak czemu miałoby nią nie być? Nieraz przychodzili do jego gabinetu ludzie, którzy przypadkowo, w obronie własnej lub dlatego, że byli członkami grup przestępczych, odbierali komuś życie. Wysłuchiwanie ich było częścią jego pracy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie są bardziej zaburzeni niż ogólnie się ich postrzega.

– Ale to tylko część historii – ciągnęła swoje przedstawienie. – Kiedy trafiłam do więzienia, szybko okazało się, że jestem w ciąży – spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że ta informacja go poruszyła. Chyba była na właściwej drodze. – Nie chciałam tego dziecka. Nie chciałam urodzić potwora, który by mi go przypominał. Ale nie miałam wyjścia. Urodziłam i zostałam przeniesiona na oddział dla więźniarek z dziećmi – starała się mówić z oczywistą pogardą i zauważyła, że w Rokoszu coś drgnęło. – To był syn. Nie chciałam nawet nadać mu imienia, więc inne więźniarki nazwały go po ojcu Adam i to właśnie jego w nim widziałam. Nie wiem, może jestem chora, może to jakiś defekt w mózgu, ale nienawidziłam tego dziecka. W ogóle nie obudził się we mnie macierzyński instynkt, a wręcz czułam obrzydzenie, patrząc na jego pomarszczoną skórę, długie czarne jak u jego ojca włosy i dziwną, okrągłą twarz. Byłam na skraju wytrzymałości, bo ten dzieciak ciągle się darł. Nie mogłam tego znieść. Nie dość, że znalazłam się w więzieniu, to jeszcze spotkało mnie coś takiego. Znów bolała mnie głowa i miałam zaniki świadomości. Dni zlewały się ze sobą, a ja nie wiedziałam już, czy minął dzień, czy tydzień, czułam się jak zombie, niewyspana, spowiewierana i przeklęta. Pewnej nocy przyszedł mi do głowy pomysł. Kiedy Adam zaczął się drzeć, poddusiłam go delikatnie poduszką. Najpierw jego krzyk się wzmógł, ale potem ucichł. Nie zabiłam go, a przynajmniej nie od razu. – Zaśmiała się, jakby powiedziała najlepszy żart na świecie. – Jedynie odcięłam mu na chwilę dopływ tlenu i zemdlał, ale ja miałam w końcu spo-

kój. To była pierwsza noc, kiedy mogłam się wyspać. – Widziała, że Rokosz z trudem powstrzymuje wzbierające w nim emocje. I wiesz co, wtedy właśnie poczułam, że los zesłał mi go w darze, żebym mogła zemścić się na Adamie, bo chociaż go zabiłam, wcale nie poczułam ulgi. Zaczęłam bawić się tym niemowlakiem i ku mojemu zdziwieniu nie odczuwałam z tego tytułu żadnych emocji.

– Co to znaczy bawić się? – zapytał przejęty.

– Kojarzysz te zabawki gumowe do ściskania w dłoniach? Takie co jak naciśniesz z jednej strony, to uwypuklają się z drugiej?

Przytaknął, a ona się uśmiechnęła. W najbardziej psychopatyczny sposób, jaki potrafiła udawać.

– Tak mu właśnie robiłam. Ścisakałam go w różnych miejscach z całych sił, siadałam na niego, wyrywałam mu włosy, znęcałam się nad nim z dziką satysfakcją zranionej kobiety, która chce się odegrać.

Carmen opowiadała dalej. Po jego reakcji wiedziała, że zaraz wybuchnie. Nie przewidziała tylko jednego. Był od niej dużo silniejszy, a ona nie miała wsparcia. W pewnym momencie Rokosz zerwał się z fotela i ostatnie, co zobaczyła, była wymierzona w jej kierunku pięść. Potem nastala ciemność.

Jelenia Góra, Komenda Miejska Policji

— Czy ty to rozumiesz? – zapytał Leśniak, wystając zza ekranu komputera i łypiąc okiem na zbliżającego się do niego Borysa.

– Co? – zapytał zdziwiony?

– Co, co? Jajco! Ludzie są nienormalni – wzburzył się. – Najpierw media nazywają tego seryjniaka Jaskiniowcem, a teraz lokalne biura podróży oferują wycieczki po Jaskiniach Umarłych. Co trzeba mieć we łbie, żeby wymyślić takie rzeczy!

– Sieczkę – odpowiedział jednym słowem. – Gdzie Carmen? – Borys wołał przejść do konkretów.

– Nie wiem, ale słuchaj, mam coś – powiedział z ekscytacją Leśniak. Nadkomisarz wiedział już, co działo się we Wrocławiu, ponieważ Szyk zdał mu obszerną relację podczas powrotu samochodem do Jeleniej, nie było więc potrzeby znowu o tym dyskutować. – Szukałem informacji o zabójstwach w jaskiniach i kopalniach w latach osiemdziesiątych i znalazłem – powiedział podekscytowany.

– Mów. – Borys usiadł na krześle gotowy wysłuchać Leśniaka.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym w Mirsku doszło do tragedii. Zginęła dziewięcioletnia dziewczynka. A konkretniej zamarzła na śmierć. Był listopad i nocne przymrozki. Matka twierdziła, że dziecko spało w domu, ale w budynku mieli awarię ogrzewania. Tylko że kiedy przesłuchano syna, znaczy brata tej dziewczynki, powiedział, że matka często się nad nimi znęcała, a tego dnia zaprowadziła ich za karę do jaskini i zostawiła tam na noc.

– Kurwa co za... – Borys nie dokończył.

– Tak, dokładnie. W każdym razie rodzice stracili prawa rodzicielskie do syna i dziecko zostało przekazane do rodziny zastępczej, ale ponieważ ojciec nie mógł się z tym pogodzić, próbował go porwać, znów zmieniono mu rodzinę, ale tym razem również personalia.

– Znaczący, dostał nowe imię i nazwisko?

– Tak. Pierwotnie nazywał się Jakub Koczor, a po zmianie Marcin Rokosz. Śruba właśnie wrzucił go na bęben. Powinniśmy mieć niedługo jakieś dane.

– Marcin Rokosz, coś mi to mówi. – Przetarł ręką szorstki, krótki zarost. Dziś rano nie miał jak się ogolić. – Czekać, zadzwonię do Rodríguez. Dobięła się do mnie, jak byłem na akcji, ale potem już nie odbierała. Byłem przekonany, że będzie na komendzie.

– Dzwon. Może nam być potrzebna.

– Czekać. Mam nieodczytaną wiadomość od niej – spojrział w telefon. – Musiałem ją przeoczyć. Carmen pisze: „Chyba wiem, dlaczego seryjniak zlecał namalowanie tych cyfr dzień później, zamiast sam je malować. Chodziło o to, żebyśmy mogli złapać dzieciaki, które to robią, a one miały możliwość podania fałszywego wyglądu Jaskiniowca” – przeczytał. – Kurwa, to by się zgadzało. Na monitoringu nigdzie nie znaleźliśmy długowłosego blondyna w tym konkretnym dniu – przyznał Leśniak. – Rodríguez ma jednak łeb na karku.

– Mnie martwi jedna rzecz – powiedział Borys, odkładając telefon, po tym jak Carmen znów nie odebrała.

– Co?

– Skąd ona wie, że to fałszywy wygląd?

Leśniak jedynie wzruszył ramionami.

– Myślę, że odkryła, kim jest zabójca, a jeżeli teraz nie odbiera, martwię się, że mogła pójść go sprawdzić. Coś mi mówi to nazwisko Rokosz. Facet chyba mieszka w Jeleniej.

– Cześć – powiedział Śruba, który nagle pojawił się przy nich i słyszał ostatnie wypowiedzi. – Marcin Rokosz jest psychiatrą mieszkającym w Cieplicach.

– Mamy go! – Borys klasnął w rękę.

– To jeszcze nie wszystko – przerwał mu Śruba. – Rano dzwoniła do mnie Carmen. Prosiła, żebym sprawdził, czy Kamil Sukulski leczył się psychiatrycznie i czy miał jakikolwiek kontakt z doktorem Rokoszem.

– Czemu nie mówiłeś od razu? – oburzył się nadkomisarz.

– Bo chciałem najpierw sprawdzić powiązanie i przyjść do ciebie z konkretnymi adresami i faktami.

– I co? Masz konkrety?

– Tak. Tu jest jego adres i miejsca pracy – położył na biurku wydrukowaną kartkę.

– A powiązanie? – dopytał Borys.

– Podczas sprawy w sądzie, którą Sukulski miał za znęcanie się nad synem, doktor Rokosz był biegłym sądowym, który go badał.

– Dobra chłopaki. Mamy wystarczająco, żeby go zwinąć – Leśniak wstał i założył na siebie ciepłą kurtkę. – To będzie tylko formalność.

Mirsk,

dawna kopalnia minerałów

O budził ją ostry ból głowy, który zlokalizowała gdzieś za skronią. Zamrugała parę razy, jednak obraz wcale nie wydał jej się bardziej przejrzysty. Ciemność była wszędzie i tylko delikatny snop światła wpadał do wnętrza pomieszczenia. Westchnęła przeciągle, próbując się podnieść, ale w tym samym momencie poczuła silne kopnięcie w podbrzusze i upadła z powrotem na kamienne podłoże, ocierając sobie twarz. Skóra zapiekła ją i krzyknęła z bólu. Sama nie wiedziała, czy bardziej boli ją twarz, czy brzuch. Targnął nią odruch wymiotny, tyle że żołądek pozostawał od wczoraj pusty i jedynie wypluła trochę żółci.

– Leż, suko – wycedził przez zęby Marcin Rokosz. – Twoje godziny i tak są już policzone.

– Nie, poczekaj – próbowała mówić, ale nie pozwolił jej.

Zaszedł ją od tyłu, przycisnął jej plecy butem i wygiął ją w górę. Pospiesznie zakleił jej usta mocną, budowlaną taśmą. Chciała krzyczeć i się wyrwać, ale nie dała rady. Zaczynało do niej docierać, że może tu umrzeć. Tu w wąskim, kamiennym korytarzu, ukarana za grzechy, których nie popełniła.

– Mam dosyć takich suk jak ty – powiedział, siadając obok niej na ziemi. Swoją posturą zakrywał niemal całe światło korytarza. Jego ciemna postać zasłaniała jakiegokolwiek strzępy światła padające od wejścia. – Miałem tu przywieźć swoją matkę. Tu do miejsca, w którym umarła moja siostra – powiedział z żalem. – A ona wywinęła mi taki numer. – Zaśmiał się, a jego śmiech rozszedł się demonicznie po korytarzach. – Ty wiesz, że przyszła do mnie cztery tygodnie temu, jako pacjentka i mnie nie poznała? Własnego

syna... Żaliła się na swoje życie. Mówiła, że spotkało ją wiele niesprawiedliwości. Że nawet dzieci o niej nie pamiętają i jej nie odwiedzają. Jakby zupełnie wyparła fakt, że nas katowała, i że zabiła moją siostrę. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy widzisz swojego oprawcę słabego i bezbronnego, a on zaprzecza, że kiedykolwiek zrobił coś złego. Coś we mnie pękło. Skrywane wewnątrz mnie pragnienie zemsty, wyszło w końcu na jaw. Za dużo widziałem w tej pracy zła. Za dużo musiałem ukrywać z powodów etycznych, bo każdy zły człowiek ma prawo do poufności.

Carmen próbowała coś powiedzieć, wiła się po ziemi jak piskorz, a związane z tyłu ręce nie pozwalały podeprzeć się i podnieść.

– Co? Pytasz, czemu nie zabiłem jej od razu, dlaczego ją oszczędziłem, a innym nie dałem tej możliwości? Chciałem to zrobić natychmiast, a najlepiej jeszcze w moim gabinecie. Owładnęła mną dzika furia, pragnienie rozszarpania jej na strzępy, przegryzienia tętnicy i zakopania we własnym ogrodzie. Ale nie mogłem. Na korytarzu czekali kolejni pacjenci, a kiedy moja matka wyszła, zaniemogła i recepcjonistka wezwała karetkę, która odwiozła ją do szpitala. Czekałem, aż wyjdzie. A w tym czasie postanowiłem pomścić śmierć innych, którzy przeszli przez to samo piekło. Mając wgląd do akt, bez problemu znalazłem adresy osób, które krzywdzili swoje dzieci. Może nie wszystko poszło tak, jak sobie to zaplanowałem, a jednak wszechświat dał mi znak, że robię dobrze. Zamiast matki, która umarła w szpitalu tej nocy, los zesłał mi ciebie. Jesteś tak samo zła jak pozostali. Dziwię się tylko, że nie widziałem tego od razu – mówił, jednocześnie ostrząc nóż. Dźwięk pocieranego metalu obijał się od kamiennych ścian.

Carmen zamknęła mocno oczy, z których strumieniami leciały jej ogromne łzy. Nie chciała umierać. Nie dzisiaj, nie w ten sposób i nie za winy, których nie popełniła. Jej ciało zaczęło drżeć z zimna i ze strachu, i wtedy coś usłyszała. Wołanie? Czy to możliwe, żeby ktoś był na zewnątrz i wołał jej imię. Rokosz też to usłyszał, poderwał się z miejsca i wpadł w panikę. Miotał się, nie wiedząc, co robić, ale w końcu się opanował. Podniósł Carmen dokładnie w momencie, w którym do kopalni weszło dwóch policjantów. Mieli w rękach latarki, których światło raziło ich w oczy.

– Stój, rzuć nóż! – krzyknął młodszy z nich, stojący z przodu. W wąskim korytarzu nie było możliwości, żeby zmieścili się we dwóch obok siebie.

– To wy rzućcie broń! – wydarł się Rokosz. – Albo zaraz poderżnę jej gardło! No! Już! – krzyknął widząc, że się wahają. – I skierujcie światło latarki na siebie.

Policjanci zrobili dokładnie to, co im kazał i już mieli kopnąć pistolety w jego kierunku, kiedy Carmen Rodríguez z całej siły uderzyła Rokosza głową w klatkę piersiową. Uderzenie nie było na tyle mocne, by go powalić, ale było wystarczające, żeby dezorientować napastnika. Sekundę później, obrócona do niego przodem, wymierzyła mu najpierw kopa w przyrodzenie, a potem odsunęła się lekko i zafundowała mu cios butem w twarz. Rokosz upadł jak długi na ziemię, a ona poczuła, że ma ranę na nodze. Trudno, pomyślała, to i tak niska cena za ocalone życie. Leśniak i Szyk doskoczyli czym prędzej do niego i skuli go kajdankami.

Wychodząc na zewnątrz, poczuła się jak nowo narodzona. Wiedziała, że otrzymała od losu szansę na nowe, lepsze życie i nie powinna jej zmarnować.

– Antonio? – stanęła kompletnie zaskoczona, widząc chodzącego po lesie mężczyznę, łudząco podobnego do Pereza. – ¿Eres tú?

Kiedy upewniła się, że dobrze widzi, pobiegła i rzuciła mu się w objęcia.

– Co ty tu robisz? – zapytała po hiszpańsku.

– Byłem pod twoim domem – tłumaczył zdenerwowany. – Policjanci przyjechali cię szukać i przekonałem ich, żeby mnie zabrali, że nie będę przeszkadzał. Pojechaliśmy najpierw do domu tego psychologa, ale tam cię nie było, i ten młody powiedział, że musimy sprawdzić kopalnię. Boże! Tak się cieszę, że żyjesz i że wszystko jest dobrze.

– Ale... – nie mogła wyjść z podziwu, że go widzi. – Ale co robisz tu, w Polsce?

– Odkryłem coś. Wiem, że kazałaś mi się nie wtrącać. Rozumiem, że nie chciałaś mnie mieszać w swoje problemy, ale nie mogłem stać z boku. Jestem twoim przyjacielem i jeżeli mogę, to pomagam.

– O czym ty mówisz?

– Kiedy napisałaś mi wiadomość, że nie masz dużo czasu, bo ludzie tutaj zaczynają domyślać się prawdy, wynająłem prywatnego detektywa, żeby poszperał jeszcze w Hiszpanii. Odnalazł firmę zajmującą się nurkowaniem. Jej członkowie potwierdzili, że w noc zabójstwa Adama, mieli czekać na niego w pobliżu jachtu. Zlecił to sam Adam i jego kobieta Alicja. Mieli być przygotowani na to, że mężczyzna będzie miał prawdopodobnie rozciętą rękę, i że trzeba będzie go opatrzyć, żeby się nie wykrwawił. Tyle że kiedy Adam był już na jachcie, ona odwołała wszystko, twierdząc, że rejsu jednak nie będzie. Mój detektyw ich przycisnął i nieźle postraszył. Boją się zostać wmieszani w zabójstwo i są gotowi zeznawać na policji. Myślę, że do niego nie strzełaś. On to wszystko przygotował. Naćpał cię jakimiś prochami, włożył pistolet w twoją dłoń. Strzelił dwa razy do morza i rozciął sobie skórę, żeby krew była świeża. Potem wskoczył do wody święcie przekonany, że czekają na niego nurkowie.

– Czyli chciał sfignować swoją śmierć wierząc, że przeżyje, a i tak umarł – podsumowała.

– Tak. Wygląda na to, że razem z tą kobietą wszystko zaplanowali. Chcieli zrobić cię w morderstwo, którego nie dokonałaś.

– Tyle że to nie wystarczy, by wyciągnąć niewinnego człowieka z więzienia...

– Może wystarczy. Będziemy w tej sprawie działać. Razem, dobrze? Pamiętaj, że nie musisz być w tym wszystkim sama. – Pogładził ją po bladym policzku.

– Antonio, ja...

– Wiem. Możesz mi zaoferować jedynie przyjaźń. I na razie to mi wystarczy. – Uśmiechnął się.

Epilog

W małej portugalskiej wiosce, ciemnowłosa mężczyzna odłożył na stół gazetę. Na jego twarzy zagościł spokojny uśmiech, a poczucie ulgi rozlało się po całym ciele.

– Możesz wracać – zapewnił go jego kompan, który raz na parę miesięcy pojawiał się niezapowiedziany, przywożąc mu wieści z Hiszpanii. – Wszyscy członkowie gangu wybili się nawzajem lub trafili do paki. Nic ci już nie grozi. Ludzie, z którymi miałeś porachunki, już nie istnieją.

– Dwa lata w ukryciu – podsumował mężczyzna. – Dwa lata wycięte z życia, spędzone na chowaniu się jak szczur przed bandziorami, którzy chcieli mnie zabić.

– Koniec tego, bracie. – Kolega poklepał go po ramieniu. – Teraz jest już bezpiecznie. Możesz ogłosić światu, że zmartwychwstałeś.

Adam Sowiński wstał z krzesła i podszedł do okna z widokiem na ocean. W końcu się doczekał.

– Czas wracać do domu – powiedział. – Jestem ciekaw, co słyhać u Carmen...